DZWONEK

PISMO DLA LUDU.



Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Nowa Serya.

TOM III.

ROK PISMA DWUNASTY.

Redaktor odpowiedzialny: Kazimierz Okaz.
Wydawca: Stanisław Justian.

WE LWOWIE.
Z drukarni E. Winiarza.
1871.

SPIS RZECZY
w tomie III. z roku 1871 zawartych

Gwiazdka * na początku oznacza, że dodany jest tam obrazek.

I. Żywoty świętych, legendy, podania o cadownych miejscach w Polsce i rozmaite historye święte.

II. Powiastki, gawędy i opowiadania z historyi polskiej i inne.

VI. Rozmaitości.

VII. Złote ziarna.

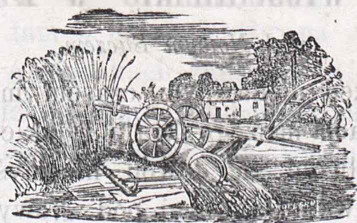
VIII. Dodatki polityczne.

Tom III. 1. Stycznia 1871. Nr. 1.

Rok dwunasty.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

W Imię Boże!

Chwała Bogu! już Rok Nowy
Zawitał na naszą ziemię;
Podnieś ludku w górę głowy,
Niech smutku opadnie brzemię!

Z silną wiarą w lepsze czasy
I „Dzwonek“ dźwięczy wesoło,
Ponad góry, po nad lasy,
Witając chatkę i sioło.

Temu siołu i tej chacie
Chce głosić wszelkie życzenia,
Szczerość naszą dawno znacie
Ona się dla Was nie zmienia.

Z Nowym Rokiem — życie stare
Porzućcie bracia Wieśniacy,
Miłość, zgodę, polską wiarę
Do Waszej przyłączcie pracy!

Staropolskim dziś zwyczajem,
Kończymy do Was pisanie,
Panu Bogu Was oddajem
Niech z Wami zawsze zostanie!

Lwów dnia 1. Stycznia 1871.

Wesele włościańskie w Dąbrowej

pod Nowym Sączem.

Jak się to przed niedawnym czasem mieli ludzie wiejscy w niektórych stronach naszego kraju i jakie wyprawiali sobie uciechy, może posłużyć za dowód niezmyślony opis wesela włościańskiego we wsi Dąbrowej pod Nowym Sączem. Żyją jeszcze ludzie, którzy byli na tem weselu, to też i potwierdzić mogą.

Było to pod jesień 1851 roku. Wójt z Dąbrowej wydawał szesnastoletnią córkę za syna wójta z Kurowa, ośmnaście lat liczącego młodziana. Ojciec panny młodej, człowiek zamożny a przytem powszechnie poważany, zaprosił na to wesele całe sąsiedztwo. A nie byli tam sami tylko wiejscy ludzie, ale hrabiowie, szlachta, zamożniejsi oficjaliści dworscy i urzędnicy z poblizkiego Sącza. Jakkolwiek miał obszerne domostwo, bał się jednak — czy w niem pomieści dostatecznie gości, a więc przybudował umyślnie w tym celu ogromną izbę.

Przed weselem codzień u wójta krzątaniny wiele, bo przygotowania były wielkie. Na cztery tygodnie już naprzód zamówiła sobie wójtowa w całej okolicy sery i masło, które ubijając w beczki, gromadziła w swojej spiżarni, by je potem użyć do pieczywa kołaczy. Mnóstwo serów i kiełbas wędziło się w kominie; na chleb i kołacze poszła mąka z pięciu korców przenicy i czterech żyta; w kojcach tuczono gęsi, indyki, kapłony i kaczki, jednem słowem drób, jakiego tylko jesień dostarczyć mogła, a przytem nie brakło i dziczyzny, jak: zajęcy, sarn, kuropatw, czego w tamtych stronach bywa podostatkiem; znalazły się i ryby a nawet łososie, które się tam w rzece Dunajcu wyławiają. Prócz tego nie zapomniano i o ciastach i cukrach, a wina dobrego, piwa, starego miodu nakupił wójt co niemiara, aby nie narzekano na piwnicę.

Kiedy wszystkie zapasy już były przygotowane, starano się o osoby, które były potrzebne do obrzędu weselnego. Jakoż wybrano do tej uroczystości aż 26 starostów i tyleż starościn, 24 drużbów i tyleż druchen, a osób nie posiadających żadnych godności weselnych było o wiele więcej niż dopiero wymienio-

nych nie wliczając w to osób z wyższego stanu. I pomyśli sobie niejeden: cóż tam z tego, kiedy na weselu byli tylko sami zamożniejsi a o biedakach zapomniano! Oj nie było tak zupełnie! Obszerną piekarnię przeznaczono właśnie na ugoszczenie ubogich ludzi; każdy ubogi miał tam wstęp wolny, choć nie był proszony.

Gdy się zeszli wszyscy zaproszeni włościanie na czas oznaczony, wtedy mężczyźni pod przewodnictwem starszego drużby dosiedli koni, a jadąc parami, tworzyli spory orszak. Za nimi postępowały wozy z kobietami. Ej, było też to na co patrzeć! Takiego wesela nie było tam jeszcze nigdy i kto wie, czy będzie kiedy? Kto zna dokładnie tamte strony i wie gdzie leżą Wielogłowy, to jest parafja, łatwo sobie wyobrazi ilość weselnych osób, gdy się zastanowi nad odległością parafji od dworu we wsi Dąbrowej. Mężczyźni byli już wszyscy przed plebanją; pierwszy wóz z kobietami tuż przy jej bramie, a ostatni jeszcze pode dworem. Na czele orszaku jezdnych dowodził starszy drużba z rószczką weselną. Był on dosyć śmiesznie ubrany. Opasał się powrósłem, miał przy boku drewnianą szablę, a na głowie niby stosowany kapelusz z kitą piór kogucich. Za nim jechał pan młody w żupanie granatowym, podbitym czerwonem suknem, w pasie guziczkami gęsto wybijanym; pod szyją czerwieniła się mu duża koralowa spinka; na prawem ramieniu przypiętą miał krótką burkę, na głowie mały, czarny kapelusik, dwa razy guziczkami mosiężnemi ozdobiony.

W takiem junackiem ubraniu jechał każdy następny drużba lub starosta. Przepych w stroju kobiet był nadzwyczajny. Na pierwszym wozie jechała panna młoda i starościna. Panna młoda miała niebieską jasną spodnicę z ciężkiej materji, tkanej złotem-ponsowy, aksamitny gorset, z cieniutkiego płótna pięknie haftowaną koszulę, po której spadało kilka sznurów korali, nie przesadnej wielkości, zawieszonych na szyi; na głowie miała rozmarynowy wianek, z pod którego spływał dostatni warkocz zapleciony piękną wstążką, tegoż co i spodnica koloru; fartuch haftowany spadał prawie równo ze spodnicą. Zaodziana była chustką jedwabną w kwiaty koloru jasno modrego. Druchny miały strój podobny, z tą różnicą, że nie miały złotem tkanych spodnic,

ale za to fartuchy blaszkami naszywane. Mężatki wszystkie prawie w złotych czapkach, w spodnicach z ciężkiej, czystej lub tkanej złotem materyi, odziane w bogate chustki. Uboższego stroju nad muszlinowy, tiulowy nie było. Mniej zamożne gospodynie miały spodnice z tybetu lub innej drogiej wełnianej materji. Cały ten strój w różnobarwnych kolorach dowodził zamożności tamtejszych włościan, którzy przytem w wstrzemięźliwości mogą być innym prawdziwym przykładem. To też nie dziw, gdy i dzisiaj niejednego gospodarza kieszeń pełna i długów nie zna. Ziemia tam dobra i lud także taki, a więc biedy być nie może.

Ale wróćmy do swojego. W rzęsiście oświeconym kościele odbyła się ceremonija ślubna jak zwykle, poczem w jakim porządku przybyto do kościoła, w takim wracano na wójtostwo.

Dopieroż to tam ruchu i wesołości! Koło wieczora zaczęły się zjeżdżać osoby z wyższego stanu. Przed bramą zabudowań gospodarskich stał stróż, który donosił o każdym przybywającym gościu, a za danym znakiem wychodziła wyborna muzyka na przeciw niemu, a gospodarz z całą serdecznością i uprzejmością przyjmował gościa na podwórzu, poczem prowadził go do osobnej izby, oddzielnej od tej, w której się odbywało wesele. Raczył on chojnie jadłem i napojem, w czem mu sprowadzona z miasta kucharka i gospodyni dopomagały — zajmując się urządzaniem potraw i ich rozdawaniem. Gospodarz umiał wszystkich ubawić i pogodzić jedno z drugiem. Bawił trochę z państwem, trochę z włościanami, a wszędzie doglądał starannie, aby jedzono i pito, mieniąc sobie za wielką krzywdę, gdy się kto wymawiał od czego. Niektóre osoby z państwa weszły potem do izby, w której bawili się włościanie. Rozdawano właśnie według tamecznego zwyczaju przed wieczerzą wędzony ser, w kostki pokrajany, orzechy włoskie i laskowe, oraz rodzaj ciasta w kształcie pierożków, obsypankami zwanych. Potem dopiero obnoszono mięsiwa różnego rodzaju oraz napoje. Od najstarszego do najmłodszego nie zapomniano o nikim, a i ubodzy byli suto obdarzani, że nikt nie mógł się uskarżać o niepamięć. Każdego, proszonego i nieproszonego raczono obficie, a nie zabrakło tam ani jadła ani picia.

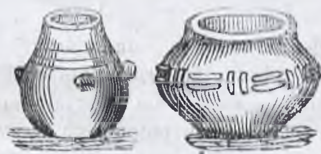
Wesele trwało cały tydzień. Po weselu każde z państwa młodych zostało przy swych rodzicach według umowy przedślubnej przez dwa lata.

Wójt z Dąbrowej urządził dla swej córki piękne mieszkanie i zapewnie pięknem obdarzył ją wianem, stósownie do wyprawionego wesela.

Takie to było wesele w Dąbrowej, bo rodziców państwa młodych stać było na to. *Józef z Bochni.*

Popielnice.

Rolnik pracowity wyjechał z pługiem w pole. W Imię Boże wziął się do pracy i orze i przewraca rolę — pot leje się z czoła, a on nie ustaje, tylko dalej a dalej. Czasem zawadzi o kość spróchniałą, czasem zgrzytnie pług o stare żelaziwo lub kulę — rolnik je dobywa z ziemi, ogląda na wszystkie strony,



poduma chwilę, boć to jego ojcowie na tem polu walczyli z poganami i znów zacina koniki. Niekiedy, osobliwie na równinach napotyka skorupy i całe garnki. Chciwie wydobywa je z ziemi i zagląda do środka, myśli że tam znajdzie pieniądze. Tymczasem w środku nie ma skarbów, a rolnik zawiedziony rzuca garnek o ziemię i tłucze i dziwi się zkąd ludziom przyszło do głowy tyle rupieci zakopywać w ziemię.

Oj dawne to już czasy, kiedy te garnki tutaj zakopano. Przed tysiącem lat ojcowie nasi nie byli jeszcze chrześcijanami. Wierzyli w rozmaite bogi, a lepili je sobie z gliny lub ciesali z drzewa. Byli poczciwi i pracowici i bardzo kochali swoich bogów, choć przytem mieli swoje pogańskie zabobony i zwyczaje. Umarłych nie chowali w ziemi jak my, ale układali stos drzewa, a na tym stosie kładli ciało umarłego i podpalali. Stos płonął iskrzącym ogniem, płaczki najęte płakały, kapłani pogańscy odprawowali swoje obrządki a kiedy się ostatnia spaliła głownia, zbierali popioły nieboszczyka i chowali je do owego garnka co się nazywał popielnicą, w mniejsze garnki

zbierali łzy wylane i wszystko zanosili na cmentarz czyli jak nazywali „Żalisko“ lub „Uroczysko“ i zakopywali w ziemię. I stąd to czasami napotykamy tyle popielnic na jednem miejscu. Lecz nie trzeba je tłuc lub poniewierać, boć w nich złożone popioły naszych ojców, ale zebrać starannie i odesłać do miasta Krakowa lub Lwowa, bo tam są tacy uczeni ludzie, co to zbierają stare pamiątki z dawnych czasów, to oni wam za to podziękują, a może i zapłacą. Gdyby ktoś znalazł taką ładną pamiątkę może dać znać do Krakowa a na liście niech wypisze:

Do komisyi archeologicznej towarzystwa naukowego w Krakowie.

A gdyby mu się tak daleko pisać nie chciało może zanieść tę pamiątkę do dworu lub do księdza proboszcza.

Tak to taka skorupa przypomina nam stare dzieje i dawno ubiegłe czasy i pięknie o takim cmentarzu czyli jak się ono zwało Żalisku pisze nasz poeta Wicenty Pol:

ŻALE.

Już to ubiegło gdzieś lat tysiąc blisko,
A jeszcze świadczy pogańskie Żalisko,
Owym to dziejom z tamtej strony krzyża
I z trwogą serce do Żalów się zbliża;
Bo i tu ponoś świat serdecznie bolał
I bardzo kochał — to co łzami polał...
Na wierzchu ziemi ileż tutaj wrzawy?
A tam pod ziemią jakaż cisza głucha.
Bo cała praca żywota i ducha
Składa spokojnie wszystkie swoje sprawy
Po wielkiej wrzawie w małą popielnicę,
I stawia przy niej na straży łzawnicę...

A przecież w małej popielnicy leży
Wszystko zebrane na króciutkiej wici
Czem człowie stoi, co kocha, w co wierzy,
I czem się jeszcze u potomnych szczyci.
Bo popiół zacnych i krew serc ognistych
I zbroja dzielnych i ofiary czystych
I stare Żale — o to księga stara!
A choć nie bardzo czytelna ta księga
Lecz że człek tutaj przez łzawnicę sięga
Po przeszłe dzieje, więc wszystkiemu wiara
Co popielnica od wieków tu chowa
I wszystko świadczy prócz ducha i słowa

Na starych cmentarzach ziarno porasta, i tylko popielnica świadczy, że tu niegdyś ludzie się cieszyli i smucili. I nas kiedyś nie będzie i iny zginiemy, ale nie zginą nasze dobre uczynki i uczciwa sława.

Telegraf.

Opowiadanie Macieja.

Maciej był bardzo porządnym i zamożnym gospodarzem. Za młodu dużo bywał po świecie, to też temu i owemu dobrze

się przypatrzył, i nie jedno widział co i jak się w świecie Bożym dzieje Bywa po radę, to jak po święconę wodę każdy do Macieja pieszy, — bo już to on doświadczony, a uczynny i serdeczny dla każdego, aż miło. Każdemu radby radą czy groszem czy w inny sposób dopomódz, — każdego radby oświecić i pouczyć. Jak zacznie czasem opowiadać o obcych krajach, o różnych wynalazkach ludzkiego rozumu, które albo sam oglądał, albo gdzie w mądrej książce o nich wyczytał, to człowieku całą noc ę byś słuchał, ani by ci się sprzykrzyło.

Minionego roku zaszedłem i ja po długiem nie widzeniu do chaty Macieja. A dobrzem trafił jak wraz, bo w sam dzień, gdy Maciej sprawiał srebrne weselisko. Mój Boże! dwadzieścia pięć lat przeżył ze żoną jakby jeden dzień! — najmniejszego swaru ani kłótni nigdy między nimi nie było, — co najstarsi gospodarze niepamiętają tak przykładnego i zgodnego małżeństwa. To też Bóg dobry dał im w spokoju i dostatkach doczekać tego dnia.

Po nabożeństwie w kościele zaprosił Maciej wszystkich znajomych gospodarzy do swojej chaty. Wszyscy od serca radowali się i życzyli Maciejowi i żonie jego, że mu Bóg dał doczekać tak szczęśliwej chwili. Wśród wesołej pogadanki spożywali dary boże, które Maciej przed niemi zastawił. Żałowali tylko wszyscy, że niema syna Macieja, który od dwóch lat przy wojsku gdzieś w dalekich krajach między obcymi się błąkać musi, i nie może się w tym dniu z rodzicami wspólnie radować.

Gdy tak gawędzą i rozprawiają, wpada posłaniec na koniu w podwórzec. Zatrąbił na trąbce, i woła:

— Czy tu mieszka Maciej Sliwiński?

— Tutaj, tutaj, odpowiedzieli gospodarze, co z świetlicy wylecieli przez ciekawość, — a co tam, czy z urzędu?

— Nie, z telegrafu list przywożę...

Na to niektórzy gospodarze straszne porobili oczy, i patrzyli w podziwieniu to na posłańca, to na Macieja, to znowu na ten list w różowy papier owinięty. Słyszeli wprawdzie niektòrzy, że to tymi drutami, co przy gościńcu idą, ludzie się rozmawiają i wiadomości przesyłają, ale jak to idzie nie

wiedzieli i takiego listu, co go to telegramem nazywają, na oczy nie widzieli. Sam Maciej nie zdziwił się, ale myślał chwilę, ktoby to do niego pisał, czy nie zła jaka wieść może? Drżącą ręką otworzył list ten, i zaczął czytać... za chwilę rozradował się bardzo, i odczytał głośno wszystkim zgromadzonym;



Wnętrze urzędu telegraficznego.

„Kochani rodzice! Nie mogę być razem zwami i razem się cieszyć w dniu dzisiejszym. Zasyłam wam przeto moje synowskie uszanowanie i gorące życzenia. Daj Boże długie wam lata i powodzenie. Kochający syn Antoni.“

„Tryest 20 grudnia 10 godz. rano.“

Na te ostatnie słowa powstał gwar między słuchającymi; ten i ów kiwał głową, i pośmiechiwał się, inny szeptał sąsiadowi do ucha, że jak to być może, aby ktoś w Tryeście list pisał, i tego samego dnia ten list przyszedł. Szymek, co to za młodych lat we wojsku służył, nie mógł już wytrzymać, i odezwał się:

— A niech by tam ten telegraf, jak go nazywają, to jakżeby tak prędko list mógł polecieć? Wszak za młodu byłem w Tryeście z wojskiem podczas wojny we Włoszech, ta to prawie dwieście mil do tego Tryestu. Wtenczas koleji żelaznej nie było, tośmy długo jechali i maszerowali do tego miasta. Teraz koleje są, to prędzej, ale zawsze nie uwierzę, żeby tym telegrafem list tego samego dnia mógł dojechać. Chyba, że się wasz syn pomylił i inny dzień napisał.

— A choćby się i pomylił, powiedział znowu Kuba, ja zawsze tego zrozumieć nie mogę. Nieraz bywało stoję przy gościńcu, i patrzę na te głupie słupy z drutami, i mało sobie oczu nie wypatrzę, alem nigdy nie widział, aby jaki list leciał po tych drutach. Czasem tylko słyszałem, że coś po nich szumi i brzęczy, aż nie miło się robi. Człowiek myśli, czy to nie jaka zaczarowana sztuka...

— Ot plecie, plecie, odrzekł stary Maciej, — ten szum to wiatr tylko, co po drutach świszcze. Jak powietrze ciche, to druty ciche, i nie brzęczą; wam się zawsze czary tam marzą, gdzie czego nie rozumicie, a to sztuka ludzka i przemysł dowcipny.

— Już to wy wszystko od nas lepiej rozumiecie Macieju to możebyście i nas oświecili, i powiedzieli nam, co to ten telegraf, i jakto nim listy posyłać.

Wszyscy obecni przyłożyli się do tej prożby, a stary jakoś zadowolony, że może kogoś oświecić, tak począł prawić.

— Dawno to już temu bardzo, jak ludzie poczęli przemyśliwać, w jakiby to sposób w nagłej potrzebie prędko się można porozumiewać. Nieraz nieprzyjaciel wpadł do kraju, trza prędzej pomocy, trza się rychło zebrać, zgromadzić i bronić, a tu ani rusz, bo każdy gdzieindziej, bo jeden od drugiego daleko mieszka. Zapalali więc na wysokich pagórkach ognie; jak strażnik na jednym pagórku zobaczył ogień, zaraz u siebie zapalał, od niego dostrzegł ogień trzeci, dalej czwarty i w ten sposób prędko szła wiadomość o niebezpieczeństwie. Ale to tylko w nocy było dobre i na nie bardzo dalekie oddalenia. Zaczęto więc na tych pagórkach wystawiać znaki różne inne,

które i w dzień mogły być widziane. Zawsze sposób ten był bardzo nie dokładnym, to też go wnet i zarzucono.

I długi czas niebyło sposobu lepszego do prędkiego udzielania sobie wiadomości. Aż wreszcie odkryto siłę, co to „elektryką“ się nazywa i zastosowano ją do wielu pożytecznych rzeczy, a szczególniej do telegrafu. Tu wam muszę powiedzieć co to jest ta elektryka. Jest to siła tak dobra, jak każda inna, widzieć jej nie można, bo przecie żadnej siły nie widno. Jeżeli kto z was uderzy ręką w stół, że aż stół jęknie i echo pójdzie, toście widzieli tylko rękę i stół, a nic więcej. Słyszeliście odgłos, zresztą stół mógł się ruszyć, ale siły nie widzieliście. Widzieliście tylko działanie, czyli objaw tej siły. Otóż tak samo i z tą elektryką. Pokażę wam to bliżej.

Tu wyjął Maciej z kieszeni kawałek papieru, podarł go na drobne kawałeczki i rozrzucił te kawałki po stole. Obecni patrzali ciekawie, co z tego będzie. Maciej poszedł tymczasem do skrzyni, wydobył kawałek laku, potarł o rękaw od sukmany, i potrzymał nad kawałeczkiem papieru. Natychmiast papierek podniósł się ze stołu i przyleciał do laku. Maciej powtórzył to kilka razy, i zawsze papierki leciały do laku. Wszyscy zdziwili się mocno, a Maciej tak dalej prawił:

— Otóż widzicie: przez to, żem lak o sukno potarł, rozbudziła się w tym laku siła przyciągania papierków i innych lekkich rzeczy. Ta siła jest tak zwaną elektryką. Nie widzieliście tej siły, tylko widzieliście objaw jej, to jest jak papierki do laku leciały. Tak samo, na większy rozmiar i daleko mocniej działa ta siła, czyli elektryka, jeżeli się ją we większych masach rozbudzi. Jest ona i drzymie niejako wszędzie, we wszystkich rzeczach, nie tylko w laku; w jednych rzeczach jest jej mniej, w drugich więcej — jest ona w kamieniach, metalach, we wodzie, w powietrzu, w chmurach, ogółem wszędzie; — trza tylko zewnętrznych przyczyn, aby ją obudzić. Tu na przykład, obudziłem tę siłę, przez potarcie laku o sukno — gdzieindziej ona w różne sposoby się budzi i działa. W chmurach gromadzi się ta siła, a wynikiem jej jest piorun, błyskawica i grzmoty. Tak jak tutaj przebiegła ta siła między lakiem a papierkiem. tak samo przebiega ona od chmury do chmury, i w tenczas

macie grzmot i błyskawicę, i zwielką siłą i trzaskiem uderza w dom, w kościół, w drzewo i t. p. a w tenczas nazywamy to piorunem. Widzicie błyśnięcie, słyszycie grzmot, a tu już drzewo leży strzaskane, albo zapalone — widzicie więc objaw, ale siły nie widzieliście. Ona działa wprost, leci z miejsca na miejsce — Ta niewidzialna droga jej nazywa się prądem. Otóż tak samo jak ona przez powietrze leci, starali się mądrzy ludzie zmusić tę siłę, aby szła podług nakazanej jej drogi. Doszli tego, że siła ta ma większy wpływ na metale, np. żelazo, srebro, miedź, i t. d. niż na inne rzeczy; doszli, że prędzej piorun uderza w żelazo, niż w drzewo (dlatego stawiają gromochrony ze żelaza), doszli ostatecznie, że druty z żelaza albo miedzi tę siłę bardzo daleko mogą przeprowadzać, tak że ona bokiem nie pójdzie, tylko w prostej linii, równo z drutem. Wynaleźli dalej sposób wytwarzania tej elektryki w wielkiej ilości, wynaleźli tak zwane „baterye elektryczne“ to jest przyrządy, gdzie przez połączenie się miedzi, cynku i różnych kwasów wielka ilość elektryki się wytwarza. Zaczęli robić różne próby. Pokazało się, że siła elektryczna puszczona przez drut ma własność przyciągać żelazo, z tego wpadli ludzie na pomysł telegrafu. Postawili w jednem miejscu np. we Lwowie bateryę elektryczną i połączyli ją przez druty aż z Krakowem. Tam w Krakowie, gdzie się drut ze Lwowa idący kończy, nadstawili aparat mały z młoteczkiem żelaznym. Ten młoteczek ma z jednej strony cwioczek, który leży na wązkim wciąż się posuwającym pasku z papieru. Otóż urzędnik ze Lwowa puszcza prąd siły elektrycznej na chwilę, — w tym momencie siła przelatuje cały drut od Lwowa do Krakowa, i przyciąga żelazny młoteczek, — młoteczek uderza cwioczkiem o ten pasek papieru i robi punkcik to jest kropkę, albo linijkę małą, dalej znowu kropkę albo linijkę itd. zupełnie podług woli urzędnika. Z tych to linijek i kropek ułożyli sobie całe abecadło i w ten sposób sobie piszą. Nie ma tam liter takich jak nasze drukowane, ale same tylko kropki i linijki, i to dla nich jest zrozumiałe.

Tu narysował Maciej na stole kredą i pokazał obecnym dla przykładu: . . — — — . . . . — — — . . . — —

Otóż tak wygląda to pismo. Jak kto z was chce przesłać komu wiadomość, to idzie do miasteczka do urzędnika, zapłaci co się należy, i napisze albo podyktuje urzędnikowi, a ten tymi kropkami i linijkami już dostatecznie drugiego urzędnika uwiadomi, który tę wiadomość odpisze naszem pismem i poszle komu należy. Tak moi kochani przyjaciele, rozum ludzki i przemysł góruje nad wszystkiem, i to czyni, co się nam niepodobnem wydaje.

Jakoś porozumieli to wszyscy, a Szymek odezwał się:

— Dziękujemy wam serdecznie Macieju za waszą naukę, możebyście i uprosili kiedy pana urzędnika, żeby nam pokazał przy sposobności i wolnej chwili to urządzenie. Tym czasem Bóg wam zapłać, już teraz człowiek przecie pojął, że to nie czary, tylko rozum i nauka.

Długo jeszcze siedzieli wszyscy w chacie Macieja, bawili się wesoło i gawędzili. A ja co usłyszałem to i wam na wasz pożytek i naukę opowiedziałem.

Stach ze Lwowa.

Wawrzyniec Gębicki.

W przysłowiach mieści się sama mądrość, bo w nich wiedza i doświadczenie narodu, a składały się na nie całe długie wieki. A jedno przysłowie mówi: *Bez pracy, nie będzie kołaczy.* Oj prawda to święta, bo bez pracy nie doprowadzi człowiek do niczego dobrego, a jeżli się jej chwyci, może być pewien, że pomimo przeszkód dojdzie do tego, że sam będzie miał zadosyć i drugim może dopomagać. Żywot Wawrzyńca Ggbickiego może nas pouczyć o tej prawdzie, a więc posłuchajmy!

W obwodzie Sandomirskim w osadzie Wójtowskiej, Kowalszczyzną zwanej, mieszkał z początkiem bieżącego wieku ubogi kowal, który rodzinę swoję utrzymywał ze swych pięciu palców i żył sobie cicho i spokojnie. Miał syna Wawrzyńca, ciekawego chłopca, który przypatrywał się robotom ojca i pomagał mu czasem, gdy więcej miał roboty. Ojciec nie wziął go na prawdę do roboty, bo był jeszcze słaby a do szkół nie było go za co posyłać. Aż tu 1809 roku napada wojsko

austryackie na Sandomierz i dowódzca kanonierów zabiera ojca i syna i każe im przy bateryi wykonywać roboty kowalskie. Ojciec jak ojciec pracował ile sił starczyło, ale Wawrzuś ustawał w pracy przy wielkim młocie. Przyszła jeszcze gorsza chwila, bo w dniu 18 czerwca tego samego roku, kiedy wojsko napadło na Sandomierz, odłamek kartacza śmiertelnie ugodził ojca, coteż przypłacił życiem. Dla Wawrzusia była teraz dola jeszcze dokuczliwszą. Przy ojcu spychał jak mógł robotę, teraz wypadło mu robić za ojca, a do tego z przymusu i prawie darmo. Miał on wtenczas lat szesnaście. Nie mogąc podołać ciężkiej pracy, rozmyślał o ucieczce. Jakoż jednej nocy udało się mu umknąć z obozu. Strwożony i drzacy bez ustanku szedł i szedł dniem i nocą, aż przecie zaszedł do Grojca a ztąd do Warszawy. Ogołocony ze wszystkiego umyślił sobie, że jedynie w pracy może szukać przytułku, aby nie zginąć marnie na tym świecie.

Idzie tedy do jednego kowala i mówi:

— Panie! jestem synem kowala, znam się trochę na tem rzemiośle, przyjmij mię proszę do tej pracy a ja sobie zarobię na ten kawałek chleba, którym mię żywić będziesz.

Kowal przysłał na to i rzecze:

— Przyjmę cię, mój chłopcze, ale praca u mnie ciężką, kto wie czy wytrzymasz. Zostań na próbę!...

Wawrzuś myślał, że pokona trudnośći i da rady ciężkiemu młotowi, został więc wedle woli kowala.

Ależ miły Boże! do takiej pracy trzebaby lwiej siły, nie siły biednego Wawrzusia! Pracowało to przecie nieborzę po całych dniach i nocach, chciał się przyzwyczaić, zachorował jednak ciężko, majster nie chciał go trzymać i oddał go do szpitala. Wawrzuś modlił się ustawicznie o zdrowie i siły i o to, aby mógł uczciwie pracować u ludzi. Wyzdrowiał przecie. Ale cóż z tego, kiedy był goły jak turecki święty! Idzie znowu do tego samego majstra, u którego pracował poprzednio i przyrzeka, że będzie u niego o rok pracował dłużej, byleby go tylko przyjął, nakarmił i okrył ciepłemi łachmanami, bo zimno było dokuczliwe i śnieg wielki. Majster odpowiedział ua to, że go przyjąć nie może, boby znowu zachorował, kiedy nie ma siły i zdrowia do takiego rzemiosła.

Srogi żal i rozpacz ogarnęła młodego Wawrzyńca Idzie do komisji asenterunkowej i w imię Boże zaciąga się do wojska, myśląc, że może kiedyindziej uda się mu zapracować na kawałek chleba. Tkwiło w nim ustawicznie to przekonanie, że pracą dorobić się musi lepszego stanowiska.

Odbył kilka kampanij za Napolena I. a tak się wsławiał męztwem i dzielnością, że go ozdobiono krzyżem legii honorowej. W 1815 roku podczas bitwy pod Waterloo ciężko raniony dostał się do niewoli angielskiej. Zdawałoby się, że to wyjdzie na jego nieszczęście, ale dziwnie to i różnemi drogami prowadzi człowieka Opatrzność Boża! Jak wiemy, Wawrzyniec ciągle miał w myśli pracę, a kto tak postępuje, powinien się spodziewać lepszej przyszłości. To też Wawrzyniec wyleczywszy się z ran odniesionych, udał się do Londynu, stolicy Anglii, i tam jako prosty robotnik pracował po różnych fabrykach. Złożywszy sobie przy wielkiej oszczędności trochę grosza, puścił się do innego miasta angielskiego i dostał się do zakładów mechanicznych, bo się koniecznie chciał wydoskonalić w jakim zawodzie, a pracując był pewnym, że nie zginie, chociaż w tak dalekim kraju. Umiejąc kowalstwo, poświęcił się nożownictwu i wyrabiał nie tylko noże, nożyczki, ale wszelkie instrumenta, jakich potrzebują lekarz i inni uczeni ludzie do różnych potrzeb. I wydoskonalił się co się zowie!

Przypomniał sobie o ojczystej ziemi, chciał się puścić do niej i pracować uczciwie dla swoich rodaków, ale nie miał na tyle pieniędzy. I z tem byłby sobie poradził, gdyby nie przyjaciele rodacy, którzy go namówili, aby z nimi popłynął do Ameryki. Dał się nakłonić i popłynął tam 1824 roku. Przybył z nimi do największego miasta w północnej Ameryce, które się zwie Nowy Jork. Na podróż wydał wszystkie zasoby; kieszenie puste a na grzbiecie nędzne łachmany. Była to wina jego towarzyszy, ale praca znowu stanęła mu w myśli. Nie tak to jednak łatwo o miejsce dla obcego człeka w Ameryce! To też Wawrzyniec o chłodzie i głodzie błąkał się kilka tygodni zanim dostał robotę u pewnego fabrykanta nożownika. Pracował u niego lat sześć i tak mu wydoskonalił jego czeladników i robotników, że ten, w dowód zasługi, starań i trudów

przypuścił go do spółki. Można sobie wyobrazić jaka zmiana zaszła we wszystkiem u Wawrzyńca! Stanął na nogi, żył sobie wygodnie ale oszczędnie; aby nie być bez grosza na czas nieprzewidzianych potrzeb W 1832 roku umarł jego przyncypał i spólnik, Wawrzyniec robi układ z wdową, spadkobiercami, bierze fabrykę na siebie i żeni się z pozostałą córką spólnika i swojego pana.

Pracował, co się zowie, rzetelnie, dochody miał piękne, fabryka kwitnęła coraz większym wzrostem, lecz im więcej posiadał Wawrzyniec, tem był dobroczynniejszym. Stał się prawdziwym opiekunem przybyłych Polaków do dalekiej, obcej ziemi, ułatwiał im sprawunki i zabiegi, przyjmował ich do swojego zakładu, a nawet urządzał im warsztaty, wspierał pieniądzmi, odziewał, karmił, słowem o wszystko się troszczył coby mogło ulżyć i polepszyć byt na obcej ziemi.

A starając się szczerze o dobro dziatek swoich i swoich krewnych, założył w swoim domu ochronę i szkółkę. Cieszył się tem niewypowiedzianie i mawiał nieraz:

— Boże! dziękuję Ci najgoręciej, że ja i drudzy mogą żyć owocami pracy mojej!...

Poważanie i szacunek miał wielki, to też lubo cudzoziemiec został 1849 roku członkiem kongresu Stanu Północnej Ameryki. Dobrodziej to był wielki nie tylko dla swoich i obcych, to też niezrównany żal owładnął serca wszystkich, którzy go znali, gdy na dniu 20 listopada 1853 zakończył piękne swe życie zastawiając nie wielki majątek, albowiem więcej rozdał między ubogich.

Tak prowadziła Opatrzność człowieka, który szukał pracy i przez nią sobie i drugim czynił dobrze. Nam nie potrzeba Ameryki, pracujmy mimo przeszkód z wytrwałością w każdym stanie, jaki zajmujemy, a nie tylko my sami, ale i drudzy będą się cieszyli owocami naszej pracy!

Józef z Bochni.

Rozmaitości.

— Akt dobroczynności. Między wszystkiemi darami dobroczynnemi, te najwięcej na pochwałę zasługują, które do podniesienia oświaty, do zachęcania w uczeniu się i rozbudzenia ochoty do nauki się przyczyniają. Otóż podać wam musimy piękny czyn dyrektora kolei lwowsko-krakowskiej. Dyrektor ten pan Herz znanym jest ze swej dobroczynności, licznemi datkami wspomaga on ubogich, zapomaga urzędników kolei i służbę. Prócz tego od wielu lat udziela bogate dary szkole istniejącej na dworcu kolei we Lwowie. Podarunki te przeznaczone są nietylko dla nauczycieli tej szkoły, aby z tem większą gorliwością swoim obowiązkom się poświęcali, lecz także i dla uczniów i uczennic. W tegoroczną wilję Bożego narodzenia zgromadziły się wszystkie dzieci uczęszczające do tej szkoły w południe, i tu rozdano im w obecności zaproszonych gości podarunki pana Herza umieszczone na pięknem drzewku. Wszystkie dziewczęta i chłopcy otrzymali nowe ubranie, a oprócz tego książki i inne pożyteczne rzeczy. Nauczyciele otrzymali podarunki pieniężne.

Był to widok rozrzewniający, gdy dzieci ogromnie uradowane wychodziły ze szkoły wynosząc ze sobą piękne podarunki. Przy wychodzeniu upomniano dzieci, aby pilnością i nauką starały się okazać godnemi tej szczodrobliwości ich dobroczyńcy. Koszta podarunków wynosiły **1000** zł.

Złote ziarna.

Lepiej jest mniejszę liczbę chudoby należycie wyżywić niż wielkie mnóstwo nędznie utrzymywać.

Cnotliwy człowiek ma litość, dla tego zlituje się nad zwierzęciem cierpiącem.

Od Redakcji.

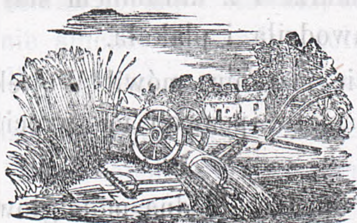
Do numeru przyszłego załączonym będzie, Dodatek treści politycznej, który odtąd co dwa tygodnie razem z Dzwónkiem wydawać będziemy.

Redaktor odpowiedzialny Kazimierz Okaz. — Wydawca Stanisław Justian.
Z drukarni E. Winiarza we Lwowie.

Tom III. 11. Stycznia 1871. Nr. 2.

Rok dwunasty.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Na wojnie.

Każdy z was pamięta zapewne rok 1866. Ciężkie to były czasy, Prusak wszedł do Królestwa czeskiego, Austryacy zbierali wojska, ze wszystkich stron szli a szli bez końca rekruci i żołnierze. Matki płakały za synami, żony za mężami, siostry za braćmi, a nie jeden tęgi parobczak zaklął Prusaków, że przez nich rzucać musiał rolę i gospodarstwo i bić się Bóg wie na co. W Tarnowie przed magazynami wojskowemi pełno stoi ludzi; powołani do pułków urlopnicy odbierali broń i rysztunek wojenny. Kaprale i oficerowie biegają tam i nazad i zwyczajnie po wojskowemu klną, czy trzeba czy nie trzeba. *Ferflucht*, *Sapperment* słychać na wszystkie strony, nie obejdzie się też i bez szturkańców. Żydki kręcą się między tłumem i zwyczajnie ot jak żydzi, radziby skorzystać z cudzego nieszczęścia, namawiają to do napitku to do kupna różnych drobiazgów.

— Nu panie wojak napijcie się półkwatyrek, na wojnie nie potrzeba pieniądzów, — przemówił rudy Mosiek do żołnierza stojącego obok starego gospodarza i jego żony.

— Daj mi spokój żydzie, nie w głowie mi teraz wódka. Żołnierz ten zwał się Wojciech Żurek, a gospodarz i gospodyni z któremi rozmawiał byli jego rodzice. Stary Żurek za-

możny gospodarz z pod Tarnowa, ze smutkiem spoglądał na syna, który w mundurze i z karabinem stał przed nim, biedna Żurkowa głośno zawodziła i płakała.

— Nie płaczcie matuniu, mówił Wojtek, — toć nie każda kula trafia, Bóg łaskaw pozwoli mi wrócić, abym wam był pomocą.

— Biednaż ja biedna, biedna moja głowa, zawodziła stara, — co ja pocznę bez Wojtka!

— Ha cóż robić, żal tu nie pomoże, dodał stary Żurek, choć i on omal że się nie rozpłakał przystąpił do Wojtka, włożył mu na szyję szkaplerz poświęcony i medalik Matki boskiej częstochowskiej. — Idź Wojtku kiedy już taka wola Boża, Bóg Wielki i jego Najświętsza Matka, niech cię bronią od kuli pruskiej, mówił stary gospodarz. Wojtek uścisnął go za kolana i ręce całował, a potem znowu zwrócił się do zapłakanej matki i żegnał ją i prosił, żeby nie płakała.

Richt euch! zawołał komendant, nie było już czasu, Wojtek chwycił za karabin i pobiegł do szeregu. Oddział się uszykował, dobosz uderzył w bęben, oficer zakrzyczał masz! marsz! a żołnierze ruszyli z miejsca.

Czas jakiś stali Żurkowie, patrzali za odchodzacym synem, aż wreszcie kiedy wszyscy się już prawie rozeszli i oni zwolna zaczęli się kierować ku domowi. Wojtek z żołnierzami poszedł do dworca kolei żelaznej, tam wsiedli na wozy, maszyna ruszyła i dalej w świat do Czech. Dwa dnie i dwie nocy jechał nasz Wojtek, dużo minął wsi i miast wielkich, aż wreszcie w Czechach stanął i połączył się z ogromnem wojskiem austryackiem, które miało przeszło stotysięcy ludzi. Wojna zaczęła się na dobre, codzień prawie była jakaś bitwa, ludzie ginęli jak muchy. Ze wszystkich stron nadciągali Prusacy. Na dniu 3. lipca 1866. przyszło wreszcie do wielkiej bitwy pod Sadową. Austryakami dowodził Benedek, a Prusakami ich król Wilhelm. Oba wojska biły się zażarcie, ziemia drzała od huku armat. Do południa byli Austryacy górą i zdawało się, że pobiją Prusaków, ale po południu nadeszły Prusakom znaczne posiłki, Austryacy nie mogli się utrzymać i zaczęli uciekać. Straszne

powstało zamięszanie, kto mógł ratował się ucieczką, konnica pruska pędziła za uciekającymi, tratowała, zabijała i brała niewolnika. Nikt już nie słuchał komendy, żołnierze rzucali broń i tornistry, byle tylko łatwiej mogli uciekać.

Wiele tam ludzi poginęło od pruskich kul, a wiele się w rzece potopiło, która obok płynęła, trudno policzyć. Na drugi dzień kiedy się wojska austryackie cokolwiek zebrały, nakazał jenerał pułkownikowi, w którym służył Wojtek, a który w dość jeszcze dobrym był porządku, żeby maszerował na tyle i bronił cofające się wojska od napadów pruskich. Ciężka to była służba, ciągle trzeba się było mieć na baczności, ciągle uważać czy się gdzie jaki Prusak nie zakrada, czy nie grozi jakie niebezpieczeństwo. Ledwie że w nocy było parę godzin spoczynku, zresztą od świtu aż do późnego wieczora ciągle marsz i marsz, że nieraz kilka dni ciepłej strawy nie wzięło się do ust. Przeszło tydzień szło tak całe wojsko bez wytchnienia prawie, a oficerowie powiadali, że dopiero na Węgrzech nastąpi dłuższy wypoczynek, bo teraz gdyby chcieli obóz założyć i dni kilka odpocząć, wnet by się zjawili Prusacy i znowu trzebaby bitwę staczać, a wojsko tak było zniszczone, że o wygranej nikt nawet pomyśleć nie mógł. Z cierpliwością znosił nasz Wojtek wszystkie te dolegliwości i trudy i gorąco dziękował Bogu i Matce jego Najświętszej, że w tej strasznej bitwie pod Sadową, gdzie ludzie padali jak trawa od kosy, zachowali go przy życiu.

Podczas tego odwrotu przypadła raz kolej na naszego Wojtka iść jako ostatnia straż całego wojska. Szło z nim jeszcze dwóch innych żołnierzy. Dzień był piękny, słoneczko lipcowe mocno przygrzywało, okolica była cicha i pusta, zdawało się, że nigdzie nie ma Prusaków, to też nasi żołnierze szli sobie swobodnie, strzelby poprzewieszali przez ramiona i rozmawiali o swych wioskach i krewnych i znajomych, których zostawili w domu. Naraz huknął strzał, jeden z towarzyszy Wojtka jęknął, schwycił się za piersi i padł nieżywy na ziemię. „Prusaki! Prusaki!“ krzyknął drugi, rzucił broń o ziemię i zaczął uciekać, Wojtek także nie mało się uląkł, wnet

się jednak opamiętał. Obejrzał się dokoła i na drodze kilkaset kroków od siebie ujrzał dwóch Prusaków. Hełmy ich i bagnety zasadzone na karabinach błyszczały w słońcu, szybkim krokiem posuwali się naprzód. Toć Niemca Prusaka wyprawić na tamten świat, nie ma grzechu, pomyślał Wojtek, zmierzył i strzelił. Widać dobrze celował, bo jeden z Prusaków wypuścił karabin z rąk, schwycił się i upadł. Drugi krzyknął: *Vorwärts!* Kolbę podniósł w górę i biegł naprzód. Wtedy nasz Wojtek nie tracąc czasu, rzucił swą wystrzeloną strzelbę, schwycił za broń zabitego towarzysza i znowu się zmierzył. Prusak zmiarkował na co się zanosi, szybko i zręcznie jak kot skoczył w rów przy drodze i znikł gdzieś w pobliskich krzakach. Wojtek poszedł za nim, nie mógł go jednak odszukać, Prusak znikł bez śladu. Po daremnem szukaniu wrócił znowu na drogę i stanął przed Prusakiem, którego powalił swym strzałem. Leżał on na ziemi bez znaku życia, oczy miał zamknięte, kula trafiła w lewe ramie, struga krwi ciekła z rany.

„Poczęstowałem Niemca, nie będzie już łaził po świecie“, zawołał Wojtek i schylił się, aby zabrać karabin pruski. W tej chwili żołnierz pruski, jakby przebudzony tym głosem, otworzył oczy, podniósł trochę głowę i cicho ale wyraźnie przemówił:

— Oj bracie! nie Niemca zabileś ale Polaka katolika. Wojtek osłupiał niewidział gdzie jest i co się znim stało, zawsze mowiono mu że Prusak to Niemiec i luter a teraz pruski żołnierz przemawia do niego w języku ojczystym i mówi mu, że jest Polakiem i katolikiem. — Chyba czary jakieś, czy też może Prusak nauczył się gdzie po polsku i udaje Polaka i katolika abym się nad nim ulitował.

— Oho! Bratku nie oszukasz mnie, wiem ja, że Prusak to nie Polak i nie katolik, ale Niemiec i luter.

Raniony żołnierz rozpiął prawą ręką zwolna mundur i z za koszuli wyjął medalion Matki boskiej Częstochowskiej pokazując go Wojtkowi.

Teraz toć już muszę wierzyć żeście Polak, mówił Wojtek, bo żaden naród niema takich medalioników, żaden nie modli. się tak gorąco do Matki Bożej w Częstochowie jak my Polacy

Zamilkł Wojtek i czas jakiś tak cicho było żeś słyszał jak mucha leciała wpowietrzu. Raniony żołnierz ciężko oddychał i do ust cisnął medalionik, a nad nim stał młody Żurek patrzał w ziemię i wzdychał.

— Mój Boże myślałem że strzélam do Niemca a to był Polak! Matko Boska Częstochowska nie karaj mnie zato, bom ja nie wiedział że pod tym mundurem pruskim jest dusza polska i katolicka — tak mówił Wojtek i mało że nie zapłakał — trzeba go ratować — mruknął do siebie, pobiegł do rowu naczerpnął trochę wody zwilżył ranionemu usta a potem, jak mógł i umiał, zawiązał mu ranę aby krew nie odpływała i stał obok niego. Niedługo czekał aż też raniony znowu oczy otworzył obejrzał się do koła a kiedy zobaczył że rana obwiązana domyślał się kto to zrobił i podziękował Wojtkowi. (D. c. n.)

Mazurek.

Gdyby można choćby chwilę
Po dawnemu żyć,
Gdyby można jeszcze mile
O swej lubej śnić,
Gdyby można w druhów kole
Ściskać bratnią dłoń,
Gdyby można w cichem siole
Czerpać kwiatów woń: —

O! to świat by był zdziwiony
Ile we mnie sił,
Jaki wielki, jak natchniony,
Jakbym dobry był,
Ach! a miałbym do rozdania
Więcej niż ma król,
Miałbym serce do kochania
I miłość na ból.

A. Zaleski.

Jerzy Stefenson,

wynalazca lokomotywy.

W Anglii we wsi Wytam, leżącej w okolicy ponurej, pełnej mgły i dymu, przyszedł na świat Jerzy Stefenson. Ojciec jego zwany Starym Bobem, był ubogim górnikiem, a chociaż miał gospodarną żonę, z ciężkim mozołem zaledwie mógł zapracować na wyżywienie swoje i czworgo dzieci, któremi go Bóg obdarzył. Wszelako Stary Bob przejęty wiarą i nadzieją, że Bóg nie opuszcza tych, którzy sami o sobie nie zwątpią,

nie ustawał w pracy i wypełniał gorliwie i z całą sumiennością obowiązek stróża fabrycznego przy sikawkach. — Dzieci wiejskie i ptaki lubiły Starego Boba, i gromadnie się przy nim zbierały bo w wolnych chwilach od pracy, miał zawsze dla pierwszych zapas coraz nowych a bardzo zajmujących powiastek, dla drugich zaś pożywienie. — Syn jego Jerzy wraz z drugiemi dziećmi, chciwie słuchał opowiadań ojca, które w nim obudzały chęć do pracy, i żądzę własnym zarobkiem zyskania sobie samodzielności, a tem samem i ulżenia rodzicom ciężaru utrzymywania go. To też zaledwie odrósł, jak to mówią, od ziemi, zaczął myśleć o sobie, najął się do pasania bydła, potem był pogoniczem, nareszcie użyto go do układania węgla przy kopalni Blach-Caterton. Do szybu miał przeszło pół mili, wychodził więc z domu przed świtem, aby na czas być przy robocie, a wracał późnym wieczorem. Miło było patrzeć na tego chłopca biegnącego ochoczo choć boso do pracy, i mającego zawsze coś dowcipnego i wesołego do powiedzenia spotykającym go sąsiadom. — Na nieszczęście były to czasy wojny i ucisku, chleb był drogi — zarobek trudny. Młodziutki Jerzy Stefenson zaledwie 30 krajcarów zarabiał dziennie. Wszelako wiara w własne siły, i zamiłowanie do pracy, przyczyniały się do jego rozwoju. W 15. roku barczysty i muszkularny nieskrzywił się dźwignąwszy cztery centnary, a marzył tylko o tem, aby mógł jak dorosły mężczyzna pracować i zarabiać. To też nie posiadał się z radości, i pewnego rodzaju dumy, gdy go przyjęto za palacza przy maszynie parowej; dowództwo nad armią jaką nie sprawiłoby mu było większego zadowolenia.

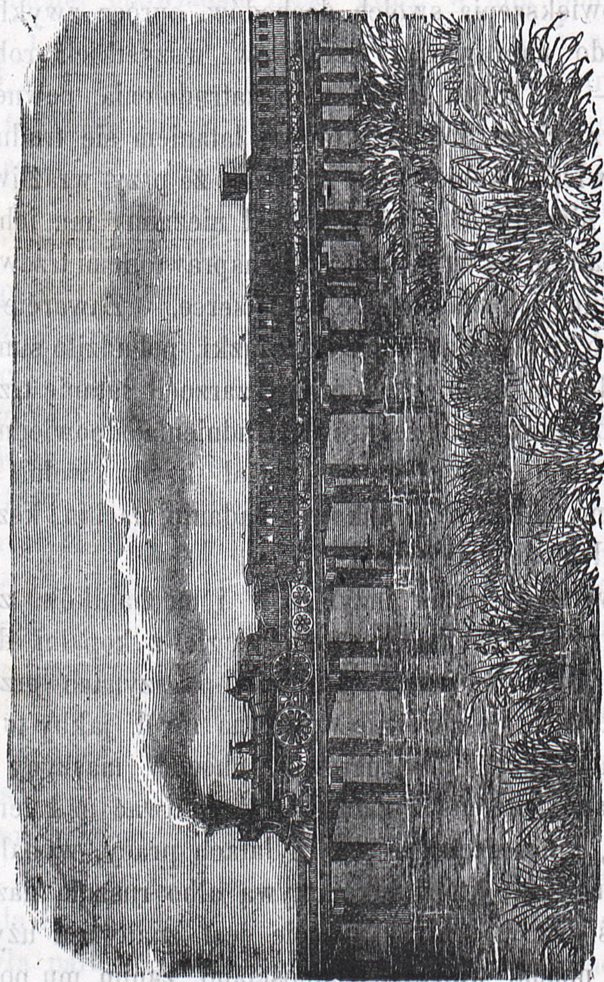
Nie poprzestał jednak na podsycaniu ognia pod maszyną, ale z całą usilnością starał się zbadać tego potwora, którego duszą była para. A gdy się obeznał z zewnętrzną postacią tego olbrzyma, gdy następnie zbadał jego części składowe, i potęgę jego działania, zawołał w uniesieniu „teraz jestem twym panem.“ I w rzeczy samej, machina posłuszną była wyrostkowi, który wskutek usilnej pracy, i zastanawiania się, przyszedł do tego, iż nietylko potrafił nią kierować, ale zdołał jej wady poprawić, i co się w niej psuło naprawić. — Wstyd go jednak ogarnął, że obeznawszy się z maszyną, nie umiał jednak czytać.

A nabycie tej nauki trudnem było zadaniem bo o dwie mile był nauczyciel, z którymby się trzeba podzielić szczupłym zarobkiem! Ale dla chcącego szczerze, nie ma trudności, którychby pracą wytrwałą nie przełamał; to też i młody Stefenson po nadzwyczajnych mozołach, prawie bez niczyjej pomocy nauczył się czytać i pi ać.

Dla powiększenia swoich dochodów, oprócz zwykłej pracy wziął się do naprawiania trzewików wszystkich robotników z okolicy. — Po kilku latach tego zatrudnienia, pewnego razu w śród olbrzymiego obuwia, którego łataniem się trudnił, spostrzegł trzewiczki kobiece tak zgrabne, że przy wrażliwej swej wyobraźni, nim ujrzał już pokochał nieznaną mu ich właścicielkę. Niebawem też wraz z misternie naprawionemi trzewiczkami, ofiarował Fanny ich właścicielce swoje serce. — Zawarcie związku małżeńskiego, wkładając nowe obowiązki, pobudziło sumiennego Stefensona do tym usilniejszej pracy, zarzucił łatanie trzewików, a wziął się do naprawiania zegarów zatrudnienia odpowiedniejszego jego usposobieniu; przytem poświęcał każdą wolną chwilę, zbywającą mu od pracy zarobkowej, badaniu machin i kształceniu się w zawodzie mechanicznem.

Zajmowała wtenczas inżynierów i mechaników zagadka: jakby można najtańszym kosztem węgle z kopalni do rzeki sprowadzać. Były już wozy ciągnione po szynach przez ludzi lub koni, ale nikt jeszcze nie wpadł na myśl, jakby to zamiast koni lub ludzi użyć siły parowej, chociaż maszyny parowe już były znane. Stefenson zaczął przemyśliwać nad tem, robił różne próby, i nareszcie po czteru latach pracy, wynalazł wóz z kotłem parowym, który lokomotywą albo rusznią nazywamy, i który dziś już po całym świecie jest znanym i używanym Z wielkiemi musiał walczyć trudnościami, zanim mu pozwolono i dano pieniędzy na budowę takiej kolei żelaznej. Sam rząd angielski był temu przeciwnym. Wytrwałością swoją zwyciężył Stefenson, i w r. 1818 stanęła pierwsza kolej żelazna łącząca miasta Witton i Stoktone. Z wielką uroczystością odbyto pierwszą próbę — tłumy ciekawych zbiegały się i podziwiały ten wynalazek, który nie z nieba zleciał, nie przypadkowo odkryty został, ale przez usilną pracę skutkiem uwieńczony został.

Nie przestał na tem Stefenson, — on ciągle pracował i przemyśliwał nad ulepszeniem swego wynalazku. Raz zapytał go jeden z inżynierów: Czy potrafisz twoją kolej poprowadzić przez trzęsawiska i bagna? Stefenson odpowiedział: Za pomocą Bożą przebędziemy bagna, i to wielkie bagna między miastami Liwerpool a Manchester — Jesteś szalonym; odpowiedział



Kolej idąca przez moczary.

inżynier. Na to Stefenson nie odpowiedział nic, ale w ośm dni potem zabrał się do tych niezmiernych trzęsawisk, i 1 stycznia 1830 r. otwartą została kolej przez te bagna, nazwane Chat Mos. Obrazek nasz przedstawia właśnie kolej żelazną idącą przez te bagna

Później wystawił Stefenson olbrzymi most, należący do cudów w kraju angielskim. Tyle zdziaławszy dla kraju swego i całej ludzkości, zapragnął Stefenson wypocząć po trudach, i oddał się z zamiłowaniem gospodarstwu wiejskiemu.

Nabyte pracą usilną dostatki i znaczenie, nie zmieniły jego szlachetnego usposobienia, był równie skromnym i przystępnym dla każdego z swoich dawnych towarzyszy, jak gdy z niemi w kopalniach pracował. W lecie wstawał o wschodzie słońca, w zimie wcześnie przededniem. Odwiedzał swoich sąsiadów wspierając ich zdrową radą i udzielając wsparcia potrzebnym. Gospodarstwo jego było wzorowem, uczęszczał regularnie na posiedzenia towarzystw rolniczych, i dumniejszym był z medalu otrzymanego na wystawie za piękne jarzyny, owoce, lub dorodne jałówki, jak z dwóch orderów, któremi go Belgia i Francya obdarzyły. — Dom jego był otwartym dla wszystkich i z równą uprzejmością ugaszczał w nim lordów, jak i kopaczy, niegdyś współpracowników. Doczekał starości opromienionej czcią i poważaniem wszystkich współobywateli, oraz szczęściem wypływającem z wewnętrznego zadowolenia, które tylko pracą uczciwą i wytrwałością w sumiennym wypełnianiu swoich obowiązków zdobyć można. — A gdy go Bóg powołał do innego życia, współobywatele jego dla uczczenia pamięci tego niezmordowanego i genialnego pracownika, wystawili mu pomnik w mieście Liverpool ze składek, do których się przyczyniło trzy tysiące sto pięćdziesiąt rzemieślników których on był naczelnym ojcem i wodzem.

Smutne czasy w Polsce.

Wiecie wszyscy jaki to kłopot mieć złego sąsiada, a szczególniej takiego, co pożądliwem okiem patrzy na cudzą własność i czycha, aby ją sobie mógł przywłaszczyć. Otrząść jabłoń w ogrodzie do jego sadu przypierającym, wpuścić bydlę na cudze pole, użąć kilka snopków na niwie sąsiada, a nawet worywać się potrochu w jego miedzę, to wszystko niczem u niego. I obroń że się od takiego! Kłóć się z nim, bij i procesuj! Zaprawdę, lepiej od razu sprzedać co się ma i wy-

nosić się za dziesiątą górę, niż cierpieć złego sąsiada, którego ani się pozbyć, ani udobruchać niepodobna. Cóż dopiero, gdy się ma dwóch, trzech albo i więcej takich złych sąsiadów.

Jeżeli wielką i bogatą Ojczyznę naszą Polskę przyrównamy do zagrody kmiecej i przypatrzymy się, jakich to ona drapieżnych miała w około sąsiadów, dziwić się potrzeba, że ojcowie nasi potrafili się im opierać przez lat blisko tysiąc, że im zaraz z początku nie ulegli. Bo też to Krzyżacy, Niemcy, Czesi, Turcy, Tatarzy, Moskale, Szwedzi — siedmiu na jednego, to nie żart.

Żeśmy prędzej nie zginęli, to zawdzięczamy najprzód Bogu, a potem dzielnym monarchom naszym i szlachcie, w której jednoczyła się cała siła narodu. Jużto szlachcie możnaby bardzo wiele zarzucić, ale co prawda, to prawda, gdyby nie ona, to już od wieków nie byłoby ani śladu Polski.

Ale nie tylko szabla szlachecka stanowiła naszą siłę. Kto umie żyć w zgodzie, nawet ze złymi sąsiadami i w domu nie waśni się ze swymi, ten jest prawdziwie potężnym. Owoż królowie nasi nie zawsze wojną, ale często dobrocią poskramiali nieprzyjaciół i wszelkiemi silami starali się o utrzymanie zgody z niemi, o utrzymanie zgody w kraju. Choć w Ojczyźnie naszej oprócz Polaków mieszkali i Rusini i Litwini i Prusaki, i nawet Niemców dość osiadało, przecież wszyscy w zgodzie ze sobą żyli, podczas gdy w innych krajach królowie z poddanymi, a poddani pomiędzy sobą, zwłaszcza gdy się religią różnili, krwawe staczali boje. Dalej siłą naszą były wielkie bogactwa, które kraj posiadał. Handlem wzbogacał się szlachcic, bo zboża sprzedawano dużo; wzbogacał się mieszczanin i kmieć — cały kraj rósł w dostatki. Szlachta, mieszczanie, nawet żydzi kosztowne nosili ubiory. Cienkie sukna, jedwabie złotem przerabiane, drogie futra, łańcuchy złote nosili i panowie i mieszczanie; chłop nie żywił się tak nędznie jak teraz, bo ziemniaków jeszcze nawet nie znano i mięso miał często na swoim stole. Do pańskich stołów wyszukane przysmaki licznych zwabiały gości, bo Polak zdawna słynął z gościnności. W parze z bogactwami postępowała oświata. Szkół było wiele i dobrych; uczęszczali do nich nietylko synowie szlachty, ale

i mieszczan i kmieci, a były to szkoły dobre i głównie uczono w nich obowiązków obywatelskich, aby ten, co z nich wyjdzie, był nietylko sobie, ale całemu krajowi użytecznym

Z zamożności, z zamiłowania do nauk i gościnności, Polska zasłynęła w całym świecie, toż zewsząd zbiegali się cudzoziemcy i osiadali w naszej Ojczyźnie po miastach. Pomiędzy tymi przybyszami było wiele takich, których gdzieindziej prześladowano, jak np. żydzi, lutrzy i tp, którzy za gościnność u nas doznaną, pokochali Polskę jak matkę. Miasta były ludne, bogate, w nich rzemieślników więcej było niż dziś, i wszyscy lepiej się mieli. Owóż zgoda, bogactwo i oświata stanowiły naszą siłę, naszą potęgę i dopóki tej potęgi nie zabrakło, bali się nas nieprzyjaciele i siedzieli cicho.

Czasy, w których tak dobrze działo się w Polsce, nazywają dlatego złotemi. Niestety, te czasy złote skończyły się, a potem już wszystko było inaczej. Nieprzyjaciele pograniczni nadspodziewanie prędko urośli w wielką potęgę. Polacy katolicy przestali żyć w zgodzie z Polakami innych wyznań; nie dopuszczano lutrów do urzędów, a ci oburzeni, wiązali się z nieprzyjaciołmi i naprowadzali ich do Polski. Kozacy szyzmatycy prześladowani, podnosili straszne bunty i przechodzili pod panowanie szyzmatyckiej Moskwy lub wojowali Polskę. Handel zmniejszył się, przemysł upadł, wszyscy ubożeli. Szkoły były coraz gorsze, szlachta zgłupiała, moralność upadła, gardzono chłopkiem i poczęto go uważać jako własność dziedzica, którą tenże mógł dowolnie rozrządzać. Nikt nie dbał o Ojczyznę, tylko o własną kieszeń, duch rycerski osłabł, i tylko w mniejszych dworkach szlacheckich utrzymał się jeszcze. Zresztą o wygódkach tylko myślano. Nie było już wielkich ludzi, dzielnych hetmanów, owych sławnych Tarnowskich, Żółkiewskich, Koniecpolskich, Chodkiewiczów, ale pomnożyła się liczba niedołęgów i zdrajców.

Gdy tak źle się dzieje, Szwedzi prowadzeni przez zdrajcę Radziejowskiego, pod wodzą króla swego Karola Gustawa wpadają jak piorun do Polski, zajmują kawał kraju bez oporu, bo szlachta choć się w dość znacznej kupie na ich odparcie zebrała, nie miała ani ochoty ani odwagi walczyć z nieprzy-

jacielem. Z drugiej strony wpadają Moskale i szarpią ciało naszej matki ojczyzny, już prawie cała Litwa wpadła w ich ręce. Szwedzi niczem niewstrzymani idą tymczasem coraz dalej, zajmują Warszawę i całe prawie Mazowsze. Król polski, Jan Kazimierz, z nielicznem wojskiem próbuje szczęścia, ale mu się nie udaje, odjeżdża do Krakowa, tam go namówiono, aby wraz z królową uszedł za granicę. Król szwedzki pobiwszy wojsko polskie, obległ Kraków, i biedne miasto po długiej walce, poddać się musiało. W tem Kozacy pod wodzą Chmielnickiego wpadają na Ruś razem z Moskalami i oblęgają Lwów. Był to nowy, okropny cios dla Polski, tem straszniejszy, że Kozacy byli braćmi naszymi. Ledwie namówiono Chmielnickiego do odstąpienia Lwowa. Moskale z jednej, Szwedzi z drugiej postępowali strony, i już prawie całą Polskę zalali. Gdzie przyszli palili, rabowali nawet kościoły, i mordowali ludność i księży. Wojsko polskie nie płatne, nie chciało z nimi walczyć i poddawało się nieprzyjaciołom. Król Jan Kazimierz szukał posiłków u obcych monarchów, ale ich nie dostał, i słał upomnienia do narodu, aby się kupiono gromadami i uderzono na nieprzyjaciela, ale upomnienia jego nie skutkowały.

Wśród tych okropności, nieszczęśliwy naród w religii tylko znajdował pociechę, w miłosierdziu boskiem całą pokładał nadzieję, to też u stóp ołtarzy kupiono się gromadami i błagano Boga o litość. Swiętobliwi kapłani umieli utrzymać lud w pobożności, a zarazem nie szczędzili największych ofiar na potrzeby Ojczyzny, i nawet srebra kościelne pozwalali zabierać dla przekowania ich na pieniądze. Co większa, właśnie z pomiędzy duchowieństwa wyszedł mąż, który przykładem swoim pokrzepił upadających i wskrzesił ducha w narodzie. (D. c. n.)

Bobry.

Gdyby was moi mili zaprowadzić do północnej Azyi, lub Ameryki (to są już inne części świata) i pokazać na głębokiej rzece tamę, do stu stop długości, a dwanaście szerokości — z kilkoma otworami, do przepuszczenia wody; i tak fundamen-

talną, że się opiera biegowi rzeki; bez wątpienia powiedzieli byście że ludzie, i to zdatni, i umiejętni, postawili tę tamę.

A gdybyście potem ujrzeli, przytej tamie — pietnascie do dwudziestu domeczków okrągłych, mających trzy, pięć, a czasem i ośm stóp szerokosci, z małą groblą stykającą się z tamą; — gdybyście te domeczki znalezli, o dwóch, lub trzech piętrach, i tak wybudowane, że największe deszcze i wichry nie mogły by ich poruszyć, gdy do tego widzielibyscie te domeczki, i zwierzchu przyozdobione, — bez wątpienia myslelibyscie że te domki postawili jacyś mali ludzie, ale silni, którzy wybudowali nad wodą tę wioskę.

A oto wszystko, co tu opisane jest dziełem małego zwierzątka, co nie dłuższe, od ręki do ramienia, — jest dziełem b o b r ó w. Nie używają one do budowania tych pomieszkań, nic prócz własnych zębów, nóg, i ogona okrytego siercią, i łuskami.

Te dowcipne zwierzątka łączą się w jedną gromadę, czasem i po trzysta, scinają drzewa stojące nad brzegiem rzeki, piłują je zębami przy ziemi, — i tak zręcznie kierują, aby drzewo upadało na wodę. — Poczem obcinają mu gałęzie, i rzną na mniejsze sztuki, a z nich robią pale, i sadzą je prostopadle, — dalej gniotą ziemię, i kładą ją między pale, przyklepując ogonami, jakby kielnią.

Cała ta gromada buduje ławę wspólnie, i z równą gorliwoscią. — Bywają takie domki, w których i dwanascie miesci się bobrów, z tyluż samicami a wszystko żyje w jak najlepszej zgodzie.

W jesieni zbierają sobie zapasy miękkich kor z drzewa które chowają w małych komorach oddzielnie od mieszkań.

W dnie pogodne można widzieć bobrów, jak wyglądają oknami u swych pokoi, przedniemi łapkami oparte na oknie i przypatrują się przejrzystej wodzie.

Kupią się często a gdy spostrzegą jakiego nieprzyjaciela biją w wodę szerokiemi ogonami — szelest ten rozchodzi się od jednego do drugiego końca tej małej osady; w mgnieniu wszyscy ci mali mieszkańcy, rzucają się we wodę i zanurzają się w niej aby uniknąć ścigania prześladowców.

Lecz któż też ma tak nie dobre serce, że prześladuje te sprytne a niewinne stworzenia.

Są to ludzie, co łowią bobry dla ich pięknego futra, — i dla tego burzą im te z trudem wybudowane mieszkania.

To też biedne bobry, choć niektóre ocalały od żelaza myśliwych rozprószone idą się błąkać po obcych stronach Czasami łączą się powtórnie, z wiosną wracają poprawić mieszkania — jeżeli takowe nie są jeszcze z gruntu zniszczone

Ale większa część przestraszona, i opuszczona idzie kopać sobie długą dziurę pod ziemią na kształt jam króliczych, i tam siedzą smutne i strapione, bo strach odejmuje im pilność i dowcip.

Wtedy przynajmniej nie są już prześladowane, ponieważ bobry, mieszkające w ziemi nie mają dobrych futer, i dla tego myśliwi nie uganiają za niemi.

I u nas w Polsce dawnemi czasy nad rzekami i jeziorami roiły się liczne gromady bobrów. Były nawet osobne prawa co nie pozwalały wyniszczać tych pożytecznych zwierzątek. Ale gdy puszcze się więcej zaludniły gdy siekiera wytrzebiła lasy, chciwość ludzka a po części i nasza własna nieporadność i nierozmyślność wyniszczyły bobrownie. A przynosiły one znaczne zyski i wiele pieniędzy przybywało do Polski za futra i strój bobrowy. Teraz zaledwie podobno na Polesiu i w puszczach, litewskich gdzie niegdzie bóbr się nawinie.

Niechajże sobie teraz leniwy, i bezmyślny człowiek wezmie te zwierzątka na uwagę, i zawstydzi się jeżeli przez lenistwo, brak nauki i przemyślności mieszka w ciasnej niewygodnej i brudnej izbie, — czasem nawet razem z bydłem bieduje przecież mając ręce zdrowe, i rozum od Boga, może sobie więc tyle zarobić, aby mieszkał w czystej wygodnej chałupie. Przypominajcie sobie często o tych zmyslnych i pracowitych zwierzątkach, i niech wam służą za przykład pracy i zgody.

Ludka z Myślenic.

Dodatek.

Wojna francuzka.

Nie jednemu z was wiadomo, czytelnicy mili, że między Francuzami a Prusakami obecnie zażarta toczy się wojna. Obiecaliśmy wam podawać najciekawsze wiadomości z tego co się teraz w świecie dzieje, więc rozpoczynamy tem, co obecnie wszystkich najbardziej zajmuje. A tem jest wojna francuzka.

Cesarz Francuzów, Napoleon, nie odziedziczył tronu swego cesarskiego, tak jak ktoś z nas po ojcu bierze puściznę, nawet nie został wybranym z woli ludu swego, ale przemocą wdarł się na tron, pozyskał wojsko i część jedną narodu, i mimo niechęci wszystkich prawie, włożył koronę na głowę i rozpoczął swe panowanie. Ale jakie to było panowanie? — Oto, z początku niby to przychylny dla swego kraju, jak skoro urosł w potęgę, począł uciskać naród cały. A naród cierpliwie to znosił; — gdy cesarz Napoleon, aby dogodzić swym zachciankom, coraz większe nakładał podatki, naród dobywał ostatni grosz ze skrzyni i płacił, — za każde słowo śmiałe, zaraz do więzienia zamykali, — nikt nie był wolnym, — naród znosił to, cierpiał i czekał; — on skoro obaczył, że naród zaczyna o sobie myśleć, że nie koniecznie z jego panowania zadowolony, umyślił kraj zniszczyć, naród osłabić, aby nad słabymi tem łatwiej panował. I jak to uczynił? Oto bez żadnego powodu wypowiedział wojnę Prusakom, i wywiódł wojsko przeciw nim. Pruski król Wilhelm, podobny zupełnie z usposobienia Napolęonowi; i taki jak on ciemiężca swego ludu, dawno już przewidywał podobną rzecz, i dobrze był przygotowanym. Wojsko swoje uzbroił w nowo-wynalezioną broń; — dał im karabiny, co to z tyłu się nabijają, i bardzo szybko raz po razu nimi strzelać można; — dał armaty zupełnie nowe, bardzo dobre, mocno i daleko strzelające Z takiemi przyborami wojennemi wystąpił król Wilhelm do wojny, prowadząc z sobą milion żołnierza. Bo w Prusach, trza wam wiedzieć, każdy dorosły, jeżeli tylko nie jest kaleką, to do wojska należy, i bić się musi. Biedni rolnicy, kupcy, urzędnicy, lekarze, słowem wszyscy musieli stanąć i iść się bić przeciw Francuzom. Tymczasem cesarz Napoleon widocznie naród swój zdradził; on wywołał wojnę, a do niej nie był przygotowanym. Przeciw milionowi całemu pruskiego wojska, złączonego z całem niemieckiem, postawił Napoleon ledwie dwieście pięćdziesiąt tysięcy swego żołnierza, więc niby jednego na czterech. To też król Wilhelm zaraz z początku pobił to wojsko w kilku bitwach.

Napoleon zebrał wojsko drugie i stanął z niem pod miastem Sedanem. Tu już wyraźną zdradę popełnił. Jenerałowie francuzcy chcieli się bić, chcieli na przebój pójść przez nieprzyjaciela, i wojsko uratować od zguby, a on, ten cesarz Napoleon, siebie i całe wojsko poddał w haniebną niewolę! Jak świat światem, nigdy jeszcze tak wielka armia nie poddała się nieprzyjacielowi! Taką haniebną zdradę na swym własnym kraju popełnił cesarz Napoleon! Kara go spotkała za to, lecz on nie wiele się troszczy o to, bo w niewolę pruską zabrany, — on ten dumny cesarz Francuzów, — otrzymał mieszkanie w pysznym zamku (Wilhelmshöhe) i tam dobrze jedząc i pijąc, bez troski, o dalszy los nieszczęśliwego z jego winy narodu, spokojnie dnie przepędza.

Wspólnicy zdrady cesarskiej dalej dzieło zdrady prowadzili. Dowódcy poddawali się jeden po drugim. Nawet sam marszałek Bazaine, który ze sto pięćdziesiąt tysiącami doborowego wojska w fortecy Metz się zamknął, poddał się Prusakom i wojsko to ogromne oddał w niewolę.

Mimo to wszystko, mimo że całe wojsko w niewoli, lud francuzki nie stracił nadziei. Oto kilku mężów stanęło na czele całej Francyi! Postanowili życie położyć, cały naród pod broń wezwać, i zginąć, lub wypędzić najezdników.

Myślicie czytelnicy, że taz gdy Francyę król pruski upokorzył, gdy wojsko i cesarza wziął w niewolę, — że on już zaprzestał, i zadowolony zwycięztwem skończył tę straszną wojnę. Nie — chciwość pruska nie zna granic!

Król pruski i jego piekielny doradca Bismark, postanowili całą Francyę zniszczyć i w rzekach krwi utopić! Całą siłą zjednoczonych wojsk pruskich rzucili się na Paryż — tę stolicę piękną Francyi, — i postanowili w gruzy ją obrócić. Ale siła narodu obudzonego oparła się im. Oto jakby z pod ziemi wyrosły liczne wojska francuzkie — wyrośli mściciele grabieży, pożog i łupieztw pruskich. Dzielny Gambetta powołał gorącemi słowy cały naród francuzki pod broń. Mieszkańcy miast stanęli jak jeden mąż, wieśniacy uzbroili się, i gdzie mogą niszczą wroga. Los tej wojny nie rozstrzygnięty jeszcze. Francuzi dobrą mają otuchę w słuszności swej sprawy, — zima sprzyja im, mróz i zaspy śniegowe niszczą wroga, — koniec ostateczny Bogu tylko wiadomy!

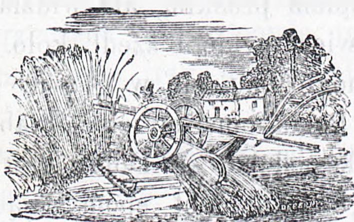
O dalszych losach tego nieszczęśliwego bratniego nam narodu, jak niemniej o wszystkiem co się teraz w świecie i u nas dzieje, donosić wam będziemy w dalszych numerach, mianowicie dwa razy każdego miesiąca.

Redaktor odpowiedzialny Kazimierz Okaz. — Wydawca Stanisław Justian.
Z drukarni E. Winiarza we Lwowie.

Tom III. 21. Stycznia 1871. Nr. 3.

Rok dwunasty.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Na wojnie.

Ciąg dalszy.

— Wiem przecież że Prusaki to Niemcy; jakże też się to stało że Wy Polak i katolik poszliście do wojska pruskiego?

— A toć w pruskiem wojsku nie ja jeden Polak; jest tam może jakich 50 albo 60 tysięcy samych Polaków.

— Dziwna rzecz zawołał Wojtek — i to tak dobrowolnie idą Polacy do wojska?

— Oj gdzie tam dobrowolnie, a któżby bez przyczyny rzucał rolę i chatę rodzinną a nieraz żonę i dzieci i szedł bić się Bóg wie za co i po co — musem bierze nas pruski Niemiec i pędzi na wojnę a nie pyta czy chcemy czy nie.

Toć i pod Prusakiem są polskie wioski pytał coraz więcej zaciekawiony Zurek. Mój Boże! nie tylko tysiące wiosek polskich ale nawet wielkie wspaniałe miasta zamieszkałe przez Polaków jak Poznań, Toruń, Chełmno i inne są pod panowaniem pruskim — Wojtek nasz coraz większe okazywał zdziwienie wiedział on dotychczas że pod rządem austryackim w Galicyi i pod panowaniem Moskala mieszkają Polacy ale pierwszy raz dowiedział się że i Prusak rządzi polską ziemią.— Dziwna to rzecz mysłał Wojtek że też Polacy tak wielki naród

a nie mają swego króla tylko panują nad nim Austryacy, Prusacy i Moskale. Radbyłby jeszcze coś więcej dowiedzieć się o Polakach pod rządem pruskim, ale widział że raniony bardzo osłabły, niesmiał więc pytać i szedł koło ranionego i zaczął rozmyślać. Nie mogło mu się w głowie pomieścić co to za sprawiedliwość że Polak musi strzelać i zabijać Polaka dlatego że Niemcom się tak podoba. — Dobra chwila minęła aż naraz na gościncu rozległ się tentent spomykających koni. Raniony podniósł głowę rozglądnął się do koła i zawołał do Wojtka Uciekaj! uciekaj! pruska konnica nadbiega! Niech Ci Bóg nagrodzi żeś się zlitował nademną i dziećmi memi i nie dobił mnie Wojtek zerwał się na równe nogi schwycił za karabin i chciał uciekać — wnet jednak pomiarkował się że choćby najszybciej biegł, konnica go dogoni — Zapóźno! mruknął przed siebie i wrócił nadawne miejsce. — Raniony podniósł się na zdrowej ręce i patrzał na zbliżających się Prusaków. Było ich ośmiu czy dziesięciu. Niemasz się co bronic, mówił on do Wojtka daj się wziąść do niewoli, a nie mów nic do mnie po polsku bo to Niemcy co nadbiegają myśleliby że jaką zdradę knuje. Cieżka to niewola pod tym Prusakiem, myslał Żurek kiedy nawet w języku ojczystym mówić nie wolno. W kilka minut nadbiegli huzarzy pruscy. Zaszwargotali po niemiecku, potem dwoch zlazło z koni odebrali Wojtkowi karabin i zostali przy nim, reszta spięła koni i poskoczyła dalej.

Za pół godziny byli znowu z powrotem i przyprowadzili ze sobą wóz wysłany słomą. — Na wóz ten zaniesli ranionego obok niego posadzili Wojtka i kazali ruszyć z miejsca. Za nimi jechał konno huzar aby pilnować jeńca i chorego. Długi czas tak jechali mijali wsie i miasta a po drodze co chwila spotykali to większe to mniejsze oddziały Prusaków spieszące w różne strony — Podczas tej drogi poznał nasz Wojtek lepiej biednego rannego. Nazywał on się Michał Karczmarek. Pod Poznaniem w wiosce nazwanej Zabisków miał swoje gospodarstwo i żonę kochaną i dwoje dziatek. Choć ranny cieszył się serdecznie że wraca do swoich, że będzie mógł usciskać żonę i pocałować Hankę i Stacha małego. Zurek smutny był zpoczątku i zamyslony bo nie wiedział co Prusacy z nim

zrobią ale i on się potem jakoś oswoił z swym losem i zaczął rozmawiać z Michałem i opowiadał mu znowu o swej wiosce, o rodzicach starych, co wdomu zostali i za nim płaczą albo znowu o innych rzeczach. Wrozmowie tej szybko im czas zchodził a choć przez całe trzy dni jechali na jednym wozie nic im się nie dłużyło.

Przybyli wreszcie do wielkiego miasta Berna, które jest stolicą Morawii. Tu mieli się rozłączyć Michał szedł na parę dni do szpitalu, aby potem kiedy mu będzie cokolwiek lepiej mógł już bez obawy jechać do domu aby się zupełnie wyleczyć zaś Wojtkowi kazano zaraz siadać do wagonu i jechać z innymi jeńcami do Prus.

Bądźcie mi zdrowi panie Michale mówił Wojtek kiedy mu powiedziano że zaraz pojedzie dalej a darujcie i zapomnijcie otem że to ja was poraniłem boć Bóg mi świadkiem niewiedziałem że strzelam do Polaka i katolika.

Nie wasza to wina wtem ani ja ani wy nie szlismy dobrowolnie na tę wojnę. Niech Bóg wielki ukarze tych co bratu strzelać do brata kazali, odpowiedział Michał.

Fort, fort, zawołał jakiś oficer pruski i pchnął Wojtka ku wagonom. Nie było czasu rozmawiać. Zurek pobiegł do pociągu. Ze wszystkich stron spędzili Prusacy jeńców których nabrali w bitwach. Scisk był i wrzawa że trudno opisać; każdy się spieszy, cisnie i tłoczy aby dostać jak najlepsze miejsce. Klną i łają różnemi językami. Słychać polskie, czeskie, węgierskie włoskie, i niemieckie wyrazy, wszyscy jeńcy pchają się do wagonów. Usadowili się wreszcie, lokomotywa zaświstała i pociąg ruszył Dwa dni i dwie nocy jechał tak Wojtek z innymi żołnierzami austryjackiemi, którzy wraz z nim dostali się do niewoli. Ledwie kilka razy przez ten czas pozwolono im wysiąść aby dać trochę lichej strawy. To też kiedy stanęli na miejscu byli wszyscy tak pomęczeni że się ledwie na nogach trzymali. Poznań był miastem przeznaczonym na pobyt jeńców. Piękne to i wspaniałe miasto otoczone silnym murem i oblane rzeką Wartą może się bronić przed każdym nieprzyjacielem choćby przez kilka miesięcy. Na murach stoją wielkie armaty, wszędzie chodzą warty pruskie a po kasarniach Prusaków jak mrowia

Gdyby nie te Prusaki jeszcze piękniejszy byłby Poznań — a tak gdzie się ruszysz słychać szwargot niemiecki — i człek aż smutnieje że nad takiem miastem Niemiec panuje. Jeńców pokwaterowano w kasarniach. Rano pędzili wszystkich za miasto tam wozili taczkami ziemię i naprawiali wały przy fortecy. Robota ta trwała cały dzień. Prusacy niefolgowali nikomu; za tę nędzną strawę którą dawali, kazali nie na żarty pracować.

Dzień po dniu schodził a jeden do drugiego podobny jak dwie krople wody. Tylko w niedzielę wolno było jeńcom chodzić gdzie chcą i oglądać miasto. Korzystał z tego pozwolenia i Wojtek Rano po mszy świętej wyszedł i oglądał miasto. Poznańczanie prawie wszyscy Polacy chętnie mu wszystko pokazywali i tłumaczyli, nawet pięknie postrojone panie i panienki rozmawiały z Wojtkiem i pokazywały mu piękne sklepy i pałacy.

—Widzieliście już, zapytał go jakiś pan, widząc że się rozgląda po wszystkich domach — katedrę poznańską?

— Nie proszę pana, odpowiedział Żurek.

— No to chodźcież zemną.

Poszli razem i niedługo stanęli przed katedrą, śliczny to i wspaniały kościół, nie każde miasto może się takim poszczycić. Wewnątrz pełno obrazów i posągów, ale najpięknięszą jest kaplica z pomnikiem króla Mieczysława i Bolesława. Kaplica cała wyzłacana a wniej na wielkim marmurowym kamieniu stoją dwa posągi odlane z kruszczu, zewnątrz wyzłacane większe od ludzi żyjących.

Są to statuy króla Mieczysłewa i króla Bolesława. Mieczysław ma krzyż w ręku, na znak że zaprowadził chrześciaństwo w Polsce, a Bolesław wsparty na mieczu którym bronił Polski przed napadem Niemców. Wszystko to tłumaczył ten pan Wojtkowi, który go oprowadzał, a Wojtek patrzał i patrzał w tych dwóch wielkich królów i oczu od nich oderwać nie mógł.

— Czy królowi ci, zapytał wreszcie nie śmiało, panowali tylko nad Poznaniem, czy także nad Galicyą.

—Panowali oni, mówił ów pan nieznajomy, nad wszystkiemi krajami, w których mieszkają Polacy, a król Bolesław panował

nawet nad Rusią i mieczem swym zdobył wielkie i bogate miasto Kijów.

Bo dawniej mówił dalej, Polacy stanowili jedno państwo, a nad niemi panował jeden król, tak było aż do roku 1795.

— A potem? zapytał nieśmiało Wojtek.

Niezgoda panowała w narodzie, a Moskale Prusacy i Austryjacy zmówili się i cały kraj polski podzielili między siebie.

Wszelkie to nieszczęście, mówił Wojtek który sobie przypomniał, że gdyby Polska niebyła podzielona, niebyłby nigdy ranił Polaka i katolika.

Ciężko nas Bóg doświadczył, kończył ów pan nieznajomy, ale przyjdzie że czas wszyscy Polacy złączą się w jedno państwo, i będą silnym i wielkim narodem. (D. n.)



Opowiadanie Pana Bartłomieja o jedwabnictwie.

Wioska Kalinka w ładnej leży okolicy. Jużto Bóg tam szczęści ludziom widocznie, bo i słonko tam pięknie przygrzewa i deszczyk jakby w sam czas spada użyźniający. Ludziska też poczciwi, bogobojni, pracowici, kochają się między sobą jak bracia i wspólnie sobie przy pracy pomagają. Na samym końcu wioski, mieszka pan Bartłomiej Zielonka, starowina, chociaż szlachcic, ale ukochał ten ludek nasz, bo z nim już kilkadziesiąt lat przeżył. Czy po radę, czy po lekarstwo każdy do niego spieszy, bo stary i uczynny i rozumny nadzwyczaj. Nawzajem też i jemu każdy chętnie usłuży. Zeszłego roku odwiedziłem staruszka; było to w niedzielę. Pan Bartłomiej zasiadł ze mną w izbie, i gawędzimy w najlepsze. Wtem przychodzi gospodarz tamtejszy Jacenty, pozdrawia pana Bartłomieja Imieniem pańskiem i pyta, czy niema mu co do polecenia. Pan Bartłomiej mówi:

— A jakżeto gospodarzu chcieliście, żebym was jeszcze i w niedzielę trudził. Toście wczoraj dość się napracowali pomagając mi w ogródku.

— Ej, jabym dla złotego jegomości wciąż robił, bo to i niężal, człowiek się zawsze czegoś nowego dowie. A dziś, to

niech jegomość wybaczą, ja tak więcej z ciekawosci przyszedł, bom bardzo ciekaw jednej rzeczy, ale nie śmiem trudzić...

— Smiało mój Jacenty, cóż chciałbyś wiedzieć?

— Jużto bardzom ciekaw coś wiedzieć o tych drzewkach w ogródku, i o tych robaczkach, co im jegomość te liście daje z drzewek. Takich drzewek u nas nigdzie niema, i nie wiem na co się to zdało.

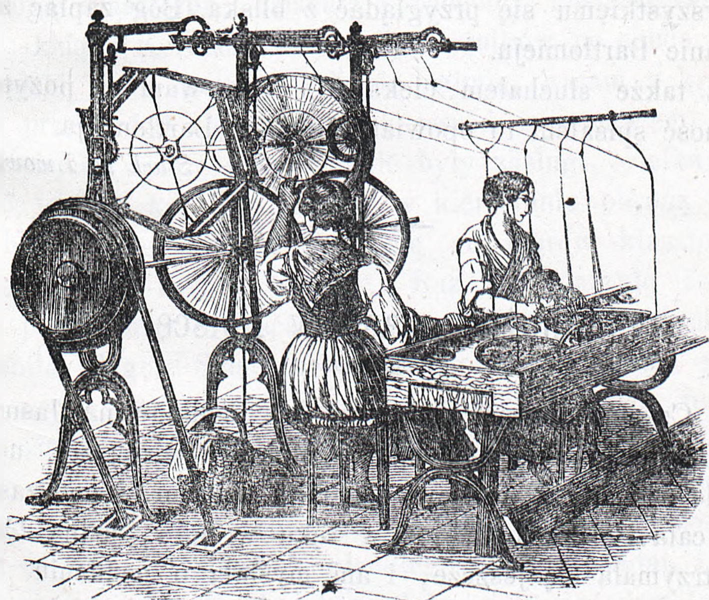
— No to siadajcie panie Jacenty, a opowiem wam. Ot widzicie dzieci nie mam, stary jestem, to się i zabawka człowieka czepia. Robię próbę, i niewiem, czy mi się uda. Ale nie myślcie, żeby to zabawką tylko było, — ja próbuję, czyby w naszym kraju to się wieść nie mogło na wielką stopę. Te drzewka wam nieznane, to są morwy, a robaczki to są jedwabnice, które jedwab snują. Dziwnem wam się wyda, że taki robaczek lichy daje ze siebie nitkę z której się potem drogie materye jedwabne tkają.

— No proszę jegomości, ja zawsze myślał, że jedwab to jak len albo konopie w polu rośnie.

— Otóż patrzcie że tak nie jest. Tu wstał pan Bartłomiej, poszedł do ściany, na której wiele było pułek poprzybijanych, wyjął z jednej z nich coś białego, podobnego do małego jajka, pokazał nam i rzekł:

— To co tu widzicie, jest oprzędem tego robaczka Jedwabnice są stworzeniami podobnemi do naszych ćmów i motyli. Taka ćma jest barwy żółtawo białej, ma dwie pary skrzydełek, — żyją one bardzo krówko, bo samiczka, gdy zniesie dwieście do trzysta jajek ginie niezadługo. Z tych jajek wylęgają się na wiosnę małe gąsieniczki, ale to takie maleńkie, że je okiem dostrzedz trudno. Trzeba więc barzdzo uważać, aby się nie porozłaziły, i kłaść dwa albo trzy razy na dzień świeże liście z drzewek morwowych, bo innych liści te robaczki nie jedzą. Dlatego trza dużo drzew takich sadzić, aby liścia zawsze było podostatkiem i robaczki z głodu nie ginęły. Robaczki jedzą bardzo wiele, i rosną bardzo prędko. Po wykluciu z jajka są one przezroczyste, później stają się czarniawe — za dziesięć dni zrucają po raz pierwszy z siebie skórę, i tak co dziesięć dni trzy razy jeszcze się lenią. Po ostatniem lenieniu się mają

barwę perłową z różnemi ciemnemi znaczkami, i rożek mały na ogonie. Trwa to wszystko kilka tygodni, przez który czas żrą nielitościwie, przyczem wiele zachodu z ciągłem czyszczeniem i wietrzeniem. Po czwartem zlenieniu się, przestają gąsieniczki zwolna jeść, żółknieją, stają się smutne, i oprzędzają się w nitkę cienką jak pajęczyna, słowem w jedwab, który ze siebie wysnuwają. Natenczas trzeba te oprzędy wysuszyć, bo robaczek w ich środku przemienia się w ćmę, i ożywszy przegryza oprzęd, przez co ten się staje nieużytecznym. Oddziela się więc pewną ilość oprzędów na rozpłodek, resztę suszy się w gorącu aby robaczki zamarły. Takich oprzędów, jak je tu widzicie panie Jacenty, idzie 360 na jeden funt. Teraz to dopiero robota aby nitkę tę jedwabiu rozmotać! a jest tej nitki na jednym



Przędzalnia jedwabiu.

oprzędzie przeszło 500 łokci! a pomotana strasznie. W fabrykach jedwabiu są do tego wprawni i uczeni ludzie, którzy wszystko w równe nitki wyciągają. Rzuca się oprzędy na gorącą wodę, a gdy zmiękną, to bije się je miotełką we wodzie, w skutek czego koniuszki nitek jedwabnych do pręcików miotełki się przyczepiają. Gdy się ma już te koniuszki, to można

albo za pomocą prostego kołowrotka, albo maszynami jedwab zwijać. Na jedną nić jedwabną bierze się kilka, czasem kilkanaście nitek razem, przepuszcza przez szklanne pierścionki, i dopiero razem skręca. W krajach gdzie przemysł jedwabnictwa wysoko stoi, są liczne przędzalnie jedwabiu w których wiele ludzi się utrzymuje. We Włoszech co roku przeciętnie 160 tysięcy surowego jedwabiu wyrabiają. Ma to wartość przeszło 120 miljonów reńskich. Z tego surowego jedwabiu wyrabiają chustki, szale, materje drogie, itp. Tak to, taki mały robaczek tyle człowiekowi przynosi korzyści. Widzicie więc, panie Jacenty, i ja chciałem spróbować, zasadziłem drzewka, sprowadziłem sobie jajka, i zatrudniam się tem.

— Już też jegomości ślicznie dziękuję za wytłumaczenie i naukę. A w wolnym czasie to i pomódz przyjdę, bom ciekaw temu wszystkiemu się przyglądać z bliska. Bóg zapłać za naukę, panie Bartłomieju.

Ja także słuchałem ciekawie, i oto wam na pożytek, a wiadomość spisałem to opowiadanie pana Bartłomieja.

Stach ze Lwowa.



Smutne czasy w Polsce.

(Dokończenie).

W Częstochowskim klasztorze OO. Paulinów na Jasnej — górze Częstochowskiej pod opiekę Matki najświętszej, uciekło się wiele szlachty z okolicy z żonami i dziećmi, i podczas gdy prawie cała Polska była już w ręku wrogów, jedna Częstochowa trzymała się jeszcze, i ani myślała o poddaniu. Gniewało to dumnego króla szwedzkiego, że garstka zakonników zamierza stawiać mu opór, i wysłał wojsko z rozkazem zdobycia Częstochowy. Zaczęło się oblężenie dnia 18 listopada 1655. Dowódzca szwedzki Wejchard z czterema tysiącami wojska, stanął pod murami klasztoru i żądał, aby mu go poddano. Ksiądz Augustyn Kordecki, przeor, odpowiedział odważnie, że nie czyni zadosyć temu żądaniu. Zagrały szwedzkie armaty i kościół św. Barbary pod Jasną górą stojący zgo-

rzał. Zakonnicy przygotowali się do długiej i uporczywej obrony, a tymczazem nadciągnął jenerał Miller z dziewięcioma tysiącami Szwedów, otoczył klasztor i groził, że w trzech dniach zamieni go w stos gruzów i rumowiska, jeżeli zakonnicy nie poddadzą się dobrowolnie i króla szwedzkiego nie uznają za pana. Ksiądz Kordecki pokładając nadzieję w Opatrzności boskiej, bynajmniej nie przeraził się tą groźbą i podczas gdy Szwedzi rozjątrzeni jego stałością, zaczęli gotować się do szturmu, on przy odgłosie dzwonów odprawiał uroczystą procesyą po wałach fortecznych. Z wysokiej wieży kościelnej brzmiały hymny na cześć Matki Bożej, księża, starcy i kobiety modlili się nieustannie w kościele. Szwedzi rozpoczęli ogień działowy który trwał przez trzy dni i trzy nocy bez przerwy, zdawało się że z klasztoru i kościoła nie zostanie kamień na kamieniu. Ale załoga klasztorna, szlachta i pachołcy odstrzeliwali się dzielnie: ksiądz Kordecki rozstawił strażników po dachach aby czemprędzej ogień gasili jeżeli się zajmie, a sam z krzyżem w ręku przechodził się po murach wśród największego gradu kul i zachęcał walczących. Wielkie były zasługi, wielka przytomność umysłu ks. Kordeckiego w kierowaniu obroną klasztoru. Kule szwedzkie odbijały się od murów klasztornych i oblężonym nie czyniły szkody. Raz się zdarzyło że kula ognista padła przy kołysce w której dziecię spało i nic mu nie zrobiła złego. Szlachta w klasztorze zamknięta zrobiła pewnej nocy wycieczkę i wśród ciemności nocnych sprawiła rzeź w szeregach szwedzkich. Nawet chłopi z kosami na Szwedów się rzucali. Ale to wszystko nie wiele skutkowało a oblężenie coraz się stawało dotkliwszem. Szlachta zwątpiwszy o ocaleniu zaczęła namawiać księdza Kordeckiego aby się poddał. I Miller widząc, że klasztor nie tak łatwo zdobyć jak się zdawało, a nie chcąc ze wstydem odstąpić od oblężenia, nuż posłów wyprawiać począł do ks. Kordeckiego i łudzić go różnemi obietnicami aby się poddał królowi szwedzkiemu. Ks. Kordecki odrzucił wszystkie te przedstawienia i oświadczył że za nic w świecie nie podda klasztoru. W tem podkrada się pod mury klasztoru Jacek Brzechański mieszczanin Częstochowski i przerzuca list z Krakowa do księży, ostrzegający aby się klasztor nie po dawał

bo Szwedzi nie dotrzymują obietnic, i w Krakowie wbrew przyrzeczeniom zrabowali kościoły. To utwierdziło ks. Kordeckiego w postanowieniu bronienia się do ostatka. Miller otrzymawszy odmowną odpowiedz księdza Kordeckiego tak się rozgniewał że nawet jego posłów nie chciał wypuścić lecz groził im mękami i śmiercią a zaopatrzywszy się na nowo w amunicyę i działa począł miotać na klasztor jeszcze rzęsistszym ogniem lecz szturm znowu odparty szczęśliwie, a Szwedzi znaczne ponieśli straty, bo im oblężeńcy pogruchotali maszyny oblężnicze i siostrzeniec jenerała poległ od kuli szwedzkiej. Tak oblężenie przeciągało się od dnia do dnia, od miesiąca do miesiąca, nadeszła zima a z nią mrozy straszne: tymczasem odsieczy nie widać a Szwedzi pod murami stoją i przypuszczają szturmy coraz gwałtowniejsze. Już znowu między ludźmi słabszej wiary w klasztorze częstochowskim zakradać się poczęło zwątpienie i rozpacz: tylko ks. Kordecki górował nad wszystkiemi męztwem i poświęceniem i zachęcał do wytrwałości. W połowie grudnia Miller spędził górników z okolicy i rozkazał im kopać chodniki podziemne którémi mógłby dostać się do klasztoru. W Boże narodzenie ledwo się msza skończyla Szwedzi przypuścili tak gwałtowny i zacięty szturm, że się zatrzęsły mury klasztoru: pewnie byłyby runęły gdyby nie widoczna łaska Pana Boga. Owóż i tym razem atak był bezskuteczny, ale też i ostatni, bo właśnie w tym czasie król szwedzki zapotrzebował jenerała Millera z wojskiem i wezwał go, aby co prędzej do niego przybywał. Miller na odchodnem posłał do klasztoru domagając się podarunków; ksiądz Kordecki posłał mu książeczki do nabożeństwa i obrazki świętych, przedstawiając że go nie stać na inne dary.

Imię księdza Kordeckiego, co zdawszy się na Opatrzność Boską nie stracił wiary w świętość sprawy Ojczyzny, której bronił i z całą przytomnością umysłu odwagą i poświęceniem szykował szczupłą załogę na murach klasztornych a przykładem swoim porywał i zapalał upadających na duchu wojowników, po wiek wieków cała Polska wymawiać będzie zawsze z największem uszanowaniem jako imię najzacniejszego kapłana i prawego Polaka.

Przed kilką dopiero laty postawiono w Częstochowie pomnik księdzu Augustynowi Kordeckiemu. Na wyniosłym postumencie stoi posąg kapłana z krucyfiksem w ręku w postaci spokojnej z wzrokiem wzniesionym ku niebu, jakby się modlił lub dumał nad losem ojczyzny napowrót nieszczęśliwej.

Po odejściu Szwedów Jasna Góra zabrzmiała hymnami dziękczynnemi! Ale cudowna obrona Częstochowskiego klasztoru nie tylko tych uratowała co w jego murach szukali schronienia lecz oraz wzbudziła ducha w całym narodzie. Wieść radosna o zwycięztwie ks. Kordeckiego lotem błyskawicy rozeszła się po całym kraju. Wnet górale tatrzańscy pierwsi chwycili za broń przeciwko Szwedóm i urywali ich po trosze. Szlachta zjechała się do Tyszowiec i poprzysięgła do ostatniej kropli krwi bronić ojczyzny. Król Jan Kazimierz dowiedziawszy się jak rzeczy stoją wrócił do kraju. Cały kraj powstał. Stefan. Czarnieckiego który już niejednokrotnie wstawił się jako wojownik okrzyknięto wodzem. Wojsko rzekło się żołdu t. j. zapłaty. Król Jan Kazimierz przybywszy do Lwowa odprawił nabożeństwo do cudownego obrazu Matki Najświętszej, który teraz jest umieszczony w wielkim ołtarzu w katedrze a wówczas jeszcze znajdował się zewnątrz na murze od strony halickiej ulicy, oddał siebie i kraj Najświętszej Pannie w opiekę.

Nadzieja wstąpiła w serca ale niestety... chyba po to tylko aby je wkrótce tem okropniej zakrwawić. Szwedzi obaczyli że się Polacy ruszają a więc nie zasypiali sprawy. Skupiwszy siły uderzyli na Czarnieckiego i pobili go pod Gołąbiem. Po tem zwycięztwie rozsypali się znowu po całej Polsce. Kilka razy tu i owdzie pobici cofnęli się do Prus i król Jan Kazimierz zajął Warszawę ale wkrótce potem na nowo zawrzał bój zacięty. Nie daleko Warszawy stoczono zaciętą bitwę, która trwała trzy dni. W tej bitwie wojsko polskie zostało pobite i cofnąć się musiało przed potęgą nieprzyjacielską.

Teraz już zdawało się że nie ma ratunku że Polska musi koniecznie upaść. Nie było w całej Polsce ani jednego człowieka któryby mógł stanąć na czele rozpierzchniętego wojska i poprowadzić je do boju. Był wprawdzie Czarniecki, ale niestety ranny ciężko w bitwie, leżał przykuty do łoża boleści.

Tak piękne początki na niczem się skończyły, okropny zawód zarówno dręczył nieszczęśliwego króla jak cały naród i nie było już nadziei powtórnego podźwignięcia się z upadku Rozpacz straszna ogarneła wszystkie umysły, a pod wpływem rozpaczy ludzie do reszty rozum tracili. Nie wiedziano co począć, czego się chwycić. Posłano znowu za granicę o pomoc, ale monarchowie zbywali posłów ni tem ni owem. W ostatecznem zgnębieniu nieszczęśliwy naród zwracał oczy ku Częstochowie niedawno cudem ocalonej i błagał Matki najświętszej aby się tak samo nad całym zlitowała krajem. Wszystkie świątynie napełniły się pobożnymi, wszędzie rozlegały się modły i hymny pobożne, wszędzie brzmiało błaganie: „Królowo Polska przyczyń się za nami". Wówczas to naród wszedł. W siebie i słychać było głosy. Cóż się stało z nami? Gdzież się podziały owe czasy kiedyśmy dziesięć kroć liczniejszego bili nieprzyjaciela, kiedy wszyscy sąsiedzi bali się nas i nas szanowali? Takżeśmy to nisko upadli, że się nie zdołamy podźwignąć! Ten i ów zgadywał, że to kara boża za grzechy. Gdybyśmy nie żyli w zbytkach, znalazłyby się dzisiaj pieniądze na prowadzenie wojny, gdybyśmy nie uciskali chłopów, wszyscy oni tak jak górale byliby za broń chwycili i pomagali nam wypędzić nieprzyjaciela. Gdybyśmy się byli przykładadali do nauk, umielibyśmy lepiej radzić o losie ojczyzny, i nie byłoby tak trudno o wodza pomiędzy nami. O Boże wyrwij nas z tej toni, a my ci ślubujemy, że będziemy cnotliwi jak nasi przodkowie, którym tak sprzyjałeś, że nie będziemy prześladować nikogo że się zbratami z chłopami i powrównamy ich za sobą boć to bracia nasi jednej ziemi dzieci, że będziemy chronić się zbytków a całą duszą do nauk się weźmiemy, i dzieci nasze uczyć damy aby przynajmniej one były od nas szczęśliwsze!

O jakże inaczej działo się w obozie zwycięzców, którzy wnet pozajmowali wszystkie te miejsca, które wojsko polskie opuściło. Upojeni zwycięztwem szli do boju jak do tańca, a zwyciężywszy naigrawali się nikczemnie ze zwyciężonych. Król szwedzki Karol Gustaw wzbogacił się niezmiernie i wszystkie łupy co prędzej odsyłał do swojej ojczyzny. Jego żołnierze także pamiętali dobrze o swoich kieszeniach i wszędzie gdzie

przyszli dopuszczali się najokropniejszych zdzierstw. Widząc że nic im się oprzeć nie może wzbili się w pychę i przy każdem spotkaniu upokarzali Polaków. Zapomnieli się do tego stopnia że drwili nawet z cudów, których byli naocznymi świadkami pod Częstochową. Zdawało się im, że są już panami całej Polski że już żadna siła oprzeć się im nie zdoła.

Jakoż król szwedzki postanowił ostatecznie rozszarpać Polskę i zaprosił do udziału Rakoczego księcia Siedmiogrodzkiego i Bohdana Chmielnickiego wodza kozaków, o którym już wyżej wspomniałem, jak zacięcie walczył z Polską, chociaż był jej synem. Obydwaj przystali na przedstawienie króla szwedzkiego, i książę Rakoczy wkroczył niebawem z licznem wojskiem do Polski, aby zabrać przyrzeczony sobie dział.

Cud tylko mógł teraz ocalić nieszczęśliwą krainę i rzeczywiście Bóg miłosierny spełnił cud. Chciał on tylko ukarać nas za grzechy ale nie chciał zguby naszej — ukarawszy, wyciągnął rękę i powiedział: potąd, ale nie dalej!

Rakoczy połączył się z kozakami. Wojsko jego złożone z Węgrów Wołochów i Cyganów paliło i rabowało po drodze. Przyszedłszy pod Kraków zajęło go. Król szwedzki z swemi siłami zbliżył się ku Krakowu aby się połączyć z Rakoczym i kozakami i zaraz przystąpić do umowionego podziału. Ztąd poszli razem do Warszawy. Szwedzi ruszyli dalej do Prus, a Rakoczy zrabowawszy Warszawę wybrał się z powrotem ku Krakowu. Tymczasem Polacy mszczą się na nim za doznane krzywdy, wpadli do jego własnego kraju, zdobyli kilka miast i wrócili dopiero wtedy, gdy im mieszkańcy Siedmiogrodu, którzy swemu księciu do Polski nie towarzyszyli, nie zapłacili za koszta na wojnę wyłożone. Rakoczy opuszczony przez Szwedów i kozaków, zagrożony ze wszystkich stron przez wojsko polskie, musiał pokornie prosić, aby go wolno do domu puszczono i zwrócił nawet wszystko co był w Polsce zrabował.

Odtąd już los stale sprzyjał Polakom. Chmielnicki ów sęp drapieżny co tyle razy szarpał naszą ojczyznę, umarł nareszcie. Moskale wycofali swoje wojsko z granic Polski. Niemcy przysłali cokolwiek wojska na pomoc dla wygnania Szwedów do reszty, co Polacy przyjęli z wdzięcznością ale nie jeden sobie

Gambetta który objął rządy nakazał aby każdy Francuz od 20 aż do 49 roku życia szedł do wojska bić Prusaków. Czy kto bogaty czy ubogi czy żonaty czy wdowiec ma dzieci lub nie, wszystko jedno każdy musiał iść do wojska aby bronić kraju i niedać Prusakowi rozbijać i mordować Z tych ludzi powołanych do wojska utworzono trzy armie, jedna na północy od Paryża druga na zachodzie a trzecia na wschodzie. Dwie ostatnie mają przeszło po sto tysięcy żołnierzy. Wszystkie te trzy armje mają iść ku Paryżowi aby tam Prusaków wytępić i miasto uwolnić od zniszczenia. Armia północna pobiła już raz wojska pruskie ale jeszcze nie doszła pod Paryż, bo Prusacy coraz to nowe od siebie z Prus sprowadzają wojska aby tylko wstrzymać pochód Francuzów z północy ku Paryżowi. Wschodnia i zachodnia armja francuzka nie jest tak szczęśliwą jak północna. Ostatniemi czasy od początku stycznia aż do teraz biły się obie te armie ciągle, musiały jednak, przed wielkie i masami Prusaków cofnąć się więcej na południe.

Najgorzej przytem biednym mieszkańcom Paryża. Ta dwumiljonowa ludność, od początku oblężenia odciętą od reszty kraju; naokoło nieprzyjaciel, tak, że o dowozie żywności i myśli nie ma. Biedni ludzie zapomnieli już o mięsie wołowem i innem zwykłem pożywieniu; jedzą mięso końskie, ośle — biedniejsi, aż strach powiedzieć kotami, psami i szczurami się żywić muszą. Komendant Paryża, jenerał Troszi rozkazał żywność, jaką kto ma — na składzie poznosić i w równych częściach między mieszkańców rozdzielać. To niekoniecznie wystarcza, bo oto teraz juz zmiejszono porcje — co pierwej dawano dla jednej osody na dzień to teraz na dwa dni wystarczyć musi. Przytem mało mają wiadomości o tem, co się w kraju dzieje, bo Prusacy listów żadnych nie przepuszczają. Tylko balonami, któreśmy wam przedtem opisali, i pocztą gołębią, o której także jużeśmy mówili, listy z Paryża rozsełają. Wiara tylko silna w uczciwość sprawy, boć przecie własnego kraju, własnych ognisk bronią, nie daje im upaść i oddać się rozpaczy. Biedny, nieszczęśliwy naród francuzki.

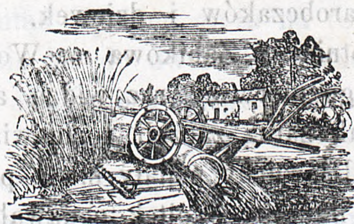
Mimo to wszystko Francuzi nie chcą słyszeć o pokoju: „Bić się będziemy do ostatniego, choćby nawet Prusacy Paryż zabrali, nie zrobimy pokoju aż wszystkich Niemców pruskich nie wypędzimy z Francji!“ Tak mówią Francuzi, kiedy im inne narody jak Anglicy albo Włochy radzą zawrzeć pokój. Jakie będą dalsze losy tej wojny opowiemy wam w następnych numerach.

Redaktor odpowiedzialny Kazimierz Okaz. — Wydawca Stanisław Justian.
Z drukarni E. Winiarza we Lwowie.

Tom III. 1. Lutego 1871. Nr. 4.

Rok dwunasty.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w a.

DZWONEK.

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Na wojnie.

Dokończenie.

Kiedy wieczorem Wojtek powrócił do domu, długo jeszcze rozmyślał nad tem wszystkiem co mu opowiedział ów pan nieznajomy. Usnął przecie ale i we snie nie miał spokoju. Zdawało mu się, że widzi króla Bolesława jak złotym swym mieczem bije wojsko niemieckie bierze jeńców i zdobywa miasta. — Uderzenie w bęben zbudziło go, był to zwykły znak na który wszyscy jeńcy musieli wstawać iść na robotę, naprawiać wały. Wojtek wstał szybko i wybiegł na dziedziniec Ze wszystkich stron schodzili się jeńcy i ustawiali szeregami. Potem przyszedł jakiś oficer pruski i powiedział, że odtąd nie będą pracować przy naprawie wałów lecz pójdą na żniwa do okolicznych wiosek. Oficer odszedł a jeńcy zaczęli się gotować wdrogę. — Zgotowano i rozdano sniadanie, nie minęło pół godziny, a wszyscy szli już ku wskazanym wioskom. Szczególnie Wojtek rad był tej nowej zmianie. Umiał on chodzić koło gospodarstwa, a czy to sierpem czy kosą ciął tak że się przed nikim nie powstydził. Żurka i kilku innych przyznaczono do Żabiskowa. Skoro tam zaszli ustawił ich ekonom na wielkim łanie przenicznym dał im kosy boć tam koło Poznania wszędzie koszą zboże

Gambetta który objął rządy nakazał aby każdy Francuz od 20 aż do 49 roku życia szedł do wojska bić Prusaków. Czy kto bogaty czy ubogi czy żonaty czy wdowiec ma dzieci lub nie, wszystko jedno każdy musiał iść do wojska aby bronić kraju i niedać Prusakowi rozbijać i mordować Z tych ludzi powołanych do wojska utworzono trzy armie, jedna na północy od Paryża druga na zachodzie a trzecia na wschodzie. Dwie ostatnie mają przeszło po sto tysięcy żołnierzy. Wszystkie te trzy armje mają iść ku Paryżowi aby tam Prusaków wytępić i miasto uwolnić od zniszczenia. Armia północna pobiła już raz wojska pruskie ale jeszcze nie doszła pod Paryż, bo Prusacy coraz to nowe od siebie z Prus sprowadzają wojska aby tylko wstrzymać pochód Francuzów z północy ku Paryżowi. Wschodnia i zachodnia armja francuzka nie jest tak szczęśliwą jak północna. Ostatniemi czasy od początku stycznia aż do teraz biły się obie te armie ciągle, musiały jednak, przed wielkie i masami Prusaków cofnąć się więcej na południe.

Najgorzej przytem biednym mieszkańcom Paryża. Ta dwumiljonowa ludność, od początku oblężenia odciętą od reszty kraju; naokoło nieprzyjaciel, tak, że o dowozie żywności i myśli nie ma. Biedni ludzie zapomnieli już o mięsie wołowem i innem zwykłem pożywieniu; jedzą mięso końskie, ośle — biedniejsi, aż strach powiedzieć kotami, psami i szczurami się żywić muszą. Komendant Paryża, jenerał Troszi rozkazał żywność, jaką kto ma — na składzie poznosić i w równych częściach między mieszkańców rozdzielać. To niekoniecznie wystarcza, bo oto teraz juz zmiejszono porcje — co pierwej dawano dla jednej osody na dzień to teraz na dwa dni wystarczyć musi. Przytem mało mają wiadomości o tem, co się w kraju dzieje, bo Prusacy listów żadnych nie przepuszczają. Tylko balonami, któreśmy wam przedtem opisali, i pocztą gołębią, o której także jużeśmy mówili, listy z Paryża rozsełają. Wiara tylko silna w uczciwość sprawy, boć przecie własnego kraju, własnych ognisk bronią, nie daje im upaść i oddać się rozpaczy. Biedny, nieszczęśliwy naród francuzki.

Mimo to wszystko Francuzi nie chcą słyszeć o pokoju: „Bić się będziemy do ostatniego, choćby nawet Prusacy Paryż zabrali, nie zrobimy pokoju aż wszystkich Niemców pruskich nie wypędzimy z Francji!“ Tak mówią Francuzi, kiedy im inne narody jak Anglicy albo Włochy radzą zawrzeć pokój. Jakie będą dalsze losy tej wojny opowiemy wam w następnych numerach.

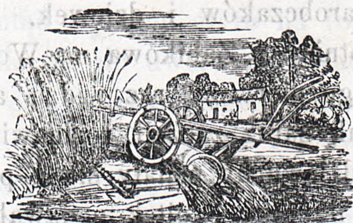
Redaktor odpowiedzialny Kazimierz Okaz. — Wydawca Stanisław Justian.
Z drukarni E. Winiarza we Lwowie.

Tom III. 1. Lutego 1871. Nr. 4.

Rok dwunasty.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Na wojnie.

Dokończenie.

Kiedy wieczorem Wojtek powrócił do domu, długo jeszcze rozmyślał nad tem wszystkiem co mu opowiedział ów pan nieznajomy. Usnął przecie ale i we snie nie miał spokoju. Zdawało mu się, że widzi króla Bolesława jak złotym swym mieczem bije wojsko niemieckie bierze jeńców i zdobywa miasta. — Uderzenie w bęben zbudziło go, był to zwykły znak na który wszyscy jeńcy musieli wstawać iść na robotę, naprawiać wały. Wojtek wstał szybko i wybiegł na dziedziniec Ze wszystkich stron schodzili się jeńcy i ustawiali szeregami. Potem przyszedł jakiś oficer pruski i powiedział, że odtąd nie będą pracować przy naprawie wałów lecz pójdą na żniwa do okolicznych wiosek. Oficer odszedł a jeńcy zaczęli się gotować wdrogę. — Zgotowano i rozdano sniadanie, nie minęło pół godziny, a wszyscy szli już ku wskazanym wioskom. Szczególnie Wojtek rad był tej nowej zmianie. Umiał on chodzić koło gospodarstwa, a czy to sierpem czy kosą ciął tak że się przed nikim nie powstydził. Żurka i kilku innych przyznaczono do Żabiskowa. Skoro tam zaszli ustawił ich ekonom na wielkim łanie przenicznym dał im kosy boć tam koło Poznania wszędzie koszą zboże

a nasi chłopcy razno wzięli się do pracy. Dzionek był piękny słoneczne ciepło przygrzewało daleko i szeroko rozlegały się wesołe spiewki parobczaków i dziewek. Z początku trochę ukosa patrzali robotnicy z Zabikowa na Wojtka ot zwyczajnie jak na obcego co go pierwszy raz widzą ale skoro się przekonali, że on Polak zaraz zaczęli rozmawiać i dopytywać się o różne rzeczy, a dziewuchy smiały się z pustoty że aż twarz rękoma zakrywały ile razy Wojtek podawał im snop do związania. Rażno szła robota jakby na wyscigi bo Wojtek i Zabiskowianie chcieli pokazać co umią. Nadeszło wreszcie południe robotnicy miejscowi szli do domu na objad, jeńcy zaś do dworu. Droga do dworu prowadziła przez wieś. — Po obu stronach drogi stały rzędem chałupy gospodarskie ale nie takie jak u nas niskie, pochylone słomą kryte, bez kominów tam całkiem inaczej, każda chata murowana dachówką kryta nawet dla bydła murowane stajnie, obejście czyste i schludne koło domku sad z pięknemi owocami — aż miło patrzeć. Wojtek rozglądał się na wszystkie strony i myslał sobie: Mój Boże muszą też być bardzo bogaci tutejsi gospodarze kiedy ich stać na takie budynki że unas nieraz i Pan na całej wiosce takich niema. Kiedy się tak rozglądał na wszystkie strony; zobaczył że z jednego domku wyszedł jakiś gospodarz — Żurek przypatrzył mu się bliżej i aż przystanął tak się zdziwił. Własnym oczom niechciał wierzyć a przecież im bardziej się przypatrywał tem był pewniejszym że tak jest a nie inaczej. Gospodarz który wyszedł z owego domku był Michał Karczmarek ten sam do którego strzelał i ranił wrękę. — Michałowi także się zdawało że poznał Wojtka. Czas jakiś stali tak i patrzali na siebie aż wreszcie Michał zawołał:

— Wojtek toć mnie oczy nie mylą, doprawdy Wojtek!

Wtedy dopiero Żurek był już pewny pobiegł więc czem prędzej ku Michałowi — Michał którego ramie prawie zupełnie się zgoiło serdecznie go uscisnął. Dobrze to mówią zawołał Michał: Góra z górą się nie zejdzie a człowiek z człowiekiem zejść się może! Jakże się macie, zkąd wy tu się wzięli? Ja Bogu dzięki całkiem już prawie zdrów jestem.

Żurek zaczął opowiadać co się znim stało od czasu kiedy, się rozeszli w morawskiem mieście Bernie. Mówił że jest wfortecy poznańskiej i że ztamtąd wysłano go tu na robotę; wraz z innemi jeńcami miał właśnie iść do dworu na południe kiedy własnie zobaczył dawnego swego znajomego. Zamiast iść do dworu toć lepiej chodzcie do mnie znajdzie się Bogu dzięki i umnie co przekąsić. Zobaczycie moją kobietę i dzieci moje o których nieraz wam opowiadałem Wojtek nie bardzo rad był temu zaproszeniu.

— Wiem że wyście Michale na mnie nie gniewni ale może wasza kobieta i dzieci wasze nie będą radzi poznać człowieka co ranił ich ojca.

Dajcie tam spokój! chodźcie, chodźcie, mówił Michał i wziąwszy Wojtka za rękę wprowadził do domu. Z sieni wchodziło się do własnej izby. Schludno tam było i porządnie aż się oko radowało. Żona Michała i Hanka jego córka zwijały się koło stołu i przygotowywały do objadu; pod oknem siedział młody chłopak i czytał coś pilnie na książce. — Oto żołnierz o którym wam już nieraz opowiadałem mówił Michał do żony i córki. Bądźcie mu radzi bo choć od jego strzelby odniosłem tę ranę, toć przecież gdyby się nie był zlitował i krwi mi nie zatamował możebym już niebył na tym swiecie.

—Nie bądzcie na mnie markotni moja gospodynio za to co się stało bom ja nie wiedział że strzelam do Polaka i katolika.

— Toć wiem że to nie wasza wina odpowiedziała Kaczmarkowa a Hanka zaczerwieniła się jak wisznia zobaczywszy Wojtka. Ona go już widziała rano na łanie dworskim jak raźno machał kosą.

Mały Stach złożył książkę i wybiegł z izby. Nie długo wrócił przyniósł miskę dla Wojtka i jakąś poliwkę Stary Kaczmarek zaprosił wszystkich do jedzenia a szczególnie Wojtka pilnował żeby sobie dobrze podjadł, bo jak mówił w fortecy na pruskim chlebie jeszcze żaden Polak nie zaspokoi głodu. Po obiedzie zaczął Wojtek opowiadać o Galicyi o Krakowie i o Lwowie i o swej wiosce rodzinnej, a Kaczmarkowie słuchali go z uwagą i cieszyli się że dostali takiego gościa. Ani się spostrzegli jak minął czas przeznaczony na południowanie. Ze

dworu wracali już robotnicy w pole trzeba było i Wojtkowi się zabierać do odejścia Nie rad by temu; on by i cały dzień siedział w izbie u Karczmarków i opowiadał i patrzał w czarne oczy Hanki. Michał wyprowadził go aż do drogi i raz na zawsze zaprosił, żeby codzień jak tylko jest w Żabiskowie przychodził do nich na objad. Hanka ponoś rada była tym zaprosinom bo znowu pokraśniała jak malina. Odtąd Wojtek codzień na południe zachodził do domku Michała, a w niedzielę to już zrana wybierał się z Poznania na cały dzień, szedł do Żabiskowa aby porozmawiać z Michałem i pośmiać się z Hanką czarnooką. Trwało to z jakie dwa tygodnie a czas biegł tak szybko, że Wojtek ani się spostrzegł, że to już dwie niedziel minęło od czasu, kiedy raz pierwszy odszukał Michała w Żabiskowie.

Kiedy razu pewnego Wojtek jak zwykle zaszedł na południe do Karczmarków — poznał Michał z jego twarzy zasępionej, że coś mu dolega.

— Co to wam Wojtku żeście się tak zasumowali? — zapytał Michał podchodząc do Żurka.

— Czytali nam dziś rano w fortecy, że cesarz austryacki zrobił już z królem pruskim pokój i że jutro wszystkich nas wywiozą z Poznania na granicę austryjacką. Toć smutno mi że was będę musiał porzucić.

— Mocny Boże! — zawołała Hanka, toć wy Wojtku chcecie nas porzucić.

— Siedziałbym ja tu przy was moja Hanusiu, choćby i całe życie, ale cóż robić: starych rodziców nie godzi mi się porzucić, oni także potrzebują mojej pomocy. Wojtek trochę zamilkł a Hanka się odwróciła i fartuszkiem łzy obcierała co się do ocz cisnęły. Karczmarkowa pocieszała ją jak mogła ale nic to nie pomogło, dziewczyna rozpłakała się na dobre.

— Mój Panie Michale, zaczął znowu po chwili Wojtek, Bóg tak jakoś rządził, żeśmy się poznali na tej nieszczęsnej wojnie, przyjęliście mnie jak syna do waszej rodziny, to też należy się, abym wam szczerą powiedział prawdę. Spodobała mi się córka wasza Hanka, pozwólcie abym ją jako żonę zawiózł do wioski rodzinnej a rodzice moi przyjmą ją jak wyście mnie przyjęli i przygarnęli.

— Wiedziałem ja nie od dziś naco to się zanosi, odpowiedział z uśmiechem Michał. Niech się stanie wola Boża, widzę żeś pracowity i porządny, nie będę ci Hanki bronić. Bierz ją za żonę a Bóg niech was błogosławi.

Jaka była radość po tych słowach Michała to nie potrzebuję wam mówić. Jeszcze tego samego dnia wieczorem poszedł Karczmarek z Wojtkiem do Poznania, przedstawił się komendantowi fortecy i powiedział, że Wojtek nie pojedzie jutro na granicę, jeno zostanie jeszcze czas jakiś w Żabiskowie, bo się żeni z jego córką. Komendant wszystko to sobie zapisał, wydał Wojtkowi jego rzeczy i pozwolił mu odejść. Potem napisał jeszcze Karczmarek list do rodziców Wojtka, żeby się o syna nie troszczyli, bo on wróci za parę tygodni do domu i to nie sam ale z żoną, Wojtek także się dopisał na tym liście. Dopiero późno w nocy wrócili szczęśliwie do Żabiskowa, gdzie jeszcze Karczmarkowa z Hanką na nich czekały. Zaraz na drugi dzień dał Michał na zapowiedzi a za trzy tygodni wyprawił weselisko. A było to wesele, że długi czas w całej okolicy o niem mówiono. Cały dzień ochoczo się bawiono a wieczorem Karczmarkowie odprowadzili państwa młodych do Poznania. Pożegnali ich i pobłogosławili; oni zaś siedli na kolej i pojechali aż do Tarnowa. A ztamtąd to już tylko pół milki do rodzinnej wioski Żurka! Oj radość to była radość skoro starzy Żurkowie zobaczyli znowu swego kochanego syna i tak piękną synowę. Sąsiedzi z całej wioski zbiegali się aby ujrzyć młodą Żurkową, co gdzieś aż z pod Poznania przyjechała, a stara Żurkowa aż płakała z radości i co chwila sciskała to Wojtka to Hankę jakby się niemi nacieszyć nie mogła.

A. R.

Roznieś „Dzwonku“!

Mały „Dzwonek“, ale głośny
Wciska się do wiejskiej chatki,
A podźwięk jego roznośny
Uczy dzieci jednej Matki. —
Czasem tęskną łzę wydzwoni
Nad złym synem, lub niedolą;
Lub też dzwignie nieszczęść toni,
Gdy zwątpienia nas okolą.
Często błogą wieść rozniesie:
Więc pół naszych ty skowronku
Okolicznym w swym zakresie
Taką to wieść roznieś „Dzwonku“.

Ponad wstęgą naszej Wisły
Jest dwie wiosek jakby siostry;
Od lat kilku już tu prysły
I ciemnota, i zwyk ostry.
Teraz ludek tu pobożny,
I dość jasno już mu w głowie;
Przy trzeźwości też zamożny
Silny w duszy, wierny w słowie.
Kocha kraj swój, Ojców wiarę,
I co chowa nam nadzieja,
A w zasobów tychże miarę
Kocha swego „Dobrodzieja“.

Bo też jemu wszystko winni,
Co umieją i co czują,
I tutejsi i ościenni
Słuchają go i szanują
A we święto i w niedziele
Po mszy świętej i nieszporach
To niejeden spędza śmiele
Z nim chwileczkę w rozhoworach:
Czy po radę który przyjdzie,
Lub wstawienie się we dworze,
Czy pocieszyć, wspomódz w biedzie,
Zawsze z serca dopomoże.
Słowem pasterz to dusz wierny,
Sercem cały dla ludzkości.
Oby go Pan miłosierny
Chował dla was w szczęśliwości:
Dla was bracia z Mędzirzechowa,
Z Kupienina bracia mili
Niechaj Stwórca go zachowa,
Byście długo z nim tak żyli.

Więc roznieś to „Dzwonku“ mały:
Może podźwięk twój obudzi
Z takiem sercem i zapały
Więcej wiosek — więcej ludzi.

M. Nadwiślak.

Góry ogniem buchające.

Nie podobnem do prawdy wyda się niejednemu z was kochani czytelnicy, gdy napis powyższy przeczytacie; niejeden bowiem powie sobie: ot, przecież wiedziałem już rozmaite góry, a przecie żadna ogniem nie buchała, chyba to nie na naszej ziemi takie się znajdują. — Wiele jeszcze nie widzieliście, co się na ziemi naszej znajduje, a nie widzieliście dla tego, bo nie jeździcie dalej, jak do pobliskiego miasta, albo do sąsiedniej wioski, a takie góry są w obcych krajach, gdzie chyba bardzo bogaci albo uczeni ludzie podróżują. Takie góry są niejako kominami naszej ziemi, w której wnętrzu istnieje ogień.

Jeżeli z tym wewnątrz ziemi znajdującym się ogniem, zetknie się woda, która jakoby krew w żyłach przechodzi ziemię w różnych kierunkach, natenczas burzą się te dwa straszne żywioły i szukają otworu, którymby się na wierzch wydobyły. Czasem kończy się to na samem trzęsieniu ziemi, a dzieje się to wtenczas, jeźli mała ilość wody zetknęła się z ogniem, w przeciwnym razie, to jest, gdy wielkie źródło przedarło się do ognia, to oprócz trzęsienia ziemi pokazują się inne zjawiska straszne, które wam ten obrazek przedstawia. Jest to wulkan czyli góra ogniem buchająca, ale tu wyrysowana, jakoby na pół przeciętą była. Spojrzyjcie na obrazek: ten środkowy otwór, gdzie są litery b—b, nazywa się kraterem przez niego wyrzuca góra gruby słup popiołu, piasku, kamieni, i płyn ognisty nazwany lawą Te kółka podłużne coraz większe, oznaczone literami d – d, to wielka ilość pary wodnej, która natychmiast zamienia się w chmurę, co oznaczone literami c – c. W chmurze tej łyska się. jak to przedstawiają te kreski połamane. Podczas gdy ze słupa wybuchającego opadają na dół popiół i żużle oznaczone literami f—f, z chmury unoszącej się spuszcza się deszcz rzęsisty litera (a). — Bocznym otworem (g) spływa po spadzistości góry lawa i—i, paląca się, co te płomyki przedstawiają. Wszystko to dzieje się z wielkim hukiem i grzmotem, niemogącym iść w porównanie z burzami największemi, jakie się u nas w lecie przytrafiają. Ale na tem nie koniec, bo takie wulkany wyrządzają niekiedy wielkie spustoszenia. — Jedna z takich ogniem buchających gór czyli wulkanów, znajduje się we Włoszech i zowie się Wezuwiusz. Jeszcze po dziś dzień wybucha on od czasu do czasu, ale najokropniejszy wybuch jego był przed tysiąc ośmset laty: zasypał on bowiem kamieniami popiołem i nakrył lawą, dwa blisko niego leżące natenczas miasta, Herkulanum i Pompei. Najmniejszego nie było śladu, gdzie się te miasta znajdowały; przypadkiem dopiero przed kilkudziesięciu laty natrafiono na miejsca, i zaczęto robić podziemne poszukiwania. Ma się rozumieć, że z ciał ludzkich ślady tylko pozostały gdyż ogień wszystko poprzednio spalił, a popiół gorący przysypał. Znaleziono różne kosztowności sprzęty domowe i wiele innych rzeczy.

Tu wspomnieć wypada, jak sobie to zjawisko straszne tłómaczyły starożytne pogańskie narody a mianowicie Grecy i Rzymianie. Wierzyli oni bowiem we wielu bogów, którzy ciągle ze sobą prowadzili walkę; więc miał jeden potężny bóg pokonać drugiego i rzucił go pod ziemię przywalając go odłamem



Góry ogniem buchające.

wielkiej skały. Ale ten bożek nie zginął tam, bo jak wierzono, był nieśmiertelnym, więc skoro się tam poruszy, to powstaje trzęsienie ziemi, a jak zacznie oddychać, wtenczas wyrzuca góra ogień, popiół, kamienie, jak to na początku było opisane. Przyczyną tak wierótnej baśni był brak wiedzy i nauki, bo chociaż te narody na swój czas były wykształcone, jadnakowoż nie potrafiły jeszcze zbadać przyczyn wielu zjawisk natury.

Widzicie zatem, kochani czytelnicy, jak to jest potrzebną nauka, że z niej nietylko pożytek mamy, ale nadto zaspokojenie ciekawości w wielu przypadkach życia, — nauka wytłómacza wiele zabobonów, jakie sie między ludźmi przez nieświadomość szerzą.

Elżbieta Jaraczewska z Krasińskich.
matka ludu.

Kraina polska miała z dawien dawna pobożnych i litośnych panów i panie tak samo dobre, które pamiętały o chłopkach. Choć z bogatych dworów wyszły, choć był dla nich wielki majątek na życie, przecież kochały kmiotków, a majątek obracały dla dobra i szczęścia tej wsi, gdzie się urodziły i wychowały.

Do takich dobrych i litośnych pań liczy się także Elżbieta Jaraczewska z Krasińskich. Ojcowie jej byli bogaczami koło Warszawy, byli hrabiami i nazywali się Krasińscy. Urodzona roku pańskiego 1792, kiedy to moskale kręcili Polakami, jak szewc skórą, a bardzo wielu Polaków wierzyło na ślepo cyganowi moskalowi, niedoczekała się szczęścia, bo niedługo zabrali moskale i prusak dużo kraju polskiego i podzielili się niesprawiedliwie jak swojem. Do tego zmartwienia przybyło jeszcze i to, że od urodzenia, choć była bogatą, niebyła urodliwą, ani nadobną. A jakto bywa na świecie, że więcej uważają światowi ludzie na powierzchowność, na urodę niż na serce i sumienie, i gonią poniemądremu tylko za dukatami i urodą a niepatrzą na duszę, jaka w kim jest, tak też i ta panna Krasińska bogata ale nieurodliwa, nie mogła sobie wiele obiecywać od światowych paniczów:

Dobrzeto i mówią starzy ludzie:

„Komu niedopisze uroda, ten się nie każdemu spodoba. A jeżli kto i bogaty a do tego garbaty, to choćby miał i świętą duszę, to go ludzie nie ruszą, ani go znają ani o niego dbają“.

To wszystko sprawdziło się na pannie Krasińskiej. Była ona bogatą, miała serce litośne, duszę pobożną, ale kiedy brakło jej urody, za to też ludzie światowi bardzo mało na nią zważali i nigdy o niej nie gadali, chyba aby ją wyśmiać. Z tej to przyczyny postanowiła sobie pójść do klasztoru i tam w cichości służyć Bogu z daleka od zabaw i zbytków światowych. Ale inaczej zrobiła. Dumała sobie tak: „I w klasztorze i na świecie można Bogu służyć — ale osiąść na wsi i dla ludu oddać całe życie, a majątkiem, jaki mi Bóg dał, do oświaty

i zbawienia tysięcy ludzi się przysłużyć, to znowu znaczy u Boga więcej, niż żyć i umierać za murami, całe dnie i noce zajmować się modlitwami.“

A gdy jeszcze doradzili jej rozumni księża, że na wsi może ona sto razy więcej dobrego zrobić, jak tylko szczerze i ochotnie zechce, niż w klasztorze zamknięta, od tej chwili postanowiła zostać matką dla ludu.

Teraz głupi świat z wszystkiemi wymysłami i zbytkami mało ją obchodził, bo miała szczęście całe w duszy gotowe, które miała rozdać ludowi tej wsi, gdzie się urodziła; ani też nie stała o to, czy paniczyki o nią dbali, bo czuła w sercu swem tą radość jaka ją miała spotkać na wsi od prostaczków za to dobre, co dla nich uczyni. Napisała list do proboszcza swej wsi, aby za jej pieniądze fundował szpital dla dziadków i babek i dla sierot. A gdy szpital był gotowy, napisała drugi list, aby za jej pieniądze fundował szkołę dla nauki dzieci wiejskich, a znowu na książki różne wysypała sumy i te książki posłała z Warszawy na wieś prosząc proboszcza, aby o tych książkach pamiętał i ludowi do czytania rozdawał. Zgodziła lekarza w Warszawie i tego posłała na wieś swoją, aby darmo ratował chorych. Tak więc stanęły w jej wsi trzy rzeczy zbawienne dla ludu: szkoła z biblioteką dla ludu, szpital dla staruszków, sierot i kalek, doktor dla ratowania wszystkich chorych, a we dworze stanęła apteka z ziołami, kwiatami suszonemi. Teraz dopiero przyjechała sama do wsi. Nigdy niezapamiętała takiej radości, jaka ją spotkała przy dworze, gdzie ją cała gromada z łzami i ukłonami witała i wychwalała i do Boga za nią prośbę słała Nigdy w Warszawie nie doznała w duszy swej takiego szczęścia, jakie ją spotkało pierwszy raz w życiu przy dworze wiejskim, toż dziękując swemu proboszczowi za robotę skończoną powiedziała mu z płaczem:

„Na świecie pańskim nie znali mię bogaci przez 24 lat mego życia, a za dwa roki poznały mię tysiące ludu—panicze nie znali mię, bo nie dał mi Bóg urody; a prostaczkowie poznali dorazu moją duszę dla nich oddaną. Taki to świat!“

Teraz dopiero zaczęła żyć boskiem i polskiem życiem. Bywała w kościele i klęcząc lub siedząc razem z ludem przed

ołtarzem, modliła się szczerze i prawdziwie tak, jak się lud wierny modli. Pilnowała szkoły i razem z proboszczem swoim uczyła dziatwę wiejską prawd religii, moralności, zasad dziejów i geografii ojczystej, robot ręcznych i t. d. a gdy siedziała w środku dziatwy mówiła do proboszcza:

„W Warszawie na żadnym balu i widowisku nie czułam tego szczęścia, jakie mam tu w tej izbie szkolnej.“

Odwiedzała szpital, a kiedy tam weszła, wszyscy dziadkowie, babki i sieroty za niemi całowali jej ręce i zlewali łzami.

W każdym przytrafunku miał lud od niej poratunek i słowa pociechy i nazywał ją anielską panią, prawdziwą matką, niewidzianą dziedziczką i dodawał, że taka pani nie była tu ani przejechała przez wieś.

Powiadadają znowu mądrzy ludzie tak:

„Tak mamy jak sobie sami zarobimy i u Boga wyprosimy.“

Tak się do słowa stało i z panną Krasińską! Przeżyła już 30 lat na świecie i ani pomyślała o wyjściu za mąż. Ale niewszyscy jednacy na świecie! są dobrzy, którzy wolą sto razy prędzej dobre serce, niż majątek z urodą a bez Boga, a znowu jest takich dużo, u których majątek i uroda wszystko znaczy, choćby w duszy brakło Boga. A na wieki zostanie to prawdą, że serce i dusza dobra stoi za wszystko. Otóż i panna Krasińska, dość podeszła w latach i nieurodliwa, ale za to uczciwa i zasłużona, znalazła dla siebie uczciwego i w kraju zasłużonego męża, — był nim dobry Polak, wysłużony i w wojnach pamiętny wojak pan Jaraczewski. Gdy się wydała za tego uczciwego pana, oddała mu zarząd całego gospodarstwa, a sama pilnowała szczęścia i zbawienia ludu swego. Co jej czasu zbyło to czytała książki mądre, aby lepiej poznać Boga, świat i ludzi na nim, a potem znowu pisała sama z swojej głowy mądre książki dla matek polskich, jak mają wychowywać dzieci pańskie po dworach i dzieci wiejskie aby stąd była chwała dla Boga i kraju, aby w krainie polskiej byli mądrzy i uczciwi panowie, w miastach tacy sami mieszczanie a znowu po wsiach mądrzy, trzeźwi i uczciwi polscy chłopi.

Jedna jej książka, przez nią napisana, ma na pierwszej kartce taki napis: „Emilia i Zofia“; w niej popisała ona takie rzeczy mądre, które ma każda matka znać, jeżeli chce wychować córki, jak bądź im na imię czy Zosia, czy Kasia i t. d. A znowu druga jej książka ma taki napis zaraz na początku: „Wieczór adwentowy“; w niej znowu mają sobie dzieci w długich wieczorach, jak na ten przykład w czasie Adwentu św., odczytywać, jakto źle, kiedy dzieci nie chcą rodziców słuchać. Dlatego nazwała ona tę książkę: „Wieczór Adwentowy“ żeby ją dzieci czytały w Adwencie, kiedy dzieci nie mogą biegać ale muszą w izbie ciepłej siedzieć — aby więc nie krzyczały nie zbytkowały na kupie, ale aby się uczyły, a po nauce, aby sobie czytały i ojców słuchać się nauczyły. Z takiego ciągłego czytania i po wieczorach pisania, z takiej pracy ciągłej w szkole wiejskiej przyszło do tego nieszczęścia, że ta pani Jareczewska aż oślepła. Co to tam było płaczu na wsi, ile modlitw w kościele o jej uzdrowienie! Kobiety ze wsi szły rojem do dworu, aby z ciemną panią coś zawsze rozmawiać, coś nowego jej opowiadać, po całych nocach pilnowały swoją matkę, aby sobie nieprzykrzyła ale doradzili jej ludzie, aby wyjechała do miasta i tam się ratowała jeszcze.

Do Warszawy nie było poco jechać, bo tam moskale strasznie wydziwiali, a zresztą wybuchło powstanie w Warszawie roku pańskiego 1830 w sam dzień św. Jędrzeja i zaczynała się straszna wojna z moskalami, więc przyjechała ona do Krakowa i tu została. Mąż jej poszedł na wojnę i umarł tam. Została teraz sama jak sierota, daleko od swojej wsi ulubionej, daleko od tego ludu który ją kochał jak matkę i tak się zatrapiła i zagryzła z tego, że dostała na piersiach strasznego wrzodu, co to nazywają rakiem i tak pojednana z Bogiem umarła 2 dni przed św. Michałem roku pańskiego 1832 W Krakowie leży pochowana.

A wy, co to czytacie, westchnijcie do Boga za jej duszę i proście Boga, byście wszędzie takie panie po dworach mieli, a gdzie macie takie, to szanujcie, słuchajcie, bądźcie im wdzięczni, i dziękujcie Bogu wstając i legając za takie dobrodziejstwo dla was i waszych dzieci. Żyjcie zawsze z Bogiem i pamiętajcie żeście Polakami i chrześcianami. *Ksiądz Wojciech z Zaleszan.*

Co nas wojsko kosztuje?

Oto kochani czytelnicy, jak to wam wiadomo znowu mamy wojnę wprawdzie nie w naszym kraju, lecz w kraju Francuzów których za swych przyrodnich uważamy braci. Znowu huczą armaty i gwiżdżą kulki, a tysiące i tysiące ścielą się na ziemię. Ktoby mógł zmierzyć krew, co tam z ran popłynęła? Kto policzy poległych, co zdaleka od rodzinnej zagrody w mroźnym grobie śpią snem wiecznym? Kto policzy wdowy, co sobie włosy wyrywają z rozpaczy? Kto wie, wiele sierót, pozbawionych ojców, umiera z głodu? Kto wreszcie policzy szkody, jakie biedaczyska Francuzi od Niemców ponieśli?

Oj możnaby liczyć i liczyć, liczyć długie lata, a nie naliczyłby, wszystkich chat, domów i budynków pogorzałych, nie naliczyłyby zagonów stratowanych i nie policzyłyby szkody po fabrykach, które wynikły z tego, że robotnicy dźwigają karabiny, i strzelają bliźniego, i dają się od niego zabijać.

Toż to najlepszą krew i najtęższych parobczaków każda wojna nam zabiera, biorą ich do wojska, a tylko chory albo kaleka w domu zostaje. A kaleka albo chory czy zorze i zasieje dobrze pole? Gdzie tam! — Czy chory i kaleka będzie dobrym rzemieślnikiem? — Nie. — Otóż widzimy, jakie to szkody nam te wojny wyrządzają! Nasze pola nie wydają tyle zboża, wiele wydać powinne; — fabryki nie mogą się utrzymać, bo nie ma tęgich robotników; — rzemieślnik także się nie ma dobrze i dobrego towaru dawać nie może, bo albo chory, albo kaleka, albo ma tyle roboty, że ją lichą kupcom daje. Ot i bieda. Gdyby był pokój moglibyśmy lepiej i swobodniej żyć, bobyśmy się nie bali, że tam nam brata, albo ojca, albo syna zastrzelą, mielibyśmy w gospodarstwach dobrego robotnika. A cóż się dzieje gdy wojna wybuchnie? — Wiele to kosztuje to utrzymanie wojska już jak wojny nie ma? — Jeden uczony pisarz nazwiskiem Engel, policzył wiele nam z tego wyrasta szkody. Oblicza on, że państwa w Europie, (t. j. w tej części ziemi, gdzie my mieszkamy,) rocznie na utrzymanie wojska w czasie pokoju wyznaczają 812 miljonów talarów t. j. na nasze pieniądze 1218 miljonów reńskich. Każde

państwo znowu nie ma tyle pieniędzy, ale aby odeprzeć wojskiem nieprzyjaciela, robi długi — ale jakie długi! I płacą potem lichwę a to wszystko kto musi zapłacić? Oto: Lud! — I nakładają podatki, a do podatków dodatki, a do dodatków znowu dodatki i ubożeją wszyscy na to, aby pan wojak miał bliźniego czem zabić, aby miał mundur i. t. d. — same procenta cd tych pieniędzy, co to na wojsko w Europie państwa popłaciły, wynoszą 207 milionów talarów, czyli 310 miljonów reńskich. A jak do tego dodamy 898 miljonów talarów t. j. 1347 miljonów reńskich które narody tracą przez to, że ci, którzy w wojsku służą, nie pracują i nie zarobkują, to widzimy, że nasza część ziemi czyli Europa wydaje to jest traci na wojsko w czasie pokoju rocznie tysiąc sześć set pięćdziesiąt siedem miljonów reńskich! — I czemu to my musimy tyle płacić i tracić? — Bo mamy, moskiewskiego cara, pruskiego króla w Europie, którzyby chcieli nas wszystkich razem połknąć i nad nami zapanować, a my musimy być do obrony naszego kraju gotowi. Chcieliby oni podzielić się całym światem aby potem panować; a ponieważ i ich poddanym przykrzy się ciągle płacić i opuszczać dom i rodzinę, aby bić bliźniego, nie wiedzieć za co, to robią ich żołnierzami, a tym nie wolno mówić: „Nie chcę się bić“ bo kulką w łeb. Dlatego to nam coraz się gorzej dzieje i coraz więcej ubożejemy. Ale, da Bóg Najwyższy, że i im końca dojedziemy kiedyś i swobodniej zaczniemy oddychać *Mańko ze Stryja.*

Rozmaitości.

Piękny przykład. Od włościanina z wioski Tuszowa w powiecie Mieleckim otrzymaliśmy list, który wam przedrukowujemy jako przykład jak to ludek nasz polski z własnej ochoty i woli poczyna szkoły stawiać i o oświatę się starać. Oto co nam pisze: „Ja pracowity wieśniak chciałbym waszego pisemka zażyć, które już lat kilka piszecie, i słyszałem o niem, i czytałem niektóre numerka, ale że w naszej wiosce jeszcze niebyło to pismo wasze, ponieważ nie mamy tu ani takich panów, ani księdza, więc niema nam kto przewodniczyć w dobrem· Niemamy także jeszcze

nauczyciela stałego, bośmy dopiero w upłynionym roku odcięli się od szkoły niemieckiej, a teraz będziemy budować u siebie i oświata do naszej wioski zawita. Ja zaś ze swej strony chce mieć Dzwonka dla siebie i moich dzieciaków, i dla tych którzy będą chcieli korzystać z tego pisma. Przeto proszę przesyłać mi to pisemko. Bywajcie mi zdrowi w tym nowym roku, i piszcie w szczęściu Dzwonka. Tomasz Kłoda, gospodarz gruntowy w Tuszowie."

Niechże wam, bracia kochani, posłuży ten przykład ku zachęcie; nie oglądajcie się i nie czekajcie, aż tam ktoś o was pomyśli — sami o sobie radźcie, o oświecie własnej i dziatek waszych, — nie skąpcie grosza na szkoły, bo ze szkoły tylko dobro na was spłynąć może. Gdzie szkoły nie ma, złożyć się, kupić grunt, jeżeli nie ma poczciwca, coby go darmo dał — ten co ma drzewo, niech da, ten niech da konie do zwiezienia, ten trochę grosza, ten niech da pracę rąk swoich przy budowie, i ot stanie szkoła. Gdzie wieś biedna, niech się łączy z sąsiednią; gdzie trudno o osobny budynek, użyć bodaj chatę większą, a koniecznie szkołę mieć u siebie. A koniecznie bracia wieśniacy, na nauczyciela dać baczenie, aby był człowiek stateczny, poczciwy, rozsądny, — odżałować parę reńskich na rok więcej byle był nauczyciel lepszy, co to i nauczy dzieci wasze, i do cnoty a uczciwego życia ich naprowadzi. Już to najlepszy ten, co z was wyrósł, bo ten najlepiej was zna i najserdeczniej około dzieci waszych będzie pracował.

Tym zaś, którzy mimo upominań rządu i dobrych ludzi, na szkoły łożyć niechcą niech na wstyd i sromotę posłuży przykład gminy Tuszowskiej.

Z Rosochowaćca. Tu zamieszkały i przez okoliczne obywatelstwo ogólnie szanowany p. Dymitr Mochnacki, został w r. 1869 przez Wydział powiatowy podhajecki tymczasowym szkolno-powiatowym inspektorem wszystkich szkół całego powiatu podhajeckiego mianowany, i jako taki przez Wys. Radę szkolną krajową potwierdzony.

Owoż mąż ten ślicznie zabrał się do dzieła — w szczególności zaś, szkoła tutejsza doznała ze strony p. inspektora Dymitra Mochnackiego, wielkich dobrodziejstw; bowiem zaraz w r. 1869 zakupił własnym kosztem bibliotekę ludową i zaprowadził dla dzieci szkolnych i owych co szkołę już pokończyły, bezpłatną wypożyczalnię. Zacny ten mąż nie tylko że dzieciom niczego nie odmawia, lecz owszem sam zachęca do brania książek ile i jakie chcą rozmawia z niemi mile i po przyjacielsku, nadto rozdaje im różne obrazki, papier, kałamarze atrament itp. Przed pięćma tygodniami powiedział ten zacny mąż: Dziatki! nie mam już dla was książek, jużeście wszystkie poprzeczytywały. Posmutniały dzieci, lecz nie mogły czy nie chciały znaczenia tych słów zrozumieć. Zachęta poszła

w zwyczaj a zwyczaj w nałóg. Owoż przed czterma tygodniami dzieci swoim zwyczajem biegały po książki w niedzielę, poniedziałek, wtorek i środę, powracając smutni, bo nie ma i nie ma pana inspektora; lecz uciesze nie było już końca, gdy we czwartek poprzychodziły do szkoły mówiąc: Pan inspektor przywiózł dwie pak nowych książek, ciesząc się i pokazując wypożyczone.

Cześć Ci szanowny i zacny Mężu za takie Twe przywiązanie do dziatek — Cześć Ci za takie rozbudzanie ducha w podniesieniu oświaty ludowej. — Wiem iż czyniąc dobrze nie potrzebujesz tego rozgłosu, lecz pozwól mi spełnić mą powinność — składając Ci w imieniu czytającej młodzieży i ich rodziców — publiczne podziękowanie. — Również składam publiczne podziękowanie Wielebnemu ks. proboszczowi Skurskiemu za łaskawe udzielanie szkole czasopism ludowych.

Karol Jabłoński.

Z górnego Szląska. Bracia nasi Szlązacy, zarówno jak my kochają naród francuzki. Wielu Francuzów, których wzięto w niewolę są rozkwaterowani w górnym Szlązku, gdzie przez niestaranność Niemców głód i nędzę cierpią. Otóż we wsi Racławicach także nędzę i głód cierpieli biedni Francuzi. Dwoje dziewcząt polskich patrzały na tę biedę ich, i ulitowały się nad nimi. Przebrały Francuzów w cywilne suknie i przeprowadziły biedaków, przez austryacką granicę. Nieszczęściem rzecz się odkryła i Niemcy schwytali poczciwe dziewczęta. Niedość na tem, że dziewczęta zamknięto do aresztu, ale przez drogę niemki z Głogowa jeszcze z biedaczek nadrwiły. Taka to sprawiedliwość u Niemców.

Złote ziarna.

Za to, co Bóg udzielił, oddawaj mu dzięki,
A na cudze nie ściągaj, ni myśli — ni ręki.

Przysłowie mówi słusznie, choć niełądnie,
Że kto kłamie, ten i kradnie.
Abyś więc w rękach był wstrzemięźliwy,
Miej naprzód język prawdziwy.

Kto oszukuje drugich słowem albo czynem,
Oszustem jest, i niewart zwać się chrześcianinem.

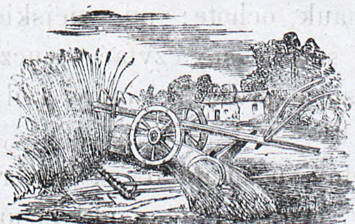
Redaktor odpowiedzialny Kazimierz Okaz. — Wydawca Stanisław Justian.
Z drukarni E. Winiarza we Lwowie.

Tom III. 11. Lutego 1871. Nr. 5.

Rok dwunasty.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Uczciwość nagrodzona.

(powiastka.)

Antoni Skiba był niezamożnym gospodarzem we wsi Konopkach w ziemi krakowskiej. Niezamożnym był, ale bardzo pracowitym, trzeźwym, starannym a nadewszystko uczciwym Na majątku Bóg mu nieposzczęścił, — dał mu za to serce dobre, wesoły umysł, ręce zdrowe i do pracy ochocze, a czegoż więcej do szczęścia potrzeba? Chatę po ojcach dostał staruszkę co to mchem porosła, aż zielona cała, do ziemi się przykłoniła — ot ze starości. Niestało go na nową chatę, więc jak mógł ponaprawiał, dach poszył na nowo, ściany drągami podparł i zamieszkał z żoną swoją. A jużto żonę dostał, że pozazdrość mu bracie. Ani zrzędna, ani złośliwa, ani sekutnica; — gospodarna, rażna, kochająca — jej tylko mąż i gospodarstwo w głowie, o hulance i zabawie — choć młoda i piękna, ani pomyśli. I Bóg błogosławił tym dobrym ludziskom — przy pomocy boskiej a szczerej pracy, choć skąpo i ubogo, przecież nieźle im się wiodło. A gdy za parę lat kilka zdrowych dziatek im się narodziło, to już Antoni prawdziwie był szczęśliwy. Bo jużto dzieci zdrowe a dobre, to dar boży. I pomoc z nich i jakoś radość większa w domu. Człowiek bardziej wie, że

dla kogoś pracuje, i ta praca od serca mu idzie. Jedna tylko myśl smuciła Antoniego. Najstarszy chłopak jego Janek, wielką miał do nauk ochotę; od wiejskiego nauczyciela jak z bicza trzasł, tak szybko się czytać wyuczył, i pisał nie źle, — a wciąż ojca prosi a prosi, że onby rad dalej i więcej się jeszcze uczyć.

Ojczysko biedny posmutniał na to; radby syna w świat pokierować, kiedy ma taką do nauki ochotę i zdolność; a tu ani rusz, nie ma o czem. W głowę zachodzi i duma, a nic wynaleść nie może. Tu ledwo na życie starczy przy mocnej i wielkiej pracy — ani grosza jednego nie ma zbytniego — skądże wziąć pieniędzy na wysłanie syna do szkół miastowych?

Jakoś Bóg czuwa nad poczciwymi i nadspodziewanie nieraz zsyła pomoc. Tak i tu się zdarzyło. Janek poszedł raz rankiem do nauczyciela drugiej wioski aby mu pożyczone książki odnieść i o nowe poprosić. Nauczyciel przyjął go mile jak zwykle, wypytywał, czy mu się książeczki podobały, czy rodzicom na głos czytał, lub też opowiedział im co tam w książce stoi; pogadał o tem i owem; — w końcu zadowolony z Janka dał mu nowych książek. Janek szczęśliwy pocałował w rękę pana nauczyciela i puścił się do domu. Idzie przez drogę i nie patrzy na nic, tylko książkę otworzył i czyta, i rozpatruje ładne obrazki w tej książce. Taki zajęty, że nic nie słyszy ani widzi. A tu po obu stronach gościńca ptaszki cudnie spiewają — tu dziadek ciemny ciągnie gościńcem — tu znowu przeleciał na bystrym koniku pan jakiś a za nim sługa. Janek ani patrzy, ani słucha. I byłby tak zaszedł do domu samego, gdyby mu nic nie było przeszkodziło. Raptem potknął się na czemś, i książka mu wyleciała z ręki. Spojrzał a oto nie na kamieniu lub pniaku, lecz na jakiejś torbie skórzanej się potknął. Zdziwił się niepomału; — pierwszą myślą była ciekawość; podnosi torbę i patrzy, ładna skórzana z pięknem wyszywaniem, a nadewszystko jakaś ciężka bardzo. Już go chętka brała otworzyć i zajrzeć do środka, — ale się opamiętał, myśli: "to ktoś widno zgubił, co mi do tego co tam w środku jest, trza oddać przedewszystkiem. Rozgląda się naokoło, a tu żywej duszy nie ma. Pomyślał chwilę, schował

torbę pod płótniankę, i puścił się ku najbliższej karczmie. Duma sobie, że jeżeli to podróżny jakiś zgubił, to go może w karczmie zastanie. Ale w karczmie prócz żyda i bachorów, żywej duszy nie ma. Poczyna wypytywać żyda, żydzisko wypatrzył się na niego, i coś się począł domyślać. Byli u niego przedtem podróżni i nocowali; rankiem odjechali. Ztąd żyd począł miarkować coś. Ale Janek nie głupi, żadnem słówkiem się nie zdradził. Wyszedł z karczmy i myśli co dalej począć Ha — trza naprzód ojcu powiedzieć, mruknął sobie, i poleciał do chaty ojca. Ojciec oglądnął torbę, kazał sobie opowiedzieć gdzie była znalezioną, i zabrawszy Janka poszedł do urzędu gminnego drugiej wsi. Tam przy świadkach otworzyli torbę. Wielkie było podziwienie wszystkich, gdy znaleźli dużo złotych pieniędzy jakiegoś nieznanego kraju, — przytem różne papiery zapisane obcym językiem, niezrozumiałym dla nich, ale nigdzie śladu, po którymby można właściciela dojść. W końcu wyleciał z torby złoty krzyżyk. Krzyżyk był kamieniami drogiemi wysadzany, a w pośrodku napis: „Boże zbaw Polskę!“ rok 1831 i litery F. M. Z drugiej strony wprawiony mały obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej. Stary jeden wieśniak krzyknął z podziwu zobaczywszy ten krzyżyk.

— „Na miłość Boga — tać to krzyżyk nieboszczki naszej dziedziczki, świeć Panie nad jej duszą! — Wszak pamiętam, jak go zawsze nosiła, gdym służył we dworze. Chodźmy do starego jegomości, to pewnie on musiał zgubić.“

Wszycy zebrali się i poszli do dworu, wraz z Antonim i synem jego Jankiem. Właściciel wioski, pan Tadeusz Mycielski, byłto zacny starowina. Od wielu lat owdowiały, wiecznie siedział w swoim dworze, zawsze smutny, zamyślony, i nigdzie prawie nie wyjeżdżał. A o smutku jego dziwnie ludzie prawili a mało kto wiedział przyczynę. Kochał swój ludek, pomagał słowem dobrem, radą, pieniądzmi, ale zawsze był jakiś zadumany. Bywa po skończonych żniwach, na dożynki do niego wesoło spieszy gromadka żeńców, — on przyjmie, obdaruje, i stół zastawi suto, i muzykę każe sprowadzić, a prosi, a woła: wesoło, dziatki moje, bawcie się, siadajcie, tańcujcie. . . Ale sam smutny, pogada ze starymi gospodarzami, wnet łza mu się

w oku zakręci, i zaraz ucieka. Na święta ludek sprasza do siebie, — żadnego wesela ani chrzcin we wsi nie pominie, — wyposaży, obdaruje, za najlichszym na pogrzeb spieszy, zawsze z ludkiem swoim, ale zawsze smutny. To też ludzie nazwali go smutnym jegomością i kochali go całem sercem. Bo jużto ludek nasz polski dziwnie poczciwy a serdeczny ponad wszystkie inne na świecie. Jakeś wesół, to zabawi się z tobą ochoczo; gdyś w potrzebie, poratuje cię; gdy wejdziesz do chatki, to ostatni kąsek chleba z tobą podzieli, własną pościel ci ustąpi, ale gdy smutek w tobie ujrzy, lub łzę w oku obaczy, o to go zaboli i za serce ściśnie, — żeby to serce wydarł i dał ci jego połowę, on by wszystko dał, aby ci żałoby ująć. Widziałem na własne oczy, jak przed dwoma laty w Krakowie na pogrzebie zwłok wielkiego króla naszego Kazimierza Wielkiego, co to był królem chłopków naszych, ludek nasz z tej i z tamtej strony Wisły rzewnemi płakał łzami! Biedacy bracia nasi, co to pod Moskalem, to w nocy, ukradkiem, Wisłę przepłynęli, a na pogrzeb do Krakowa przyszli, aby być przy pogrzebie króla swego, i zapłakać na jego grobie, i braci swych z tej strony Wisły obaczyć — i pogadać o biednej ojczyźnie naszej Polsce, matce naszej nieszczęśliwej. Taki to serdeczny lud nasz, taki miłościwy, i tego serca żaden wróg mu wydrzeć nie zdołał. Bo serce dobre, to z ojców na synów i wnuków idzie. i jak złoto nigdy nie rdzewieje, i przez wieki przetrwa.

To też jak go ludzie zwali smutny jegomość ukochał braci swych chłopków, i z nimi jednymi tylko żył. Uradowało go niepomału, gdy ujrzał, spieszącą gromadkę do swego dworu. Pomyślał, że pewnie z interesem do niego, i naprzód był kontent, że im będzie mógł pomódz.

Przychodzą wszyscy z wójtem na czele. „Niech będzie pochwalony“ rzekła gromada; „na wieki wieków“ odrzekł pan Mycielski, „a cóż mi przynosicie, kochani ludziska?“

Wójt pokłonił się, pocałował pięknym polskim zwyczajem jegomości w ramię, położył na stole znalezioną torbę, i rzekł:

— „Ze znaleźnem przyszliśmy, proszę jegomości, — o ten chłopczyna Antoniego Janek znalazł tę torbinę, i oddał

nam do urzędu gminnego. Otóż przejrzeliśmy torbę, przerachowali pieniędze, co tam są, i papiery obce, i krzyżyk złoty opatrzyli. Stach stary z boru powiada, że ten krzyżyk dworski, otóż i przynieśliśmy do dworu.“

— „Nie, kochani moi, odrzekł pan Mycielski, tej torby nie znam, i jej nie zgubiłem. Odeszlijcie do powiatu, to może właściciel się znajdzie. A Janek ją znalazł, powiadacie, który to Janek?“

— „Ot ten z sąsiedniej wioski, z Konopek, syn gospodarza Antoniego, co tak stoi i aż zarumienił się.“

— „Poczciwy chłopczysko, rzekł pan Mycielski, a bo to i ojciec jego poczciwy. Dziękujcie Bogu Antoni, że syn w was się wdał...“

— „Ależ bo, proszę jegomości, rzekł znowu wójt, powiada Stach stary z boru, co tu dawniej sługiwał we dworze, że to w tej torbie, taki krzyżyk nieboszczki pani...“

— ... Co... krzyknął pan Mycielski, to być nie może! pokażcie!

I zerwał się starowina na równe nogi, i przyskoczył do torby. Tymczasem wójt otworzył torbę, i wyjął krzyżyk. Stary pan skoczył, stanął jak wryty, i patrzy i patrzy.

— „Święty Boże! mocny Boże! — wykrzyknął w końcu — wszak to krzyżyk mej żony — krzyżyk syna mego! Ha gdzieście to znaleźli — w którem miejscu? Mówcie na miłość Boga!“

Janek popchany przez ojca, przystąpił do starego pana, i opowiedział całą rzecz, jak się miała. Pan Mycielski słuchał nadzwyczaj zajęty, — w końcu zniecierpliwiony zadzwonił na służącego.

— „Hej konia mi osiodłać! krzyknął co najżywiej, — nieinaczej, ten który tę torbę zgubił, musiał do Krakowa pojechać... ja go znaleść muszę, odkryć muszę, i o wszystkiem się dowiem...“

Wieśniacy przytomni patrzyli z podziwem na swego pana. Pojąć nie mogli, zkąd naraz takie życie w niego wstąpiło. Konia wnet osiodłano, i stary pan wyleciał w podwórze, wsko-

czył w siodło i pognał co żywo drogą do Krakowa. Zdumieni wieśniacy gawędzili między sobą różnie, w końcu wyszli z dworu i zaczęli się rozchodzić, każdy do swej chaty. Torbę z pieniądzmi zabrał wójt ze sobą — krzyżyk złoty pan wziął i do Krakowa z nim poleciał. Przez następne dnie gromada o niczem nie gadała, tylko o znalezionej torbie, o złotym krzyżyku, o starym panu i jego nagłym wyjeździe. Nikt się niczego domyślić nie mógł, każdy inne robił przypuszczenia. Jeden tylko stary Stach z boru mruknął to i owo, i kiwał poważnie głową, ale, mimo że go wszyscy wypytywali, on słowa nikomu nie powiedział. W końcu znudzony ciągłemi pytaniami, zamknął się w swojej chacie, i raz na dzień tylko wylatywał do dworu, spytać czy stary pan jeszcze nie wrócił.

Wójt ogłosił po wszystkich drogach i karczmach o znalezionej torbie, ale minęło dwa tygodni, a nikt się nie zgłaszał. Chciał do Krakowa dać znać, ale pomyślał, że lepiej zaczekać powrotu pana, i jego się poradzić. I bardzo dobrze zrobił, jak to się o tem wnet przekonamy. C. d. n.

Krzyż boski.

Gdy chcesz ze ziemi.
Myśli tęsknemi
Wzlecieć o pomoc w zwyż,
O! to schyl skronie
Niech cię owionie
Swą łaską boski Krzyż!

W sercu, gdy snadnie
Troska się wkradnie
Duszę z pokorą zniż,
Z dziecka miłością
I uległością
Weźm na się boski Krzyż!

Nawet gdy dusza
Łzy poobsusza.
Wśród błogich spocznie cisz,
Na szczęścia kwiecie,
A jednak przecie
Miej w myśli boski Krzyż.

Na polu chwały
Gdy wśród nawały
Zagrozi piersiom spiż,
W Matki obronie
Nawet przy skonie
Wesprze się boski Krzyż.

W srogiej niewoli
Choć serce boli,
Rozpaczą jednak nie grzesz:
Bo za cierpienie
Daje zbawienie
Cierpiącym — boski Krzyż.

Że Krzyża ramię
Potęgę złamie
Temu statecznie wierz,
I w Ojców chwale
Znowu wspaniale
Zajaśni boski Krzyż.

M. Nadwiślak.

Lew.

Lew należy do rodzaju kotów. Jak lew wygląda to zapewne wie każdy, bo bardzo często można go zobaczyć wymalowanego, zresztą tu go na rysunku podajemy. Jest on z najsilniejszych zwierząt, a że do tego bardzo dumnie zawsze spoziera i poważnie chodzi, a przytem pięknie wygląda, nazwali go ludzie już od bardzo dawna królem zwierząt i wiele o nim bajek napisali, jak on sądzi inne zwierzęta, jak je karze i inne historye, co wszystko bajką jest, jak wspomnieliśmy. Lew bywa od głowy do ogona 5 do 6 stóp długi, a na 3 stopy wysoki. Sam ogon bywa na 3 stopy długi i jest gładki, tylko na końcu ma gruby kosmyk włosów, jakby miotłę sporą. Głowa jego jest wielka i okrągła i zawsze do góry zadarta. Od głowy do połowy ciała ma długie włosy a reszta ciała jest gładka. Samica i młode zawsze są gładkie, to jest że krótkie włosy mają. Maść lwa bywa żółtawa. Jest ich więcej gatunków, a wszystkie prawie żyją najwięcej w części świata nazwanej Afryką i żywią się dzikiemi kozami, małpami, chociaż zjadają i krowy, osły, owce, i t. p. zwierzęta.

Lew zwykł leżeć w dzień w gęstych zaroślach, i wtedy ma być lękliwy i nie łatwo odważy się do napaści, przeciwnie w nocy wychodzi na łowy, i nim swą zdobycz pochwyci, w dużych skokach powtarza straszne ryki. Widać przeto, że nie postępuje sobie tak chytrze jak tygrys, który czatuje na zwierzę i niespodzianie je napada. Człowieka nie tyka lew, ale owszem ustępuje przed nim spokojnie; nie dlatego, żeby się go bał, ale że czuje jakąś nienawiść ku niemu. Tylko w takim razie, gdy widzi że człowiek z umysłu na niego nachodzi i ściga go, staje lew śmiało do boju. I wtedy to nie patrzy on ile ma nieprzyjaciół przed sobą, ale staje śmiało na pagórku, ryczy okropnie i nie ustąpi i kroku z miejsca, nawet wtedy gdy jest ranny.

Polowanie na lwa należy do najniebezpieczniejszych. Zbierają się strzelcy na koniach i biorą ze sobą wiele psów, które tropią lwa. Gdy go psy ścigają, wtedy ryczy mocno a ten ryk słychać aż na milę daleko. O jednem takiem polowaniu

na lwy tak pisze pewien podróżny: Wzięliśmy ze sobą wiele psów i wyjechało nas nie mało na koniach ze strzelbami. Skoro psy zwietrzyły lwa i zaczęły mocno ujadać, lew począł tak silnie ryczyć, że aż strach przechodził człowieka. Widzieliśmy też, powiada ów podróżny, jak wszystkie zwierzęta skoro ryk usłyszały, przestraszone chowały się gdzie mogły. Wkrótce zobaczyliśmy pagórek ku któremu zdążał lew. Skoczyliśmy co prędzej, aby tam stanąć przed nim i tu się dopiero zaczęła walka. Konie postawiono tak, aby od lwa były głowami odwrócone i aby go nie widziały, boby pouciekały zaraz. Strasznie było patrzyć jak lew co chwila chwytał psy i jakby dla igraszki podrzucał je wysoko w powietrze. Zaczęliśmy strzelać, i za każdym wystrzałem lew rzucał się okrutnie ku strzelcowi ale zawsze wywierał swą zemstę na najbliższym psie. Dopiero po wielu strzałach osłabł lew i upadł w końcu na ziemię. Przystąpiliśmy bliżej, ale ostrożnie i pierwej przestrzeliliśmy mu serce, aby się nie zerwał. W głowie, tułowie i na ciele naliczyliśmy 12 ran.

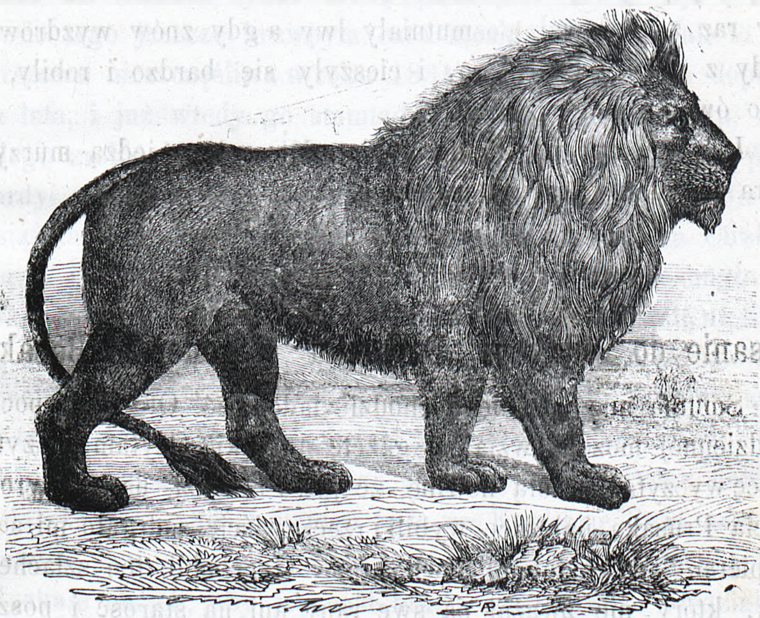
Niekiedy nadarzy się strzelcom natrafić na całe gniazdo lwów. Wtedy to lew wychodzi naprzód i zasłania sobą młode i lwicę. Gdy raz zabito takiego lwa, samica i młode pouciekały, ale następnego dnia znaleziono je nieżywe.

W osadach afrykańskich wiele szkody robią lwy, bo im domowe zwierzęta pożerają. Z początku dawały się odstraszać trzaskaniem bicza, ale w krótce oswoiły się z tem i nie bały się trzasku, skoro ich nie ranił. Ludzie tamtejsi bardzo są wprawni do strzelania, nigdy jednak nie uderzają nań dopokąd nie zbliżą się do niego zupełnie. Jestto chwila ostatnia, bo albo lew padnie, gdy go trafi strzelec w głowę, albo też ginie strzelec skoro chybi strzału. W niektórych okolicach łapią go także w doły albo żelaza.

Małpy uciekają przed nim na drzewo, bo tam nie polezie lew. Tygrys wyrówna mu w sile, słoń zwycięża go często, tak samo i nosorożec.

. Młodo złowiony lew łatwo da się oswoić i przywiązuje się do człowieka. Wiele też opisują historyi, jak lew wiernie służył człowiekowi, bronił go i okazywał wdzięczność ku niemu.

Takie to oswojone lwy ciągnęły niekiedy wóz, na którym rzymscy wodzowie siedząc wjeżdzali do miasta. Także lwa jednego razu okrutny cesarz rzymski Neron kazał wpuścić do pokoju, gdzie wielu siedziało zaproszonych gości u stołu, i których on z umysłu chciał przestraszyć. Niejaki pan, który się nazywał Archer, wychował młodego lwa i ułaskawił go tak, że ten z nim spał razem i chodził, i nikomu też nic złego nie uczynił, choć był już tak wielki, jak duży brytan. Lwa tego przewieźli potem z Francyi do Anglii i trzymali w mieście



Tower. Gdy tam służący Archera przybył po kilku latach, poznał go lew od razu, i wszelkiemi sposobami okazywał swą radość, tak że ów służący prosił, aby mógł wejść do klatki, w której wtedy trzymano tego lwa. Skoro wszedł do lwa, skoczył lew na niego jak pies, lizał go po ręku i po twarzy, tak. że się wszyscy dziwili. Gdy się ów służący oddalił, lew był bardzo smutny i przez 4 dni nic jeść nie chciał.

Księżna Hamilton miała lwa, który nie zdawał się dość oswojonym. Razu jednego goście byli ciekawi widzieć jak lew będzie jadł i zbliżyli się do klatki, w której siedział. Nadszedł też i żołnierz pewien, który prosił, aby mógł się

także przypatrzyć lwowi. Właśnie wtedy ryczał lew mocno. Żołnierz zbliżywszy się do kraty zawołał: Cóż to Neronie nie poznajesz mnie? Natychmiast obejrzał się lew, opuścił jadło przyszedł do kraty i bijąc się po bokach ogonem, okazywał wielką radość. Lizał go po ręku, pozwolił się głaskać, i ocierał się o kratę, koło której stał żołnierz. Pokazało się, że ów żołnierz był przez 3 lata dozorcą tego lwa.

Inny dozorca lwów w Paryżu, nazwiskiem Felix Kasal, miał pod swą opieką dwóch lwów, które były do niego nadzwyczaj przywiązane, tak że do nich wchodził do klatki, Gdy raz zachorował, posmutniały lwy, a gdy znów wyzdrowiał, wtedy z radości lizały go, i cieszyły się bardzo i robiły, co tylko ów dozorca rozkazał.

Lew ma żyć od 25 do 30 lat. Mięso jego jedzą murzyni, skóra przydatna jest na materace.



Pisanie do redakcyi „Dzwonka" o generale Bosaku.

Smutna mię właśnie dochodzi wiadomość. Oto by wypocząć po dziennej mozole, wziąłem gazetę do ręki Czytam i czytam i chcę wyczytać wesołą nowinę, że już Francuzi, nasi przyrodni bracia Prusaka najezdcę wybili i rzeczywiście zadrgało mi serce w piersi. Wyczytałem bowiem, że Garybaldi, ten szlachetny mąż, który nie zważał na swe rany ani na starość i poszedł się znowu bić za wolność, wybił tam gdzieś pod miastem Dijonem — na francuzkiej ziemi Prusaka. Łzy radości zrosiły mi twarz a serce moje tak pukało, że nie mogłem gazety doczytać. Lecz pomyślałem sobie: trzeba się o tej walce coś więcej dowiedzieć. Ale któż opisze moje przerażenie, kto opisze mój ból, gdy wyczytałem, że pruska kula ugodziła w pierś naszego polskiego generała Bosaka. Oj tożto był generał, oj tożto był Polak! Serce mi pękało z bolu, nie wiedziałem, co myślę— gdym wyczytał, że nasz ukochany Józef Bosak padł. Oj bożto się pod nim Moskali kropiło, co to naszych braci ciemiężą, biło się w roku 1863, że aż drzazgi leciały! I taki to człowiek musiał zginąć! — Cała nasza ojczyzna za nim płacze, bo

on był najlepszym jej synem. Znam ja go dobrze, a raczej znałem, bo go już ziemia i śniegi kryją. Wiele to cudów my sobie o nim nie napowiadali! Taki pan, jak on był, a nie pogardził chłopkami, ściskał w obozie nasze szorstkie dłonie, a wszystko, co czynił, było dla ojczyzny, a każde jego słowo było: „Za ojczyznę!"

Jak ja pod nim tam za granicą, co to nas od naszych rodzonych braci dzieli, byłem, to się to dowiedziałem, kto to on był i nie mogłem się nadziwić, że i taki pan tak ojczyznę kochać umie, że aż życie za nią poświęca On to był hrabią i to do tego jeszcze krewnym cara moskiewskiego. Jak to się Warszawa nieszczęśliwa w roku 1831 poddała, miał on dopiero dwa lata, i już wtedy go stamtąd zabrali do Petersburga, aby z niego zrobić Mos ala. Zrobili go, jak wyrósł, oficerem przy gwardyi cara, przy tej gwardyi, co to do niej tylko hrabiowie i książęta należą. Przykrzyło mu się jednak tam na carskim dworze, nudziły go zabawy, bo jego młoda dusza nie mogła się zamknąć w pałacach. Dlategoto prosił, aby go wysłali na Kaukaz, na te góry wysokie i na te skały, na których to człowiek aż wolniej oddycha. Była tam wojna wtedy, bo tak jak zawsze, tak i wtedy Moskwa chciała się zbogacić krajem wolnego narodu. A wysełali tam zawsze Polaków, bo to Polak zawsze się dobrze bije Otóż i dlatego było na Kaukazie dużo naszych i dlatego, bo tam było wiele niebezpieczeństw, ludzie ginęli, a Moskale chcieli, aby się nasi bracia marnowali. Wiedział to Bosak albo Hauke, bo tak się z ojca nazywał, ale nie zapomniał, że się na polskiej urodził ziemi i chciał się bić i dzielić trudy razem ze swoimi — z Polakami. I jakoś go Pan Bóg ocalił, a nawet mu się tak poszczęściło, że został półkownikiem. Wtedy to Moskwa zaczęła naszych w Polsce prześladować i strzelała do tych, co się za ojczyznę modlili. I nie mógł dłużej Bosak wytrzymać w służbie takiego cara, co jego braci więził, obijał knutami i wieszał. Dlatego też podziękował za służbę. Długo nie chciał car mu pozwolić z wojska wystąpić, bo jak napisałem, Bosak był jego krewny, naobiecywał mu się daremnie, ale wreszcie musiał go puścić. Pojechał wtedy Bosak na wieś i ożenił się. Ale nasi nie mogli długo cierpliwie moskiew-

skich prześladowań znieść i zrobili powstanie. I on, mój kochany dowódzca, nie wahał się, ale chwycił za broń i pospieszył także bić się za ojczyznę. Ach! co to był za dowódzca! Żył z nami, jakby się z nami wychował, jadł nasz chleb czarny i niepozwalał sobie żadnych wygód. Ale co będę wam o tem pisał! Wy wszyscy wiecie o nim i wiecie, jak się nasze powstanie skończyło. Otóż wtedy nie miał Bosak co robić, jak Moskale wszystko zajęli. Pojechał do Niemiec najprzód, a potem do Włoch, aby się poznać z Garybaldim, co to także się zawsze za wolność bije. Tam mu pisał brat cara, aby powrócił,— ale on nie chciał; prosił go krewny tego Napoleona III. co był cesarzem Francuzów, takim drugim carem, aby wstąpił do francuzkiego wojska, ale on nie chciał. Aż jak teraz Prusaki wzięły Napoleona do niewoli i Francya stała się wolną, a Prusaki nie chciały przecież zrobić pokoju, poszedł do Francyi, aby bronić wolnych Francuzów przed drapieżną zgrają pruską. — I padł w tej szlachetnej sprawie nasz kochany Bosak, — zginął w obronie wolności, ale imię jego żyć będzie wiecznie! Takich ludzi zapomnąć nie można, — to był Polak, to był obrońca wolności! — Wiele łez za nim teraz płynie, cała Polska płacze! — A co robi jego żona i dziatwa? Pewnie w biedzie, bo on wszystko dał za wolność, i wszystko mu zabrali Moskale. Panie wspomóż biedną wdowę i sieroty w ich smutku i niedoli, a duszy naszego bohatera daj pokój wieczny!

Mańko ze Stryja.

Rozmaitości.

— Sam sobie grób wykopał. Zeszłego roku przyszedł do notaryusza, zacnego i powszechnie lubionego męża w całej okolicy, pewien włościanin ze wsi Grądów, powiatu Dąbrowskiego, a załamując ręce, woła rozpaczliwie: „Zmiłuj się łaskawy panie, ratuj mnie i moje dzieci!“ — Wzruszony widokiem rozpaczliwego stanu znajomego mu włościanina, zapytuje go pan notaryusz o powody tego narzekania. Na to ze łkaniem rzecze włościanin: „Panie ratuj mnie, ten przeklęty lichwiarz Singer wyrzuca mnie z mej ojcowizny; pożyczyłem od niego tylko dwa razy po 50 reńskich a on zaskarżył mnie o 5 tysięcy — i podał już o licy-

tacyję. Przysięgam wielmożnemu panu żem nad 100 reńskich ani centa więcej nie wziął od tego szachraja żyda!“

Znając z kilkanastu podobnych wypadków szelmostwa tego głośnego oszusta podjął się pan notaryusz prowadzenia tego interesu: zażądał od włościanina potrzebnych stępli i podał następnie skargę do c. k. starostwa, z tem wewnętrznem zadowoleniem, że poczciwego kmiotka wyrwie z nieszczęścia i ukarze zdziercę bezsumiennego.

Ale cóż się nie dzieje! Podczas, gdy ów włościanin narzekał i prosił o ratunek pana notaryusza — żyd czychał już za drzwiami na niego jak zły duch; a kiedy zobaczył wychodzącego — bierze go pod rękę prowadzi do siebie, częstuje, głaska, uspokaja, mówiąc mu, że odwoła licytacyję, że się z nim zgodzi, i przyjmie wypłatę długu w częściowych ratach, opuszczając połowę.

Na drugi dzień przychodzi włościanin do pana notaryusza. „Łaskawy panie, ja już nie będę pana Singera procesował, to mój ojciec, opiekun, on mnie ratował w biedzie, już my się zgodzili“ — Wszelkie uwagi i przestrogi na nic się zdały, wieśniak oświadczył stanowczo, że się nie procesuje, a pan notaryusz skargę odwołał. — Za kilka dni przybiega ów człowiek i krzyczy: „Wielmożny panie ratuj mię — komisarz przyjechał na licytacyję, zmiłuj się nademną i ratuj!“ „Już późno — mój kochany! zresztą, cóż ci to szkodzi wszak to twój ojciec i opiekun!“ — I stało się; grunt zalicytowano za bezcen i to podobno wziął jakiś żydek — a tak wykopał sobie włościanin grób własnemi rękami. Oto jeden z licznych przykładów że nie ma wiary, nie ma zaufania do tych, co dobrze radzą. Oby ten smutny przykład był przestrogą dla was nie jednego!

N a u k a   c z y t a n i a. Już w zeszłym roku pisaliśmy wam o nowym sposobie łatwego wyuczania czytania i pisania dla dorosłych wynalezionym przez pana Konstantynowicza. Otóż p. Konstantynowicz postanowił sobie objechać cały kraj nasz, od wioski do wioski, i wszędzie wyuczać ludzi na nauczycieli którzyby potem jego sposobem wszystkich nie umiejących w tej wiosce uczyli. Cały powiat wadowicki ma w każdej swoich gmin, a jest ich 112, osobnego nauczyciela. Nauczycielami tymi są sami prawie wieśniacy. Jak to miło i pięknie, że wieśniak wieśniaka uczy, i to bezpłatnie! Obecnie szerzy pan Konstantynowicz swój sposób uczenia w Krakowskiem gdzie ludek tamtejszy ochoczo się do nauki garnie. Z kilku już miejsc wyuczeni i postanowieni przez niego nauczyciele przedstawili świadectwa, potwierdzone przez proboszcza i urząd gminny, że wszystkich w swej gmin czytać wyuczyli. Jedno takie świadectwo przedrukowujemy dla dowodu. „Zaświadczam niniejszem, żę pan Łaposz k, młodzieniec, syn organisty w Bolechowie, podług sposobu p. Konstantynowicza wyuczył w dniach 30 czytania wszystkich dorosłych ze wsi Kobylany, którzy regularnie od niego naukę po-

bierali. Na dniu 2 Stycznia 1871 w obecności mojej i Wnego Ignacego Teligi, egzamin wypadł tak, iż się okazało, że wszyscy czytają dość płynnie, drukowane z podanych im książek, a nawet pisane i piszą otyle że trzech znich, którzy uczyli się pisania czytelnie podpisać się mogą. Nagroda wksiążkach każdemu z nich dana została. Kobylany dnia 2 Stycznia 1871. Ks. W Ciszyński pleban i dziekan bolechowiecki. Obecny egzaminowi J. Teliga.

Złote ziarna.

Z niesprawiedliwie nabytego mienia,
Wszystko zniknie w rękach trzeciego pokolenia.

Pracuj, módl się i żyj w zgodzie,
To ci bieda nie dobodzie.

Dodatek polityczny.

Austrya. U nas prezydent ministrów, to jest pierwszy minister cesarski, polak, hrabia Potocki ustąpił z ministeryum. Cesarz wybrał nowych ministrów, a dawnym dał dymisyę, to jest uwolnił ich od dalszej pracy, z uznaniem ich zasług. Na nowych powołał cesarz: jako prezydenta a oraz ministra spraw wewnętrznych, barona Karola Hohenwartha; prof. Habietynka na ministra sprawiedliwości; pana Holzgethana na ministra finansów, to jest skarbu; prof. Schäffle na ministra handlu; profesora Jireczka na ministra oświaty i rolnictwa, a jenerała Scholla na ministra obrony krajowej (wojska). Zobaczymy co dla nas ci panowie dobrego zrobią, bo ani jednego nie ma między nimi naszego, to jest Polaka!

Wojna francuzka. Obiecaliśmy w Nr. 3. podać dalsze szczegóły przebiegu wojny Prusaków z Francuzami. Otóż nic wesołego podać wam niemożemy kochani czytelnicy. Gubernator Paryża, jenerał Trochu złożył swą władzę, i wkrótce potem miasto Paryż poddało się Prusakom. Wojsko francuzkie, które Paryża broniło, złożyło broń Prusakom. Jednej tylko gwardyi zostawiono broń dla utrzymywania porządku w mieście. Przyczyną poddania się tego wielkiego miasta, bo jak wam

już wiadomo, dwa miljony mieszkańców liczy, był głód, powstały w skutek długiego oblężenia. Ale jest jeszcze inna przyczyna, – przyczyna, która zawsze i wszystko w świecie psuje i niszczy, a tą jest niezgoda. Zgodą wzrasta wszystko, zgodą stoją narody, a przez niezgodę i najświętsza rzecz, bo ratunek ojczyzny i domu rodzinnego upada. Prusacy nie weszli jeszcze do Paryża. Stoją naokoło miasta, i tylko za przepustkami mieszkańców po żywność z miasta wypuszczają. Na prowincyi także niebardzo dobrze się dzieje. Gdy człowiek głowę straci, to za nic wszystko. Tu głowa Francyi, bo główne jej miasto Paryż upadło, więc i reszta kraju straciła nadzieję uratowania się. Jenerał Bourbaki ze swem wojskiem liczącem 80,000 ludzi wkroczył w granice kraju szwajcarskiego. Biedne to było jego wojsko! Ciągłemi marszami zmęczone, przytem głodne, obdarte. Rzeczy na biednych żołnierzyskach tak były poniszczone, że musieli od cywilnych ludzi brać odzienie, a mundury podarte rzucać. Wielu widziano w butach podartych, innych w trzewikach drewnianych, między tymi nawet i oficerów, — jeszcze inni boso musieli iść wśród błota i śniegu. Sam jenerał Bourbaki miał się zastrzelić, jak powiadają. Jeden tylko jenerał Garibaldi trzyma się jeszcze. Wojsko jego złożone z ochotników, po największej części Polaków, Włochów, Szwajcarów, a nawet i Niemców. Pod nim walczył i padł dzielny jenerał polski Bosak, o którego śmierci macie w tym numerze pisanie. W sobotę dnia 21 stycznia rano udał on się z kilkoma oficerami, by przejrzeć wojsko stojące naokoło. Gdy się zbliżył do najdalszego posterunku wojska swojego, zobaczył że nieprzyjaciele chcą zrobić napad. Posłał natychmiast po więcej wojska, ale zanim pomoc przyszła, on z pałaszem w ręku otoczony tylko dziesięcioma ludźmi krzyknął: naprzód! Pierwsza kula przeszyła mu rękę, druga piersi na wylot.

Tych dziesięciu towarzyszów jego padło także przy nim. Za parę dni dopiero znaleziono jego trupa i odwieziono do żony, do Szwajcaryi.

Obecnie wskutek wzięcia Paryża, jest zawieszenie broni. Prusacy z obecnym rządem francuzkim nie chcą zawierać pokoju, i rządu tego nie uznają za prawy. Zarządzili wybory

w całej Francji, dopiero po dokonanych wyborach, gdy deputowani z całago kraju się zjadą, mają postanowić nowy rząd. Z tym dopiero rządem chcą Prusacy zawierać pokój. Cóż z tego? albo to Francuzi będą mogli dobrowolnie wybierać? Tam gdzie wojsko pruskie stoi, będą musieli tych wybierać, których im Prusacy nakażą. Przytem warunki pokoju, które Prusacy stawiają, są bardzo twarde. Żądają oni odstąpienia im na własność dwóch prowincyi, Alzacji i Lotaryngii, do tego fortece Belfort i Metz, za koszta wojny 8 miljardów, to jest tyle co 8 tysięcy miljonów, oddania kraju Pondichery, co to aż w Indjach leży a do Francyi należy, i w końcu 20 okrętów wojennych. Aż człowieka oburza, gdy się coś podobnego słyszy. Takie warunki przyjąć to znaczy, stracić piękny kawał kraju własnego, zrobić kraj bezbronnym przez oddanie fortec i okrętów wojennych, — a do tego na wiele lat zniszczyć kraj cały przez zapłacenie tak ogromnej šumy pieniędzy.

Niepodobnem, aby kraj przez zgromadzenie narodowe, co się zbierze, miał takie srogie warunki przyjąć. Wszak to na każdego mieszkańca, czy on bogaty czy ubogi, dziecko w pieluchach, kobieta, starzec, wypadłoby zapłacić po 250 talarów, to jest 357 złr.! Wprawdzie mówią Prusacy, że to ma być spłacone nie od razu, ani na raty, ale w drodze zaciągnięcia długu, od któregoby Francya rocznie procenta Prusakom płaciła. Jest to najokropniejsze jarzmo, któreby Francya na siebie wzięła — znaczyłoby to tyle, co zapisać się w poddaństwo pruskie — i robić pańszczyznę Prusakom Procenta wynosiłyby rocznie 400 miljonów talarów, — a więc coby kto zarobił, musiałby Prusakom oddawać, i tylko na nich by robił, a Prusacy wygodnie, nic nie robiąc, żyli by z tych pieniędzy. Jakby brakło, znowu by inny kraj napadli i zrabowali.

Co się dalej stanie znowu wam opowiemy.

Od redakcji.

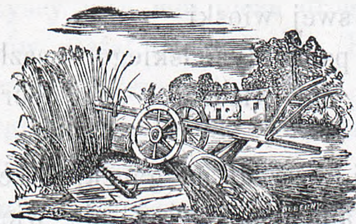
Tych szanownych czytelników, którzy w prenumeracie Dzwonka za rok zeszły zalegli, lub też prenumeraty na ten rok jeszcze nie nadesłali, upraszamy o nadesłanie zaległej prenumeraty, lub oświadczenie listem reklamacyjnym, czy prenumerować chcą i kiedy pieniądze nadeszlą. W przeciwnym razie tymże nadal wysyłać nie będziemy.

Redaktor odpowiedzialny Kazimierz Okaz. — Wydawca Stanisław Justian.
Z drukarni E. Winiarza we Lwowie.

Tom III. 21. Lutego 1871. Nr. 6.

Rok dwunasty.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Uczciwość nagrodzona.

(Ciąg dalszy.)

Pan Mycielski, wsiadłszy na koń, najkrótszą drogą puścił się do Krakowa. Zostawił konia w zajeździe, a sam puścił się na miasto i rozpytywał wszędzie. Rozesłał po wszystkich zajazdach, — rozpytał wszystkich znajomych daremnie, nigdzie śladu właściciela złotego krzyżyka. Całe dwa dni stracił na poszukiwaniach. Nareszcie trzeciego dnia udał się do redakcyi gazety „Czasu", aby tam wiadomość o zgubie wydrukowali. Jak tylko powiedział, że w torbie znalezionej znajdował się złoty krzyżyk, natychmiast oświadczył mu pisarz Czasu, że właśnie dzień przedtem był jakiś pan, który zdaje się też torbę zgubił, bo także prosił o zawiadomienie o zgubie, i wielką nagrodę dla znalazcy obiecał.

„ Gdzież ten pan? zapytał pan Mycielski.

„— Już musiał odjechać, odrzekł pisarz Czasu, — bo kazał, aby w razie odkrycia zguby do Lwowa mu przesłać pod adresą: „Pan Antoni Stanton".

„Ha, dobrze, to napiszę do niego, bo to jego musi być torba. Mój Boże, Antoni Stanton! Mój syn zwał się Antoni, ale Stanton, to chyba Anglik jakiś....

I wyszedł z redakcji pan Mycielski dziwnie wzruszony. Poszedł do zajazdu, napisał list do Lwowa, a sam dosiadł konia i wrócił do swej wioski

Za powrotem pana Mycielskiego, zeszła się ciekawa drużyna wieśniaków, nie wiedząc, czy dobrą czy złą nowinę przywozi.

Pan Mycielski wyszedł na ganek, i rzekł do gromadki:

— Moi kochani, sam teraz nie wiem co mam sądzić o tem wszystkiem. Właściciela zguby odszukałem. ale czy dla mnie z tego pożytek pożądany, nie wiem. Jakiś pan Stanton zgubił tę torbę, daj Boże by on mię mógł oświecić zkąd do tego krzyżyka przyszedł, który był własnością żony mojej, a później straconego syna mego.

Włościanie pokłonili się staremu panu i rozeszli się. Za kilka dni trąbka pocztowa ozwała się przed dworem. Zajechał wóz pocztowy, i rażny z niego wyskoczył młodzieniec.

— Czy tu mieszka pan Tadeusz Mycielski? zapytał służbę.

Zanim służba mogła odpowiedzieć, wyskoczył pan Mycielski z domu, i bystre oczy wlepił w młodzieńca.

— Ja nim jestem, rzekł pan Mycielski, —

— Pan.... krzyknął młodzieniec, pan!.... o ojcze mój! i padł w ramiona pana Mycielskiego.

Pan Mycielski osłupiał na razie, uścisnął przybyłego, wpatrzył się w twarz jego, i długo spoglądał mu w oczy, nareszcie krzyknął:

— To ty! mój Antoni, mój synu stracony... tak, to ty, to rysy nieboszczki matki twej. Cudowny, wielki Boże, na starość dajesz mi szczęścia dożyć! po tylu latach płaczu i smutku!

I powtórnie uścisnął syna swego, i całował i płakał. Włościanie, którzy na odgłos trąbki pocztowej do dworu przybyli, patrzyli mokrem od łez okiem na tę radośc ojca z odnalezienia syna. Nikt nie wiedział, że syn ten żyje jeszcze, wieść chodziła, że dzieckiem porwali go cyganie i deleko uprowadzili. O dalszych losach dziecka nikt nie wiedział, każdy myślał, że dziecko już nie żyje.

Stary pan wyprawił ucztę dla włościan. Gdy się wszyscy zeszli i pousiadali, znaleziony syn tak począł rozpowiadać:

— Wiecie wszyscy i ty mój ojcze drogi, żem dzieckiem jeszcze przez cyganów został ukradzionym. Błąkali się ze mną cygani długo po świecie Przez różne wsie i miasta przechodziliśmy; nieraz cygani chcieli mię wypędzić od siebie, ale stara jedna cyganka zawsze mię broniła i krzywdy uczynić nie dała. Jej to mam zawdzięczyć, że krzyżyk złoty mej matki przy mnie pozostał. Raz zaszliśmy do wielkiego miasta, niepamiętam jak to miasto się nazywało — tu grali cyganie w zajeździe, dużo ludzi tańcowało, — a cyganie, traktowani ciągle, dobrze się podpili. Ja byłem śpiący i wlazłem pod ławkę. Przespałem się, a obudziwszy się, zobaczyłem dzień biały, a cyganów ani widno. Gospodarz zobaczywszy mię, zaczął kląć strasznie i wyrzucił na ulicę. Wałęsałem się z jednej ulicy na drugą, wreszcie głodny i zmęczony siadłem na progu jednej kamienicy i począłem rzewnie płakać. Na głośny płacz mój zbiegli się słudzy, i nuż mię wypędzać. Na to nadszedł pan jeden z piękną panią, popatrzyli na mnie, przemówili, zapytali, a dowiedziawszy się o mojem nieszczęściu zaczęli coś szeptać między sobą. Potem pan ten, mój późniejszy dobrodziej, kazał mi wziąść do pysznego powozu, i pojechał ze mną daleko, aż nad jakąś wielką wodę. Ta woda, to było morze, jakem się później dowiedział. Wsiedliśmy na okręt i jechali długo. Nareszcie przybyliśmy znowu na ląd, i wysiedli w Ameryce w mieście zwanem Nowy Jork.

Tu pan Stanton, bo tak się nazywał mój dobrodziej, wziął mię do swego domu, kazał uczyć po angielsku i innych języków, przytem innych pożytecznych rzeczy. Tak minęło lat kilka na nauce. Gdym dorósł wstąpiłem za wolą pana Stanton do wojska. Byłem w wielu bitwach. Dosłużyłem się stopnia kapitana w wojsku amerykańskiem Potem wystąpiłem z wojska i przybyłem do mego opiekuna. Tu mi pan Stanton oświadczył, że ponieważ nie ma dzieci, przyjmuje mię za swego syna, i nazwisko swe nadaje.

Już przedtem, nie znając nazwiska ojca mego, i tylko imię chrzestne Antoni pamiętając, nazywałem się Stanton.

W rok potem umarł pan Stanton i żona jego, rodem polka, zostawiając mi wielki majątek, jako przybranemu synowi swemu. Po śmierci ich ogarnęła mię wielka tęsknica. Tak bez nikogo, bez rodziców i przyjaciół żyć na wielkim świecie bożym, to strasznie, tęskno i nudno. Postanowiłem bądź co bądź wrócić do Europy, pojechać do Polski, rodziców mych odszukać, jeśli żyją jeszcze. Przyjechałem; ogłosiłem wiadomość we wszystkich gazetach, a nikt się nie zgłaszał do złotego kszyżyka, który jedynym był sposobem znalezienia rodziców moich. Wreszcie postanowiłem całą Polskę przejechać, a swoich odszukać. Długo szukałem, w końcu szczęśliwy wypadek mi posłużył. Zgubiłem torbę z krzyżykiem, i w ten sposób, dzięki poczciwym ludziom, znalazłem ojca mego, i wioskę mą rodzinną.....

Wieśniacy rozczuleni słuchało słów tych. Stary pan to syna całuje, to włościanom dziękuje za ich przywiązanie a troskliwość, to w końcu pyta o Skibę i syna jego.

— A jest tu Skiba, odrzekł stary Stach z boru, ale że to on nie z tej wsi, to i sroma się przystąpić!

— Zawołajcież go, niech przyjdzie, a wszak to syn jego szczęścia i życia mi przysporzył.

Wszedł Skiba z synem Jankiem i nisko się pokłonił. Stary pan rękę mu podał i serdecznie uścisnął.

— Patrz synu, rzekł stary pan, otóż nasz sąsiad z Konopek gospodarz Skiba, jemu to masz zawdzięczyć wszystko. Jego to syn, jak ojciec, tak poczciwy, znalazł torbę twoję oddał nie tknąwszy, a przezto tylko tyś mię mógł odszukać.

Pan Antoni Stanton rękę wyciągnął do poczciwego wieśniaka, i rzekł:

— Sercem całem witam, i poznaję wasze złote serce, gospodarzu Skibo, Bóg wam szszęść, miły bracie Skibo! Jak wam Antoni na imię, tak mnie na imię, tak i moje imię — jak mię ludzie obcy przyjęli, tak pozwólcie bym waszym synem się opiekował i na człowieka go pokierował.

Stary Skiba na prawdę się rozpłakał, rękawem łzę ociera z oka a mówi:

— Miły panie młody, Bóg wam zapłać za wasze chęci,... od tak dawna syn mój pragnie lepszej doli, bo nauki pragnie. Ta jeśli wasza w tem dobra chęć a wola, to choć z żalem go pobłogosławię, a wyprawię i wam dam na opiekę, ta i naukę.

Długo i różnie jeszcze prawili wszyscy — w końcu rozeszli się. Janek pozostał we dworze, a później młody pan wyprawił go do szkół do Krakowa. (D. n.)

Nam jako tako!

Nam jako tako! ciche poddasze
Łacno przed wiatrem — deszczem uchroni;
Nam jako tako! — bo serce nasze
Od dziennych zmartwień chwila snu wzbroni.
Nam jako tako! w ciężkiej niedoli,
Z szaloną pieśnią przy pełnej czarze
Nieraz zapomnim, że serce boli
Poniesiem szczęście, choć szału w darze.
Nam jako tako! choć łez do licha;
Często ból ciężki dziewcze uśmierzy:
„Bóg litościwy!“ — poszepcze z cicha,
I jakoś jemu serce uwierzy.
Nam jako tako! na własnej ziemi:
Ojciec i matka pieszczot nie szczędzi,
I cierpieć milej między swojemi,
A choć i umrzeć — na własnej grzędzie!
Ale kto losu burzą pędzony
Tułać się musi drogą żywota,
Któż w obce pójdzie pocieszać strony,
Gdy go za krajem porwie tęsknota?
Któż się zlituje między obcemi?
Kiedy zawoła w chwili skonania:
„Chociaż piędź ziemi! garstkę mej ziemi
Podajcie ludzie do pożegnania!“
O! biednej duszy ostatnie słowa
Na obcej ziemi — któż tam zrozumi?
Dla nich dzwięk obcy jest polska mowa;
Więc bez współczucia z wiatrem przeszumi.

Tygrys.

W minionym numerze podaliśmy wam rysunek lwa i opowiadanie o nim. Teraz znowu słów kilka o tygrysie powiemy, i obrazek do tego załączamy. Tak jak lew, należy i tygrys do rodzaju kotów. Koty wszystkie są drapieżne, zdobycz swą chwytają w skoku, do czego im pazury ostre wybornie posługują. A pazury to nie lada, bo nie na wierzchu jak np. u psa, i innych zwierząt, ala skryte. Dopiero w potrzebie zwierzęta z rodzaju kotów te pazury wystawiają. Najdrapieżniejszym z kotów jest tygrys. Jest on najbardziej krwiożerczem zwierzęciem na całej ziemi naszej. Gdy lew, jak to powiedzieliśmy w ostatnim numerze, tylko tyle morduje, ile mu dla zaspokojenia głodu potrzeba, tygrys swej drapieżności nie zna granic. Lew na człowieka tylko zaczepiony się rzuca, — tygrys zawsze i wszędzie, choćby jak nasycony był, wszystko, a więc i człowieka chwyta, rozdziera i morduje. Dlategoteż mówimy nieraz o człowieku okrótnym, że ma tygrysie serce.

Co do wielkości prawie dorównywa tygrys lwowi, tylko, że ciało jego bardziej jeszcze wysmukłe i zwinne. Okazałe i piękne to zwierze. Barwa jego sierci krótkiej jest czerwono-żółta, ozdobiona czarnemi pręgami przez całe ciało, spodem zaś jest biały. Pazury jak powiedzieliśmy, ma wsuwalne, do tego kły nadzwyczaj ostre i silne. Żyje tygrys wyłącznie w części świata zwanej Azyą, a mianowicie w Indyach wschodnich. Choć tylko w południowych, to jest gorących krajach przebywa, jednak zapuszcza nieraz swe zagony aż do południowej Syberyi. Gdy za łupem leci, żadna droga, żadna przeszkoda nie jest mu za wielką, ani za straszną.

Okropne są spustoszenia, które tygrys czyni. Pożera nie tylko bydło, konie, owce, ale jak powiedzieliśmy i ludzi. Jest on stokroć sroższym od wilka, który choć dzisiaj już rzadszy, nieraz w ostre zimy plagą jest wiosek w kraju naszym.

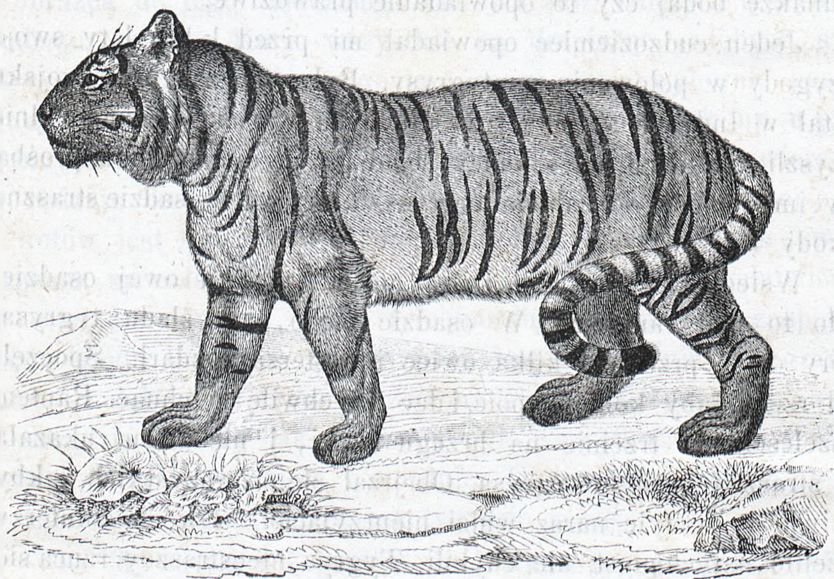
Siłę posiada tygrys tak wielką, że konia porwawszy z łatwością go wlecze, a z człowiekiem w paszczy bardzo rączo i szybko umyka. Raz miał tygrys porwać jednego oficera

z wojska angielskiego podczas polowania; ten oficer mając ręce wolne, wydobył z za pasa pistolet i strzelił do tygrysa, ale chybił. Niezrażony tem, strzela drugi raz z drugiego pistoletu, i trafia tak celnie, że tygrys padł nieżywy, a oficer się uwolnił, i do swoich powrócił, choć pokaleczony ale żywy. Jednakże bodaj czy to opowiadanie prawdziwe.

Jeden cudzoziemiec opowiadał mi przed k lku laty swoje przygody w połowaniu na tygrysy. Był wtenczas przy wojsku i stał w Indyach w jednej z odludnych wiosek. Pewnego dnia przyszli okoliczni mieszkańcy, bladzi i przestraszeni z prośbą aby im pomódz do zabicia tygrysa, który w ich osadzie straszne szkody wyrządza.

Wsiedli wszyscy na koń i puścili się ku owej osadzie. Było to nad rankiem. W osadzie cicho, ani śladu tygrysa, który dzień przedtem kilka owiec i pasterza rozdarł. Spoczęli nad rzeką, aby konie napoić, i dać im chwilę wytchnąć. Raptem zaszeleściło w trzcinie na brzegu rzeki, i niebawem ukazała się straszna paszcza tygrysa. Obejrzał się po wszystkich, jakby zdziwiony, że tyle naraz widzi nieprzyjaciół. Dwóch żołnierzy strzeliło natychmiast, ale chybili. Tygrys nieustraszoy rzuca się na najbliższego konia i wbiwszy mu ostre kły i pazury w szyję i pierś, konia na ziemię powalił. Biedny jeździec krzyknął z przestrachu, i upadł przygnieciony ciężarem swego konia. Straszna to była chwila! Tu towarzysz leży i ani się ruszyć nie może — nad nim tygrys, co go lada chwila rozedrze, a ani rusz strzelać z obawy aby przyjaciela nie zastrzelić. Jeden z najodważniejszych podleciał z koniem aż na pięć kroków oddalenia, i z dwóch luf dubeltówki na raz do tygrysa wystrzelił. Szczęściem wielkiem obie kule trafiły. Tygrys trafiony skoczył, ryknął przeraźliwie, i rzucił się w rzekę. Płynął z początku prędko, później coraz wolniej i słabiej. Krew lejąca się się z ran jego zafarbowała wodę czerwono tam, którędy płynął. Wszyscy puścili się z końmi w rzekę, chcąc go dalej ścigać. Tygrysisko przepłynął jeszcze na drugą stronę rzeki, ale ledwie wylazł na brzeg, wnet się zatoczył, ryknął raz jeszcze, i padł nieżywy; kule przeszyły mu pierś. Tożto była radość między mieszkańcami osady! Przepłynęli czółna-

mi na drugi brzeg rzeki, i tańczyli naokoło trupa tygrysa. Za konia nieżywego ofiarowali aż trzy piękne konie, a biednemu żołnierzowi za strach jego darowali kilka dukatów i skórę z zabitego tygrysa, zachowawszy sobie kły na pamiątkę. Dla wszystkich wyprawili świetną ucztę.



Kochani bracia! jak szczęśliwymi jesteśmy, że żyjemy w kraju w którym nie ma takich drapieżnych zwierząt, jak tygrysy, ani też gorąca, gor ogniowych, trzęsienia ziemi i tym podobnych plag które mieszkańców ciepłych krajów nawiedzają. Kochajmyż tedy naszą ojczystą ziemię, nie tęsknijmy do obcych, choćby i złotych krajów, bo „wszędzie dobrze, a w domu najlepiej“, jak to nasze staropolskie głosi przysłowie.

Zakład, zwany „Bursa“ dla biednej młodzieży szkolnej w Tarnowie.

Nie mogę pominąć, aby wam kochani bracia wieśniacy nie wskazać pięknego objawu w dziatkach waszych po szkółkach uczących się. Patrzcie, jak wzniosłemi talentami ubogacił Stwórca niektóre dzieci. Gdyby nie szkoła takowe na jaw

wydobyła, byłyby marnie w ciemnocie zaginęły — wszak takie utalentowane dziecko stać się może przez dalsze nauki waszem szczęściem, i użytecznym członkiem swego kraju Dzieci z dobremi talentami zaniedbać kształcić, jest grzechem przeciwko Bogu i dobru Ojczyzny.

Tymczasem trafia się bardzo często, że takie utalentowane dzieci są ubogie, rodzice ich nie są w stanie dalej je do szkół posyłać. Aby temu zaradzić i nie dać takowym talentom marnie zginąć — znajdowali się, i do dziś dnia są szlachetni Dobrodzieje, którzy oceniając wartość nauki i życząc szczęścia Ojczyźnie, przeznaczyli swe majątki na wspieranie zdolnych uczniów; więc uzdolnieni a ubodzy otrzymują tak zwane stypendyum czyli roczne wsparcie w pieniądzach. Inni szlachetni Dobrodzieje budowali zakłady dla uczniów pilnych a ubogich, gdzieby znaleść mogli przytułek i uczyli się dalej na pożytecznych ludzi. Takie zakłady — czyli po staropolsku zwane „Bursy“ są w naszym Krakowie, gdzie do 100 ubogich chłopców ma przytułek, we Lwowie, a nawet i w innych miastach Galicyi, przez co ubodzy rodzice chcący synka dawać dalej do szkoły, mają wielką ulgę bo ich posyłanie dziecka do szkoły bardzo mało, a czasem i nic w takiej Bursie nie kosztuje. Pragnąłem i ja od dawna dać jakową pomoc utalentowanym chłopcom ubogiego dziś ludu naszego, szukałem serc temu celowi zbawiennemu przychylnych a Bóg, który zawsze dobrym chęciom błogosławi — i mnie pobłogosławił, wkazał mi szlachetnych Dobrodziejów tak w okolicznych dworach, jako i w bogatszych wieśniakach i Duchowieństwie i zapomocą tychże Dobrodziejów wystawiłem w Tarnowie zakład, czyli Bursę w której zostało umieszczonych w zeszłym roku (1870) już od 1 września szesnastu ubogich a dobrze uczących się chłopców.

Zakład ten posiada jako swą własność ogród, stary domek i dom nowy obszerny. Zacny właściciel miasta Tarnowa Książe Sanguszko dał na budowę nowego domu budulec ze swych lasów, poczciwi, wieśniacy z okolicy dali sześćdziesiąt fur bezpłatnie do zwiezienia tego drzewa. Rada miasta Tarnowa, inne rady powiatowe i gminne pieniądzmi przyszły z pomocą. Bóg zapłać poczciwym dawcom. Uczniowie przyjęci do Bursy

tarnowskiej, otrzymują bezpłatnie stancyję, światło, pranie, a co największa: należyty dozór i moralne wychowanie O wikt i odzież muszą się teraz jeszcze rodzice lub opiekunowie starać, zakład bowiem jak na początku jest jeszcze ubogi i żadnych stałych funduszów nie posiada. Lecz da Bóg, że z czasem znajdą się Dobrodzieje, którzy ten maleńki zakład ofiarowany opiece S. Kazimierza, królewicza polskiego, swemi szlachetnemi ofiarami wspierać będą, a wtenczas i uczniowie w tymże umieszczeni wszystko bezpłatnie otrzymać mogą. Dałby Bóg, abyście moi drodzy Bracia wieśniacy ten drogi skarb oświaty pojąć i zrozumieć mogli, abyście tym, co przez tworzenie zakładów wam samym w pomoc iść pragną, chętną dłoń podali, abyście choć grosz wdowi dla pomocy zakładu przyrzucili, a przez to pójdziecie w pomoc samym sobie, bo dzieci z wiosek waszych w zakładzie umieszczone a tak uszczęśliwione, błogosławić wam będą. Ofiara bowiem dla wsparcia ubogich uczniów złożona ma dwojaką wartość, wartość przed Bogiem ku zbawieniu duszy, wartość w obec Ojczyzny, której uczonych ludzi potrzeba.

To pragnąłem Wam oznajmić, i tuszę sobie, że słowa moje utkwią w sercach waszych i pomyślny skutek odniosą. Jeżeli więc w wioskach waszych znajdą się dzieci biedne a z dobremi talentami, nie żałujcież iść im w pomoc, a taka ofiara wasza będzie skarbem przyszłej waszej doczesnej i wiecznej szczęśliwości. Bierzcie sobie przykład z ludu na Szlązku żyjącego — gdzie panuje ten piękny zwyczaj, że gdy się trafi we wsi lub miasteczku ubogi student pragnący się dalej kształcić i ma dobre talenta, to cała wieś składa się na niego, aby został użytecznym człowiekiem. Byłem naocznym świadkiem na Szlązku pruskiem, jak wójt zbierał składkę aby z tej wioski klerykowi we Wrocławiu się uczącemu a sierocie na kolej posłać, żeby na wakacye przyjechał.

Przyjmijcież te słowa moje jako wdzięczny dar kapłana polskiego, który pragnie waszego uszczęśliwienia i zachowajcie je na zawsze w poczciwych i wierzących sercach waszych.

Ks. Kazimierz Mikulski.

Rada gospodarska.

Zabezpieczenie od ognia. Nieraz już zwracał Dzwonek uwagę na wielkie szkody powstające z przyczyny pożaru Podawaliśmy przytem jeden możliwy środek wynagrodzenia sobie szkód przez ogień powstałych. Już to przedwszystkiem, bracie, uważaj bacznie aby ci się pożar do chaty nie zakradł i twego mienia nie zniszczył. Kładąc się do spoczynku, światła pogasić, ognia w piecu nie zostawiać bez dozoru, pilnować aby się ludziska z fajkami po stodołach i szopach nie włóczyli. Zapałki chować w miejscu wysokiem a bezpiecznem, aby dzieci do nich się nie dobrały, i z ogniem nieżartowały. Już to dużo pożarów powstało z przyczyny nieuwagi na dzieci, które nierozważnie z ogniem igrając, nieraz zagrodę podpaliły. Ale wszystkie te środki ostrożności nieraz nie pomogą. Czasem, gdy u sąsiada gore, wiatr głownię przyniesie, — a od złego człowieka, to się i nie ustrzeżesz, kiedy w przystępie złej myśli chatę twą podpali. — Otóż pilnuj się, bo strzeżonego Bóg strzeże, a przytem niezapominaj o środku jedynym, który w razie, broń Boże nieszczęścia, twą szkodę ci powróci. Istnieją towarzystwa, tak zwane asekuracje to jest zabezpieczenia od ognia, które za małą opłatą roczną, w razie nieszczęścia, szkodę powstałą przez ogień powracają. Powie niejeden: a to nowy podatek! — Nieprawda bracie, — bo w razie nieszczęścia za tych głupich kilka ryńskich, co zapłacisz, to ci całą szkodę wynagrodzą. A choćbyś i przez dwadzieścia lat płacił, i przez cały czas szkody niemiał, to może w dwudziestym pierwszym roku pożar cię nawiedzi. A gdyś wolny od szkody ogniowej, o to dziękuj mocno Bogu, bo wiesz co się z twoim groszem stało? Myślisz, że przepadł? nigdy! oto twoim groszem wspomożono tylu pogorzelców, co z tobą razem płacili. Ich grosz znowu na ciebie spaść może w nieszczęściu. Więc sobie dobrze robisz i innym. Oto korzyść dla siebie, a zasługa przed Bogiem. A wiecie czytelnicy, dlaczego się dziś o tem rozgadałem? Oto, bo w ostatnich czasach bardzo dużo było pożarów po wioskach a największa część spalonych budynków nie była zabezpieczoną. I tak: dnia 7. stycznia zgorzała w Strzyłkach w powiecie staromiejskim zagroda włościańska. Przyczyna pożaru niewiadoma.

Szkoda (niezabezpieczona) wynosi 300 złr. Dnia 15go stycznia zgorzało w Samoklęskach w pow. jasielskim sześć zagród włościańskich. Przyczyna pożaru niewiadoma. Szkoda (w części tylko zabezpieczona) 4300 złr. Dnia 16. stycznia zgorzała w Zawoju w pow. myślenickim zagroda włościańska. Przyczyna pożaru była nieostrożność. Szkoda wynosi 425 złr. Dnia 18. stycznia zgorzała w Rydodubach w pow. czortkowskim zagroda włościańska. Przyczyna pożaru była nieostrożność. Szkoda (niezabezpieczona) wynosi 350 złr. Dnia 23. stycznia zgorzała pod Łańcutem zagroda włościańska. Przyczyna pożaru była nieostrożność. Szkoda (niezabezpieczona) wynosi 660 złr. Dnia 26. stycznia zgorzała w Ilniku w pow. turczańskim zagroda włościańska. Przyczyna pożaru niewiadoma. Szkoda wynosi 300 złr. Dnia 27. stycznia zgorzała w Osobnicy w powiecie jasielskim stodoła włościańska Przyczyna pożaru niewiadoma. Szkoda wynosi 150 złr. Dnia 28. stycznia zgorzała w Libuchorce w powiecie turczańskim zagroda włościańska. Przyczyna pożaru niewiadoma Szkoda niezabezpieczona wynosi 200 złr. Dnia 28. stycznia zgorzała w Wiśniowej w pow. ropczyckim zagroda włościańska. Przyczyna pożaru niewiadoma. Szkoda (niezabezpieczona) wynosi 700 złr. Dnia 31. stycznia zgorzał w Pstrągowej w pow. ropczyckim dom włościański. Przyczyna pożaru niewiadoma Dnia 5. lutego zgorzała w Sowlinach w pow. limanowskim zagroda włościańska. Przyczyna pożaru była nieostrożność. Szkoda wynosi 300 złr.

Otóż w jednym miesiącu, i w zimie do tego tyle szkody! Dlatego radzimy wszystkim komu na tem zależy, odłożyć tych trochę pieniędzy, a zabezpieczyć swoje budynki. Najlepiej to uczynić w towarzystwie krakowskiem pod wezwaniem Ś. Floryana patrona od szkód ogniowych. W każdem miasteczku są urzędnicy tego towarzystwa, którzy wszystko, co tylko przez ogień zniszczonem być może, a więc chaty, stodoły, zboże, sprzęty itp. za małą opłatą zabezpieczają. Za marnych 60 kr. na rok ubezpiecza się szkody na sto reńskich; — i tak od każdej setki płaci się po 60 kr. rocznie, i człowiek spi spokojnie, bez strachu i obawy, żeby pożar z niego nie zrobił żebraka.

Stach ze Lwowa.

Rozmaitości.

— **Niedbałe gminy.** Jak z prawdziwą przyjemnością podajemy dobry przykłady i czyny piękne ludzkie i gmin całych, tak przykro nam dziś podać do wiadomości smutną oziębłość dla oświaty gmin Książnice i Goleszów w powiecie Mieleckim. W gminach tych od 50. lat szkółka była zaprowadzoną i utrzymywała się. Teraz gdzie przy nowych urządzeniach gminnych szkółka się podnieść powinna, — gminy tamtejsze nie chcą mieć szkółki u siebie, i rok już trzeci mija, jak szkółka pustką stoi. Pan M. Toczyski z Podleszan zaprowadził tam czytelnię i biblioteczkę założył; zaprenumerował pisma ludowe, lecz włościanie nie przychodzili i nie uznawali, że to dla ich dobra. Podajemy to wam do wiadomości, i spodziewamy się, że włościanie tamtejsi, a szczególnie urząd gminny, przeczytawszy to w Dzwonku, do serca sobie wezmą słowa nasze, i naprawią złe, — a nam dadzą sposobność w krótce inaczej o nich napisać.

— **Piękny przykład.** Jak przykro nam było podać wam fakt powyższy, tak znowu lepszą możemy wam opowiedzieć nowinę. Tamci szkółkę już istniejącą i to przez lat 50 zaniedbali, a tu z drugiej strony Bóg nas pociesza. Oto przyjaciel mój przyjechał i opowiadał mi różne rzeczy o dobrym bycie włościan, o powodzeniu moich znajomych, a przytem wspomniał i o poczciwych wieśniakach w Zarzeczu. Tam w Zarzeczu, w parafii Dębowieckiej, zebrała się rada pod przewodnictwem wójta Jana Wojtunika, i radziła Ale nad czem radziła? Otóż nie nad tem, aby proces dworowi wytoczyć, albo pognębić sąsiadów, albo inne sprawy załatwić, ale radziła nad założeniem szkółki parafialnej, wszyscy zgodzili się na konieczną potrzebę szkółki; zaraz potem ugodzili miejscowego organistę na nauczyciela. Organista ten, to człowiek uzdolniony; nie zdałci on wprawdzie egzaminów, bo mu wypadki nie pozwoliły. W roku 1863 dzielnie bił Moskali, za to też włościanie mu się odwdzięczyli i uprosili go na nauczyciela swoich dziatek. Kto Polskę kocha, powiedziała rada, ten nasze dzieci dobrze poprowadzi, i z nich dobrych ludzi porobi. Dali mu zapłatę nie wielką, bo ubogą wioskę na nie wiele też stać. Jeden zacny włościanin, nazwiskiem Franciszek Michnal odstąpił bezpłatnie na czas jakiś wolne swoje pomieszkanie na szkółkę. A jaka ochota w całej wiosce! Zaraz z początku 70 dzieci obojej płci zebrało się. A już to co słuszne to słuszne, to i powiedzieć się godzi: oto najwięcej popierał radny Jędrzej Mastej założenie szkółki. On wprawdzie dzieci nie ma, ale całą duszą rzucił się na utrzymanie szkółki i jak może dopomaga. Dzięki ci za to kochany i szlachętny wieśniaku, — który mimo przeszkód i nieprzyjaciół nawet o dobro twoich braci walczysz i starasz się. Bóg ci do-

pomoże. Jeszcze musimy wspomnieć, że jeden z mieszczan Dębowieckich, pan Jan Paukiewicz na opał szkoły sąg dzewa daremnie ofiarował. Tylko dobrodziejów brak na wybudowanie osobnego budynku na szkołę. Ależ bracia kochani z Zagórza, nie oglądajcie się na dobrodziejów. Ot zbierzcie się panowie radni gminy, i inni wieśniacy, weźcie z sobą zacnego plebana waszego, księdza Jana Kopystyńskiego i dalej do dworu z prożbą o szkołę. Nie dadzą wam pomocy, mniejsza z tem; ten niech da grunt, ten drzewa na budulec, ten niech siekierę weźmie w rękę a popracuje, ten bodaj gonty a chociażby i słomy na poszycie da, a stanie szkoła i Bóg pobłogosławi.

Złote ziarna.

Kto porządnie wszystko czyni,
Siebie, drugich nie obwini.

Szanuj życie to rzecz droga;
Dłużej żyjesz, dłużej chwalisz Boga.

Szczęście ulata, cnota zostaje;
Lepsze nad złoto dobre obyczaje.

Za to, coć Bóg udzielił, oddawaj mu dzięki,
A na cudze nie ściągaj, ni myśli — ni ręki.

Dodatek polityczny.

Francya. Podług nieszczęść, jakie Francyę przez dziki najazd Prusaków nawiedziły, mogliście zapewne już osądzić, że wkrótce się ta nieszczęśliwa wojna skończyć musi. I rzeczywiście możemy już tę wojnę za skończoną uważać. — Tysiące ludzi padło ofiarą — tysiące okaleczało — tysiące wdów i sierót, pozostało, które nie mają nawet kęsa chleba — a mimo to Prusaki nie zważają na tę biedną Francyą i żądają od niej tyle, że aż ból serce przenika, gdy się to czyta.

Otóż teraz, jak się Paryż poddał, układają się o pokój. Prusak byłby chętny jeszcze ostatki sił Francyi rozbić, resztę ludzi zmarnować, ale jego właśni biedni ludzie, którzy także nie wiedzieli, za co się bić mają, tak już umęczeni i tak sterani, że im się już wojaczki nie chce. Ale Prusak to tak jak wilk. Napił się krwi i więcej mu się zachciało; nabrał pieniędzy i jeszcze mu za mało. A że już bić się nie może, bo żołnierzom się bić nie bardzo chce, to chce jeszcze pokojowym sposobem odbić na Francuzach to, coby był jeszcze mógł narabować. Dlatego to, jak się zeszli Francuzi i Prusaki, aby o pokoju pomówić, pruski kanclerz, to niby tak, jak pierwszy po królu albo cesarzu, nazwiskiem Bismark, zażądał aż trzy tysiące pięćset milionów talarów za to, że Francyę obrabował i do tego jeszcze dwie prowincye takie, jak pół naszego kraju. Te oba kraje t. j. Alzacya i Lotaryngia nie chcą na to przystać żadną miarą, booni Francuzi, i wiedzą, żeby im potem Prusaki sobie wodę nosić kazali. A potem, przecież wiemy, jakto gorżko być od swoich oderwanym; — oj nie raz nam się da we znaki, jak to człowiek heń daleko i od matuli, i od ojca i od brata. To też i im byłoby tak przykro, a to jeszcze przykrzej, boby im Prusaki jeszcze wkrótce i mowę odebrały. Zwołali ci panowie, co to Francyą rządzili, jak wypędzili Napoleona, niby taki sejm i puścili i Prusaki posłów z tych krajów, które zabrały, na ten sejm. Radzą tam radzą i większość uradziła zrobić pokój, ale aby nie dać ziemi swojej. Jak to Bismark usłyszał, dalej hałasować i grozić, że wszystkie fortece, które Prusaki zajęli, da zburzyć jakoteż i mury naokoło Paryża Zaczął zaraz pisać do francuskiego rządu, że, jak chcą, to dobrze — będzie wojna dalej trwała, ale przedtem pójdą Prusaki do Paryża a król ich, co się teraz nazwał cesarzem, będzie sobie tam przez jakiś czas mieszkał. Teraz dopiero Francuzi w kłopocie — co, tu robić? czy bić się dalej, czy dać wrogowi na pastwę swych braci? — Bić się trudno, bo gotowe Prusaki Paryż zabrać i zrabować, a zabrali już od Paryża cały milion talarów a serce się kraje oddać Prusakowi takie dwa ładne kraje. Ale Francya taka teraz biedna, taka zubożała taka pobita, że trudno aby się biła — i trzeba będzie oddać

kraj piękny i przedtem bogaty swojemu wrogowi. I tak też dlatego możemy się spodziewać, że pokój, chociaż smutny niezabawem stanie.

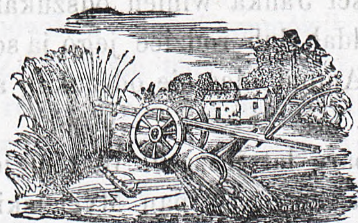
Lecz chcę przestać Wam pisać o tej okropnej wojnie, a doniosę Wam pokrótce o tem, co się u nas dzieje.

Austrya. Oto, jak Wam wiadomo, domagają się niektóre kraje w Austryi samorządu takiego, jak mają n. p. Węgrzy: I nasz kraj domagał się przez Sejm swój większego samorządu. Tak samo też Czesi. Jak długo byli Niemcy ministrami, t. j. najwyższymi prócz Najjaśniejszego Pana, a jak długo mieli Niemcy większość w Radzie państwa t. j. w tym wielkim sejmie, do którego posłowie wszystkich austryackich krajów zjeżdzać się mają, a który prawa wydaje, to wszystkim tym krajom nic dać nie chcieli. I widział to nasz monarcha, że Niemcy nas krzywdzą, dlatego uwolnił tamtych ministrów od służby, a przybrał sobie do swojej Rady takich, którzyby te kraje mogli zadowolnić. Między tymi nowemi ministrami był także Alfred hr. Potocki, po którym się spodziewano, że rzeczywiście wszystkie żądania zaspokoi. Lecz i jemu się nie udało to uczynić, a widząc, że jego zabiegi daremne, prosił Cesarza, aby mógł powrócić nazad na swoje posiadłości. Cesarz mu też to pozwolił, a wybrał sobie nowych doradców czyli ministrów, ażeby ci ugodę z Czechami i z Galicyą przeprowadzili. Nazwiska tych, nowych ministrów podaliśmy wam w ostatnim numerze. Otóż ci ministrowie wydali takie pismo, co to program nazywają, i napisali w niem, co będą robili. Dużo tam gadania, ale mało treści i zdaje się znowu, że nas z kwitkiem puszczą. Przeczytali oni czy wypowiedzieli to, co napisali, w Radzie państwa, która się w tym miesiącu zebrała, aby podatki uchwalić i postanowić pobór rekruta na ten rok. Co rząd chce, to tam, zdaje się, zrobią, a my sobie będziemy znowu czekali na to, czego cały kraj nasz żąda, czego nam potrzeba. I pójdzie i to ministeryum, a nam Niemcy po nosie jeździć będą. Ale nie trzeba tracić nadziei, — i da Bóg, że się i nad nami los wreszcie zlituje i że nam to dadzą, czego nam potrzeba, bo Opatrzność opiekuje się łaknącym i pragnącymi, a my łakniemy i pragniemy swobody.

Redaktor odpowiedzialny Kazimierz Okaz. — Wydawca Stanisław Justian.
Z drukarni E. Winiarza we Lwowie.

Tom III. 1. Marca 1871. Nr. 7.

Rok dwunasty.



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Uczciwość nagrodzona.

(Dokończenie.)

Minęło lat kilka. Pan Antoni Stanton osiadł przy ojcu i począł na piękne gospodarować. Już teraz nie nazywał się on obcem mianem Stanton, ale wziął napowrót ojca nazwisko, i nazywał się odtąd Antoni Mycielski. Stary pan aż odżył przy synu. Dawny smutek opuścił go zupełnie. Teraz już rad starowina między ludzi się wymyka, nieraz wesoło rozpowiada dawne dzieje, słowem ani śladu dawnej zadumy i smutku. Bo też nietylko że syna odszukał, i w nim na starość podporę i pociechę znalazł, ale nadto syn ten był zupełnie godnym swego ojca Zacny, pracowity, serce poczciwe i wylane dla każdego. Choć między obcymi się wychował, mimo to odżyła w nim wrodzona nasza krew polska. Ukochał ludek nasz, jakby wiecznie z nim razem żył. Każdemu pomaga, radzi, ratuje, — a tak do serca przemówić potrafi, że aż miło człowiekowi. Najwięcej ukochał syna Antoniego Skiby. Nie dość że dał Janka uczyć, ale i nie zapomina o nim nigdy. A Janek uczy się w Krakowie, uczy bardzo pilnie. Do ojca listy pisuje często, a co święta do domu przyjeżdża, aby odwiedzić swych rodziców. I o rodzicach Janka niezapomina pan Antoni. To

bywa krówkę ładną podaruje, to dziatkom ich, których tymczasem Bóg przymnożył, ładne daje podarunki. Nigdy nie zapomina o tem że uczciwości Janka winien odszukanie ojca, bo gdyby Janek torby nie oddał, lub rodzice jego ją sobie przywłaszczyli, nigdy byłby pan Antoni ojca nie odszukał, a Skibowie rzetelnej korzyści nie mieli.

Trwało tak pare lat jeszcze. W tem jednego dnia smutna wieść się rozniesła, że stary pan Mycielski umarł. Oj smutno to się zrobiło poczciwym wieśniakom. Z wszystkich wiosek z okolicy zeszły się gromady, by ostatnią usługę oddać dobremu panu. Każdy smutny i ze łzami szedł za trumną starego pana a najbardziej płakał pan Antoni. Gdy stanęli na smentarzyku wiejskim, i włościanie niosący trumnę nad grobem ją złożyli, stary ksiądz pleban przemówił w krótkich, dobitnych słowach do zgromadzonych. — Płaczcie za nieboszczykiem, tak kończył ksiądz pleban, bo takich nie wielu na świecie. On nie panem waszym, nie dobrodziejem, ale ojcem był wam wszystkim. Za duszę jego zmówcie nabożnie Anioł pański, i rzućcie po grudce naszej świętej ziemi na trumnę nieboszczyka, — tę ostatnią zróbcie mu przysługę, jako podziękę za miłość jego dla was.

— „Oj niema już dobrodzieja naszego jękneła gromada włościan, — niema ojca naszego!“

Poklękli wszyscy i rzewnie zaśpiewali Anioł-pański. Ksiądz pokropił trumnę, a zgromadzeni rzucali po garstce ziemi w świeży grób. Niebawem grób się zapełnił, a gdy ostatni ziemi grudkę dorzucił, już spora była mogiłka. Tak uczcili poczciwi włościanie pamięć zacnego pana. A taka mogiłka usypana ręką włościan, to więcej warta niż najwspanialsze murowane groby.

Po pogrzebie posmutniał pan Antoni. Przez parę dni do nikogo słowa nie przemówił, w końcu zwołał gromadę, i pożegnał się z nimi, mówiąc, że na długi czas i daleko wyjeżdza. Do zarządu wioski przyjął ekonoma z okolicy, który właśnie był bez miejsca. Tego samego dnia jeszcze wyjechał pan Antoni. Wstąpił do Krakowa, i odwiedził Janka syna Skiby. Janek przez ten czas uczył się na lekarza; obecnie pokończył nauki i zaczynał leczyć ludzi. A dobry lekarz był z niego.

Rzecz swoją dobrze rozumiał, każdego sumiennie wypytał, co mu brakuje i potem dopiero zapisywał leki. Otóż pan Antoni odwiedził go, pomówił z nim i namówił, aby z nim razem w świat pojechał. Zabrali się tedy obydwaj i pojechali daleko. Podróżowali przez różne kraje, tu mieszkali miesiąc, tu dwa, tu pół roku, ot zwyczajnie jak się panu Antoniemu zachciało. Chciał pan Antoni koniecznie ze smutku swojego po ojcu rozerwać się. Ale ten smutek nie ustawał, i coraz go dalej pędził. W końcu pojechali aż do Ameryki, i tam przez kilka lat przebywali.

Tymczasem smutno szło życie poczciwym włościanom w Konopkach. Zostawiony zarządca był to człowiek najgorszy. Jemu tylko grosz miły się uśmiechał, reszta niczem dla niego. Ani do kościoła nie chodzi, ani z ludźmi nie gada, ot zwyczajnie jakiś chciwiec i wydrzygrosz. Nikomu słowa dobrego nie powie, z każdego duszę by rad wydrzeć. Zdawało mu się, że gdy pana Antoniego nie ma, to już on panem całej wioski. Las wyrębał i sprzedał, Bóg wie na jaki obrachunek. Było w Konopkach wspólne wielkie pastwisko, gdzie i dworskie i gminne bydło się pasało, i nikomu do głowy nie przyszło o to się swarzyć. Nowy zarządca gminne bydło zakazał pędzić na to pastwisko. Gmina się oburzyła i chciała proces poczynać; ledwie że stary wójt ich powstrzymał. Przyjedzie nasz pan, powiedział wójt, to już on nam zrobi sprawiedliwość. Gmina odstąpiła od procesu, bo wierzyła słowom swego wójta, jakby księdzu na spowiedzi. Gdzie jakie bydlę wdarło się w szkodę, zarządca kazał przytrzymać i nie oddawać. Słowem okrutny to był człowiek. To też i nie dziw, że włościanie posmutnieli, i ubożeć poczynali. A najgorzej wyszli poczciwi Skibowie. Pan Antoni nim wyjechał, puścił im kilka morgów w swojej wiosce na bezpłatną dzierżawę. Poczęli to uprawiać, zasiali, ale nie dla siebie, niestety! Jak tylko zboże okwitło, zaraz zajął zarządca te pola, i rzekł, że one są dworskie, że nigdy do Skibów nie należały. Co więcej darowane przez pana Antoniego bydło, kazał także zająć i odebrać. Biedni Skibowie nie mieli nic na piśmie, to też i upominać się nie śmieli przez

sądy. Do tego przyszły u nich choroby dzieci, w końcu pomorek na bydło, tak, że całkiem zubożeli.

Wprawdzie Janek pamiętał o rodzicach i często gęsto grosz im posyłał. Ale co się działo. Oto posyłał te pieniądze i listy zawsze razem z listami pana Antoniego na ręce zarządcy w Konopkach. Ten zarządca wszystko przechwytywał, i starym Skibom ani pieniędzy ani listów nie oddawał. Skibowie smutnieli, bo nie wiedzieli co się z synem dzieje, myśleli, że syn o nich już całkiem zapomniał.

Tak minęło lat kilka. Pan Antoni ochłonął trochę ze smutku swego, i postanowił do swoich powrócić. Do tego go szczególniej jedna rzecz nakłoniła. Oto dnia jednego dostał list, a w tym było pismo gromady z Konopek, gdzie mu donoszą o bardzo niedobrem postępowaniu zarządcy. Przez cały czas zarządca jak najpiękniejsze listy panu Antoniemu pisywał, nieraz trochę pieniędzy posłał, a zawsze narzekał na liche urodzaje i ogromne wydatki. Zaś miejsce pobytu pana Antoniego starannie ukrywał przed wszystkimi. Dopiero przypadkiem dowiedziała się gromada, i posłała zaraz pisanie ze skargą do pana Antoniego. Natychmiast zabrał się Antoni, i postanowił do kraju wrócić. Jakoż niebawem wrócił wraz z synem Skiby, z lekarzem Jankiem. Ale jakie było ich zdziwienie; gdy się na miejscu o wszystkiem dowiedzieli. Oto, nie dość, że zarządca włościan uciskał, nadto długi na wioskę pozaciągał, tak że wioska miała być w drodze sądowej zlicytowaną, to jest sprzedaną. Natychmiast popłacił pan Antoni te długi, wioskę oczyścił, a zarządcę wygnał na wszystkie wiatry. Podobnoś on potem za inne złe sprawki aż do więzienia się dostał.

Zaraz po przybyciu do stron rodzinnych udał się lekarz Janek do swej wioski, aby odwiedził rodziców. Przychodzi, chatka zamknięta; puka, daremnie, nikt nie otwiera. Dopiero chłopczyna jakiś powiedział mu że Skibowie chatę już sprzedali z biedy, i komornem gdzieindziej mieszkają.

Poleciał Janek tam, gdzie mu chłopczyna wskazał. Wszedł do izby, a tu na łożu leży matka jego śmiertelnie słaba, — koło niej siedzi ojczysko zadumany, a w około dziatwa się tnli obdarta i głodna.

— Mój Boże, jęknął Janek, — cóż to się stało, — ojcze mój, matko moja, to ja, wasz Janek, powróciłem do was.

— To Janek, mój kochany Janek, jęknęła Skibowa na łożu, o przecież przed śmiercią cię jesze oglądam. Janku, moje życie, moje kochanie!

Syn przypadł do łoża matki, i całuje jej wyschłe ręce. Łzy mu się puściły z ócz, i słowa mówić nie może.

— Janku, tyś o nas zapomniał! szepnął stary Skiba, tyś zapomniał o rodzicach twych...

— Nie ojcze, nigdy.... wszak często do was pisałem,... jam zawsze o was pamiętał.

Tu dopiero pokazało się, że listy zarządca przechwytywał. Skiba stary uściskał syna, i radował się mocno. Poczęli rozmawiać, i pokazało się wszystko jasno. Janek zrozumiał skąd rodzice na taką biedę zeszli. Jako lekarz wypytał o słabość matki, i pytał, czy mieli doktora.

— A był doktor z Krakowa, ale nie obiecuje jej życia, wyrzekł smutny Skiba.

— W bożej mocy wszystko, rzekł Janek, — może mnie się uda matkę uratować. Widocznie Bóg mię zesłał w najcięższej chwili. Niech tylko matka pozdrowieje, a wszystko lepiej będzie.

Natychmiast wziął się do leczenia. Zapisał leki, i posłał po nie do Krakowa. Za dwa dni gorączka ustąpiła, i chora miała się lepiej. Dawną chatę odkupił Janek, i kazał rodzicom się przeprowadzić. Skibowa aż odżyła gdy ją do rodzinnej przynieśli chaty. Za parę tygodni mogła wstać i chodzić po chacie, i przed chatę wyjść na miłe boże słonko popatrzeć Toż to była radość dla Janka, że matkę od śmierci wyratował! A wszystko to tylko jego poczciwość; on oddał znalezioną torbę, — za to wyuczył się na lekarza, a teraz własną matkę do życia przywołał. Tak Bóg wielki nagradza poczciwe serca.

Dostatek i wesołość wróciły pod strzechę Skibów. Córkę jedną wydali wkrótce za mąż. Chłopaków dał Janek na naukę do Krakowa, bo czuł dobrze, że tylko nauka stanowi szczęście człowieka, jak to sam na sobie doświadczył.

Jeden z nich potem, chociaż szkoły pokończył, osiadł w rodzinnej wiosce, i nie wstydzi się płotnianki, ale w pocie

czoła rodzinną rolę orze, a matka ziemia stokrotnie mu wynagradza. Drugi został księdzem, i we własnej wiosce jest proboszczem. Trzeci, co miał do muzyki usposobienie, jest organistą, i bratu proboszczowi co dzień do mszy św. przygrywa.

A Janek jest przybocznym lekarzem przy panu Antonim w Konopkach. Od chatki do chatki chodzi i ludzi leczy, a jużto najczęściej bezpłatnie. Nieraz w dalekie strony go wołają, bo już to doktor wyśmienity. W całej okolicy nikt do baby się nie uda, ani do żyda cyrulika, każdy spieszy do doktora Janka, bo ten dobrze leczy i uczciwie, nie żadnemi czarami ani szalbierstwem. Pan Antoni ożenił się, i jak dawniej żyje wesoły i szczęśliwy. Bóg jemu szczęści i włościanom jego wioski. Las i pastwisko nietylko powrócił ale darował na wieki włościanom. Miłość i zgoda panują wszędzie. Za zacność i poczciwość Bóg tych ludzi nawiedzał, w końcu szczęściem wynagrodził.

Stach ze Lwowa.

Wioska moja.

Ja tak kocham wioskę moją...
W niej się urodziłem,
W niej najpierwszą młodość swoją
Mile przepędziłem.

Moja wioska mi tak miła
Równie jak i chata,
Co swą strzechą osłoniła
Me dziecinne lata.

W mojej wiosce tak mi miło
Odpoczywać w chatce,
Bo w niej młodość się spędziło
Przy ojcu i matce. —

Wszystko dla mnie uroczyste
Kościółek z dzwonami,
I te lipy rozłożyste
Przed memi oknami.

I ten domek—gdziem się uczył
Najpierw chwalić Boga,
Kochać bliźnich się nauczył,
Ciebie wiosko droga!

Za nic w świecie nie mieniałbym
Chatki — wioski mojej —
W nich też nawet umrzeć chciałbym
W chatce, w wiosce swojej.

J. W.

Słoń.

Pisaliśmy Wam dotąd już o kilku dzikich zwierzętach, które w naszym kraju nie mieszkają, pisaliśmy jednak tylko o zupełnie dzikich, które są postrachem dla innych zwierząt mniejszych i dla ludzi. Teraz zaś chcę Wam donieść wprawdzie także o jednem z dzikich zwierząt, lecz z takich, które się łatwo dają ułaskawić i służą potem człowiekowi z wielkim pożytkiem. Otóż takiem zwierzęciem jest słoń.

Żyje on dziko w lasach i trawą porosłych pustyniach Azyi i Afryki zwykle w większej zgrai, która się nigdy nierozprósza. Wielkość jego dochodzi do 15 stóp wysokości a rozumie się, do znacznie większej długości; w ogóle wygląda tak, jak dobrze sianem nałożony wóz. Jest on na wejrzenie bardzo niezgrabny, cielsko ma grube i tęgie, a nogi, to już istne słupy. Głowa także się nie odrodziła od całego ciała, jest sobie dość potężna i nosi na sobie wielkie zwisłe uszyska, długi ryjek czyli trąbę, którą słoń jakby ręką włada i dwa ogromne, sterczące kły w pysku, które czasami cały centnar ważą. Cała postać jego jest pokryta grubą, nieprzenikliwą skórą, na której się ołowiane kule płaszczą; dlategoteż po większej części żelaznemi lub miedzianemi kulami do słonia strzelają.

Ależ z wielu niebezpieczeństwami takie polowanie połączone! Bo to trudno tak wymierzyć, aby zaraz ubić słonia, a jak go się tylko draśnie lub skaleczy, — to nie daj Boże! Wtedy to słoń rozjuszony nie lezie pomału, ale puszcza się na tego, co go skaleczył, jakby najszybszy koń, a trąbą tą swoją wymachiwa, że aż strach się popatrzeć. Bo też ta trąba nie tylko na to słoniowi służy, aby nią sobie liście z drzew i owoce urywał albo nią inną strawę sobie do paszczy podawał, ale służy mu także za broń doskonałą. Posiada on w niej bowiem taką siłę, że drzewo z korzeniem wyrwie, a człowieka jak złapie, to się pewnie przejedzie trochę po powietrzu a potem sobie na ziemi wszystkie kości połamie. Dlategoteż na słonie z wielkiemi ostrożnościami polują, a polują na to, aby mu odebrać nic więcej, jak tylko jego białe zęby, z których potem tokarze

rozmaite rzeczy wyrabiają, jakoto: guziki, gałki do lasek, kule bilardowe, coście pewnie je w traktyerni w miasteczku widzieli, grzebienie i t. d.

Ale cóż z tego? Nie szkoda to zwierzęcia, które zresztą niezaczepione jest zupełnie nieszkodliwe, aby je tylko dla zębów



Słoń.

zabijać? — Otóż więc, z tej przyczyny nie polują jedynie na słonia, ale go też i żywcem łapią. Robią zagrodę bardzo mocną, aby jej słoń nie mógł przerwać i zostawiają do niej tylko jedną drogę, kt'rąby słoń mógł się do niej dostać, wykopują w niej dół na wodę i wpuszczają tam kilka już ułaskawionych słoni. Jak już wybadają, że słonie są w okolicy, zbiera się mnóstwo ludzi z różnemi narzędziami, któremi można hałasować i nuż po lesie robić wrzask i rwetes. Zupełnie się to

równa naszej obławie. Otóż przestraszone słonie zaczynają uciekać, ale cóż, kiedy nigdzie uciec nie można, bo wszędzie wrzaski i hałasy. Wreszcie widzą zagrodę, w której ich braciszki najspokniej się pasą. Anuż więc do zagrody! I tak zdarza się czasem, ze sto albo i więcej słoni do tej klatki wlezie. Wtedy to włażą ludzie do tej wielkiej zagrody i pędzą słonie pojedyńczo do mniejszych zagród, a jak który słoń niechętny, albo się nawet rozłości, to zaraz ułaskawiony słoń go porządnie swoją trąbą wychłosta. Tak więc dostają się pojedyńczo do mniejszych zagród, gdzie im powrozy na szyję zarzucają i do mocno wbitych palów przywiązują. Wtedy już wygrana, bo słoń jak złapany, przestaje bardzo prędko być dzikim i daje się bardzo prędko ułaskawić. A jak już ułaskawiony, to co to za poczciwe stworzenie?! Już się nie złości, ani fuka, ale daje robić z sobą, co kto chce. I tak zaprzągają go do pługa i lezie biedaczysko w jarzmie jak wół i cały dzień orze; wpakują nań kilkadziesiąt pak rozmaitych towarów a on jeszcze uważa, aby jaka paka nie spadła i poprawia ją sobie trąbą na grzbiecie; dalej stawiają mu na grzbiecie altany takie wielkie, jak małe chaty i siadają sobie tam całkiem wygodnie, a przewodnik robi sobie miejsce na karku i popędza go, gdzie mu droga. I w wojnie słoni używają, wystawiają mu na grzbiecie drewniane wieżyczki i wsadzają tam żołnierzy, którzy z góry na nieprzyjaciela pociski i kamienie rzucają. — Teraz jak już armatami strzelają, to wyuczyli nawet tak słonie, że biorą lunty palące się w trąbę i zapalają proch w działach. I nie czyni słoń tego wszystkiego bezwiednie, o słoń posiada i zmysł pewny. Przewodnik jest mu przyjacielem, i temu to przyjacielowi umie być słoń także wdzięczny, on go obrania od nieprzyjaciela, on, że tak powiem, pieści się z nim. Ot, już to, że to zwierzę uważa, aby paki mu na grzbiet wsadzone nie pospadały, świadczy, że słoń nie taki głupi, jakby o zwierzęciu sądzić można. Rzeczywiście słoń nietylko umie być użytecznym, jak n. p. wół, osioł i t. d. ale też i przyjemność człowiekowi sprawić może. Otóż n. p. do nas sprowadzają z tych dalekich krajów, jakiemi są Azya i Afryka, także słonie, bądźto do takich ogrodów, w których rozmaite zwierzęta żywią, bądźto, by

jechać z niemi i pokazywać je za pieniądze. Otóż ogrody takie tylko po wielkich miastach miewają, a u nas takich zwierzyńców, jak właśnie te ogrody nazywają, nie ma, lecz czasami przyjeżdżają i do nas cudzoziemcy z różnemi zwierzętami, jakoto: z małpami, niedźwiedziami, papugami, wielbłądami i wtedy to możemy się czasami i słoniowi przypatrzyć. Ubierają go zwykle w jakieś czerwone sukno, a małpa na szerokim jego grzbiecie koziołka wywraca. I ten dziki zwierz, który człowieka jednem uderzeniem swej trąby na drugi świat wyprawić może, stoi spokojnie i daje się od głupiej małpy za uszy szczypać! Ha — jest swemu panu wdzięczny za to co mu daje i pozwala sobie wszystko zrobić. Oj! gdyby się ludzie od tego zwierzęcia wdzięczności uczyli! Ale niestety! człowiek się nie rodzi wprawdzie dzikim, ani w lesie, ani na puszczy, a oszukuje przyjaciół swoich i odwdzięcza się złymi czynami swoim dobrodziejom. No — lecz dam pokój temu, — nie wszyscy ludzie są źli na tym świecie.

Ot teraz kiedy już mamy słonia niejako przed sobą, chcę Wam także coś niecoś opowiedzieć, jak słoń potrafi być zabawny. — W ułaskawionym stanie przyzwyczaja się on do najrozmaitszej strawy, nie zapomni wprawdzie trawy, którą to niegdyś na wolności z smakiem pożerał, ale nie ma też nic przeciw temu, gdy mu się da bułek, jabłek, chleba i t. d. a nawet i flachą wódki albo wina nie pogardzi; a jak arak pije, to się ani nie zakrztusi! Ale mniejsza o to, że je bułki, cukier i pije wino i arak, gdy to i inne zwierzę potrafi, nietylko człowiek, co to tak cukry i wino lubi; — gdybyście widzieli, jak on sam sobie korek z flaszki wyciągnie! — Oto na swoim ryjku ma wyróst, podobny do palca i tym to porwie za korek, a ryłkiem samym za flaszkę i w mgnieniu oka ciecze mu już wódka w gardło. Ale nie dobrze z nim żartować! Bo też jak mu raz chłopiec jakiś zamiast jabłka rzucił kamyk, słoń nie wiele się namyślał, chwycił trąbą za kamyk i cisnął nim na chłopca tak, że biedaczysko z dobrym siniakiem zmykł do domu. Razu pewnego także dano mu w butelce wodę i słoń ani się nie ruszył, wciągnął w trąbę daną mu wodę, poszedł do kadzi, nabrał jeszcze więcej i nuż pokornie do zagrody. Wszyscy

zaczęli się naśmiewać już z słonia, wtem słoń trąbę wyciąga i nuż wszystkich wodą opryskiwać! Oto im był żart, że mokro potem do domu sunąć musieli. — Podobnie zrobił słoń jednemu krawcowi, który mu zawsze jeść dawał, a raz — Bóg wie, co mu się stało — igłą go w trąbę ukłuł. Słoń poszedł sobie dalej niby zasmucony, zakradł się jednak do kadzi i tak spluskał naszego krawca, że kąpieli już pewno nie potrzebował.

Ale nie zawsze słoń ma taki dobry humor, nie zawsze on lubi żarty i figle stroić. Otóż raz go przewodnik zanadto poturbował, słoń wytrzymał długo to bicie, ale, gdy przewodnik nie przestawał, i słoniowi cierpliwości brakło — uniósł się gniewem i — biedaczysko przewodnik przejechał się na trąbie słonia — padł o ziemię i już więcej nie wstał. Ale i słoniowi zrobiło się ckliwo — stanął i jakby się zadumał, jakby chciał zapłakać i postąpił do swego martwego przewodnika, zaczął go ruszać, jakby chciał mu powiedzieć. „Wstań“ ale nadaremno! Zasmucił się słonisko, zadumał, wreszcie wziął dziecię zabitego przewodnika trąbą i wsadził je sobie na kark, jakby je naznaczył na swego przyszłego przewodnika. I nie rzadko to słoń okazał swą miłość ku dzieciom. — Raz n. p. rozjuszony wybiegł z za swojego zagrodzenia i biegł bez opamiętania przez ulice miasta, a wszyscy z przestrachem uchodzili do domu. Wtem zobaczył nagle dziecię, które się na ulicy bawiło. Opamiętał się, podjął dziecię trąbą, posadził je na ławkę przed domem, by go nie roztratować i gniew go zupełnie opuścił. I jak się zdaje, namyślił się, zwrócił krok i spokojnie, jakby zawstydzony wrócił do swojej zagrody.

Takie to słonie były także w ogrodzie publicznym w Paryżu. I przyszły Prusaki, opasały Paryż i nie przepuszczały żywności do miasta, a głód okropny zaczął panować. Zjedzono już wszystkie woły, krowy, konie, nawet psy, koty i szczury, a słonie smutno chodziły po ogrodzie, bo je zaniedbano. Lecz głód i im końca dojechał; zabili je bowiem, chociaż ich mięso wiele niesmaczne, i zjedzono. — Tak to i biedne zwierzęta podzieliły los wielu ludzi — dlaczego? Bo Prusakowi zachciało

się mordować, palic i głodzić. Lecz jest Bóg, i zasłużoną karę za niewinną krew ludzką Prusakowi opatrzność wymierzy.

Kartaczownice.

Powiadają ludzie, że ten wiek, w którym żyjemy, jest wiekiem postępu w oświecie; powiadają, że ludzi coraz więcej się kształcą, co raz więcej umieją i przez to co raz lepszymi się stają. Ot i trochę jest w tem prawdy; — ludzie się nauczyli wiele pożytecznych i dobrych rzeczy, jeżdżą żelaznemi kolejami, telegrafują sobie, jakto Wam w 1. już numerze bardzo opowiedziane, wynaleźli różne maszyny — ale musimy przyznać, że nie bardzo lepszeją. Nauki bowiem rozmaicie używają; — bo to też nietylko mamy teraz żelazne koleje, telegrafy, parowe pługi i młocarnie, ot mamy także nowe karabiny, nowe bagnety i nowe armaty. — I znowu mówią ludzie że się wiele, bardzo wiele nauczyli, bo aż takie wynaleźli karabiny, co, nim do sześćdziesięciu policzysz, pietnastu ludzi ubiją. Oj, tożto ładny wynalazek! pukniesz w jednej krótkiej chwili pietnaście razy z rurki od karabina i jużeś powalił pietnastu bliźnich, nie wiedzieć, za co. — Ale nietylko takie piękne karabiny ludzie sobie wynaleźli — mamy przecież i armaty rozmaitego gatunku. Kulka jedna z tego działa pietnastu, a z tamtego sto ubije. — I mówią znowu i piszą i krzyczą: „Jacy my mądrzy, a jacy my dobrzy!“ Oj zdaje mi się że ta ich mądrość i ta ich dobroć od tego panicza pochodzi, co to w raju siedział na drzewie i Ewę skusił do grzechu. On bo także jej obiecywał mądrość wielką. Oj widać, widać, że się ludziska dużo takich rajskich jabłek Ewy najedli, bo tacy mądrzy, a tacy dobrzy, że aż strach powiedzieć.

I teraz, jakto już wiecie, zaczęły się bić Prusaki z Francuzami, nabili się dużo ludzi niewinnych, pokaleczyli jeszcze więcej i zadowoleni z tego. A długo, długo przed wojną przemyśliwali nad tem, jakby to najwięcej z braci swoich wyprawić na drugi świat. I zdaje się, że wtedy szatan im naniósł swoich rajskich jabłuszek z kilkadziesiąt korcy, bo

wynaleźli takie piekielne narzędzia, żeby potrafili całe kraje z ludzi obrać.

Już przed wojną z r. 1866, co to ją wiodły Prusaki z Austryakami, powynachodziły sobie Prusaki karabiny, iglicówkami zwane, które na minutę po pietnastu ludzi biją, i — biły, biły Prusaki, narobiły swojemi kulami mnóstwo trupów, tysiące kalek i tysiące przez to wdów i sierot. Ale nie dosyć myślą sobie: „Wybiliśmy jednego, ale co z drugim zrobić? Może nas wybije.“ I nuż znowu do karabinów i do bagnetów i do armat. Poprawili sobie karabinki, powyostrzali bagnety i zabrali się do armat. Nuż znowu klepać, odlewać mosiądz i żelazo, piłować i wyklepali sobie działa, co na całą milę rzucają kule. A cóż dopiero o kulach gadać? — Nie było im dosyć żelaznemi bez otworów strzelać, trzeba sobie było wynaleźć takie, coby pękały, ludzi zabijały i kaleczyły. I znowu im się udało — wynaleźli sobie granaty, co to jak pęknie, zaraz z trzydzieści ludzi na ziemię powali, bomby i puszki z kulami, co to je kartaczami nazywają. — I inni nie byli leniwi — „szukasz ty na mnie kamienia, ja sobie na ciebie większego poszukam“. I zaczęli szukać, szukać i wynaleźli takie armatki, co to je kartaczownicami nazywają, a o których chcę Wam trochę napisać. — Jestto pęk samych rurek karabinowych — jest tam ich z trzydzieści do czterdziestu, a wszystkie ze sobą mocno żelazem spojone. Ciężko by to było dla jednego człowieka nosić a koni szkoda używać, bo dla konia taka miotła z samych lufek znowu za lekka. Wsadzili też dlatego ten przyrząd na dwa kółka i jeden człowiek taką kartaczownicę uciągnie. Ale nie myślcie, że to tak trzeba nabijać te lufki jak strzelbę i jednę po drugiej wystrzeliwać. Gdzietam! wynaleźli sobie taki przyrząd którym wszystkie te lufki naraz nabijają i znowu przyrząd, którym wszystkie rurki wystrzeliwają naraz, a jeden człowiek robi to sobie całkiem wygodnie. A biją te kartaczownice ogromnie daleko i ogromnie silnie, tak, że jedna taka kartaczownica całe szeregi żołnierzy trupem kładzie.

Mieli Francuzi takich bawidełek bardzo dużo, ale jak ich dowódzcy zaczęli jeden po drugim zdradzać i sprzedawać, to Prusaki wszystko zabrały. Oj wielką szkodę narobiły Prusaki

biednym Francuzom, nabrały się pieniędzy, nabiły ludzi, napaliły się wsi i miast i zabrały aż siedem tysięcy rozmaitych armat. A że nie mogły wszystkich zabrać ze sobą, to sobie wynalazły taki proch co się dynamit nazywa i taką maść, że jak nabije armatę, to ją rozsadzi na same drobne kawałki. I tak, jak piszą, chcą zrobić z armatami, co w Paryżu je zabrali. Ot wkrótce będziemy słyszeli, że tym prochem i tą maścią będą kule napełniali, aby się lepiej rozrywały i więcej ludzi biły. — Bo to wiecie, ludzie bardzo się przykazań boskich trzymają, i z samej miłości bliźniej obopólnie się ubijają. Ale Bóg czuwa nad światem; dopuszcza ciężkie kary za wielkie przewinienia na całe kraje i narody, lecz zaginąć im nie daje.

Mańko ze Stryja.

Kożuszek.

Przed niedawnemi laty żył biedny człowiek, kaleka na ręce i nogi. Latem chodził on tylko w długiej koszuli białej, a zimą ubierał na nią kożuszek barani; na głowie nosił czapeczkę z dwoma piórami pawiemi, a chciał tylko w mieście, nie na wsi swoje biedne życie prowadzić. Z ubioru ludzie go zwali Kożuszkiem baranim, a śpiewki jego wszyscy znali. Spiewał on tak:

Kożuszek barani, czapeczka z piórami,
I dwie koszuleczek, to mój mająteczek,
To mój mająteczek.
Mało mienia mego, lecz ja kontent z niego,
Przez życie do nieba, oj nie wiele trzeba,
Oj nie wiele trzeba.
Biednym ja kaleka, ale nie narzekam,
Jeno chwałę Bożą, jak mogę przymnażam.
Jak mogę przymnażam.
Kiedy mnie głód najdzie, wnet się groszyk znajdzie,
Czyliż więcej trzeba, przez życie do nieba,
Przez życie do nieba.
Inni skarby mają, przecie narzekają,
A czyż wiele trzeba, przez życie do nieba.
Przez życie do nieba.

Zatrzymywali się ludzie przechodzący przez ulicę, słysząc tego spiewaka, a jaki taki, widząc że on kaleka, podawał mu jałmużnę, ale biedny nie chciał nigdy wziąść więcej jak grosz jeden. Dosyć mnie grosza jednego tymczasem, mawiał, jak tego zabraknie proszę o drugi, schowajcież panowie i panie wasze grosze dla biedniejszych, i wnet odchodził spiewając:

„Kożuszek barani, czapeczka z piórami itd.

Choć nawiedzony ciężkiem kalectwem żył on jakoby ku przykładowi dla niejednego, co wiele mając szemrze i narzeka i zawsze mu czegoś brakuje. Kożuszek poczciwy jak wyspiewywał, tak też prawdziwie przez życie dążył jeno do nieba, więc tu nie pragnął mieć tylko tyle, ile mu koniecznie było potrzeba. Każdy też go szanował dla jego uczciwości, sypały się grosze do kożuszka; ale on trzy, cztery razy na dzień, zatrzymawszy po jednym tylko groszu dla siebie, rozdawał resztę wciśniętych mu nieraz gwałtem groszy, innym ubogim kalekom, starcom, chorym i sierotom; sam nigdy grosza nie miewał, jak to mówią przy duszy.

Jednego razu jakaś pani bardzo bogata, a bardzo skąpa zgubiła sakiewkę pełną dukatów. Podano to do wiadomości do pism różnych i obiecano wielką nagrodę temu, coby ową zgubioną sakiewkę znalazł, i oddał. Ale sakiewki jak nie było tak nie było. Już myślała pani owa, że jej nigdy nie odbierze, narzekała więc, i płakała. Aż oto, kiedy dnia jednego miała wyjeżdzać z domu, patrzy: a tu kożuszek barani stoi przy powozie, brząka dukatami w sakiewce, i wyspiewuje:

„Kożuszek barani, czapeczka z piórami....

Gdy zaś ujrzał, że pani owa poznała swoją sakiewkę, rzuca jej do powozu sakiewkę z dukatami i dalej znowu śpiewa swoją piosneczkę:

I dwie koszuleczek, to mój mająteczek
To mój mająteczek.

Bogata pani a skąpa, przeliczyła dukaty złote, a gdy się przekonała, że uczciwy kożuszek nie wziął ani jednego, zapomniała pierwszy raz w życiu, że jest skąpa. Wyjęła dwa dukaty z worka i podała je kożuszkowi. A kożuszek właśnie wtenczas śpiewa:

Kiedy mnie głód najdzie, wnet się groszek znajdzie
Czyliż więcej trzeba, przez życie do nieba
Przez życie do nieba.

Ukończywszy ten wierszyk, tak się kożuszek odezwał do pani podającej mu dukaty: „Nie potrzebuję ja tyle pieniędzy, bo mam kożuszek barani i dwie koszule; jeżeli macie wiele, dajcie na chorych, dajcie na biedne sieroty — dla mnie dosyć groszyka jednego.“ — Zadziwiona coraz bardziej skąpa pani, nalega na kożuszka, żeby koniecznie wziął choć jeden dukat, ale kożuszek jak nie chciał przyjąć, tak nie chciał. Szuka tedy pani owa w worku, który miała przy sobie, groszyka, a kożuszek tymczasem spiewa dalej:

Inni skarby mają, przecież narzekają
A czyż wiele trzeba przez życie do nieba.

Słucha pani, słucha, daje groszyk kożuszkowi, a nauczona jego przykładem i jego piosneczką, wyrzeka się skąpstwa obrzydłego. Poszedłszy za radą kożuszka, zaczyna mieć od dnia tego pieczę o sierotach, o chorych, o nieszczęśliwych i na tych obraca wszystkie swoje skarby, pamiętna zawsze na słowa piosenki kożuszka: „Czyli wiele trzeba, przez życie do nieba.

Innych żebraków, którzy za użebrany grosz rozpustowali, mocno nieraz strofował kożuszek. Także i tym nie przebaczał, którzy z umysłu kalectwo udawali, aby tylko grosz wyłudzić, a nie pracować Niejeden żebrak taki usłuchał słów prawdy, i zamiast ludzi cyganić, wziął się do pracy. Żył poczciwy kożuszek ośmdziesiąt lat, i umarł od wszystkich żałowany, i szanowany. W starości nie śpiewał on już tak często swojej piosenki, ale ją też już wszyscy znali, którzy znali kożuszka, i bez piosenki więc miał zawsze dosyć groszy dla siebie — a dla biedniejszych, został mu jeszcze niejeden.

Maciej Szarek,
włościanin z Brzegów.

Złote ziarna.

Nie ten mądry, co bogactw dorobił się mnóstwo
Lecz ten, co je straciwszy, nieczuje ubóstwa.

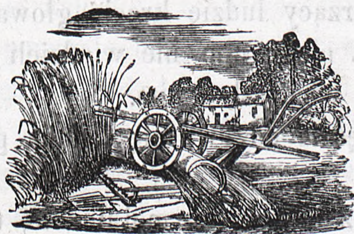
Redaktor odpowiedzialny Kazimierz Okaz. — Wydawca Stanisław Justian.
Z drukarni E. Winiarza we Lwowie.

Tom III. 11. Marca 1871. Nr. 8.

Rok dwunasty.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Sebastjan Kubinek.

Byłem niedawno temu w pewnem mieście na jarmarku i stanąłem sobie przed obraźnikiem, albowiem tu się najwięcej ludzi zgromadzało. Obraźnik rozwinął lakierowane płótno, i pokazywał obrazy, które miał w niem zawinięte. Byli na nich różni cesarze i króle, ministrowie i uczeni ludzie, były wojny i różne widoki malowane, ale żaden z tych obrazków nie zajął tak patrzących ludzi, jak jeden, na którym obaczyli człowieka poczciwego oblicza, słusznej postawy, w kapeluszu na głowie, z pod którego spływały czarne włosy, w sukmanie długiej, białej, z zieloną skrzynką na plecach.

— A to pewnie jakiś wieśniak? — powiedział jeden gospodarz.

— Z pewnością nie kto inny — powie drugi — ale rzecz ciekawa, czem on się też tak zasłużył, że go aż malują na obrazach?...

Wtem przystępuje do obraźnika jakiś człek z miejska ubrany i pyta:

— A kto też to być może ten oto człowiek w białej sukmanie? Na to powie obraźnik:

— To jest Sebastjan Kubinek, chłop czeski, który bardzo wiele rozsprzedał książek.

Tu zaczęli patrzący ludzie kręcić głowami i mówić o owym Kubinku, ale nic a nic o nim nie wiedzieli więcej, bo i sam obraźnik tylko tyle wiedział o nim.

Aż tu na szczęście odzywa się ksiądz pewien, który tam stał zboku:

— Posłuchajcież cierpliwie, moi ludzie, to wam rozpowiem zaraz o tym Kubinku, boć to i warto wiedzieć o nim, jako o wielkim człowieku, który się w Czechach wielce przyczynił do rozszerzenia oświaty między ludem.

Patrzący ludzie odeszli obraźnika; obstąpili księdza do okoła, a on tak do nich mówił:

— Wiecie o tem dobrze, moi kochani, że u nas teraz wszelkiemi możliwemi sposobami starają się dobrzy ludzie o oświatę; a więc zakładają szkółki, drukują książki i gazety, a to wszystko na to, żeby nastąpiło lepsze poznanie wszystkiego i korzystanie z każdej rzeczy. Idzie to atoli wszystko jeszcze z oporem i pomału, bo ludzie nie mają należytego przekonania i pojęcia o dobrej sprawie. Tak było i w innych krajach. Jednakże gdyby nie oświata, nie byłyby się tak spanoszyły zagraniczne kraje; nie byłyby rozporządzały tak wielkeimi sumami pieniędzy, jak to mogą robić dzisiaj. Oświata dobra postawiła je na nogi. Przed niedawnym czasem i w Czechach, co to leżą za Szlązkiem i Morawą. było źle i szło twardo, jak z kamienia, bo nie było takiej jak dzisiaj oświaty. Ale Czesi pomyśleli sobie tak:

— Długo tak być nie może, boby nam zawsze źle było; trzeba się goręcej wziąć do pracy!

Jakoż zakładali szkólki niemal w każdej gminie, nakazali rodzicom koniecznie posyłać dzieci na naukę; wydawali książki i gazety, a ludzie, z początku niechętni, zasmakowali w czytaniu, i dzisiaj mało znajdzie się tam takich którzyby czytać i pisać nie umieli. I powstał też wnet nowy zarząd domowy, nowa gospodarka, a przytem przemyślność co się zowie. Różne osoby brały udział w szerzeniu oświaty, brało także i czeskie duchowieństwo, które utworzyło w Pradze, co to jest stołecznem

miastem w Czechach, towarzystwo i dało mu nazwę: Dziedzictwo św. Jana. Otóż to towarzystwo wzięło sobie za obowiązek wydawać dobre i tanie książki i rozpowszechniać je między ludem.

Wnet potem powstało drugie takie towarzystwo w mieście Bernie i nazwało się: Dziedzictwo św. Cyryla i Metodego, na uczczenie tych dwóch wielkich apostołów, którzy roznosili światło wiary prawdziwej pomiędzy Słowianami. To piękne towarzystwo tak się urządziło: kto przystąpi do niego, a zapłaci raz na zawsze 12 reńskich, temu przez całe jego życie przysyła darmo co rok przez siebie wydawane książki, a gdyby, czego Boże broń, umarł który z członków, to księża należący do tego towarzystwa odprawiają za jego duszę co rok w jednym dniu nabożeństwo.

— A to piękne towarzystwo, miły Boże! — powiedział jeden ze słuchających.

— Pewnie, że piękne — odrzekł ksiądz — a przecież z początku bardzo mało liczyło członków. Takie i w Czechach było wówczas złe zrozumienie rzeczy, jak nieprzymierzając u nas w dzisiejszym czasie. Ale przecież za pomocą Bożą dobra sprawa zawsze zyskuje zwolenników. Tak i towarzystwo to zjednało sobie wielu ludzi, a najgorliwszym z nich był Sebastjan Kubinek, którego widzieliście na obrazku. On poparł towarzystwo tak silnie, że dzisiaj ma ono kilkadziesiąt tysięcy członków.

— A jakżeby zaś włościanin mógł się tak wielce przyczynić do tego? — zapytał jeden ze słuchaczów.

Na to powie ksiądz dobrodziej:

— Właśnie chciałem wam to opowiedzieć. Otóż tak się rzecz miała: Sebastjan Kubinek urodził się na wsi, gdzie ojciec jego nie zbyt bogatym, ale bardzo zapobiegliwym był rolnikiem. Sebastjana małego posyłał on do szkoły, gdzie się uczył czytać i pisać, a po nauce pomagał ojcu w gospodarstwie, aby się zawczasu przyzwyczaił do takiej pracy, bo ojciec nie miał zamiaru posyłać go dalej do szkoły. I dobrze się prowadził Sobuś mały i ojciec z niego bardzo był zadowolonym. Aliście w krótce umierają mu rodzice, zostaje więc właścicielem chaty i roli. Poświęca się z całym zapałem gospodarce, pracuje

pilnie i ochoczo; każdy ciężko zarobiony grosik chowa do kalety i oszczędza, bo sobie tak myśli:

— Rola moja daje mi na tyle, że się uczciwie wyżywić mogę; na cóż tedy mam wydawać pieniądze?... Pijakiem nie jestem, do karczmy nie pójdę, bo tam człowiek najlepszy przemieni się w najgorszego...

I nie chodził do karczmy, siedział w domu i pracował, a w niedzielę i święto czytywał sobie dobre i pożyteczne książki, które sobie skupował za grosz oszczędzony. I po niejakim czasie sam się przekonał, że jest jakimś lepszym, że świat się cały do niego uśmiecha. Owoż z tego powodu tak polubił czytanie, że je uważał za najmilszą dla siebie zabawę. I sprowadzał książki jednę za drugą i czytał każdą z rozwagą. Ale po niejakim czasie zrobiło mu się markotno, że inni włościanie z małym bardzo wyjątkiem nic a nic nie czytają. Właśnie w tym czasie dowiedział się o pięknem towarzystwie św. Jana i o łatwości, z jaką można nabywać dobre i pouczające książki, i pożyteczne a tanie pisma. Więc sobie znowu tak myśli:

— Byłoby to dla mnie wielką zasługą przed Bogiem i ludźmi, gdyby mi się udało obudzić zamiłowanie do czytania między wiejskim ludem. Rozpocznę w imię Boże, a za łaską nieba może będzie pomyślny skutek.

I nie omylił się poczciwy Sebastjan, bo rozszerzając książki wydawane przez towarzystwo św. Jana, tyle doznawał pociechy, że chcąc się najsumienniej oddać swemu posłannictwu, sprzedał swą chatę, rolę i dobytek, udał się do Pragi i prosił am księdza arcybiskupa, aby mu dał pozwolenie do sprzedawania książek wydawanych przez towarzystwo św. Jana i zjednywauia dla niego członków.

Na taką wiadomość ucieszył się ksiądz arcybiskup i księża z towarzystwa i dano mu najchętniej, o co prosił, a Sebastjan zaczął zaraz chodzić po Czechach i Morawie, rozszerzał książki i pozyskiwał członków. Za jego tedy staraniem wzrosła liczba członków w krótkim czasie, bo też nikt nie umiał tak za tem chodzić jak dobry Kubinek.

— A jak on też sobie postępował w takim razie? — zapytał jakiś stary rolnik.

A ksiądz w ten sens prawił dalej:

— Miał on do tego osobliwszy sposób, a tym jest nadzwyczajnie poczciwe serce, którem podbijał sobie wszystkich. Kiedy bywało przyjdzie do jakiego miejsca, zawiesza sobie u szyi wielką harmonijkę i gra na niej rozmaite prześliczne pieśni, a ludzie spiewają z nim razem. Gdy się w takiej chwili rozrzewnią do głębi serca i duszy, wtedy odzywa się do nich:

— Widzicie, moi kochani, jak to dobrze mieć dobre i pożyteczne książki, bo w nich zawiera się to wszystko, coście słyszeli a oprócz tego są tam takie ciekawości, że wolelibyście nieraz nie jeść i nie pić, byle tylko czytać. A mam ja ich nie mało, a kosztują nie wiele....

Wtedy kupują ludzie jednę za drugą i cieszą się niewymownie, a Kubinek wzywa potem, aby się wpisywali do towarzystwa św. Jana, to im będzie wiele i pięknych przysyłać książek. I wpisują się ludzie sami, zapisują całe rodziny i szkoły.

A gdyby w którem miejscu byli ludzie uporni i niechętni, to Kubinek wszelkiemi sposobami łagodzi ich i budzi przekonanie, że oświata jest niezbędną, jeżeli ludzie chcą mieć lepsze czasy. I dziwią się ludzie, że on i najprzewrotniejszych umie na prostą naprowadzić drogę. Bogatych umie sobie zjednywać i podchodzić tak zręcznie, że nieraz mimo woli zapisują się do towarzystwa. Ubogim czeka na wkładkę, albo sam za nich płaci z własnej kieszeni, byle tylko czytali i postępowali w cnotach. A za trudy swoje nie żąda on od towarzystwa ani grosza; robi to z poświęcenia dla ojczystego kraju, który radby widzieć zamożnym i oświeconym.

Ale gromadził on członków nie tylko dla towarzystwa św Jana, albowiem gdy powstało drugie takie towarzystwo pod nazwą: „Dziedzictwo śś. Cyryla i Metodego“ — Kubinek znowu największą rozwinął czynność, by i ono jak najwięcej miało członków. I udawało mu się znowu bardzo pomyślnie i jak jedno tak i drugie towarzystwo cieszyło się za jego pomocą najlepszem powodzeniem.

Kiedy zaś w Karolowym Hradcu zawiązało się trzecie towarzystwo w celu szerzenia pożytecznych książek dla szkolnej

dziatwy, i tu Kubinek główną był podporą i jak pisano o nim w 1868 roku rozsprzedał sam więcej niż 100 tysięcy książek!

— A to rzecz nie łada! — zawołał jeden ze słuchaczów.

— A widzicie — mówił ksiądz — co to przy dobrej woli i mniej znaczący człowiek wykonać może! Kubinka też za to ceniły nie tylko towarzystwa, ale szanują go ludzie i powierzają mu pieniądze bez najmniejszych dowodów, bo wiedzą dobrze, że ich nie oszuka i rzetelnie odda w przeznaczone miejsce. Sam czyta i teraz bardzo wiele, a przystając nadto z ludźmi mądrymi i uczonymi, nabył wiedzy, to też chodząc od wioski do wioski, poucza ludzi w różnych wypadkach i skłania ich do czytania dobrych książek.

I tak jeden zachęci znowu drugiego, ten trzeciego, i krzewi się oświata, a przez nią rodzi się dostatek i wygoda w życiu.

Uważcież sobie tedy, moi ludzie, ile to dobrego robi ten Kubinek, jak wielką jest jego zasługa! Żeby i w naszym kraju znaleźli się podobni ludzie, wnet poznalibyśmy różnicę w życiu naszem. Ale u nas mało ludzi garnie się do oświaty, mało jest takich, którzyby czytywać lubili lub drugich do tego zachęcali. Znamy tylko jednego Macieja Szarka, który budzi zamiłowanie do czytania. Uczcie się wy moi drodzy, zapatrujcie się na Sebastjana Kubinka i bądźcie mi zdrowi! — powiedział ksiądz i odszedł od ludzi, którzy znowu patrzyli na obrazy.

Józef z Bochni

Skowronek na mrozie.

Już zabłysnął dzionek miły:
Słonko błogie ciepło sieje,
Ptaszki wiosnę ogłosiły,
Znikły mrozy i zawieje.

A skowronek piewca mały
Wzlata z pieśnią pod obłoki,
I westchnienia i zapały
Już roznosi w świat szeroki.

— Oj! śpiewaku, czy nie wcześnie
Chcesz nadzieje w nas obudzić?
Twoja piosnka brzmi jak we śnie,
I chłód może ją ostudzić!

Bo już nieraz się trafiło,
Że wśród śpiewu pierś ziębnęła,
I dopiero za mogiłą
W świętym hymnie zapłonęła.

On nie zważa na przestrogę,
Buja w powietrza krainie;
Chociaż śnieg pobielił drogę,
Słonko ciepłe w chmurach ginie.

Wicher ostry zadął w światy,
I zamroził piosnkę lubą.
Gdzież ten śpiewak, gdzie skrzydlaty
Jak uchroni się przed zgubą?

O przyjmijcie go pod strzechę
Tulcie go do waszej piersi!
A tak dla was na pociechę
Wyrwie się z objęcia śmierci.

I znów wzleci ponad niwy,
Z pieśnią wzleci ponad domek,
A po burzy znów szczęśliwy
Ogłosi wam błogi dzionek!

M. Nadwiślak.

Nosorożec.

W ostatnim numerze podaliśmy Wam rycinę i opisanie słonia. Otóż obecnie chcemy Wam opisać i jego krewniaka t. j. nosorożca. Milej nam było pisać o słoniu, bo było choć co opowiedzieć także i o pożytku, jaki z niego ludzie mają i o jego dobroci, a na nosorożca musimy się jedynie skarzyć. Dziwna to rzecz, jeden do drugiego podobny, niejako do jednej należą rodziny, a mimo to tak różnią się od siebie. Lecz to między ludzmi tak się zdarza — jeden brat dobry, szlachetny, a drugi zły i szkodzi swoim bliźnim, ot jak to mówią „Z jednego drzewa krzyż i łopata“. — No, ale powiecie: „Gada, gada a jeszcze nam nie powiedział, czemu to sobie słoń i nosorożec braćmi.“ Otóż nie chcę Was dłużej nudzić i opiszę Wam to zwierzę. — Jak z ostatniej ryciny widzieliście, słoń nie bardzo przystojny — nożyska, jak konwie, łeb, jak ceber, prócz tego ryjek — gruba skóra. I nosorożec nie piękniejszy od niego ma grubą rogową skórę na swem dziwacznem cielsku, które jest cokolwiek mniejsze od ciała słonia, po kilka włosków na niej, nogi równe nogom słonia, tylko trąby nie posiada. Czemżeż on się bronić będzie, jak go inne zwierzęta opadną? Otóż w miejscu trąby dał mu Bóg wszechmocny ząb ogromny na nosie, powiadam ząb, chociaż to ludzie rogiem nazwali. I dlaczegoto? Bo róg to niby tak jak u bydlęcia na ciemieniu, a ząb w paszczece, róg czarny i miękki, a ząb biały albo żółty i twardy. A właśnie taki wyróst ma nosorożec pomiędzy nozdrzami. Uszy jego także odmienne od słoniowych, nie są

bowiem zwisłe i szerokie, ale wąskie i sterczące. – Ogón ma podobny do ogona krowiego.

Ten zwierz potworny mieszka w Indyach, krainie w innej części świata, którą nazywają Azyą. I on nic innego nie jada, jak tylko rośliny i dlatego, że wiele pożywienia potrzebuje,



przemieszkiwa w miejscach, gdzie wiele roślin i wielka trawa. Otóż w tych Indyach są wielkie rzeki a ponieważ nad rzekami rośliny najbujniejsze, przeto nosorożec po największej części nad temi wielkiemi rzekami przesiaduje, bo ma co żreć i wody pod dostatkiem. Wiele on szkody nie narobi! — Nad temi rzekami są ogrody i pola na których ryż sieją, a nosorożcowi smakuje słodka łodyga ryżu. Biedne te ogrody i pola! Wleci bowiem poczwara, żre i żre a przytem łazi po polu i tratuje rośliny. Dlategoteż ludzie chętnie się starają pozbyć się tego

niemiłego gościa i robią nań polowania i obławy. Ale jakto trzeba być ostrożnym na takiem polowaniu! Bo nosorożec posiada nadzwyczaj bystry słuch i ostry węch tak, iż na kilkadziesiąt kroków zwietrzy swego nieprzyjaciela. Jeszcze szczęście, że wzroku nie posiada równie bystrego, bo wtedy by sobie nie można dać z nim rady. I tak już trudne na niego polowanie, ponieważ, jak go się wytropi, dobrze uważać należy, skąd wiatr wieje, a nie daj Boże, jak wiatr dmie na nosorożca, bo też zaraz myśliwego zwietrzy i już po polowaniu. Ale to nicby jeszcze nie było, gdyby się polowanie tylko nie udało, nosorożec jeszcze do tego mściwy i chętny zabić przeciwnika. Osobliwie, gdy go kula tylko draśnie, no wtedy mów pacierz, bo to nie żarty, jeżli się nosorożec rozłości. Wtedy, biegnie za węchem, oczy przymruży, nos na dół spuści i pędzi nadzwyczaj szybko na tego, co go pokrzywdził. Łamie drzewa, tratuje wszystko na co stanie, a jak cię dopędzi, toś przepadł. Jedynie możliwy ratunek, by ujść złości nosorożca, jest poskoczyć w bok i pędzić na kilkadziesiąt kroków w prostym kierunku, bo nosorożec nie łatwo ucieczkę tę spostrzeże. Dlategoto tylko najlepsi myśliwi wybierają się na takie polowania i strzelają nosorożcowi w oczy, bo skóra jego tak twarda, iż kula przez nią nie przeleci. Jużto nietylko jako szkodnika prześladują ludzie to zwierzę, ale także i dla tego zęba, co go ma na nosie, wyrabiają zeń bowiem rzeczy takie, jak ze słoniowej kości. Nietylko jednak człowiekowi słoń jest tak nieprzyjaznym, — i od zwierząt sobie w kaszę napluć nie da, a nawet z słoniem czasami staje do walki. I nie koniecznie słoniowi w walce ulega, chociaż jest mniejszy, bo gdy podbiegnie pod brzuch słoniowi, to mu go rozpruje, że aż jelita wylecą. Piszą o tem ludzie, co taką walkę widzieli, że to aż strach patrzyć na te dwa potwory. Tu słoń wywija trąbą i pruje kłami z góry. tam znowu nosorożec w największym pędzie łeb zwiesi na dół i ząb swój wystawia. Z drzew drzazgi lecą, uderzenia trąby to jakby strzały z fuzyi, a tam, gdzie się te olbrzymy biją, tam nie tak prędko trawa urośnie, bo zatratują ziemię tak, że ani znaku, iż tam kiedyś od trawy się zieleniało. Wreszcie słoń stanął nogą na łeb norożcowi, aż się zachwiał; ale wkrótce

znów swój łeb do góry podnosi i podsuwa się pod brzuch przeciwnika. Tak prują się i biją godzinami, aż jeden z nich wreszcie zginie.

Ale słoń mimo to, że tak dziko bić się umie, daje się przecież łatwo ułaskawić, a nosorożec to już taki dziki, że o ułaskawieniu jego nawet myśleć nie można. Dlategoto nie wożą ze sobą ci co to zwierzęta za pieniądze pokazują, nosorożców, bo się sami ich boją i tylko gdzie niegdzie w bardzo wielkich miastach po ogrodach takie potwory chowają.

Z mojej podróży.

Minionego lata byłem w tej części naszej ziemi polskiej, która jest pod Prusakiem, i nazywa się Wielkiem Księstwem Poznańskiem. A nazywa się tak dla tego, bo główne miasto jest tam Poznań. Oglądałem miasto całe, kościoły, gmachy, budynki, co Wam wszystko kiedyindziej opiszę. Pozałatwiałem moje sprawy i już miałem powracać do domu, gdy przypadkowo na ulicy spotkałem się ze znajomym, którego lat kilka już niewidziałem. Przywitaliśmy się serdecznie, jak zwykle po długiem niewidzeniu się. Zaczęliśmy jeden drugiego wypytywać, co przez ten czas porabiał, i zagadaliśmy się na dobre. W końcu przyjaciel mój prosi mię, abym do niego na parę dni zagościł gdyż niedaleko od Poznania na wsi mieszka. Nie spieszyło mi się tak bardzo do domu, kilka dni miałem jeszcze wolnych, to też z chęcią przyjąłem zaproszenie, i nazajutrz skoro świt wyjechaliśmy na wieś.

— Mój Boże, tam w Poznańskiem inny jakiś porządek. Jechaliśmy nie gościńcem, ale drogą boczną. Droga, którą tam gminy urządzają, w wielkim bardzo porządku utrzymana. Co więcej, po obu stronach drogi pozasadzane drzewa, najwięcej owocowe. Naokoło pola, snać dobrze uprawne jak widno po ładnem zbożu. Przejeżdżaliśmy środkiem kilku wiosek. Wioski ładnie pobudowane, chaty nie słomą lecz gontem kryte, dostatecznie schludne, okna wielkie, czyste, aż patrzeć miło. Z bolem serca dowiedziałem się, że wioski do Niemców należą, i że wieśniacy w nich także osiedleni Niemcy koloniści. Ha, nie

umieliśmy gospodarować, kiedy nas Niemcy na każdym kroku uprzedzają i zawstydzają. Jechaliśmy dalej, tu znowu polska wioska jedna, dalej druga, trzecia, wprawdzie nie tak dobrze zbudowana, jak owe niemieckie, ale bardzo starannie i czysto utrzymana. Aż mi się milej zrobiło, gdym popatrzył. Ludek w odzieniu czystem, na twarzy rumiany od wewnętrznego zdrowiaj aż miło popatrzeć. Zajechaliśmy wreszcie do Zatorni, tak się nazywała wioska gdzie mieszkał mój przyjaciel. Ładna to była wioska. Sady naokoło, tak że zda ci się w ogrodzie jesteś. Po małym wypoczynku, poszliśmy z przyjacielem oglądać bliżej wioskę. Byliśmy w kościółku, który nam ksiądz pleban kazał otworzyć W kościółku schludnie, a co mię najbardziej zastanowiło, to że ściany bardzo ładnie były pomalowane. Ksiądz pleban widząc me zdziwienie, rozpowiedział, jak to mieli we wsi chłopca, który do różnych rzeczy wielką miał zdatność. Uczył się dobrze, ale że był sierotą to trudno mu to przychodziło. Wreszcie włościanie widząc chęć wielką chłopca wysłali go kosztem gminy na naukę do Poznania. Tu chciał przypadek że chłopak zamieszkał u starego malarza. Obudziła się w nim żyłka do malowania, a stary malarz kontent z tego począł go uczyć w tym zawodzie. Za parę lat z chłopca dzielny zrobił się malarz Są w wielkich miastach dobrodzieje, którzy takich zdolnych młodzieńców dalej uczyć dają, a nawet w dalekie kraje swoim kosztem wysyłają. Otóż i tu się tak stało. Jeden z takich panów zobaczył malowania wiejskiego chłopaka, uradował się bardzo, bo był wielkim malowania przyjacielem i lubownikiem. Kazał go dalej uczyć, potem posłał do Włoch na lat kilka, z kąd nasz wieśniak tęgim malarzem powrócił. Jak tylko powrócił, zaraz pospieszył do swej rodzinnej wioski, i chcąc odwdzięczyć gminie starania około niego, sam kościółek malowaniem przystroił i kilka ładnych obrazów swojej roboty do ołtarzów podarował. I teraz ma za to Zatornia kościółek, jakiego i w wielkim mieście nie zobaczysz.

Dalej poszliśmy do szkółki, i tu znowu musiałem się dziwować. Bo już to takiej szkółki, to u nas w całej Galicyi nie ma. Dom ładny piątrowy, okna jasne i wielkie, ławki porządne, ale to wszystko niczem. Gmina własnym kosztem postawiła, i bardzo ją mądrze urządziła. Bo tam nietylko się czytać i pisać

uczą. Uczą tam się wielu innych rzeczy. Wzięła gmina nauczyciela z Poznania i płaci mu aż trzysta talarów to jest 450 zł.

Wielki to grosz, prawda, ale też jest i za co zapłacić: Dzieci bowiem uczą się prócz zwykłych rzeczy szkolnych wielu innych pożytecznych wiadomości. Ale nie myślcie, aby nauczyciel dzieciom głowy zawracał w zadusznej izbie, i plótł im cuda różne. Niech Bóg zachowa! Otóż tak się dzieje: Rano przychodzą dzieci do szkoły. Jest tam już ksiądz pleban, każe dzieciom poklękać i nabożnie odmówić ranny paciorek. Potem przegląda ksiądz pleban wszystkie dziatki: patrzy na każde, czy umyte, czy ma włosy rozgarnięte, czy nie jest obdarte. Rzadko się zdarzy, że któreś dziecko nie umytą ma twarz lub ręce; zaraz mu każe ksiądz pleban w przyległej izbie umyć się. Bo czystość to konieczne dla zdrowia. Kto codzień rano twarz myje, i oczy przepłócze, tego nie tak łatwo czepi się wyrzut brzydki lub też choroba ócz. A co do ubrania dzieci, to już wszystko jedno, byle chędogo a nie podarto. Zawczasu dobry księżunio przyzwyczaja dziatwę do porządku w odzieży. Przyjdź w koszulce tylko moje dziecię, mawia ksiądz pleban, ale niech ta koszulka nie będzie brudna, albo podarta. Wody Pan Bóg dał pod dostatkiem żeby się każdy umyć i oprać mógł, a igła z nitką toć nie wielkie skarby. Zaszyj małą dziurę nie doczekasz się większej, nie będziesz łaził w łachmanach. Tak mawia ksiądz pleban, a dziatwa słucha i bierze do serca tę naukę. Następuje z kolei nauka religii, gdzie w dobitnych słowach ksiądz pleban wskazuje zasady naszej wiary św. zachęca do cnoty, i uczciwego żywota. Po księdzu plebanie przychodzi pan nauczyciel, i rozpoczyna znów swoją naukę. Wzimie uczy dziatwę czytania i pisania, oraz innych domowych zatrudnień. A jak skoro wiosna zawita, to cała nauka się odmienia. Wtenczas już dziatwa nie siedzi w izbie szkolnej, ale pod bożem pięknem niebem uczą się. A dzieje się to tak: Około budynku szkoły jest ładny kawał gruntu darowany przez gminę na użytek szkoły. Otóż jest to szkółka drzewek; dzieci własnemi rękami sadzą drzewka, pielęgnują, szczepią, obcinają, słowem robią wszystko z wielką radością około drzewek pod okiem nauczyciela, który co chwila ich poucza i wszystko

wyjaśnia. Dziatwa wyuczywszy się zasadza i szczepi drzewka koło chat swoich rodziców; szczepki biorą na to z szkółki; i dziś dlatego wieś wygląda jak jeden ogród. A owoce aż miło, takie dobre. Dalej jest pasieczka. Tu znowu nauka. Pod okiem nauczyciela dzieci cały rok doglądają ukochanych pszczółek, i cieszą się w pośród tej miłej nauki, co ina na późniejszą korzyść wyjdzie. Gdy w polu większa robota, i dzieci rodzicom pomagać muszą, wtenczas nauczyciel nieraz idzie, i gawędzi ze starymi pouczając młodych. W dnie wolne idzie z dziatwą na dalekie przechadzki, i tu opowiada im cudne rzeczy pouczające. Opowiada o tem, jak Bóg cudnie tę ziemię naszą przystroił w kwiaty i pola, łąki, lasy, wzgórza i rzeki. Wyjaśnia pożytek każdej trawki, każdego ziółka. Rozpowiada o tem, które zwierzęta nam są w gospodarstwie pożyteczne, a które szkodliwe. To też nietylko dziatwa ale i gospodarze ukochali tego nauczyciela, który ich dziatwę tak mądrze prowadzi. Słyszałem na własne uszy, jak gospodarze o nim prawili. Rozpowiadali mi, że rząd chciał go wziąść na lepszą posadę do miasteczka, ale oni podnieśli mu płacę i nie puścili od siebie.

Mój Boże, pomyślałem sobie gdym odjeżdżał; czemu to u nas dotąd takich wiosek nie ma, i szkółek takich. Może też i u nas kiedyś tak będzie.

Stach ze Lwowa.

Rozmaitości.

Pożary: Zachęcaliśmy was niedawno do zabezpieczenia mienia i chat waszych, od zniszczenia ogniem. Mówiliśmy, że za niewielki koszt Towarzystwo krakowskie pod wezwaniem św. Floryana od strat was uchronić może, bo wrazie przypadku straty wam powróci Na dowód i przykład znowu wam opowiemy, jak to w ostatnim miesiącu wiele u nas zgorzało mienia włościańskiego, a wszystko prawie niezabezpieczone. Oto dnia 3. lutego zgorzał w Bóbrce, w powiecie łańcuckim młyn, szkoda niezabezpieczona wynosi 600 zlr. Tegoż dnia w Krzyżu w powiecie tarnowskim spłonęła zagroda włościańska, szkoda wynosi 450 złr. Dnia 7. lutego zgorzała w Iwanówce w powiecie skałackim dom włościański, szkoda niezabezpieczona wynosi 50 złr. Dnia 8. lutego zgorzała w Ruskiem w powiecie liskim zagroda włościańska, ogień był podłożony, szkoda niezabezpieczona wynosi 228 złr. Dnia 12. lutego zgorzała w Krajowicach w powiecie łańcuckim zagroda włościańska, szkoda niezabezpieczona wynosi 200 złr. Dnia 17. lutego zgorzały w Korolowie w powiecie zaleszczyckim trzy domy, szkoda niezabezpieczona wynosi 160 złr.

Dnia 25. lutego zgorzała w Dąbrowej w powiecie ropczyckim zagroda włościańska, w płomieniach zginęli gospodarz i jego żona. Tyle smutnych przykładów wam wskazujemy. Postępujcie bracia, jak chcecie, ale zawsze pamiętajcie, że strzeżonego Bóg strzeże.

Dodatek polityczny.

Francya. Z bolem serca przychodzi nam donieść o zakończeniu wojny między Prusakami a Francuzami, lecz pokój już zawarty, a prawdy zataić nam nie wolno, ani też jej taić nie chcemy.

Gdy Paryż upadł, można było przewidzieć, że już po wojnie. Nie spodziewaliśmy się jednak nigdy, żeby Prusaki były tak złe i bezwstydne, jakiemi ię okazały przy zawarciu pokoju. Ludzie bowiem bywają chociaż jako zwyciężcy przynajmniej o tyle szlachetnymi, iż się nad zwyciężonymi nie znęcają, że tego, któremu już zabrali koszulę, nie obiją kijami tak, że aż wstać mu niepodobna. Myśleliśmy, że Prusaki przecież ludźmi, i że kiedy już Francyę z odzienia odarli, jej przynajmniej nie obiją. Ale gdzietam! chcą szalone szczęście, które im w bitwach sprzyjało, jeszcze i po wojnie wyzyskać. Dlatego to, jak Paryż im się poddał, nadęły się przed Francuzami, jakby im jakie dobrodziejstwo wyświadczyły i każą sobie jeszcze za to wszystko dziękować. To tak niby zupełnie jak u Moskali, — nabiją, natłuką, naplują w oczy i każą potem ławkę brać na plecy i panu kapralowi katowskie ręce ucałować.

Oto posłuchajcie: Gdy Francuzi już sami poznali, iż dalsze prowadzenie wojny byłoby daremnem, gdyż Prusaki już prawie połowę Francyi zajęły, wysłali swoich ministrów panów Thiersa i Favra do obozu pruskiego króla, kt ry się niemieckim cesarzem przezwał, aby się z nim o pokój ułożyć. I niemieckiemu cesarzowi już się dalsza wojna sprzykrzyła, dał więc zlecenie swemu zausznikowi Bismarkowi, ażeby jak najwięcej Francuzom wydarł. Pan Bismark wypełnił rozkazy awego króla nietylko bardzo dokładnie, lecz zażądał tyle, ile się nikomu na świecie śnić nie mogło. Targowali się zatem dłuższy czas, lecz wilk z owcą nie robi wielkich ceremonji. Tak też pan Bismark

rozkazał, a biedaczyska Francuzi słuchać muszą. I tak stanęły warunki pokoju, z których główniejsze Wam tu chcę przytoczyć. — Otóż muszą Francuzi zapłacić Prusakom za to, że ich nabiły, pięć tysięcy milionów franków, czyli na nasze licząc pieniądze, dwa tysiące pięć set milionów złr. w. a., muszą odstąpić całą Alzacyę i Lotaryngię, muszą zezwolić na to, ażeby część pruskiej armii wkroczyła do Paryża, i wreszcie, ażeby Francya utrzymywała piećdziesiąt tysięcy niemieckich żołdaków w kraju swoim tak długo, aż tych pięć tysięcy milionów do grosza nie wypłaci. Nie jestże to bezczelność, nie bezwstyd?! Czy możecie Wy sobie wyobrazić, co znaczy pięć tysięcy milionów franków?—Oto, gdyby tę sumę w złocie zważyć, toby ważyły te pieniądze trzydzieści i dwa tysiące, dwieście pięćdziesiąt ośm cetnarów, a w srebrze pół miliona cetnarów! — I któż to wstanie zapłacić? — Zażądały jeszcze Prusaki, aby te ich żądania sejm francuzki zatwierdził. I rzeczywiście zebrał się ten nieszczęsny sejm. Byli tam ludzie, co jeszcze chcieli honor Francyi ratować, ale więcej było takich, których za pokojem skorciło. I niestety! zatwierdził sejm ten pokój, a Prusaki szczęśliwe, bo będą miały tyle pieniędzy, iż żaden z nich całemi latami robićby nie potrzebował. I to — powiedzą ludzie, że są dobrzy i uczciwi, jeżli jedni drugich tak odzierają! — I cóż za to Prusaki uczynić się zobowiązały? — Oto jakby na śmiech wypuszczą Napoleona zdrajcę, którego Francuzi ani widzieć nie chcą, i odeszlą Erancuzom do domu ich jeńców. Otóż i to wszystko!

A teraz chcę Wam także nieco i o tem donieść, co się u nas dzieje, chociaż także nic takiego nie zaszło, czembyśmy się cieszyć mogli.

Austrya. Jak Wam donieśliśmy, obecne ministeryum przedsięwzięło sobie wszystkie narodowości w Austryi pogodzić i życzenia krajów zaspokoić. Ale jak to mówi stare przysłowie: „Jeszcze się ten nieurodził, ktoby każdemu dogodził“, tak też i ministerium godzi i godzi, a o ugodzie jeszcze mowy nie ma. Nie podoba się to Niemcom, że dwu Czechów jest ministrami. Nie podoba się to także Czechom, bo wypowiedzieli ministrowie, że się chcą trzymać rękami i nogami obecnej konstytucyi, o któ-

rej Czesi nic wiedzieć nie chcą. Nie bardzo też to i dla nas dobre, obiecali bowiem ministrowie, że postawią w Radzie państwa, gdzie to prawa dają, wniosek, aby nam dano to, czego Sejm nasz żądał, a dotychczas jeszcze obietnicy nie wypełnili. Nie mieli nic prędszego do czynienia, jak postawić wniosek, aby podatek uchwalono i rekrutów pobrano. Nasi delegaci, których Sejm do Wiednia na to posłał, aby się tam dla nas samorządu czyli, jak mówią, autonomii domagali, ziewają sobie w ławkach Rady państwa i słuchają tylko, jak Niemcy na ministrów ujadają, sami zaś do niczego się nie mięszają. I tak więc zdaje się, że wrócą do nas z gołemi rękami.

Wyobraźcie sobie np. to: Czechy i arcyksięstwa Austryi są razem tak wielkie, jak nasza Galicya. Mają już tamte kraje dobre mosty, bite gościńce, groble nad rzekami — słowem wszystko to, czego u nas pod dostatkiem jeszcze nie ma. Nie wylewały tam u nich rzeki tak, iżby byli włościanie swe chaty potracili, a handel nie został przerwany, bo mają wiele i dobrych dróg, a koryta rzek starannie utrzymywane. U nas zaś mnóstwo gmin z początkiem tegorocznej wiosny zostało poszkodowanych, bieda wszędzie, a jak deszcz pokropi, to wozu z błota ani rusz! — I jakże temu chcą zaradzić? — Oto dla Czech i obu arcyksięstw austryackich uchwalili do pół miliona reńskich, a dla nas tylko sześćdziesiąt tysięcy! — I cóż w takim kraju jak nasz za te pieniądze zrobić można? Znowu będziemy mieli powodzie, a bryki i fury będą się topiły po drogach.

Złote ziarna.

Dumać dobrze, w dumaniu nie topić się przecie,
Każdemu kto nieumarł, czynnym być na świecie.

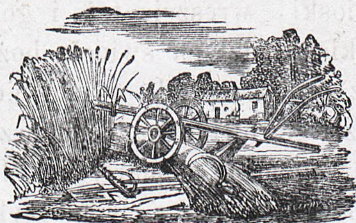
Chełpisz się, iżeś panem w swoim własnym domu,
I ślimak nieustąpi w tym względzie nikomu.

Redaktor odpowiedzialny Kazimierz Okaz. — Wydawca Stanisław Justian.
Z drukarni E. Winiarza we Lwowie.

Tom III. 21. Marca 1871. Nr. 9.

Rok dwunasty.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Sąsiedzka zgoda.

(Powiastka.)

Stary Grzegorz Niwiak w Zalesiu, toż to był gospodarz. Chacisko miał stare, ale choć grosza miał sporo, nie chciał nowej chaty budować, i mawiał: Na co mi tego, dzieci zaopatrzyłem i na własnych osadziłem gospodarstwach, kobiecinę Bóg zabrał do siebie, ta na co staremu nowej chaty. Co grosza jest, to dzieciom zostanie, niechże sobie potem budują na moją pamiątkę. Tak mawiał Grzegorz, i siedział wciąż w starej swej chacie. A miło mu tam było i jakoś domowo. W lecie bocianisko klekce nad strzechą, a niemało już lat przeklekotał, bo co roku wraca, i stary już dziś także. I psisko u wrot poszczekuje na przechodnia, stare wierne psisko. I dobrze było Grzegorzowi. Pola on już nie uprawia, bo grunta między dzieci rozdał; ogródek tylko sobie zachował, i pasieczkę małą na starość urządził w ogródku. Łazi starowina po ogródku przez cały boży dzionek to do kwiatka zagada i zaśmieje się, to wiszenkom się przypatrzy, czy ścigną już, to jabłonki ogląda — to pszczółki odwiedzi. A jakiś ciągle wesół i szczęśliwy. Tak mu schodzi dzień za dniem, — czasem dzieci swe odwiedzi, to do niego ktoś zawita na radę lub pogadankę. A w niedzielę lub święto to już

to raj dla niego. Bierze z kołka sukmanę fałdzistą i sunie do kościółka. Tu pomodli się do Boga o szczęście dla swojej rodziny, dla całej wioski, wreszcie też i gorąco westchnie za cały kraj, i wszystkich ludzi na świecie bożym. Wysłucha kazania, co go ksiądz proboszcz tak wymownie prawi, a w końcu po nabożeństwie idzie starowina na cmentarzyk, i tam od grobu do grobu chodzi i wspomina pomarłych. Tu też czekają na Grzegorza ludzie. Bo gdy wraca z cmentarzyka, to jakoś zawsze weselszy. Powiada, że odwiedził starych znajomych, do których i jemu już droga niedaleka. Ludziska garną się do Grzegorza, gwarzą z nim i rozpytują, bo co do rady gospodarskiej, to on jedyny. Stary, doświadczony, nie jednemu też dobrze poradzi i od serca. A gdy spór jaki między sąsiadami, to nie trza i sądu, tak Grzegorz mądrze rozsądzi i bez pisarza i kosztów ludzi pogodzi. To też jak tylko stary z cmentarzyka zejdzie, zaraz go ludzie wiodą do siebie, i goszczą i radzą się jego mądrej, siwej głowy.

Zeszłego roku w kwietną niedzielę jak zwykle był Grzegorz w kościele, a potem na cmentarzyku. Już wracał do domu, w tem gromadka ludzi zabiegła mu naprzeciw.

— Niech będzie pochwalony, rzekł Antoni Sroka, jeden z biedniejszych włościan w Zalesiu.

— Na wieki wieków, odrzekł Grzegorz, a co tam powiecie panie Antoni?

— Ha, nic tam nowego, jeno chciałbym was popytać i poradzić się...

— A dobrze odrzekł Grzegorz, cóż takiego macie?

— Ot widzicie panie Grzegorzu, jakoś z tym moim sąsiadem Jacentym do ładu dojść nie mogę. Jak wiecie nie tylko obejścia nasze sąsiadują, że tylko przez płot przeleźć, ale i pola stykają się przez miedzę. Otóż niedość, że mi się rok w rok Jacenty worywa w moje pole, nie dość, że mi nieraz jakby z umysłu szkodę napędza, jeszcze mu zamało. Napadł mię że ta łączka koło młynówki jemu się należy, że dopiero od rowu co idzie przez moje pole, mój grunt się zaczyna. Ja wyśmiałem go, bo jużto cała wieś wie, że od wiek wieków, jak starzy ludzie zapamiętają ta łączka do moich należała. Wszak i wy

pamiętacie panie Grzegorzu, żem ją wziął w ojcowiznie. Ale jemu to próżne gadanie. Na nieszczęście jakiś pisarzyna podmówił go w miasteczku, i nuż mię procesować. Poszedłem do sądu, jak mię zawołali, a tu każą mi, abym się wykazał, że to moja ojcowizna ta łączka, i żebym na to papiery przyniósł. Boskie pokaranie jakieś z takim sąsiadem.

— No, no, wyrzekł stary Grzegorz, jakoś to będzie. A macie też po ojcach jakie papiery.

— To też to moje nieszczęście, że żadnych papierów nie mam.

— Nic to nie szkodzi, rzekł Grzegorz, oparł się na lasce i podumał chwilkę. Wiecie co, dziś nad wieczorem przyjdźcie do mnie, będę próbował was pogodzić. Będzie tam i Jacenty u mnie, bo staremu nic odmówi. Bóg z wami, a przyjdźcie pewno.

— Bóg zapłać panie Grzegorzu, jakbym ja rad w zgodzie się pogodzić, ta nie włóczyć się po sądach, i czas święty tracić.

Na tem skończyła się rozmowa. Antoni ze swoimi poszedł ku domowi, a Grzegorz za nimi powoli się pomknął. Przeszedł przez środek wioski, minął chatę Antoniową, i zaszedł pod strzechę Jacentego. Jacenty był to najbogatszy w całej wsi gospodarz. Siedzi sobie w chacie, fajkę zakurzył i duma. W tem drzwi się rozwarły i wszedł stary Grzegorz. Jacenty powstał, fajkę odłożył, i począł witać Grzegorza. Bo jużto szanował Grzegorza, jak wszyscy w całej wsi.

— A cóżto panie Jacenty, począł stary, waszego sąsiada procesujecie? a pfe! a czy to kto widział? To wam łakomo na kawał łąki, co zawsze do nich należała? Wam łakomo takiemu bogaczowi, na dobro sąsiada biednego? A dziesiąte przykazanie boże co powiada? Nie pożądaj dobra bliźniego twego!

Na taką przymówkę począł się skrobać w głowę Jacenty i nie wiedział co powiedzieć. Prosi siedzieć Grzegorza, ławę ociera polą, a nie wie co gadać. Język mu zamarł w gębie. Chciał po napitek do karczmy posłać, ale to z Grzegorzem trudna sprawa, bo nie pija on nigdy. Grzegorz tymczasem bystro patrzy w oczy Jacentemu, w końcu tak mówi:

— Ot kręcicie się Jacenty, a słowa nie możecie powiedzieć. Bo jużto krzywdę oczywistą robicie sąsiadowi Żeby wam się

nawet zdawało, że macie prawo, a czyż to nie ma zacnych gospodarzy we wsi? A toż sprosić ich, aby was rozsądzili po Bogu i słuszności. A wy włóczycie się po sądach i nasze gospodarskie zatargi rozwodzicie po świecie całym. Nie wstyd że to?

— Ta jużciż niby słusznie mówicie panie Grzegorzu, ale kiedy to ta łączka rzeczywiście do mnie należy.

— Jakże to znowu do was należy?

— Wszak zapamiętacie Grzegorzu, jak to dawniej ojciec mój jeszcze bydło tam pasali. A jeszcze dawniej dziad mój gruszę tam posadzili, co do dziś dnia jeszcze stoi. A więc rzecz nieochybna, że kiedy, ojcowie łączkę używali, to ta łączka do nich należała.

— Ot plecie się wam Jacenty. Cóż z tego, że ojcowie używali łączki. Była to dobra wola sąsiadów, że pozwalali na to. A co do sadzenia gruszy, to długa historya. Ot przyjdźcie dziś wieczorem do mnie, i tam wspólnie zgodę zrobimy.

— A i owszem, ja rad zgodzie, tylko, że to dziś jeszcze mam iść do miasteczka odebrać pieniądze, to może aż późnym wieczorem was nawiedzę.

— Niech i tak będzie, byleście tylko przyszli. A proszę was o jedno tylko, byście z tym pisarczykiem w miasteczku nie gadali, bo on gotów znowu was nabuntować. Bywajcie zdrowi Jacenty.

— Do wieczora więc, panie Grzegorzu. Bóg z wami.

Poszedł Grzegorz do swej chaty, i dumał przez drogę, jak tam w wieczór będzie. (D. n.)

Stałość dziewczyny.

Zabrzmiał głośno dzwon kościoła,
Wraca do wsi wiernych rzesza;
Halka zwinna i wesoła
Także z nimi w dom pospiesza.

Lecz gdy weszła do swéj chaty,
Coś niemile ją uderzy,
Bo czekają na nią swaty —
I każdy ją okiem zmierzy.....

— O, mój ojcze! cóż to znaczy?..
Ktoś znienacka mię napada —
U mnie w sercu jest inaczej,
Mnie inaczej ono gada.....

Przyrzeczenia już nie zmienię;
Kto je łamie, człek to podły —
Ja innego, ojcze, cenię;
Za innego słałam modły....

— Ależ, córko, przyjmij flaszkę —
Rzecze ojciec — Upij trocha!
— Pić nie będę na igraszkę
Od tych, których się nie kocha.....

— Moja Haluś! — rzekną swaty —
Daj nam słowo, zrobisz terno;
Nasz ma grosik — zuchowaty —
Twój chudziną jest mizerną.

Tego Halka nie wytrzyma;
Rzeknie do nich: Gdzie miłości,
Przytém świętych uczuć nie ma,
O, tam szczęście nie zagości!....

I płacz głośny słychać było,
Gdy Halina wyszła z chaty;
Ojcu w oczach się zaszkliło —
I odeszli z kwitkiem swaty.

* * *

Po nieszporach rznie muzyka,
W karczmie pełno huku, krzyku;
Para za parą pomyka,
Bo tańcujących tam bez liku.

Są młodzieńcy i dziewice;
Wyglądają rezolutnie;
Jest i Halka, jej rodzice —
Lecz wygląda bardzo smutnie.

Jej muzyka nie poruszy,
Sama stoi na uboczu;
Coś jej tęskno, ciężko w duszy,
A i łezka lśni jej z oczu

Chociaż jest ten, co go swaty
Tak gorąco jej raili;
Choć bogate ma on szaty —
Ona lic swych nie rozmili.

Wtém jej serce zokołacze,
Cicho z karczmy się wymyka —
I gdzie brzoza za wsią płacze,
Swego Stacha tam spotyka.

Idź na wojnę! — dziewczę rzecze
Walcz za sprawę, gdy cię wzywa;
Choć nie jedna łza pociecze,
Czekać będę nieszczęśliwa!...

— Pójdę, ale kochaj tkliwie,
Miej mię w sercu, moja droga!
A gdy wrócę tu szczęśliwie —
Pomodlimy się do Boga.....

I uściskał i całował
Kochającą go Halinę:
— Gdyby pan Bóg nie zachował,
Nie rozpaczaj, kiedy zginę!...

Pociemniało pośród wioski,
Halka od stacha odchodzi:
— Ja uproszę Matki Boskiej —
Że ci kula nie zaszkodzi!...

* * *

I minęło dni nie wiele,
I nie jedną łzę uronił;
Smutek wielki w całem siele,
Bo żałobnie dzwon zadzwonił.

W chatce Halka w trumnie leży
Ozdobionej w kwiaty strojnie —
Bo słyszała od żołnierzy,
Że Stach poległ tam na wojnie

I nad grobem, nad głębokiem
Rzesza ludzi narzekała;
I żegnała z łzawem okiem
Halkę, która tak kochała....

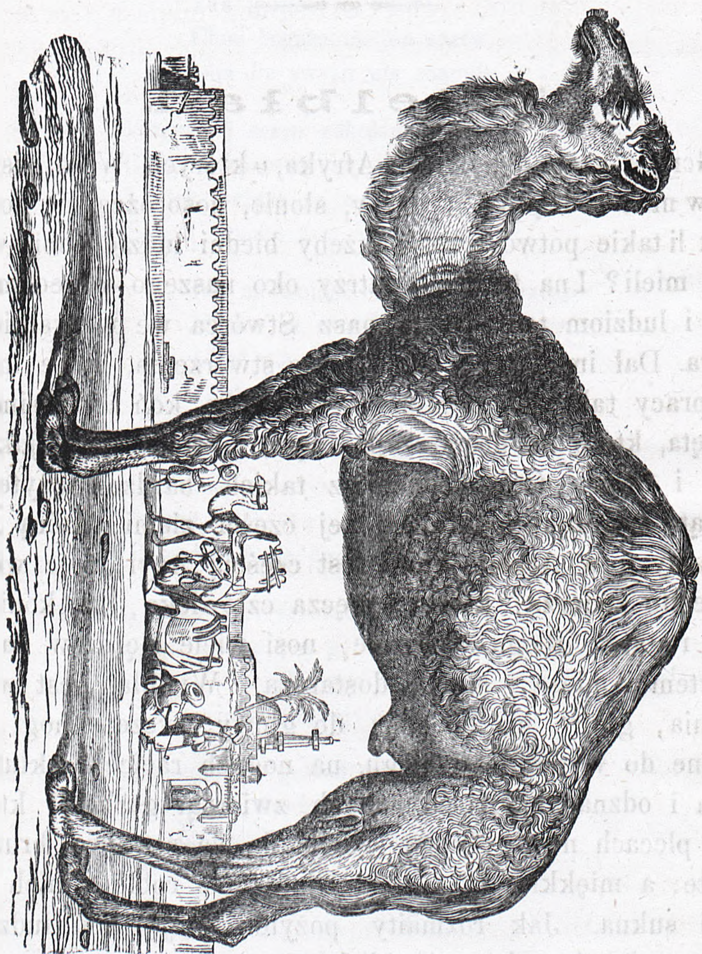
Józef z Bochni.

Wielbłąd.

Gorące kraje t. j. Azya i Afryka, o których Wam pisaliśmy, że się w nich rodzą lwy, tygrysy, słonie, nosorożce, nie posiadają jednak li takie potwory, bo jakżeby biedni ludzie sobie w pracy radzić mieli? I na te kraje patrzy oko naszego wszechmocnego Boga, i ludziom tamtejszym nasz Stwórca we wszystkiem dopomaga. Dał im dlatego także takie stworzenia, które im służą przy pracy tak, jak nam n. p. wół albo koń i dał im takie zwierzęta, które im dostarczają mięsa, mleka i wełny, jak nasze krowy i owce. Otóż jednem z takich bardzo pożytecznych zwierząt w gorących krajach tej części ziemi, którą Afryką nazywamy, i w Arabii, która jest częścią Azyi, żyje wielbłąd.

Jestto zwierzę, które wyręcza człowieka, za konia i za bydło rogate. Biega wybornie, nosi wiele ciężarów na sobie, a przytem i mięsa i mleka dostarcza. Wielbłąd jest większy od konia, głowę ma podobną do głowy owczej, nogi długie, sposobne do wytrwałego biegu, na nogach racice rozkłute, jak u woła i odznacza się od innych zwierząt garbem, który na swych plecach nosi Włosy wielbłąda są szarawo brunatne i kosmate, a miękkie jak wełna. Dlategoteż robić z nich można koce i sukna. Jak rozmaity pożytek mają zeń ludzie! — W Afryce bowiem i w Arabii są ogromne pustynie — kędy spojrzysz, tylko piasek i niebo, a nawet zielonego listka nie znajdziesz na wysuszonym piasku. Gorąco zaś panuje takie, że w gorącym piasku kartofle upiec można. I możesz tak jechać całemi dniami, a nie ujrzysz ani źródła ani trawki. Otóż łatwo możecie sobie wyobrazić, że w takiem gorącu i na piaskach ani koń ani wół żyć nie może. A ludzie przecież objeżdzają te piaszczyste puszcze, które dlatego, że na nich

tylko piasek tak, jak na morzu tylko wodę widać, nazwano morzami piaskowemi, bo wożą tamtędy towary. Strach, co człowiek znieść może! Tam gdzie lody tylko, jak n. p. na Sybirze, mieszkają ludzie, tam gdzie upały, mieszkają ludzie, a na wodzie ludzie się okrętami wożą. Ale jakżeż i czem



mogą się ludzie przez te piaszczyste puszcze przewozić? Wszak okręt po piasku nie popłynie, a koń nie wytrzyma nawet dnia jednego bez jadła i napoju. Otóż Bóg Wszechmogący, co włosy na naszych głowach a gwiazdy na niebie policzył, i na puszczy człowiekowi pomoc i podporę stworzył; a tą pomocą jest wielbłąd. Nie potrzebuje on wiele jadła, garść fig albo dakteli, które się w tamtych krajach obficie rodzą, wystarczy mu na

dzień cały, a bez wody wytrzyma wielbłąd mimo upałów i gorąca cztery do pięciu dni. Trudno jednak człowiekowi samemu puszczać się w tak długą i niebezpieczną drogę. Piasek bowiem, który ten ogromny obszar pokrywa, jest bardzo lekki tak, iż lada wiatr całe tumany niby chmury do góry podnosi i niemi potem zasypuje podróżnych. Dlategoteż miejsca, przez które podróżni przechodzą, zasłane prawie kościami ludzkiemi. Ale cóż? — Ludzie żyć chcą, muszą zarabiać, a kiedy już ziemia ich taka, że jej uprawiać nie można, to muszą przynajmniej z żyźniejszych stron towary, jakoto: kawę, cukier i inne rzeczy przez te niebezpieczne miejsca przewozić. Zbiera ich się zatem zawsze większa liczba, czasem więcej, niż sto, zabierają swoje wielbłądy i nuż w drogę. I wielbłąd uczciwy słucha swego pana, klęka na wszystkie cztery nogi i bierze na grzbiet swój towarów, ile unieść zdoła i pędzi na piaski. Słońce pali, piasek pod nogami pali, wiatr gorący wieje, a wielbłąd nie wierzgnie, nie jęczy, ale niesie ciężary i swego pana tam, gdzie mu tenże iść nakaże. I idzie i biegnie dzień jeden i drugi, tylko garstka fig mu wystarcza, a siły go przecież nie opuściły. Pan jego zabrał i strawy dla siebie i wody w pęcherzach, ale z tej wody ani kropla nie dostanie się do suchej gardzieli biednego wielbłąda. W tem robi się coraz goręcej, a zdaleka widać czerwony, jak krew obłoczek. O znają ten obłoczek tamtejsi ludzie! — Oznacza ta mała chmurka wiatr tak gorący, że wszystko spali, gdyby ogień. Ale cóż, człowiek widzi tę chmurkę tylko, a nagle wiatr zawieje i musi ginąć. Ratuje go jednak wielbłąd. Dał mu Pan Bóg dobrotliwy węch wyborny i czego człowiek ledwie okiem dosięgnie, to wielbłąd już zwietrzył i człowieka ostrzega. Kładzie się zaraz w gorący piasek i pysk w nim zanurza. Pan jego wie, co to oznacza i kładzie się także w piasek. I wiatr dąć zaczyna ale dmie po nad wielbłąda i po nad podróżnego, dmie pół godziny albo godzinę a wielbląd wstaje i ocalił swego pana od śmierci. Nie żąda on za to wdzięczności od pana, nie chce dłużej wypoczywać, lecz wstaje na równe nogi, bierze pana na garb swój i dalej w drogę! — Ale słońce nie zleniwiało — wodę już z pęcherzy wypito, a do miejscca, gdzie jest cień i żródło, jeszcze daleko.

Takie to miejsca nazywają oazami. Otóż do oazy jeszcze daleko a podróżnemu wyschła już ślina w gardle, a pragnienie go trapi. Wodę mieć musi! — I w tej go trosce, i w tem utrapieniu wielbłąd ratuje. Opatrzność dała mu bowiem dwa żołądki — jeden na przechowanie jadła, a drugi na przechowanie napoju. I rzeczywiście woda się w tym drugim żołądku wielbłąda dość dobrze i zimno przechowuje. Dlategoteż podróżny w ostatecznej potrzebie musi się rozłączyć z swem wiernem zwierzęciem i zabija je, by wybrać wodę z jego żołądka i odwilżyć spieczone gardło. Nie zawsze jednak do tego przychodzi. Węch wielbłąda i wodę zwietrzy, a wtedy całe towarzystwo podróżnych, które „karawaną“ nazywają, ocalało. Wielbłądy bowiem, gdy zwietrzą wodę, nie dadzą się powstrzymać, lecz pędzą szybko, prędziej od konia, do źródła i piją wody, ile się w żołądku pomieścić może. Jak pięknie muszą te źródła wyglądać! — Zewsząd biały, lekki piasek, jak daleko oko ludzkie poglądnąć może, a tu zielone drzewa, zielona trawa, chaty ludzkie i woda. A jaka ta woda musi być smaczna! — I tak wielbłąd ratuje tyle ludzi, bo zwietrzył wodę, którą siebie i swego pana pokrzepia. — Tak idzie droga przez suche piaski, czasem zielone miejsca, czyli oazy, aż wreszcie podróżni czyli karawana dostają się do celu. Tam oddają swoje towary, nabierają inne i wracają tąż samą drogą do domu. Wielbłąd jednak i w domu nie spoczywa, nie próżnuje, pan go uprzęże, każe mu pracować, a samica musi swe mleko oddawać rodzinie, której należy. A mleko to tak dobre i zdrowe, jak mleko krowie. Także i mięsa wielbłąd swemu panu dostarcza, mięso młodych wielbłądów bowiem takie, jak cielęce. Widzimy z tego wszystkiego, jak wielce pożytecznem zwierzęciem jest ten wielbłąd. Daje mięso, daje mleko, daje odzienie, bo z jego wełny robią sukna, wozi pana swego przez puszczę i ratuje go w niebezpieczeństwach. Ba nawet garb jego jest na coś przydatny — cały bowiem składa się z łoju, który zużytkowują przecież także.

Są jeszcze i innego rodzaju wielbłądy. Są one cokolwiek większe od tego, cośmy Wam opisali i mają dwa garby, a po-

żytek z nich taki sam także, dlategoteż o nim Wam pisać nie będziemy.

Tak więc mamy nowy dowód, jak Opatrzność czuwa nad wszystkiem i jak Bóg miłosierny każdemu człowiekowi pomaga.

Zalew kopalń wielickich.

Nawet cudzoziemcy przyznali naszej Wieliczce pierwszeństwo ze wszystkich kopalń soli na kuli ziemskiej, nawet cudzoziemcy powiedzieli, że nad naszą Wieliczkę nie ma kopalń na ziemi. I rzeczywiście jest ona matką solną ziemi naszej kaszy którą rodzi ziemia nasza, dostarcza ona smaku, a chleb i mięso stają się za jej łaską dopiero strawami.

Znane Wam zapewne odkrycie tych drogocennych i błogosławionych kopalń. — Kinga, żona naszego króla Bolesława Wstydliwego, a córka węgierskiego króla, dała nam je jako ślubne wiano najpiękniejsze dla naszego kraju, który aż do owego czasu soli nie posiadał. Kazała ta święta i błogosławiona pani grzebać na wielkim rynku, wykopano głęboką studnię i natrafiono na najpiękniejszą i najczystszą sól, jaką kiedykolwiek widziano. I odtąd stał się nasz kraj bogaty, było zboże, było piękne bydełko, były urodziwe konie i otrzymaliśmy sól, jakiej nigdzie nie ma. Cudzoziemcy zazdrośnem okiem patrzyli na nasze bogactwa, byliśmy bo też bogaci, mieliśmy, czego nam było potrzeba. Byliby chętnie nasi sąsiedzi odebrali nam nasze skarby, naszę drogą Wieliczkę, ale należało się bronić kraju tego i tej soli, którą nam dała Święta Pańska, która tem pokazała właśnie, że ukochała nasz kraj i naród nasz. Dlategoteż nasi przodkowie, którzy patrzyli na przykład Świętej Kingi czyli Kunegundy, umieli bronić przed cudzoziemcem nasz kraj i bronić naszej Wieliczki. Cudzoziemcy też mieli uszanowanie przed nami i przyjeżdzali i prosili o sól naszą srebrzystą, za którą złotem i srebrem płacili. I kraj nasz był silny i bogaty, dawał sąsiadom rozkazy, kt rych słuchać musieli, a my byliśmy nietylko zamożni, ale także i lepsi, bośmy pamiętali, kto nas ma w opiece, bośmy pamiętali, że nas Matka Boska Częstochowska swym płaszczem otula a Św. Kinga naszej Wieliczki broni.

Ach! jaka też śliczna ta nasza Wieliczka! — Pod ziemią, gdzie tylko krety i robaki żyją, to tam gdyby jakie miasto ludzi pełno, a wszyscy pracują, światełka migotają gdyby okienka domów, a sklepienia wznoszą się ze soli, gdyby kościoły Pańskie. I ludzie tam ochoczy i weseli, pracują gdyby w świątyniach na swe utrzymanie, a gdy spoczną, po dziennym trudzie, to mają się także gdzie pomodlić; w soli bowiem, w czystej, pięknej soli jest wykuta kapliczka, która nabożnego Chrześcianina do modlitwy zaprasza.

I kopią tam już przeszło pięćset lat i wybierają najśliczniejszą sól, a Bóg nasz łaskawy nie powiedział jeszcze: „Tu koniec, tu już nie ma soli“ I ogromne skarby płyną stamtąd do skarbu państwa, a my mamy pod dostatkiem doskonałej soli, bez której żyć nie można, i błogosławimy kraj nasz.

Możecie sobie dlategoteż wyobrazić popłoch i postrach, który powstał, gdy przed dwu laty przy kopaniu buchła niespodziana woda potokiem i zalała cały pokład. Niebezpieczeństwo było ogromne woda popodlizywała ściany i słupy które sklepienie trzymają, a sól się topi! Wszyscy załamywali ręce, bo skarby nasze i ludzie byli zagrożeni. Dlategoteż próbowano wszelkich środków, chciano zatykać jamki, przez które się nieszczęsna woda wydobywała, ale wszystko na nic! Woda z szumem i hukiem wydobywała się, pieniła się, gdyby koń niesforny bez uzdy i płynęła coraz dalej, coraz dalej. Próbowano grzebać kanały, aby tamtędy woda spływała, budowano groble, ale i to nic nie pomogło. Dano dlategoteż zaraz znać do Wiednia, jakie nieszczęście spotkało Wieliczkę. I tam się postraszyli, i przyjechali panowie i konsylarze do Wieliczki i uradzili z zagranicy sprowadzić ogromne pompy, któreby wodę z kopalń wylewały. Sprowadzili też te wielkie, a kosztowne maszyny, ale nieszczęście chciało, że się ciągle psuły i — woda dotychczas nie usunięta!

Wszyscy jednak kochamy nasz kraj i wszyscy przemyśliwali nad ratunkiem naszej drogiej Wieliczki. I znalazł się też właśnie włościanin z okolic Wieliczki, cieśla, imieniem Antoni Bilski który, nie daremnie się w szkole uczył i nie nadaremnie przemyśliwał i zobowiązał się w ciągu pięciu tygodni usunąć

tę wodę, której w dwu latach uczeni panowie z Wiednia usunąć nie mogli. Dał on natychmiast znać o swoim zamiarze do Wiednia, zatrzymał jednak środki do usunięcia wody w tajemnicy. Dlategoteż nie pozwolili mu ratować kopalni. On się tem jednak nie dał odstraszyć, udał się do właściwej władzy, która nad dobrem krajn radzić powinna, i przedłożył swój pomysł. Sejm oddał tę sprawę do zbadania uczonym w Krakowie, którzy też orzekli teraz, że sposób Antoniego Bilskiego, rzeczywiście *w ciągu pięciu tygodni wszystką wodę z kopalń usunąć może.* Miejmy zatem nadzieję, że nasz kochany brat, nasza kość i krew nasza, nasz cieśla Antoni Bilski wyratuje skarby nasze. Cały kraj mu będzie za to wdzięczny, imię jego wypiszą między imionami naszych najszlachetniejszych i najzasłużeńszych mężów, my zaś wszyscy zawołajmy:

Cześć Ci!

Mańko ze Stryja.

Rozmaitości.

Piękny przykład. Z wielką przyjemnością podajemy wam wiadomość którą nam podał ksiądz proboszcz z Jeżowego (powiat Nisko.) Oto gospodarz tamtejszy pan Sebastian Lesiczka pobierał jako naczelnik gminy przeznaczoną mu od gminy pensyę 50 Zł. Obecnie pan Sebestjan całą tę pensyę, co przecie grosz ładny, dla szkółki w Jeżowem odstąpił i darował. A zrobił to w ten sposób: żeby 40 zł. umieścić w kasie oszczęd. na rzecz szkoły, 5 zł. dać organiście, który dzieci uczy, za dwa zaprenumerować Dzwonek dla szkoły, a 3 zł aby na papier dla dzieci obrócić. Pieniądze te już są rozporządzone podług woli szanownego dawcy. Otóż to gospodarz: niedość że z całą żarliwością, i sumiennie jako naczelnik gminy urząd swój sprawuje, nadto nie żąda za to płacy, lecz płacę mu przeznaczoną dla dobra wioski, bo naukę dziatwy ofiarowuje. Cześć ci, panie Sebestyanie, i uznanie za twój piękny czyn.

Na co Bóg stworzył jaskółkę. Tę miluchną ptaszynę kochamy wszyscy zarówno i nikt nie da jej krzywdy uczynić. Zły to gospodarz i godny kary wielkiej, który gniazdo jaskółki zniszczy pod swoją strzechą. Dzieci nasze często karamy za swawolę z gniazdami ptaków, a szczególnie jaskółek, bo to jakby święta ptaszyna. Na wiosnę przyleci wesolutka do starego gniazda, i już radość we wsi, bo wiosna pewna. A wiecie też wiele ona wam dobrego robi? Oto jedna tylko para jaskółek

która swe młode żywi, przez 16 godzin codziennie wciąż lata i młodym znosi żywność. Przylatuje ta para około 600 razy dziennie do gniazdka a wciąż najmniej po 10 robaczków przynosi. Wyrachowali ludzie, że taka jedna familja jaskółek przez lato całe najmniej pół miljona robaczków, much i komarów zniszczy. Wieś więc, która posiada 100 gniazd jaskółczych, pozbywa się tym sposobem najmniej 50 milionów szkodliwych i dokuczających owadów.

Dodatek polityczny.

Francya. Wojna skończona pokój zawarty, i — wojna nieskończona i pokoju nie ma. Dziwnie to Wam się będzie zdawało, iż w ten sposób piszę, ale, gdy przeczytacie to, o czem Wam chcę donieść, to powiecie, że prawda.

Otóż, jak już wiecie, ukłoniła się nieszczęśliwa Francya Prusakowi i zawarła z nim haniebny, ale konieczny pokój. Warunki znacie już także i powiecie sami, że są okropne dla biednego francuskiego narodu. Wiecie także, ze i Rząd nowy nastał we Francyi i że ten Rząd pokój z Prusakiem zawarł, a że Zgromadzenie posłów francuskich i ten Rząd i ten pokój haniebny zatwierdziło. Nie wszyscy jednak Francuzi byli tak do pokoju ochoczy, i nie wszystkim się chciało rękę, która ich biła ucałować. A mianowicie ludność paryska, która przecież więcej, niż półtora miliona głów liczy, pogardziła takim pokojem, a deputowani miasta Paryża powiedzieli w francuskim Sejmie, iż nie pozwalają na takie haniebne zawarcie pokoju. Ale cóż? Rząd, który pokój robił, postarał się o to, ażeby w tym Sejmie więcej było takich, coby go pochwalili i pan Thiers, który jest naczelnikiem tego rządu, zrobił tak, że większość tego Zgromadzenia pochwaliła i rząd i pokój. Ba nawet mieli dość czasu, aby uchwalić karę na biedny Paryż. A kara ta polega na tem, że uchwalili przenieść rząd i siedzibę Zgromadzenia do Wersalu. Jest to miasto koło Paryża, który przedtem mieścił w sobie najwyższe władze rządowe i cesarza. Takiej hańby nie mógł już Paryż przenieść na sobie i powiedział sobie, że nie dopuści, by taką mu krzywdę bezkarnie wyrządzono. Dlategoteż Paryżanie nie długo się namyślali,

jeno chwycili za broń, przyciągnęli na swoją stronę gwardyą narodową czyli francuską obronę krajową (landwerę) i wojsko, napędzili swoich wrogów domowych i utworzyli sobie osobny rząd. Co z tego będzie — to Bóg raczy wiedzieć. Ale nie możemy pochwalić ani rządu i Sejmu, który Paryżan tak podrażnił, ani też Paryżan, którzy robią nieporządki, gdy nieprzyjaciel Prusak jeszcze w kraju i grozi karabinem. Jużto nieszczęście się czepiło tej biednej Francyi, jak bieda płotu. Prusaki ją nabiły, zrobiono pokój, a tu sami synowie kraju zaczynają się za łby wodzić. Dowodzą te wszystkie rzeczy, że Francuzi zapomnieli swój kraj kochać, bo ani wroga z kraju wypędzić nie potrafili, ani też nie umieją porządku u siebie utrzymać. I znowu strzelają i znowu rżną i zabijają, ale nie wroga, nie krzyżaka, nie Prusaka, ale własnych braci. Bóg odwrócił swe zagniewane oblicze od tego kraju, a nieszczęścia stają mu się udziałem.

Prusaki, jak się rozumie, nie leniwie na te rzeczy patrzą, boby im pieniądze przepaść mogły. Dlategoteż nie bardzo im się chce teraz do domu powracać, a nawet książę Fryderyk Karol, który niemi dowodził i już do domu powrócił, wyruszył nazad do Francyi. Jeńców, którzy do Ojczyzny mieli powracać, nie puszczają, a nawet już oświadczyli, że, jeżeli rząd francuski spokoju w Paryżu nie powróci, to oni tam pójdą i spokój zrobią. Co to będzie znowu za spokój! — Niby coś taki, jak między kotem a myszą.

A u s t r y a. Mamy i my Sejm, ba nietylko Sejm, ale nawet i Radę państwa, aby nam dawała prawa, radziła nad tem, coby dla nas było dobre i zgadnijcie: — uchwalała podatki. Zdaje się, że u nas wszystko bardzo dobrze się dzieje — oj, dzieje się, że ledwie wydychać człek może — a Rada państwa tak się o nas turbuje, jak niby macocha o swoje pasierby. Najaśniejjszy Pan zamianował ministrów, a że ci ministrowie nie są zarazem członkami Rady państwa, to zaczęli Niemcy hałas robić, że to ministeryum na nic, ba nawet były minister skarbu Brestel zaczął się skarżyć, że Najjaśniejszy Pan bez pomocy Niemców doradców czyli ministrów sobie przybrał. Rada państwa trwa już dość długo i cóż tam robią, powiecie.

Ot siedzą sobie nasi, jak u pana Boga za piecem, a Niemcy hałasują na ministrów, że drugiemu by już w gardle wyschło. Tymczasem u nas coraz gorzej. Jedno jeszcze, co niby dla naszego dobra uchwalili, jest nowa kolej, która będzie prowadziła z Węgier przez Stryj do Lwowa. Nam z tem to już tak dobrze będzie, że już lepiej być nie może. Cóż bowiem? Będziemy mieli węgierską słoninę, bryndzę, wino, za co wszystko, ma się rozumieć — dobrze płacić będziemy, a od nas będą za psie pieniądze nasze żytko i pszeniczkę złotą kupowali, aby heń daleko za drogie sprzedawać pieniądze. Już to rzeczywiście dziwna rzecz, że panowie deputaci tam we Wiedniu myślą, że nam, Bóg wie, jakie dobro wyświadczają, jak nam nową kolej dadzą. A nasze szkoły, to co? O tem nie myślą, bo z tego tylko rozum przyrasta, a pieniędzy się nie mnoży. A nasze drogi, mosty, to co? — A co ich tam nasze dziurawe mosty i drogi obchodzą, kiedy w Wiedniu się po bruku gdyby po posadzce chodzi. My chcemy samorządu, t. j. ażeby kraj nasz sam się troskał o swoje potrzeby, abyśmy sami, którzy przecież najlepiej wiemy, czego nam brakuje, sobie radzili. Ale gdzie im tam to w głowie. Niemcy to już sobie myślą, że wszystkie rozumy pozjadali, że tu u nas to już nikt nie ma tyle flaków w głowie, aby wiedział, co nam brakuje, a chcą panować nad innymi narodami. I dobrze im z tem — my płacimy podatki, a oni sobie z tego szkoły zakładają i uczą swój lud, a potem naśmiewają się z nas, że nic nie umiemy i wymyślają nam. Wygodnie to bardzo sobie przy cudzym ogniu pieczeń upiec, ale czy to szlachetnie, to my wiemy także. Na tę pieczeń iskry naszej krzywdy padają i osmolą ją jeszcze tak, że im nie bardzo będzie smakowała.

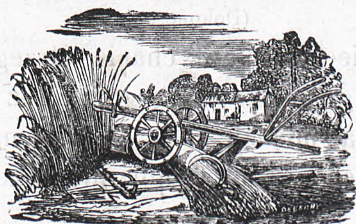
Zajęło się także ministeryum wnioskiem, aby uchwalono podatek na ten rok i pobór rekruta, ale Niemcy te sprawy umyślnie zwlekają, aby się ministrowie zniechęcili i podziękowali za służbę. I znowu będą nowi ministrowie i znowu będzie to samo a my będziemy czekali, aż się Bóg nad nami ulituje i spowoduje, że pozna ta Rada państwa, że i nam się coś należy.

Redaktor odpowiedzialny Kazimierz Okaz. — Wydawca Stanisław Justian.
Z drukarni E. Winiarza we Lwowie.

Tom III. 1. Kwietnia 1871. Nr. 10.

Rok dwunasty.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

ALLELUJA!

Jakiż to Władca — Pan niezmierzony,
Którego na świat przyjmował żłób,
Dzisiaj chwalebny i uwielbiony
Smierć pokonywa — otwiera grób.

Z palmą zwycięstwa stając w światłości
Dzieło zbawienia ogłasza nam,
Więc ludzie boży pełny ufności —
Masz teraz prawo do niebios bram.

Z miłości dla nas Zbawiciel świata
Zstąpił na ziemię i poniósł śmierć; —
Niech nas ta miłość szczerze pobrata —
Z czego nam zgoda — a Bogu cześć!

Na znak tej zgody — to przy święconem
Wspomnijcie Bracia także i nas,
Którzy z uczuciem raz wyjawionem
Na zawsze, Bracia, kochamy Was!

Sąsiedzka zgoda.

(Powiastka.)

(Dokończenie).

Świeci się wieczorem w chacie Grzegorza Niwiaka. Za stołem siedzi sam gospodarz Grzegorz, tuż obok niego Antoni Sroka i rozprawiają między sobą Dalej na ławie pod ścianą siedzą kobiety i cicho gwarzą, aby nie przeszkadzać rozmowie gospodarzów.

Z dzwonnicy zadzwoniono na Anioł — pański Grzegorz powstał, a za nim wszyscy przytomni. Przeżegnał się każdy, i począł nabożnie odmawiać wieczorną modlitwę Skończyli paciorek. Przeżegnali się i usiedli na powrót.

— Już późna godzina, rzekł głośno Grzegorz, a Jacentego niema jeszcze. Pewnie się w miasteczku gdzie zagwarzył. Żeby go tylko licho z tym pisarzem nie zniosło. Znowu by go najudził, a nam ugodę popsuł.

Ledwo tych słów domówił, gdy psisko zaszczekało i objawiło przychodnia. Wszedł oczekiwany Jacenty do świetlicy. Ale nie sam on wszedł. Za nim jak zmora wsunął się pisarz z miasteczka. Ot nędzna to figurka, jak każdy pisarzyna, co to z dobrych ludzi krew wypija. Chudzina, że ino mu kości przez skórę przezierają. Surducina nibyto czarna na nim, ale wytarta aż wstyd. Żaden porządny gospodarz nie świeciłby tak lichem przyodziewkiem jak ten niby z pańska, bo surdutowy pisarzyna. Brudny, nieumyty — ręczyska z palcami długiemi, cienkiemi, że ani rusz ich do uczciwej roboty użyć, chyba do grabienia grosza ludzkiej krwawej pracy. Taka to nędzota wsunęła się do chaty Grzegorza.

— Jak się macie panie Jacenty, rzekł Grzegorz, siadajcie, ta pogadamy o naszych gospodarskich interesach i sprawach.

— Dobrze, rzekł Jacenty, jeno pozwólcie panie Grzegorzu, że oto ten pan tu się przysłucha, i mądre swe słowo wtrąci w naszą sprawę.

— A cóż to za jeden ten pan? Wszak my tu sami gospodarze.

— To pisarz z miasteczka, co to moją sprawę prowadzi w sądzie.

— Idźcie, idźcie z waszym pisarzem. A tóż co znowu nowego do sprawy gospodarskiej sprowadzać jakichś ludzi nie naszych. Co komu do nas? Gdyby to chodziło o ważne jakie rzeczy, a nie można żadną miarą mieć zgody, no niechby tam było. Ale i w ten czas nie lada durnia się chwytać przy kieliszku wódki w szynku. Trzebaby rady mądrego adwokata, co go rząd wyznacza na to umyślnie. Ale tu pożal się Boże, sprowadziliście jakiegoś chłystka, że to chyba na lekarstwo od wielkiej choroby, a nie na sprawę. Jak chata moja stara i zgrzybiała, jeszcze nie oglądaliśmy tu żadnego pisarzyny, a Bogu dziękować, dość tu się różnych załatwiło sąsiedzkich sporów zgodnie i po Bożemu. Dajcież mi i teraz spokój.

— Ale bo nie gniewajcie się panie Grzegorzu, oto ten pan, to szanowny pan Gryzmolik, co tyle włościańskich procesów dobrze prowadzi. Ot Jakób Franecki z drugiej wsi wygrał swą sprawę z nieboszczykiem Walentym Bortnikiem.

— A ładnie mi wygrał, rzekł Grzegorz, ślicznie wygrał. Walentego zniszczył, bo to przez pięć lat się prawowali; sam zeszedł na dziada, bo ostatnią krowinę sprzedał na opłaty urzędowe, a tych wygranych głupich sto reńskich to nie odbierze od Walentego, bo Walenty nieboszczyk, a jego rodzina przez ten nieszczęśliwy proces na dziady zeszła. Wszak znam wdowę Walentową i nieraz im się pomaga.

Na te słowa pisarz zaczął zgrzytać zębami, szturkał Jacentego, ciągnął za połę sukmany, i szeptał mu do ucha:

— Chodźcie panie Jacenty, szkoda was, żebyście tu gadali. Co prawo, to prawo, tego wam nikt odmówić nie śmie. Co wam bogatemu gospodarzowi, słuchać tego starego. Niech sobie plecie zdrów, kiedy mu z tem dobrze. Ja wam sprawę wyprawuję, na co wam zgody, kiedy wam się z prawa łąka należy. Jeszcze taka śliczna łąka do tego.

Tak szeptał Jacentemu do ucha pisarzyna. Jacenty nie wie co robić. Tu siwa, mądra głowa Grzegorza do rzeczy mu prawi i do zgody nakłania. Tu znowu pisarzyna jak zły duch szepcze swoje rady. Gospodarz Antoni ani się odezwie: siedzi i duma. Stary Grzegorz słów nie żałuje, przedstawia, prosi, w końcu łająć zaczyna.

— Oj, jak mi Bóg miły, mówi Grzegorz, licho już z nami, kiedy dla marnego, niesłusznego zysku, jeden drugiego tak wadzić poczyna. Oj, oj, Jacenty przyjdzie wam pokaranie za chciwość waszą i za upór wasz Bóg cierpliwy ale sprawiedliwy.

Zaledwie słów tych domówił stary Grzegorz, gdy we wsi ozwał się głos dzwonu bijącego na gwałt. Wszyscy wylecieli z chaty i ujrzeli łunę nad wioską.

— Święty Boże ratuj! krzyknęli obaj, — Jacenty i Antoni. Wszak to u nas się pali Duchem polecieli wszyscy ku pożarowi. Stary Grzegorz chwycił laskę i za nimi podążył. Ubiegli kilkaset kroków przez wioskę, — w piersiach im duszno.

— Moja chata, moja chata! krzyknął Jacenty, ratujcie, kto w Boga wierzy! Gdzie dzieci moje!

Płomienie jasne pałają — strzecha cała płonie, — nikt nie ratuje. Ludzie zbiegli się i patrzą, a nikt o ratunku nie myśli Każdy przestraszony, nikt do pożaru się nie zbliża. Jacentowa stoi jak słup; biedna nieszczęśliwa ręce łamie a rozpacza. Już podczas pożaru nadbiegła od sąsiady, z dwojgiem dziatek. Dziatki płaczą a zawodzą, bo trzecie w chacie zostało, a chata już dogorywa. Lada chwila a krokwie przepalone zwalą się i zasypią chatę.

— Ratujcie — ratujcie! krzyczy nieszczęśliwa kobieta, moje dziecko w kołysce — ratujcie...

Nikt nie odważył się; każdemu serce pęka z żalu nad kobietą i nad tą dzieciną, co może już i zgorzała. Ojciec ręce załamał i zmartwiał z przestrachu. Wszyscy osłupieli. Wtem przez tłum przedziera się Antoni Sroka — silnem kolanem wywalił drzwi chaty i wpadł do środka. Płomienie buchają coraz jaśniej, krokwie trzeszczą. Nagle trzasło coś strasznie to przepalona runęła powała i część chaty zawaliła się.

Strasznie zrobiło się przytomnym. Tam dziecko niewinne tam kochany od wszystkich Antoni co dziecko chciał ratować. Ha! zdaje się poginęli! Jezus! Marya! wykrzyknęli wszyscy przyjęci zgrozą.

Minęła okropna chwila. W tem z pod jednej ściany podnosi się postać jakaś To Antoni. Lewą ręką przyciska dzie-

cinę, prawą za głowę się trzyma. Twarz ma czarną osmoloną. Z głowy krew się leje strumieniem. Złożył dziecinę na ziemi, i padł jak bez ducha. Ludzie przylatują, wodą zlewają, ratują Antoniego. Nad dzieciną matka przyklękła, ogląda, patrzy, dziecię calusieńkie i zdrowe. Jacenty przypadł do dziecka wnet do Antoniego spieszy i na nowo rozpaczać zaczyna.

— Antoni! Antoni! sąsiedzie miły! Ludzie, na Boga! ratujcie! po lekarza! On kona tu, oj niedolaż moja!

Antoni zlewany wodą przyszedł na chwilę do siebie, Okrzyk radości wyrwał się z ust wszystkich; nikt o niczem nie myśli jak żeby Antoniego ratować. Na rękach zanieśli go do chaty jego i złożyli na łożu. Jacenty z żoną całą noc przesiedział przy jego łożu.

Przybył w końcu lekarz sprowadzony z miasteczka. Skroń skaleczoną opatrzył i głową pokiwał smutnie.

— Ciężka to rana, rzekł lekarz w końcu, trza będzie długiego ratunku i troskliwości koło chorego.

— Szanowny panie lekarzu, róbcie co wam Bóg natchnie a wasza nauka wskazuje, byleście Antoniego wyleczyli. Pół dobytku mego wam daruję, wszak Antoni me dziecię wyratował z płomieni.

— Nie trza mi waszego grosza, rzekł lekarz ja bliźniego i daremnie chętnie ratuję, zwłaszcza tak szlachetnego człowieka.

Zawstydził się na te słowa Jacenty, on procesował Antoniego, a tu ten Antoni z narażeniem własnego życia dziecko mu z ognia wyratował. Na domiar wszystkiego lekarz nie chce nagrody. Posmutniał Jacenty i patrzy przed siebie Wtem Antoni się przebudza, oczy otwiera i miłym wzrokiem spogląda naokoło. Łza się kręci w oczach Jacentemu.

— Antoni, miły sąsiedzie, Bóg wam zapłać stokrotnie, przebaczcie mi Antoni, ja wam nigdy więcej krzywdy uczynić nie zapragnę. Tylko nie chorujcie, bo mi serce pęka od żalu. Przebaczcie mi Antoni, sąsiedzie miły.

— Żalu do was nie mam żadnego, zcicha szepcze Antoni ani też wy macie za co dziękować. Zrobiłem tylko to, co mi Bóg, ta sumienie kazało.

Niepostrzeżony wszedł Grzegorz do chaty. Podniósł ręce trzęsące się z wzruszenia i starości, zaszeptał cichą modlitwę, i błogosławił przytomnym. Prosta chata wieśniacza wydała się jakby święte miejsce, bo zgodzone w niej biły serca. Grzegorz stary przemówił dobitnym głosem:

— Odtąd niech święta zgoda między nami panuje na wieki. Niech zaginą swary i prawowania niesłuszne. Na znak tej zgody skoro Antoni pozdrowieje, zasadźmy nową gruszę i wspólny kopiec usypmy. Bo stara grusza, co ją Jacenty za graniczną podawał, to smutna pamiątka. Ta stara grusza, to przezemnie sadzona na pamiątkę, gdym po nieszczęśliwej wojnie za Ojczyznę sam do domu powrócił. Gdzie ta grusza stoi, tam pożegnałem się z ojcem waszym, Jacenty, a wróciwszy nie zastałem go przy życiu, i jemu na pamiątkę gruszę posadziłem. Ot niech zgoda będzie wieczna, kochajcie się, boście jednej matki Ojczyzny dzieci, która tylko zgodą wspólną a nie swarami utrzymać się może.

Stach ze Lwowa.

Sąd w Lesie.

Piękne było tam ustronie,
Gdzie lew usiadł na swym tronie.
Przy nim wiele było gości,
A on w zwykłej wspaniałości
To i to im rozporządzał,
Wreście wiele spraw rozsądzał.
Wtem dwóch łotrow przywiedziono
I przed tronem ich stawiono.
Był to pies i lis już stary —
Obaj wielkiej godni kary.
— Cóż pies zrobił? — lew zapytał.
— Mości królu! kury chwytał.
— A lis znowu jak się sprawił?
— Także jak pies kury dławił!
A więc sprawa jednakowa...
Wtem lew w te się ozwał słowa:
— Prawda, obaj kradli kury,
Lecz kto gorszej z nich natury?
— Lis, — mówiono — bo przebiegły
Gdy wpadł, kury nie spostrzegły;
Idąc bowiem na wyprawę,
Zawsze grzeczną miał postawę,
Nigdy niczem się nie zdradzał,
Cicho w kącie się zasadzał
Potem wpadał niespodzianie...
Pies, gdy szedł na polowanie,
Począł zaraz głośno szczekać,
Jakby wołał, by uciekać;
To też tylko głupsze kury
Mógł dostawać w swe pazury..
Lew nasrożył swe spojrzenie —
Pies otrzymał napomienie,
Lisa mocno ukarano,
W jamie siedzieć mu kazano

Gorszy nieprzyjaciel, co milczkiem napada
I do celów swoich używa skrytości;
Jawny nie tak straszny, mniejsza jego zdrada,
Użyć bowiem można środków ostrożności!

Józef z Bochni.

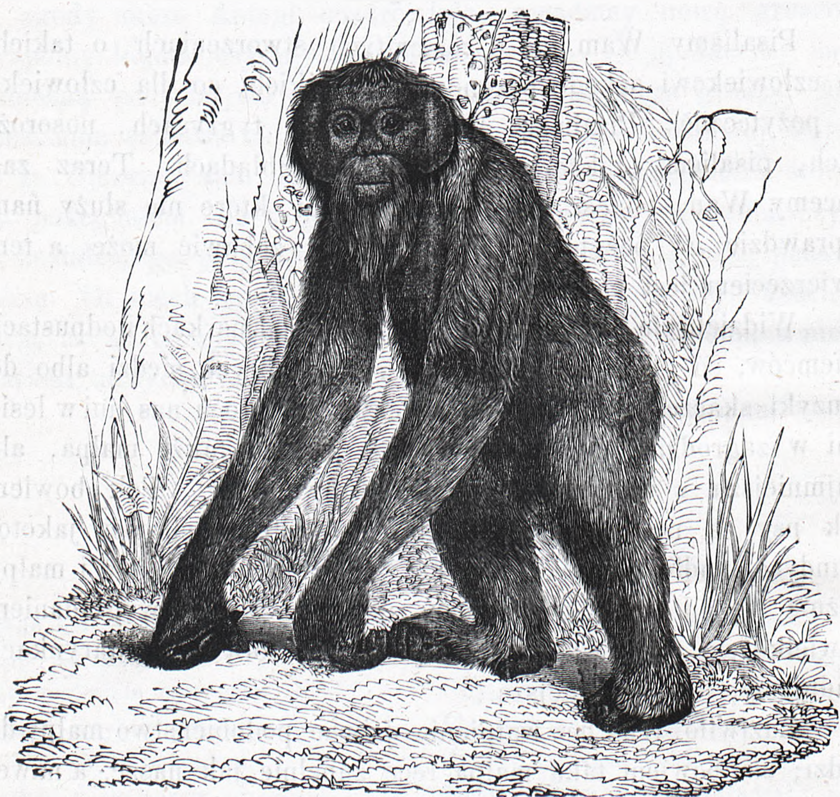
Małpa.

Pisaliśmy Wam już o rozmaitych stworzeniach, o takich, co człowiekowi szkodę przynoszą i o takich, co dla człowieka są pożyteczne. Pisaliśmy Wam o lwach, tygrysach, nosorożcach, pisaliśmy także o słoniach i wielbłądach. Teraz zaś chcemy Wam donieść nieco o zwierzęciu, które nie służy nam wprawdzie na pożytek, ale za to nas zabawić może, a tem zwierzęciem jest małpa.

Widzieliście już zapewnie nieraz po jarmarkach i odpustach Niemców, co grają na katarynkach, na których siedzi albo do muzyki skacze jakieś dziwne zwierzę, jakiego u nas ani w lesie ani w zagrodzie nie spotka. Otóż jest to także małpa, ale najmniejsza z wszystkich swoich krewniaków. Tak bowiem jak psy są rozmaitego gatunku i rozmaitej wielkości, jakoto: kundyse, pudle, jamniki, wyżły i wiele innych, tak też i małpy różnią się od siebie gatunkiem, sposobem życia, wyglądaniem i wielkością. Ot więc ta małpeczka, którą na katarynkach widujemy, jest najmniejszą.

Zdziwiło Was bez wątpienia dziwne podobieństwo małpy do ludzi; ma bowiem taka małpa ręce zupełnie jak nasze, a nawet dłonie nagie, nagą twarz, uszy do naszych podobne i oczy tego samego kształtu, jak nasze. I rzeczywiście jest taka małpa podobną do człowieka, ale podobną do niego tak, jak człowiek który się drugiemu wykrzywia i przedrzeźnia. Mówią nawet niektórzy ludzie, że małpa jest rozumną, a mówią to, bo widzą, że małpa sobie usiądzie jak człowiek, na dwu nogach chodzić potrafi, żre jabłka i cukier i człowieka we wszystkiem naśladuję. Niech sobie to tam myślą ludzie, nam się jednak zdaje, że małpie do rozumu bardzo daleko. Wszak ja jeszcze w tem rozumu także nie pokazuję, jeżli drzewo porąbię siekierą, jak

inni, albo sobie kaszę nagotuję. O nie! nam dał nasz Stwórca całkiem inny rozum, dał nam rozum, abyśmy myśleli, zastanawiali się, i myśli nasze wypowiedzieć mogli. A gdzie to znajdziesz u małpy! — Mówić nie umie, ba nawet piszczy tylko wtedy, jak jej się żreć zechce albo ją pan obije. Lecz chcę na teraz pozostawić opisanie zwyczajów małpich, a chcę Wam powiedzieć, jak wyglądają i gdzie mieszkają te dziwolągi.



Małpa zwana Orangutan

Żyją te zwierzęta w krajach cieplejszych, niż jest nasz kraj, ale już nawet i w naszej części ziemi, którą Europą nazywamy znajduje się pewien rodzaj małp, a to właśnie ten, który Niemcy po całym włóczą świecie. Rozumie się, że nie tak blisko naszego kraju mieszkają te małpy, bobyśmy niedawali Niemcom za pokazywanie tego stworzenia naszych krajcarów, ale daleko aż w kraju, który nazywają Hiszpanią i to tylko w najcieplejszej części i li na jednej górze. Więcej ich jest w części ziemi, która z naszą częścią ziemi czyli Europą sąsiaduje, t. j.

w Afryce. Drapią się one tam po górach i skałach i żywią się tylko owocami, które u nas za drogie pieniądze sprzedają, jakoto pomarańczami, figami i t. d. — Ale w Afryce nietylko ten gatunek małp mieszka, lecz i wiele innych, a niektóre dochodzą wielkości człowieka, a nawet są od niego większe. I tak żyją w Afryce n. p. małpy, które się nazywają Gorylle. Są one od człowieka słuszniejsze, a co do wyglądania bardzo mu podobne. Różnią się tylko tem, że są całe czarnemi, gęstymi włosami pokryte i że, jak wszystkie inne małpy, zamiast nóg ręce mają. Ten gatunek małp, czyli Gorylle, jest nadzwyczaj silny, a nawet z silnym lwem taka małpa wojować się nie boi. Możecie sobie wyobrazić, że to nie żarty spotkać takie stworzenie w lesie, kiedy cię jak muchę udusić może, twój karabin albo fuzyą w dwoje zgiąć potrafi a rurkę od strzelby jak nic zębami spłaszczy. Żyje tam także małpa na cały sążeń wysoka, którą nazywają Orangutanem afrykańskim. Jest ona także czarnym włosem porośnięta i nieladajaką posiada siłę, ale nie jest tak złą i nieuczciwą, jak Gorylla. Po lasach wyją tam jeszcze i małpy zwane Mandryle, czyli leśne diabły, które dla tego tak nazwano, bo są bardzo brzydkie, złośliwe i bezwstydne. Wyobraźcie sobie bowiem stworzenie o czterech rękach, pokryte rudą szczeciną, z ogromnemi uszami, czerwone jak burak na twarzy, o zwisłych policzkach, w których po kilkanaście jaj przechowywa. Choćbyś wiedział, że to małpa, toby ci przecież mrowie po pod skórę przeszło.

Prócz Afryki ma także i ta część świata, którą Azyą, i ta, którą Ameryką nazywamy, swoje małpy. I tak żyje w Azyi, a mianowicie na wyspach, małpa także do człowieka bardzo podobna, zwana Orangutanem azyatyckim. Dochodzi ona do czterech stóp wysokości i jest prócz twarzy, usz i dłoni brunatną siercią pokryta. Jest ona jedną z najuczciwszych, nie jest złośliwą, lecz spokojną i nie szkodliwą. — Wszystkie te małpy, które żyją w Afryce i Azyi, nie mają ogona, ale są także i takie, które mają ogony i to dość długie a te właśnie żyją w Ameryce Są one mniejsze od Gorylli i od Orangutanów, większe jednak od małpy, która żyje w Hiszpanji czyli tak zwanej małpy tureckiej. Głównie dzielą się one na dwa

rodzaje, różnią się jednak tylko pod względem barwy sierci i pod względem krzyku, jaki z siebie wydają. Podobieństwo ich do człowieka jest najmniejsze, a nawet powiedzieć możemy, że żadne.

Kiedyśmy Wam już napisali, jak te małpy wyglądają i gdzie żyją, to zdaje się nam, że trzeba także coś napisać, jak żyją po lasach na wolności, a jak wtedy, gdy je człowiek połapie i do żelaznych klatek pozamyka.

Jak Wam już poprzednio donieśliśmy, żywią się one po większej części owocami, a niektóre także i jajami, jak n. p. Mandryl. Dlategoteż nie są one wcale przyjemnymi gośćmi dla właścicieli pól i ogrodów. Głównymi mianowicie szkodnikami są małpy amerykańskie, nie żyją bowiem pojedyńczo albo parami, lecz gromadnie. Możecie sobie zatem wyobrazić, jak taki ogród musi wyglądać, gdy się jakie sto małp w nocy zakradnie i pożera wszystkie owoce i gałęzie połamie, albo gdy wszystkie melony z ogrodów pozbierają. Ludzie też nie pozostawiają swych ogrodów, mianowicie tych, które blisko lasów leżą, bez opieki i polują na małpy. Cóż to jednak pomoże, kiedy małpa sobie na to także wynajdzie sposoby. Gromada ich bowiem to tak wyuczona, jakby jakie wojsko. Wysełają naprzód małpę na zwiady, czy nie ma jakiego niebezpieczeństwa a potem rozstawiają straże, które tym, co pustoszą ogród, dają zaraz przeraźliwym głosem znaki, że się człowiek zbliża. Gdy tak wypróżnią całe ogrody, gdyby jaka szarańcza, zabierają się do lasu i wędrują dalej, ażeby przyszłej nocy to samo gdzieindziej powtórzyć. Przeszkód nie znają one, kołyszą się po drzewach na swoich ogonach, a jak mają przejść jaką rozpadlinę, to sobie także radzą. Wtedyto budują most z samych siebie; jedna małpa czepia się drugiej ogonem i tak to dalej idzie, aż ostatnia drugiego dosięga brzegu. Po tym to żywym moście przechodzi cała gromada i z hałasem i wrzaskiem rozgaszcza się po drzewach. Rozumie się, że to, co tu napisałem tyczy się tylko małp amerykańskich, bo tylko one ogony mają.

Afrykańskie i azyatyckie małpy są mniej szkodliwe, a to dlatego głównie, że nie żyją gromadnie i nie napadają gro-

madnie ogrodów. Są one jednak niebezpieczniejsze dla człowieka, bo mają więcej siły i złości, niż tamte.

Podziwienia godna u wszystkich małp jest miłość rodzicielska. Taka małpia matka nosi swoje młode ciągle na rękach, daje mu najlepsze strawy i broni je do śmierci. Zdarzało się często, że chciano małpie młode odbierać, ale prawie zawsze trzeba było wprzód matkę zabić, nim się jej dziecię dostało. Ba widziano małpy, nawet które poranione kulami swe młode w ręku trzymały a jeszcze i wtedy, gdy śmierć już w sobie czuły, dziecię swoje oblizały i wysadziły na drzewo.

Inaczej zachowują się małpy w uwięzieniu, t. j. gdy ludzie je złapią. Wtedy niektóre z łatwością się do człowieka przywiązują, podczas, gdy inne w kilka dni z tęsknoty za wolnością giną. Orangutany mianowicie i Gorylle nie przyzwyczajają się nigdy do klatki. Za to mniejszego gatunku małpy, jak n. p. małpa turecka, Mandryl i inne tak się przyzwyczajają do człowieka, iż go tak jak pies nigdy nie opuszczają. Wkrótce wyuczają się spożywać strawy, któremi się ludzie żywią, piją mleko, kawę, a nawet wódką i winem nie gardzą i jedynie mięsa nie tkną nigdy. Dziwna też natura tych małp! Jak n. p. raz jedną złapali ludzie i powieźli ją z sobą do domu, nauczyła się wkrótce przyzwoicie przy stole siedzieć, używać przy jedzeniu łyżki i widelca, a przy piciu flaszki i szklanki. A nawet zdarza się dość często, że i fajkę małpa palić się nauczy. W ogóle tak, jakby się chciała człowiekowi wykrzywiać, naśladuje wszystkie jego czynności. Siądziesz do stołu i weźmiesz flaszkę do rąk, a wkrótce zjawia się gdzieś z za pieca małpa i odebierze ci ją; zapalisz fajkę, to małpa to samo uczyni. Patrzysz w zwierciadło, to i małpa ogląda w niem swe przystojne oblicze, jednem słowem tysiąc figlów płata. Tak n. p. widziała raz małpa, jak cyrulik jej panu brodę golił. Gdy ją pan zostawił samą w domu, łapie kota, sadza go na krześle, podwiązuje mu brodę ręcznikiem i dalej kotu brodę golić. Rozumie się, golenie długo nie trwało, bo małpa zręczności cyrulika nie miała i podcięła gardło kotu. Tak też widziała raz małpa, jak z węgli kasztany szczypcami wyjmowano; nie znalazła szczypiec, ale łapki kota zdawały się jej być do szczypiec podobne

i zaczęła kasztany z pieca wyjmować łapami kota, który ją uczciwie podrapał. A wiele taka małpa psot nie wyrządzi! To ci szybę zbije, gdy widzi, żeś na niej zabębnił, no a cukierniczki i w ogóle wszystkie słodycze, to się aż trzęsą przed nią, bo wykrada je po porządku. Ot i nam w naszym kraju, gdzie dla małpy za mało ciepła, zdarza się widzieć małpę jeżdżącą na psie niby na koniu; bębni w bębenek, skacze, iska swego pana i t. d. Jestto zatem, jak widzimy, zabawne zwierzę, ale ma ono i wiele złych stron, a osobliwie złości to ma już tyle w sobie, jak żadne inne stworzenie. Nie dasz jej, czego jej się zachciewa, to ci gotowa oczy wydrapać, włosy powyrywać, a zemsta jej nawet tak dalece nie zna granic, że czasami człowieka we śnie udusi. W ogóle małpa ma wiele przymiotów zabawnych, ale też tylko takich – i złych jednak wiele, a może nawet jeszcze więcej.

Rysunek, który Wam na tem miejscu załączamy, przedstawia afrykańskiego orangutana, na którym się przekonać możecie, że małpa rzeczywiście nadzwyczaj do człowieka podobna. Tego orangutana jednak ledwie gdzie widzieć można, bo nie łatwo da się pojmać, a w niewoli rychło ginie.

N a f t a.

Ledwie kto o tem u nas pomyśli, jakie skarby nasza ziemia w sobie kryje. Pożywamy z różnemi potrawami sól, a często nie wiemy, że z Wieliczki Rąbiemy siekierą drzewo, a nie wiemy, że ta siekiera z Mizunia, warzymy potrawy w kotłach i rądlach, a nie wiemy, że te kotły z Wełdzirza, oświetlamy nasze mieszkania lampami albo naftowemi świecami, a nie wiemy, że ta nafta z Borysławia. Otóż właśnie o tej nafcie chcę Wam cokolwiek napisać.

Jak Wam wiadomo, stała się nafta prawie niezbędnie potrzebną w naszem gospodarstwie. My nią oświecamy nasze izby, a ledwie gdzie znaleźć można dom, w którymby tego oświetlenia nie używano Jakto miło się siedzi zimowymi wieczorami przy kominku! Na dworze sroży się wicher, śnieg

zalepia szyby okna, w kominie wiatr przygrywa, a mróz maluje kwiaty lodowe po szybach. A nam tak miło, a nam tak ciepło! Na kominku trzeszczy łuczywo i iskry się sypią wokoło, a na stole stoi lampa, która daje całej izbie dostateczne i dobre światło. Rodzina usiadła przy stole, — matka pieści dziecię na ręku, a ojciec opowiada swoje przygody, jakto jeszcze bywał w wojsku, albo opowiada historyą królów polskich, czyta pismo św. albo wreszcie naszego „Dzwonka". I słucha spokojnie cała czeladka, cicho w izdebce, chyba, że czasami zafurczy wrzeciono, albo pies zaszczeka w sieni. Miło się jakoś cały dzień pracuje, bo się czeka na długi wieczór, jak to gospodarz znów będzie czytał historyą o Kazimierzu, królu chłopków albo o św. Stanisławie, albo jaką powiastkę z „Dzwonka". A cóż to sprawia właśnie tyle przyjemności, co uprzyjemnia długie wieczory zimowe? Zapewne, że nic innego, jak ta mała lampina naftowa na stoliku, która właśnie daje takie miłe spokojne światełko. Wszak prawda, że przy kaganku, to czytać nie można? A przed tem mieliśmy kaganki, które trzeba było łojem albo masłem zasycać, i łojówki, które się ciemno i niespokojnie paliły. Mieliśmy wprawdzie także i świece woskowe, ba, ale woskowe świece nielada pieniądze kosztowały Dlategoteż godziło się je tylko przed obrazem Zbawiciela albo Matki Najświętszej zapalać. Widzimy zatem, że nafta dla nas nieposlедniem dobrodziejstwem, bo i tanio kosztuje i dobre światło daje Prawda, że i nafta nam się czasem bardzo źle przysłuża; wywróć tylko lampę, a tu się zacznie wszystko w około ciebie palić. No, ale to nie jest koniecznością, aby się zawsze lampy po stołach wywracały i aby spowodowywały pożary. Cóż to szkodzi być ostrożnym i uważać, aby się stoły nie kiwały i aby nafta się nie zapalała? Przecież i iskra z fajki nieostrożnie rzucona między drzazgi, wznieci ogień i spali najpiękniejszą zagrodę. Toć przecież rzecze stare przysłowie. „Strzeżonego Pan Bóg strzeże!" Czemużbyśmy więc nie mieli się starać, aby Bóg Najwyższy nas strzegł? To więc nie powinno nas zrażać od nafty.

Otóż tej nafty mamy w naszym kraju pod dostatkiem, mamy jej tyle, że nawet i cudze kraje zaopatrywać w ten dar

boski możemy. Do niedawna jeszcze u nas nie wiedzieliśmy, ani też nie przypuszczaliśmy, że nafta w naszej ziemi być może. Opatrzność boska czuwa jednak nad nami i zaspokaja nasze potrzeby. Otóż też zdarzyło się, iż przypadkowo, przy kopaniu studni z jamy zamiast wody nafta trysnęła. Tak n. p. stało się w Borysławiu, gdy przypadkowo na obfite zdroje nafty trafiono. Borysław teraz stał się najznakomitszą kopalnią nafty w całym naszym kraju, a nafta borysławska należy do najlepszych. Szkoda jedynie, że nie umiemy naszych skarbów w własnych rękach zachować, bo Borysławiem cudzoziemcy zawiadują i ssą lud okoliczny w najbezczelniejszy sposób. Gdy się ruszyła wiadomość, że w Borysławie taka śliczna nafta się pokazała, zaczęto prawie wszędzie grzebać i wszyscy się rzucili na to, bo chcieli się naraz zbogacić. Grzebanie to i poszukiwanie jednak rozmaite wydało owoce: jedni zagrzebali w ziemi swą zagrodę, konie, woły i cały swój majątek, a innym znowu trysł piękny, żółty strumień nafty z ziemi. I tak doszli ci szczęśliwi do ogromnego majątku. Mianowicie powiaty drohobycki, przemyski, sanocki i w małej części kołomyjski dogrzebały się nafty i zarabiają coraz więcej. Osobliwie drohobycki był z tych powiatów najszczęśliwszy, albowiem prócz nafty znalazły się w ziemi także wielkie pokłady tak zwanego wosku ziemnego czyli parafiny, z którego to wosku robią piękne, prawie przeźroczyste swiece. Można ten wosk ziemny otrzymać także przez wygotowywanie nafty, łatwo sobie jednak przedstawić o ile szczęśliwszy jest ten, który już ani kotłów ani drzewa ani zachodu nie potrzebuje, tylko czystą parafinę czyli wosk ziemny posiada. Również i powiat sanocki można do szczęśliwych pod tym względem zaliczyć. Pola tam nie są bardzo żyzne, więc Pan Bóg chciał mieszkańców tamecznych w inny sposób nagrodzić. I tak n. p. we wsi Bóbice, która jest własnością pana Klobasy, kopano studnię koło dworu. W tem, co za uciecha, zamiast wody buchła nafta z podziemia. I teraz jest tam wykopanych do siedmdziesiąt studzienek czyli raczej szybów, a trzydzieści z nich codziennie ogromną ilość nafty wydaje, tak iż roczny dochód z nafty bobieckiej liczą wyżej stu tysięcy złr. Rozumie się że to poła-

komiło także i sąsiadów, anuż więc kopać. A mianowicie w Zwoniczu, który z Bóbrką sąsiaduje, zaczął hr. Zaturski kopać szyby, ale daremnna była jego praca, bo nafty nie ma Tak zaczęto kopać wszędzie, gdzie się udało, ale Pan Bóg ukarał tych, którzy zapomnieli o cięższej pracy i lekkomyślnie, gdziekolwiekbądź zaczęli nafty szukać, nie pobłogosławił ich pracy, a bardzo często się zdarzyło, że zamiast nafty jakby na śmiech czyściutka woda trysnęła. Dlategoto trzeba zawsze pomyśleć, co człowiek i jak robić powinien i nie trzeba się dać zupełnie opanować tylko chęci zysku, bo Bóg, który w naszych sercach czyta gdyby w książce, nie pobłogosławi chciwości. *Mańko ze Stryja.*

Rozmaitości.

— Z nad Sanu smutna nas doszła nowina. Zacny ksiądz Szymon Serafin, kanonik, wysłużony dziekan krośnieński, i nadzorca szkół ludowych, pleban z Odrzykonia, umarł dnia 8. marca b. r. Dziś wypada nam słów kilka powiedzieć ku czci i pamiątce nieboszczyka. Ś. p. ksiądz Szymon urodził się w r. 1798, wyświęcił się na kapłana w r. 1825, i odtąd w Odrzykoniu życie swe prowadził, gdzie też i umarł przeżywszy lat życia 72, a wzorowego i bogobojnego kapłaństwa 45 lat. Otrzymawszy plebanię w Odrzykoniu wziął się ś. p. ksiądz Szymon do pracy około swych owieczek. Znaną jest w całej okolicy niezmordowana jego gorliwość około kościoła i szkółki. Założył w parafii swej Bractwo Różańca św. Podczas odpustów sprowadzał po kilkunastu księży żeby nikt nie odszedł bez Sakramentów św. Widząc ś. p. ks. Szymon, że kościółek drewniany już stary i za mały dla parafian, postanowił wybudować murowany i większy. Zachęcił parafjan do składek dobrowolnych, sam zaś zaoszczędzony grosz własny dokładał co roku do pomnażania pieniędzy na te budowę. Obecnie jest już na to 8300 złr. Umierając zapisał całe swe mienie na ten cel.

Jak około kościoła, tak też i około oświaty ludu gorliwie chodził. Założył szkólkę parafjalną w Odrzykoniu, i umiał do niej zachęcać i wzbudzać do nauki zamiłowanie. Prócz tego zachęcał do czytania książek i pism moralnych dla ludu. Żadna parafia może nie naliczy tyle czytających co odrzykońska. W ręku parafjan tamtejszych znaleść można naszego Dzwonka, Chatę, Gwiazdkę Cieszyńską, Opiekuna dzieci i inne pisma. Pisemka te parafianie za własne prenumerują pieniądze, co jest oznaką ich poczucia potrzeby do czytania.

Założył także nieboszczyk bibljoteczkę parafialną i szkolną i w każdą niedzielę i święto po nauce katechizacyjnej zatrudniał czytaniem tak młodszych jak i starszych.

To mu dodawało męztwa do cierpliwego znoszenia długich i bardzo boleśnych cierpień w ostatnich czasach życia Oby mu te cierpienia policzył pan Bóg ku wiecznej zasłudze a nam w jego miejsce dał wiele tak zacnych kapłanów.

— Noc kanawałowa. Pewien siodlarz z Bubny zrobił sobie w niedzielę rano mocne postanowienie, by wesoło spędzić noc karnawałową. Udawało się mu do 1 godz. w nocy. Obszedłszy wszystkie szynki, umyślił sobie wstąpić jeszcze do jednego szynku, by się napić wódki. Ale od tej chwili zaczęło się mu niepowodzić, pomimo że znalazł tam liczne grono nocnych biesiadników. Częstował ich wódką, śpiewał i cieszył się bardzo, że im smakowała. Naraz zmienił humor i rozgniewał się mocno, bo mu ktoś ukradł zegarek. Przyskoczył do drzwi i nie chciał nikogo ani wpuścić ani wypuścić z izby. Wtem nadszedł patrol. Zegarek znaleziono pod stołem. Ale złodziei nie schwytano, bo się cichaczem wysunęli. Jednakże tej samej nocy schwytano ich w innym szynku i w więzieniu osadzono. Ponieważ siodlarz zepsuł sobie tutaj zabawę, poszedł gdzieindziej, by pić dalej. Ale im więcej zażywał gorących trunków, tem więcej go niepokoiło, że sobie popsnł noc karnawałową. Począł więc wymyślać kląć i bić pięścią, aż popadł w złość tak wielką, że tłukł szklanki i szyby w oknie. Przyszedł znowu patrol i zabrał pana brata do kozy. I któżby był powiedział! resztę nocy przepędził w towarzystwie owych złodziei, którzy mu ukradli zegarek. On to był powodem, że ich tak pięknie zgromadzili. Tak przepędził noc karawałową, takie wódka sprawia przygody!

Złote ziarna.

Nadewszystko kochaj Boga,
Bliźnich tak, jak siebie,
Ta do szczęścia jedna droga
Doprowadzi ciebie.

Miłość bliźnich — miłość Boga
Serce rozwesela
Z największego nieraz wroga
Robi przyjaciela.

Redaktor odpowiedzialny Kazimierz Okaz. — Wydawca Stanisław Justian.
Z drukarni E. Winiarza we Lwowie.

Tom III. 11. Kwietnia 1871. Nr. 11.

Rok dwunasty.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Jakób i Maciej Miłkowscy.

Przypominacie sobie, kochani Czytelnicy, co wam zeszłego roku napisałem o Piotrze Ostrowskim, braciszku w zakonie OO. Bernardynów w Skępem i Warszawie, co napisalem o klasztorze OO. Bernardynów w Skępem. Otóż z tym klasztorem mają także związek dwaj bracia, o których właśnie podaję wam ciekawą wiadomość.

Niedaleko od Skępego leży pod Tupadłami osada Będzin. W tej tedy osadzie żył kilkadziesiąt lat temu ubogi wieśniak Miłkowski z żoną swoją i siedmioma synami. Miał on niewielki kawałek roli, lecz czuł się tak swobodnym i szczęśliwym, że nie zazdrościł największemu bogaczowi. Pracował wytrwale i ochoczo, to też jako tako mógł przecie wyżywić rodzinę swoją. Kto wszedł do jego chaty, przekonał się od razu, że tu mieszka poczciwość i zadowolenie i zdawało się każdemu, że jakby dla niego napisał niegdyś Jan z Czarnolasu mądre słowa:

Ten Pan zdaniem mojem,
Kto przestał na swojem.

Bóg też widocznie błogosławił pobożnej rodzinie, wspierał ją łaską swoją, bo panowała w niej rzadka dziś pobożność i miły ojców naszych obyczaj. Nie dziw więc, że chata Miłkow-

skiego wpadała każdemu w oko, bo z niej nie wyszło żadne zgorszenie, owszem jak najpiękniejszy przykład.

Miłkowski wychowywał synów swoich podług sumienia; zaprawiał ich w pracy i bojaźni bożej, nie wodził ich na zbytki lub zabawy karczemne, ale natomiast prowadził ich do klasztoru OO. Bernardynów w Skępem, tu modlił się z nimi i błagał Najswiętszej Panienki o piękną dla nich przyszłość.

I nie omylił się przykładny ojciec, bo synowie wzrastali prawdziwie w łasce u Boga i ludzi, na wielką pociechę rodziców swoich. Najlepszym jednak z nich synem był Jakób, syn najstarszy, który się urodził 1810 roku. Od pierwszej młodości odznaczał się on bystrym zmysłem, rozwagą i ciekawością. Kiedy wziął jaką rzecz do ręki, oglądał ją na wszystkie strony, dociekał dla czego ona tak lub owak była zrobiona i zastanawiał się nad tem, do czego ona też może służyć? A gdy szedł z ojcem w pole lub do lasu, to bez ustanku zarzucał ojca pytaniami:

— A powiedz mi też, tatuniu luby, kto to tę rzecz zrobił, zkąd ona się tu wzięła, co ludzie z nią zrobią? I tak dalej.

Ojciec cieszył się takim synem. Jak umiał, tak mu tłumaczył każdą rzecz, a syn sobie miarkował i nabierał nauki. Ale najbardziej lubił on chodzić z rodzicami do Skępego, modlić się tutaj nabożnie i przypatrywać tej cudownej figurze Matki Boskiej. Ile razy ztąd odszedł, zawsze mu było jakoś błogo w sercu, w myśli weselej, przed oczyma swobodniej. Patrzył na ludzi i zazdrościł im tą szlachetną zazdrością, iż oni modlą się na książkach, a on tego robić nie może, bo czytać nie umie...

To go trapiło, a w chacie nikt czytać nie umiał; państwo ze dworu nie zajmowali się nauczaniem czytania, a szkółki nie było wówczas w całej okolicy. Ojciec zaś nie był w stanie, by Jakóbka mógł posyłać do szkoły w mieście, tak więc w żalu i nadziei upływał czas dobremu chłopcu.

Nareszcie dowiaduje się na największą swą pociechę, że ciotka jego zna się cokolwiek na druku. Idzie tedy do niej i najgoręcej prosi, by go czytać nauczyła.

Stało się podług jego woli. Poczciwa ciotka rozniecíwszy łuczywo na kominie, uczyła go wieczorami jesiennemi składania liter, czego pojętny chłopiec nauczył się w krótkim czasie. Ojciec sprawił Jakóbkowi książkę do nabożeństwa, i odtąd nie było dla niego większej uciechy jak iść z rodzicami do Skępego i tam z książki chwalić Najświętszą Pannę

Jakób nauczył się wnet na pamięć różnych modlitw i pobożnych pieśni, które śpiewał pomagając ojcu w polu lub rzucając ziarno na zorane pole.

Kiedy nie pracował w gospodarstwie, wyrzynał przy śpiewie rozmaite rzeczy z drzewa, a tak pięknie i ozdobnie, że się temu ludzie nie mogli nadziwić do sytości. Ale bo też będąc jeszcze małym chłopcem, wielki do tego okazywał talent. Wiemy, że gdy obaczył rzecz jaką, to ją obejrzał dokładnie a potem próbował, czy podobnej nie wyrobi z drzewa? Pasąc bydełko na łące, wyrzynał z drzewa ozdobne laski, robił klatki, krzyżyki a nieraz to i wyrzezał ołtarzyk lub kapliczkę zgrabną, w której poustawiał własnej roboty figurki świętych.

I ćwiczył się w tej sztuce ustawicznie. Później nabył takiej wprawy w swoich rękach, że się wziął do wyrzynania nawet większych figur.

Zobaczywszy to ludzie, kiwali głowami i mówili:

— Z tego Jakóba będzie kiedy słynny człowiek, bo to nie żarty z prostego drzewa wyrobić takie piękne rzeczy, a do tego bez nauki i przykładu! . . .

I nie na prożno mówili ludzie, bo Jakób przy usilnej pracy w swojej sztuce wyrobił sobie imię i nabrał wziętości daleko i szeroko.

Jak nam wiadomo, lubił on przyglądać się figurze Matki Boskiej skępskiej. Owoż zaczął on naśladować i wyrabiać tę figurę, ale początkowych prac swoich nie pokazał nikomu. Ciągle poprawiał i doskonalił owe figury swojej roboty, aż w końcu odważył się jednę zrobić na obstalunek dla pana dziedzica z Brudzina, niejakiego Teofila Srednickiego, który ją ustawił koło swego domu.

Piękną tę pracę obaczyła pani Brochocka i zapoznawszy się z Jakóbem, kazała mu zrobić sobie podobną figurę.

Żądanie takie jakkolwiek ucieszyło go niezmiernie, przejęło go do żywego. Myśli sobie tedy tak:

— Widać, że już taka wola Boża, żebym był snycerzem, ale na chwałę Boską, żebym tylko świątobliwe wyrzynał rzeczy. . .

Jakoż udał się zaraz do Skępego do OO. Bernardynów i wyznał otwarcie, że ma wielkie nabożeństwo do figury Matki Boskiej w ich kościele będącej, to też najgoręcej pragnie, by ją mógł wyrabiać jak najgodniej dla dobrych ludzi w polskim kraju.

Zakonnicy obejrzawszy jego dawniejsze prace, wnet się przekonali, że pod siermięgą Jakóba pobożne bije serce, a w duszy złożył Bóg niepoślednie zdolności. Pozwolili więc, żeby się z blizka przypatrywał cudownej figurze i wyrzynał potem podobne jej figury.

Jakób był wtenczas nad podziw uniesiony, ale chcąc sobie zjednać łaskę nieba do świętego dzieła, nie wziął się od razu do niego. Modlił się, pościł, przystępywał do spowiedzi, a dopiero potem zaczął swoją robotę. Zrobił sobie przed figurą podwyższenie i przez kilka dni rozpatrywał się w cudownej postaci Matki Boskiej z prawdziwem zachwyceniem.

Po takiej próbie wziął się do rzeczy i wykonał tak piękną figurę, że się sam nie spodziewał, iżby zdołał zrobić taką.

I robił odtąd figury Matki Boskiej skępskiej mniejsze i większe, ale nigdy nie zaczął pierwej roboty, dopóki modlitwą nie nastroił swego ducha. Wkrótce wiedziano w całym kraju o Jakóbie i zachwycano się jego wyrobami.

Wziętość miał wielką. Ale przy tem wszystkiem był czasem bardzo smutny, bo sam tylko oddawał się snycerskiej pracy. Nie miał nikogo, kogoby uczył swojej sztuki, co było wielkiem jego pragnieniem.

Ze wszystkich braci kochał on najbardziej Macieja. Po pewnym atoli czasie spostrzegł ucieszony, że Maciej naśladuje go w pracy i piękne okazuje ku temu zdolności. Uczy go tedy Jakób, pokazuje i objaśnia, a gdy Maciej zniechęcony opuszcza ręce i nie chce dalej robić, zachęca go do wytrwałości i każe wzywać pomocy Bożej, a praca pójdzie gładko.

Rżnie dalej Maciej, ale po nie długim czasie wychodzi z domu. Wtedy bierze Jakób jego prace, poprawia potajemnie, a gdy przyjdzie Maciej, oczom swoim nie dowierza, że tak wszystko pięknie robi i znowu nowej nabiera ochoty do dalszej pracy.

Tak widzicie, moi kochani, przez zachętę Jakóba, Maciej doszedł do takiej biegłości, że później często i lepiej wyrzynał od samego Jakóba, ale zawsze brakowało mu tej wiary i ciepła serdecznego, czem się odznaczają prace Jakóba.

I pomyśli sobie niejeden, że Miłkowscy poświęcając się snycerstwu, zaniedbali gospodarstwa. Tak się nie dzieje. Uprawiają oni rodzinną glebę, a w swobodniejszej chwili wyrzynają świętych, osoby pana Jezusa; ale najwięcej wyrabiają figur przedstawiających Matkę Boską skępską, których tysiące rozchodzą się po ziemi polskiej. Nie robią oni tego jedynie dla zysku, ale w celu szerzenia pobożności. Rocznie zarabiają sobie do 8.000 złotych polskich czyli podług naszej rachuby 2000 złotych austryjackich.

Pewien pan będąc u Jakóba Miłkowskiego, tak pisze:

— Zwiedziłem warsztat i dom Jakóba Miłkowskiego, tego dziś już prawie starca; poznałem go jak spokojny, pełen wiary i ufności w Bogu pracuje dłutem i orze swą skibę. Widziałem jego roztropność, zacność, jasność zdania, pochop do oświaty i nauki. Każdy pojmie, iż to jest człowiek, który służyć może za wzór tym ludziom, którzy urodziwszy się pod nizką strzechą, otrzymali z rąk Stwórcy wyższe zdolności i chcą je obrócić na chwałę Ojca przedwiecznego i pożytek swej braci siermięgowej.

Tyle o dwóch braciach snycerzach, których niechaj Bóg trzyma w łasce swojej. *Józef z Bochni.*

Szczęść Boże!

Szczęść Boże! — ojców, wyrazie święty,
Wszystkich zatrudnień zaczęcie i godło!
Z tobą i sprawa i bój zaczęty,
To się też wtenczas i dobrze wiodło;
Zawsze bo brzmiało: „Boże szczęść!"
Rosła nam chwała — a Panu cześć.

Z tem hasłem w pole — bracia Wieśniacy,
Idąc, — pomnijcie — że pod tem niebem
Wojną zniszczeni są tam biedacy,
Których trza polskim nakarmić chlebem.
Więc pracy Waszej Boże szczęść!
Biednym na pomoc — sobie na cześć.

Kiedy zaś promyk szczęśliwszej doli
Wciska się do was z Ludu oświaty,
Wkrótce nas bratnia miłość zespoli
I dawną świetność pokażem światu.
Chęciom, nadziejom Boże szczęść!
Daj nam swobodę — my Tobie cześć!.

Bracia kochani! niechaj nie ginie
Życzenia tego podźwięk uroczy!
Niech cnota Ojców odrasta w synie,
A łaska Niebios znów nas otoczy,
Gdy z wiarą rzekniem: „Boże szczęść!“
Będzie chleb, światło i Polski cześć.

M. Nadwiślak.

Żyrafa.

Gdyśmy Wam opisywali słonia, lwa i nosorożca, pomyśleliście zapewne sobie, że to już największe zwierzęta, jakie ziemia nasza nosi. Wielkie są one wprawdzie, a może nawet ze zwierząt czworonożnych największe, nie są one jednak zwierzętami najwyższemi. Istnieje jeszcze jedno zwierzę wysokie i to wysokie nadzwyczaj, które również w krajach mieszka, w których żyją lwy i słonie, t. j. w Afryce, a tem właśnie zwierzęciem jest żyrafa, której to rysunek macie właśnie przed sobą.

Żyrafa należy do tej samej rodziny zwierząt, do której i owca i nasz jeleń należy, ma bowiem podobne racice i głowę do głowy jelenia zbliżoną. Lecz na pierwszy rzut oka można już poznać, że to przecież ani nasza wełnista owieczka, ani nasz szybkonogi jeleń. Nogi żyrafy bowiem są bardzo wysokie niby szczudła a przednie znacznie od tylnych wyższe. }Tułów jej po winienby stosunkowo do tych nóg długich być dość długi

i tęgi, ale - gdzietam, cały jest dość szczupły i na trzy łokci długi. Zato to, czego nie dostaje tułowiu żyrafy, dostało się jej szyi, która ma cztery łokci długości. Na tej to długiej a cieńkiej szyjce spoczywa kształtna i do jeleniej podobna głowa. Ale i tej dostało się dziwactwo — uszy jej takie, jakie osioł posiada, a rożki to już nie wiedzieć na co. Są to rożki małe jak palce ludzkie, a czasami jest ich nawet trzy na małej głowie żyrafy, co właśnie jest rzeczą najdziwniejszą. Jeżli od końców tych rożków do racic żyrafy zmierzymy, to otrzymamy jej wysokość, która nas dopiero w słuszną podziwę wprawić może, poznamy bowiem, że żyrafa ma nieposlednią wysokość ośmiu do dziesięciu łokci.

Jak tak kto czyta opisanie tego zwierzęcia, łatwo sobie pomyśleć może „Tożto szkarada! tożto dziwoląg!“ Jednak przecie tak nie jest. Mimo długich nóg i długiej szyi nie zbywa przecież temu zwierzęciu na przymiotach, które je dosyć pięknem czynią. Te długie nogi oto i ta szyja sprawiają bowiem, że żyrafa się nam przedstawia jako zwierzę zgrabne i rącze. Dodajmy jeszcze do tego, że jest pokrytą pięknem futerkiem, a nabierzemy innego wyobrażenia o niej. Skórę jej pokrywają włosy krótkie, gładkie a przylegające barwy zółtawo - szarej. Prócz tego ma to futerko brunatne cętki, a raczej płatki, które je do skóry tygrysiej czynią podobnem. Dlategoteż myśliwi nie oszczędzają biednej żyrafy, lecz urządzają na nią obławy i zabijają ją, by pięknie ręką boską malowane skórki za drogie pieniądze sprzedawać. Dziwnie to patrzyć, jak taka żyrafa umyka, by ujść kuli myśliwca. Chód jej bowiem jest jej szczególny i żyrafa różni się nim od wszelkich innych zwierząt. W pędzie bowiem stawia obie prawe potem obie lewe nogi razem, tak, iż się ustawicznie kołysze a mianowicie szyją chyla się to na tę, to na tamtą stronę i dodaje całemu ciału równowagi.

Wreszcie wypada jeszcze o jej pożywieniu powiedzieć. Jak zaraz z opisania jej i budowy jej ciała poznać można, nie może być ona zwierzęciem drapieżnem, żywi się zatem reślinami. Ponieważ zaś po trawę trudnoby jej sięgać było, przeto

ogryza liście drzew, których dla wysokości ciała nie trudno jej dostać.



Żyrafa.

Jeżli zaś się kładnie na spoczynek, albo jest zmuszoną trawy pożywać, to musi uklęknąć.

Tem kończymy opisywać Wam czworonożne zwierzęta ciekawsze z innych części świata, i obiecujemy Wam dawać w następnych numerach opisy i rysunki niektórych ptaków szczególniejszych z owych gorących krajów. —

Na podwórzu u Wawrzyńca.

Wawrzyniec dobrym był gospodarzem, to też w całej okolicy wielki miał rozgłos. Ludzie przychodzili do niego po radę, bo on też był kilka lat za granicą, a osiedliwszy się na własnej ziemi, czytał książki i gazety, jak to robią włościanie w innych krajach, więc też wiele miał wiadomości.

Razu jednego stał sobie na podwórzu i rozglądał się do około. Wtem nadchodzi do niego Szczepan Wąsik i pochwaliwszy Boga, tak się odzywa:

— Nadczemże tak dumacie, miły kumie?

— Ot nadczem dumam? — odpowie Wawrzyniec — Nad mojemi stajniami i oborami, gdzie przebywają moje konie i bydełko. Od stajen i obór zależy zdrowie i zalety zwierząt.

— Ale co wy też mówicie? — odparł Szczepan.

— Nie inaczej, mój kumie! rzeknie Wawrzyniec.

Na to powie zaraz Szczepan:

— A to pewnie dla tego moje bydło takie liche, że mam niedogodne stajnie?...

— Pewnie, że dla tego — odpowie Wawrzyniec — bo jak człowiekowi na zdrowiu szkodzi mieszkać w złym domu, tak i bydlęciu dzieje się w złej stajni. Czytałem ja nie dawno właśnie przydatną wiadomość o stajniach i oborach, owo i opowiem wam wszystko jak zrozumiałem.

Gdy człowiek chce mieć dobre zdrowie, powinien ciało utrzymywać w czystości, rzeczy mieć w porządku; w domu powinien zaprowadzić schludność, przewietrzać izby, bo:

Nieczystość i nieochędóstwo
Rodzi w ciele chorób mnóstwo.

Tak samo ma się rzecz i ze zdrowiem zwierząt. Nie powinne one doznawać zaniedbania, ale powinne być utrzymywane w czystości, inaczej będą wyglądały licho i posługa z nich niewielka.

Niech tam zdrowia nikt nie żąda,
Kędy stajnia źle wygląda;
A gdzie czysty każdy kątek —
Będzie zdrowie u zwierzątek.

W mieszkaniu przebywa człowiek najwięcej, bydło zaś w stajni. W jednem i drugiem miejscu powinna być koniecznie czystość, bo plugastwo tak ludziom jak i zwierzętom szkodzi niezawodnie.

— A jak też powinna wyglądać dobra stajnia? — zapytał Szczepan Wąsik.

— Stajnia mojem zdaniem — mówił Wawrzyniec — powinna być obszerna, nie zbyt ciasna, aby zwierzęta mogły wygodnie stać obok siebie. Tak człowiek jak i zwierzę potrzebuje ruchu, a w ciasnej stajni robić tego nie może. Trzeba atoli uniknąć przesady, żeby w zimie nie było zimna.

Gospodarz ma korzyść niezawodną,
Gdy ma stajnię obszerną, wygodną;
Bydło niszczy z winy własnej,
Gdy je trzyma w stajni ciasnej.

Dogodne mieszkanie nazywa się takie, które jest dosyć wysokie i łatwo je przewietrzać można. I stajnie powinny być w ten sposób urządzone. W okienkach należy mieć umyślne do tego otwory, żeby niemi wpuszczać świeże powietrze, które na zdrowie zwierząt pomyślnie oddziaływa.

Zdrowie u tych w lepszym stanie,
Którzy wietrzą swe mieszkanie —
Toż u zwierząt w każdym względzie,
Gdy się stajnie wietrzyć będzie.

Gdy człowiek znajduje się w ciemnej piwnicy lub więzieniu, toż będzie blady i nędzny. Roślina, której brakuje światła, będzie wątłą i łatwo może uschnąć. I zwierzętom szkodzi brak światła. Dla tego stajnia powinna być jasną, mieć okienka, ale tak urządzone, by je można na zimę szczelnie zamykać i tak zasłaniać, by w stajni wygodnie utrzymywać

zwierzęta, na tuczenie przeznaczone. W każdej stajni powinny być dobre ścieki, kamieniami wyłożone i klapami lub śluzami opatrzone.

Kędy jasno i przestrono,
Tam najlepiej mieszkać pono,
Więc gospodarz, gospodyni
Niech i w stajni tak uczyni.

Jak w chacie nie można znosić śmieci i nieporządku, tak i w stajni nie trzymać długo gnoju, ale wynosić go w stosowne miejsce. Aby zapobiedz nieprzyjemnemu zapachowi w stajni, najlepszy na to sposób posypywać codziennie rano pościółkę pod bydłem utłuczonym gipsem, przez co wyśmienity wyrobi się nawóz.

Jak z śmieciami robisz w chacie,
Tak zrób z gnojem w stajni, bracie,

bo to rzecz konieczna, jeżeli chcesz mieć zdrowe bydło. A do tego nie trzeba wiele czasu, tylko trochę dobrej woli.

Kto jada z nieczystych naczyń, nie myje ich należycie po każdem jedzeniu, może łatwo zaszkodzić swojemu zdrowiu. I bydlętom szkodzi, gdy mają żłoby powalane, gnojem oblepione. Koryta i żłoby należy czyścić starannie, jeżeli karma z nich pożywana nie ma szkodzić bydlętom.

A więc bracie zrób tak sobie,
Byś miał czysto w każdym żłobie,
W każdej putni i korycie —
I na karmę i na picie...

A jeżliby kiedy, czego Boże zachowaj, zawitała do twej stajni zaraźliwa choroba, wyprowadź wszystko bydło i nie zapędzaj go do niej do tego czasu, dopóki zupełnie nie minie niebezpieczeństwo. Gdy zaraza ustanie, a chcesz do stajni wprowadzić bydełko, przewietrz ją wyśmienicie, nakadź octem; ściany oczyść i pobiel wapnem, a koryta albo zupełnie daj nowe, albo umyj je dobrze i wyparz kilka razy wodą.

— A to i ja choć w części — odrzekł Szczepan postąpię tak u siebie, bo widzę, że rada wasza jest rozumną i wytrawną.

Wawrzyniec zaprowadził potem Szczepana do swoich stajen i pokazał mu ich urządzenie.

Józef z Bochni

Pięć części ziemi.

Nieraz już pisaliśmy wam o różnych częściach ziemi, mówiliśmy o części ziemi nazwanej Azyą, Afryką, Ameryką i t. d. Dlatego dobrze może będzie, gdy wam pokrótce o tych częściach ziemi naszej napiszemy.

Ziemia nasza składa się z lądu stałego i z wody. Ląd stały dzieli się na 5 wielkich części ziemi, które się nazywają: Europa, Azya, Afryka, Ameryka i Australia. Ta, którą my zamieszkujemy, zowie się Europa. Położenie zaś tych drugich, wraz z otaczającemi je morzami poznacie z następujacego opisu. Miarkujcie sobie tylko dobrze, gdzie która część leży, abyście później — gdy przy opisywaniu jakiej osobliwości, o której z nich wspomniemy, zaraz umieli palcem tę stronę świata wskazać, gdzie ona leży i które ją od nas dzieli morze.

Tę stronę świata, gdzie w pogodny dzień widzimy słońce o 12 godzinie, zowiemy południe. Gdybyś poszedł w tym kierunku, przeszedłbyś wysokie góry Tatry, a w nich znalazłbyś dorodnych górali, co to te góry nad życie kochają, bo one są ich ojczyzną. Za Tatrami przeszedłbyś kraj Węgierski przez który płynie rzeka Dunaj. W stołecznem mieście Węgier Budzie, mógłbyś dla odmiany przejechać się po Dunaju aż do Belgradu, miasta położonego na samej granicy państwa Osmańskiego, czyli Tureckiego. Z tamtąd przez kraje Serbów i Albanów dostałbyś się na morze Środziemne, dzielące Europę od Afryki. Afryka więc leży od nas na południe za morzem Środziemnem. Jestto wielka część ziemi naszej, która jeszcze do niedawna stykała się z jeszcze większą częścią ziemi naszej Azyą, położoną od nas na wschód słońca, a oddzieloną od Europy niebotycznemi górami Uralskiemi. Dzisiaj jest Afryka oddzielona od Azyi kanałem Suezkim, który Francuzi wykopali, aby połączyć morze Środziemne z morzem Czerwonem, przez które jak wiecie przeprawiał się Mojżesz z niewoli Egipskiej do ziemi Obiecanej. Azya zowie się także kolebką rodzaju ludzkiego. Tam Pan Bóg Adama i Ewę osadził. Tam się ludzie rozmnożyli i z tamtąd do innych części ziemi naszej się dostali. Europa, Azya i Afryka, zowią się też starym światem, bo

one stykając się z sobą, najpierw zostały zaludnione, a zatem też najdawniej ludziom są znane.

Są jeszcze dwie wielkie części ziemi, z których jedna zowie się Ameryka, druga Australia. Aby się do Ameryki dostać, trzeba przebyć także wielkie morze, które od nas leży na zachód słońca i zowie się Atlantyk. Morze to jest bardzo wielkie, a droga po niem od nas do Ameryki wynosi około 1000 mil drogi. Ameryka więc leży od nas na zachód słońca za morzem Atlantyckiem i najdłużej jest rozciągniona od południa na północ.

Ameryka jest to owa część ziemi naszej, do której jakto już i wy wiecie, dużo ludzi, a bodaj w tych czasach najwięcej naszych rodaków wychodzi. Są to ludzie, którzy widać wcale swej ojczyzny nie kochają. Bo kto kocha swój kraj, ten go nie opuszcza i nie wynosi się do innego na mieszkanie, chyba na zwiedzenie, aby zobaczyć, co i inni mają dobrego u siebie.

Piąta i ostatnia wielka część ziemi naszej jest Australia. Najbliżej do niej byłoby ze wschodnio-południowego krańca Azyi, od której oddzielona jest Oceanem Indyjskim. Gdybyśmy od nas chcieli iść w prostym kierunku do Australii, musielibyśmy się udać w kierunku południowo-wschodnim. W drodze minęlibyśmy w Europie morze Czarne, w Azyi morze Kaspijskie. Przy ujściu rzek Eufratu i Tygru do zatoki Perskiej moglibyśmy wsiąść do okrętu a ten by nas zawiózł już wprost do Australii. Droga to daleka i przykra a i tak daleko ludzie się udają, a nawet i nasi rodacy w Australii się znajdują.

Rozmaitości.

— Zbieranie zboża na zasiew *dla gospodarzy francuzkich* zniszczonych najazdem pruskim, trwa nieustannie: wszystkie stany kraju naszego spieszą z pomocą dla braci w Chrystusie, by ulżyć ich nieszczęśliwej doli. Między innemi gromada wsi Sokolnik pode Lwowem, przesłała do komisji zajmującej się zbieraniem zboża, 17 korcy ziarna nasiennego, i dołączyła list następującej treści: „Gmina Sokolniki składa na korzyść Francuzów, braci naszych uciśnionych i uciemiężonych przemocą Niemców, 17 korcy zboża życząc tymże błogosławieństwa i pomocy niebios, by nie tylko ziarno od nas posłane stokrotny plon przy-

niosło, ale by dziś pokonani odzyskali dawną odwagę, dawne siły, by szarańczę niszczącą kraj tak piękny i żyzny, wygubić a przynajmniej za dziesiątą granicę jak najprędzej wypędzić zdołali. W imieniu gromady Sokolnik: Fr. Boczula, naczelnik gminy." — Dotąd wysłano już około 10.000 korcy rozmaitego zboża, w czem Zarządy koleji austryackich wielce były pomocnemi, bo prawie wszystko zboże bezpłatnie przewiozły.

Branka żydów. W pewnem miasteczku kongresowego królestwa wojskowa komisya prowadziła rekrutacyjny pobór. — Powołani rekruci stawiali się podług numerów domów, z porządku nastąpiła kolej na żydów. —

— Kapitan: — Dla czego tu nie widzę rekrutów żydowskich? —

Rabin: — Ny — bo ani jednego nie mamy. —

Kapitan: — Na tyle młodych żydziaków? — fałsz, nie ma ich? — jestto wybieg żydowski i nie więcej. —

Rabin: — Proszę mi wierzyć; zkąd się mają wziąść? same bachory i niedorostki, a my starzy niezdatni już na rekrutów, — a ja rabin wcale nie kłamię.

Kapitan: — Nie zasługujesz na wiarę; — burmistrza, radnych i ciebie do surowej pociągnę odpowiedzialności. —

Rabin: — Ny — byliby może i wszyscy — ale przez zapominek nie pisano tych, co na okopisku leżą. —

Kapitan: — Paszoł — won durak — ja nie mam nic do czynienia z umarłymi. —

W tej właśnie chwili zaszła denuncyacya — iż na okopisku jest pełno żydów — kapitan ruszył tamże — i zastał trzydziestu młodych żydziaków na grobowcach leżących, którzy się przed poborem schronili. Za ten wybieg żydzi opłacili się komisyi po sto rubli za jednego żydka.

W Tarnopolu niejaki Marcin Mazur obawiając się trzymać gotówkę w izbie schował uskładanych 150 zlr. w banknotach w skrzyni stojącej w stajni a napełnionej żytem. Krowa urwawszy się z uwięzi, odsunęła wieczko, zjadła sporą część żyta a z niem i banknoty. Po dwóch dniach atoli zdechła z obładowania, a poczciwy Mazur poniósł podwójną szkodę: 150 zlr. w gotówce i cielną krowę.

Złote ziarna.

Szanuj starszych i poważaj,
Słuchaj ich przestrogi;
Żadnem słówkiem nie obrażaj,
Bo to zwyczaj srogi.

Wspieraj bliźnich w ich potrzebie
Życz im jak i sobie
Oni kochać będą ciebie
Błogosławić tobie.

Bądź prawdziwym chrześcianem
Pełnij Bożą wolę,
Nie pogardzaj — twoim stanem
I uprawiaj rolę.

Dodatek polityczny

Francya. Smutno się dzieje we Francyi, a zatém i nam jako tym, którzyśmy Francuzów zawsze jako naszych braci kochali, wesoło być nie może. Jakaż zaś przyczyna jest tego smutnego położenia Francyi? — Jak już Wam dawniej donieśliśmy, nie chciał Paryż się pogodzić z warunkami pokoju, które zgromadzenie narodowe z Prusakami zawarło. Czyż trudno sobie wyobrazić, że serce każdego Francuza musiało się na to obruszyć, że ma z swego kraju wrogowi część oddać i oprócz tego majątek niemal całego kraju! Toć wiecie, co Prusaki od biednych Francuzów zażądały za haniebny pokój i co Francuzi im oddać i zapłacić się zobowiązali. Mamy nawet przekonanie, że w waszych wioskach i w waszych chatach niejedna łza gorącego współczucia wasze lica zrosiła, wszak to ludziom a co więcéj, naszym braciom takie klęski i rany zadano. Nie sądziliśmy jednak nigdy, iżby Francuzi mogli tak prędko o obecności niemieckiego kata zapomnąć. Lecz niestety! inaczej się stało. Zbłąkali się nasi bracia, zapomnieli o nieszczęściu swojego kraju i narodu, a co gorsza, skierowali broń, której mieli przeciw wrogom użyć, przeciw samym sobie. Paryż bowiem nie wahał się oburzenia swojego okazać czynem i jął się broni. Przeciw komu miała nowa zawrzeć walka i czyja krew się polać? Czy Paryżanie chcieli Prusaka wypędzić z kraju i odebrać mu te ziemie, które zbójecką ręką zagrabił? — Nie! — Ba-

gnety, lufy karabinów i miecze gwardyi paryskiej skierowały się przeciw bratnim Francuzom, albowiem przeciw wojskom zgromadzenia narodowego, czyli rządowym, za to że Rząd ów niestety! konieczny pokój z Prusakiem był zawarł. Dowództwo w Paryżu oddano niejakiemu Jarosławowi Dąbrowskiemu, który jako zdolny wojskowy, gwardyą paryską wprawdzie na zwycięstwa, lecz na krwawe zwycięstwa na braciach poprowadził. Dowództwo zaś wojsk rządowych objął jenerał Mac-Mahon który podczas wojny przez Prusaków w bitwie pod Sedan tj. tam gdzie cesarz Napoleon się poddał, został wzięty do niewoli. I znów wre krwawy bój na polach około Paryża, grzmią działa i pękają bomby, a krew ludzka leje się strumieniami, krew bratnia, która woła o pomstę do nieba.

Austrya. Przez przeciąg Świąt Wielkanocnych spoczywało, jak wszędzie, tak i u nas wszelkie polityczne życie i Rada państwa była zamknięta. Ale zaraz po Świętach zaczęto się we Wiedniu raźniej krzątać, a panowie ministrowie zajmowali się mianowicie życzeniami i żądaniami naszego kraju. Co tam uradzili, nie wiadomo, dość, że Najjaśniejszy Pan zamianował jednego z naszych posłów od Sejmu do Rady państwa tj. pana Kazimierza Grocholskiego właśnie także swoim ministrem. Należałoby się przeto spodziewać, że nasze życzenia niebawem zostaną zaspokojone, ponieważ p. Grocholski właśnie w Radzie państwa zawsze stawiał wniosek, by nam dano to, co nam jest potrzebne. Ale któż potrafi odgadnąć to, co się w Wiedniu i to między czterma ścianami dzieje? Któż poręczy, czy nie został p. Grocholski mianowany na to ministrem, ażebyśmy myśleli: „No, mamy naszego tam u góry, teraz już dostaniemy wszystko!“ a nam tymczasem tylko oczy zamydlą i pokażą figę? Wszystko jest zmienne, wczoraj był pan Potocki ministrem, dziś pan Grocholski a jutro może znowu kto inny, a my czekamy sobie cierpliwie. Lecz nie chcemy o niczem przesądzać dla tegoteż w następnych dopiero numerach Wam doniesiemy, co się stało, a co zaniechało.

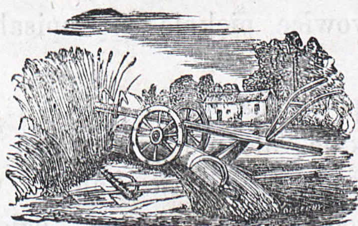
Redaktor odpowiedzialny Kazimierz Okaz. — Wydawca Stanisław Justian.
Z drukarni E. Winiarza we Lwowie.

Tom III. 21. Kwietnia 1871. Nr. 12.

Rok dwunasty.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Piękny przykład.

Dawno! już nie byłem w Śliwowicach. Aż dopiero przed miesiącem nadarzyła się mi sposobność, że przybyłem do tej pięknej wioski. Przypatrzyłem się ciekawie staremu kościołowi z dwiema wieżyczkami, ale miły staruszek nie zmienił się zupełnie. Te same lipy stare szumią koło niego, a na jednej z nich dotychczas widać bocianie gniazdo. Patrzę potem na wioskę i na te wielkie sady, po których nieraz chodziłem z nieboszczką ciotką. — Naraz wedle kościoła z drugiej strony zabielił mi się przed oczyma schludny domek. Myślę sobie tedy: ktoby w nim mógł mieszkać? Boć to i sztachety około niego i ogródek ze szczepkami i kilka ulów z boku; w domku okna duże, ganek na przodzie, a nad dachem kominy białe... Zbliżam się spiesznie i widzę nad drzwiami tablicę, na której wyczytałem te słowa:

Szkoła ludowa w Śliwowicach.

— A to pięknie! — myślę sobie — W takiej szkole! to już pewnikiem dzieci weselsze, duch swobodniejszy, tu zdrowo i wygodnie...

Poszedłem zaraz do mego krewniaka Adama Kadulskiego i przywitawszy się serdecznie z nim, jego żoną i dzieciakami,

zacząłem sią wypytywać o to i o owo, aż nareszcie tak po wiadam:

— A to Śliwowice pięknie się spisały, kiedy mają taką piękną szkołę!...

A Kadulski powie na to:

— Jużci pięknie, ale nie byłaby ona przyszła do takiego porządku, gdyby nie Stanisław Palec... On był dla szkoły największym dobrodziejem, a potem, dzięki Bogu, i gmina nasza...

— Jak to, Stanisław Palec? A to jakim sposobem -- zapytałem – kiedy to był gospodarz mizerny i nie wielebyś znalazł w jego worku...

— To prawda, że tak było — odrzekł Adam — ale ty widać nie wiesz, jak się to stało?...

— Pewnie, że nie wiem. Mówno prędzej! — zagadałem. A Kadulski tak mi prawi:

— Wiem dobrze, że Palec nie był majętnym, ale był uczciwym i pobożnym gospodarzem. Z nikim się nie zadzierał, owszem każdemu dopomógł podług możności. Przed siedmiu czy ośmiu laty, już tego nie pamiętam, miał on ciekawe zdarzenie. Wracając z miasta po jarmarku, napotkał na drodze leżącego starca, który miał złamaną nogę. Mróz był wielki. Ten i ów przejeżdżał koło biedaka; każdy spojrzał tylko, ale nikt się go nie zapytał, co mu się stało, nikt się nie ulitował by go wziąść do swojej chaty... Przystępuje tedy do niego litościwy Stanisław i zaraz pyta:

— A co się wam to stało biedny człowieku?...

Starzec nic na to nie odpowiedział. Jęczał boleśnie i oddychał z wysileniem.

— Dobrze, że jeszcze żyje! — westchnął Stanisław.

Po tych słowach zeskoczył z wozu parobek Stanisława i przybiegł się patrzeć na starego kalekę...

— Franku! — zawołał Stanisław — bierz ze mną nieszczęśliwego i włóżmy go na wózek. Dom już niedaleko; tam mu może poradzimy!..

I wziął go natychmiast z parobkiem, a włożywszy nań swój kożuch, kazał szybko jechać do domu.

Wszystkie jednak starania i zabiegi Stanisława nic nie pomogły. Chory tak był osłabiony, że w żaden sposób nie mógł mówić Zaledwie ręką zdołał ruszyć pokazując nogę i piersi.

Stanisław posłał zaraz po księdza, by go zaopatrzył. Ksiądz przyszedł, ale starzec leżał już bez przytomności. Pomazał go tylko olejem świętym i wyszedł. W półgodziny może potem, kalcka wyzionął ducha. Idzie tedy Stanisław do wójta i opowiada mu całe zdarzenie.

Wnet przyszedł wójt z przysiężnymi i opatrują umarłego. Szukają po kieszeniach i znajdują papiery.

Wójt rozwiązuje paczkę i dowiadują się, że nieboszczyk był niegdyś czeladnikiem profesyi szewskiej, potem służył w wojsku lat dwadzieścia, a zostawszy kaleką, żył z łaski dobrych ludzi.

— A to trzeba mu będzie sprawić pogrzeb! — przemówił jeden przysiężny.

W tem wójt przeglądając inne papiery, znalazł arkusz, na którym u wierzchu był napis: testament. Czyta więc czemprędzej, a stały tam te słowa:

„Przed rokiem mogłem jeszcze pisać; owoż przeczuwając blizką śmierć moją, objawiam piśmiennie mą ostatnią wolę. Mam krwawo zapracowanych i oszczędzonych pieniędzy dwa tysięcy reńskich. Nie chcąc ich spotrzebować dla siebie, ofiaruję wszystkie temu poczciwemu gospodarzowi, który mię chętnie przyjmie w swojej chacie lub u którego zakończę moje życie. Pieniądze może sobie wziąć bez obawy, bo nie mam już krewnych ani dawniejszych przyjaciół moich. Uczynek miłosierny mnie wyświadczony, wynagradzam tem, co posiadam...

Miednica 24. września 1861.

Podpisem stwierdzam:

Antoni Mieciuch.“

Biedny Stanisław Palec osłupiał po przeczytaniu tego pisma.

— Dobrze, że was Bóg obdarzył tym sposobem — powiedział wójt — boście sobie zasłużyli za wasze poczciwe serce!...

*

— Ale gdzież te pieniądze? — zapytała żona Stanisława.

Szuka wójt z przysiężnymi po wszystkich kieszeniach, odrywa przyszyte łaty, ale ani grosza znaleźć nie może.

— Pewnie ma te pieniędze na piersiach — przemówił jakby ze snu ocucony Stanisław — bo przed zgonem wskazywał na nogę, bo go bolała, i na piersi, lecz nie wiedzieliśmy dla czego?...

I obnaża wójt piersi umarłemu i rzeczywiście znajduje w woreczku dość szerokim pieniądze papierowe i dukaty złote.

Przerachowano; były wszystkie.

— Macie tu waszą nagrodę, dobry Stanisławie! — powiedział wójt i wręczył mu woreczek z wszystkiemi pieniądzmi.

— Co się wtenczas działo w chacie ucieszonego Stanisława — mówił do mnie Kadulski — można się łatwo domyśleć!...

— A cóż się potem stało? — zapytałem Kadulskiego.

— Stanisław sprawił umarłemu piękny pogrzeb, a w rok potem postawił mu nadgrobek. Nieboszczyk spoczywa sobie w Bogu, a w wiosce naszej, gdzie ukończył życie, pozostała po nim piękna pamiątka...

— Jak to rozumiesz? zapytałem,

Na to rzekł Kadulski:

— Stanisław zaraz po pogrzebie zaprosił do swej chaty księdza proboszcza, wójta i przysiężnych i tak do nich powiedział:

— Niespodziewanym sposobem opatrzył mię Pan najwyższy za co niech mu będzie cześć i chwała! Nie mógłbym jednak tego strawić, bym w tak szczęśliwej chwili nie zostawił pamiątki w rodzinnej wiosce po sobie i nieznajomym mi nieboszczyku. Wiem dobrze, że gmina łamie sobie właśnie głowę, zkąd weźmie pieniędzy na odbudowanie walącej się szkoły, bo te pieniądze które posiada, nie wystarczają na opędzenie wszystkich potrzeb. Otóż z mej strony ofiaruję z pieniędzy, jakby z nieba zesłanych, 500 złr. na odbudowanie szkoły, by się szerzyła przez młode pokolenie chwała boża i dobroczynne światło...

— Ślicznie, ślicznie, mój Stanisławie! — przemówił ksiądz proboszcz — Piękniej nie mogliście sobie postąpić! A to mi rozum! Bóg wam stokrotnie zapłać! — zawołali obecni radni.

I tak widzisz, mój Józefie! — opowiadał Kadulski, — Palec stał się dobroczyńcą naszej szkoły; on ją doprowadził do takiego stanu. Piękny przykład zjednał także innych dobroczyńców. Gmina dała, co mogła; pan dziedzic przysłał kamieni na fundamenta i drzewa z lasu, obowiązał się dawać dodatek roczny do płacy nauczyciela; ksiądz proboszcz sprawił kilka obrazów i rozmaite przyrządy do nauki, a pani dziedziczka założyła niedawno przy szkółce biblijoteczkę, kupuje książki i różne gazety, sama chodzi często do szkółki, i rozdaje pilnym dziewczętom rozmaite rzeczy i cieszy się bardzo, że kiedyś z nich będą dobre matki i gospodynie Nauczyciel jest bardzo dobrym człowiekiem; szanujemy go wszyscy i za uczciwą jego pracę płacimy mu rzetelnie, żeby nie miał krzywdy. O pieniądze nie potrzebuje się prosić, bo my wiemy dobrze, że kto pracuje, temu należy się zapłata. A jakżeby też to było żeby za tyle kłopotów i mozołów z dziećmi, musiał się jeszcze trapić o swoją płacę?... Tego u nas niema. On też za to ma wielką ochotę do pracy, pilnuje dzieci, uczy ich pszczelnictwa, sadownictwa, a nawet i jedwabnictwa, dla tego też jakoś czujemy, że mamy między sobą takiego dobrodzieja. Jakie wychowa pokolenie, taka będzie przyszłość nasza... On się poświęca, godzien więc wielkiej od nas wdzięczności. I wszyscy się cieszymy, że mamy szkołę, a do tego taką piękną szkołę.

— A to uczciwie sobie postępujecie — powiem do Kadulskiego — widać, że tu ludzie mają głowy na karku nie od parady, bo pojmują swoje obowiązki względem swoich dzieci i kraju rodzinnego. Wiadomość ta cieszy mię nadzwyczajnie, to też daję słowo, że gdy tylko powrócę do domu, zaraz napiszę do Dzwonka, żeby inni ludzie także wiedzieli jacy to są ojcowie w Śliwowicach...

Kadulskiemu stanęła w oku łza radości.

— A widzisz, mój kochany, jak to cieszy każdego człowieka, gdy się przekona, że dobrze robi... Raduje się Bóg w niebie, cieszą się ludzie, uznają pracę i drugim jeszcze stawią za przykład... A poczciwy Palec czy żyje jeszcze?

— Umarł biedaczysko prawie rok temu — odrzekł Kadulski — a od śmierci jego gospodaruje syn jego Wawrzyniec.

Ale jak gospodaruje, to przechodzi wszelkie spodziewanie. To mi dopiero gospodarz nie lada!

I poszliśmy wnet do Wawrzyńca Palca, przyjrzeliśmy się jego gospodarstwu, oglądnęliśmy więc całą, która tak mię zajęła porządkiem, poczciwością jej mieszkańców, że z prawdziwym smutkiem odjeżdżałem w moje strony.

Niechże wam więc, moi kochani, Śliwowice często będą na myśli, iżbyście z nich brali przykład, jak macie postępować, by sobie zjednać uznanie dobrych ludzi i błogosławieństwo boże, czego wam życzę z całej duszy.

A zaś z Stanisława Palca bierzcie sobie wzór, jak macie wypełniać uczynki miłosierne wedle nakazu wiary naszej, chociażby was nie spotkała nagroda tutaj na ziemi, to najpewniejsza czeka was w niebie. *Józef z Bochni.*

Pieśń ubogiej dziewczynki.

W słomą krytej, nizkiej chatce
Przy ubogiej mieszkam matce;
Chodźcie do nas, zobaczycie:
Jakie to tu nasze życie.

Kołowrotek się obraca,
Ubóstwo nam słodzi praca,
A szczęśliwi i weseli
Pracujemy do Niedzieli.

A w Niedzielę u matulki
Bieluchne jak śnieg koszulki,
Postroi nas jak laleczki —
Ach! dobrzeż nam u mateczki!

Błyśnie ranek — dzwonek woła —
Więc idziemy do kościoła,
Usta wdzięczne, a nieśmiałe
Wyspiewują Bogu chwałę.

Obiadek lepszy w Niedzielę,
Zjemy smacznie, choć niewiele:
Dobrze o tem pamiętamy,
Że od Boga wszystko mamy.

Dzień nam za dniem słodko płynie,
Jak Niedziela — życie minie —
Minie szybko, niespodzianie.
Dobroć Boska pozostanie.

Struś.

Jak już wiecie z opisania wielbłąda, żyją na owych piasczystych pustyniach w Afryce, które Saharą nazywają, bardzo nieliczne zwierzęta, gdyż wszystko co oddycha i żyje, potrzebuje wody i cieni, których to właśnie rzeczy ta ogromna puszcza Sahara nie posiada. Wszędzie tylko piaski na ziemi; w powietrzu rzadko kiedy chyba sęp polata, a nad tą smutną białą krainą błyszczy gorące i skwarne słońce.

Jakżeby tu stworzenie istnieć mogło bez napoju i zielonej trawki? — A przecież nie chciał Wszechmocny, by i krainy, które ludzie zowią pustyniami, były rzeczywiście pustyniami ogołoconemi z wszelkich mieszkańców. Dlatego też dał i tym piaskom mieszkańców i stworzył na nich zwierzęta, które dłuższy czas bez napoju wytrzymać, a żywność i w piaskach znaleźć mogą. Z tych to zwierząt poznaliście już jedno, t. j. wielbłąda, lecz prócz niego żyje tam jeszcze hyena, szakal, a z ptaków struś. Otóż właśnie strusia chcemy Wam teraz opisać, zwłaszcza, żeśmy Wam przyrzekli w ostatnim numerze pisywać o nieznanych u was ptakach.

Struś jest to ptak największy z wszystkich, gdyż dochodzi wysokości trzech do czterech łokci, jest to zatem wysokość nielada. Mianowicie struś żyjący na Saharze w Afryce i na arabskich puszczach w Azyi jest tym królem, wielkością potężnym, całego ptasiego rodu. Prócz tego rodzaju strusi istnieją jeszcze inne strusie w południowej Ameryce, lecz te są znacznie mniejsze, gdyż tylko na trzy lub cztery stopy wysokie. Długie a grube nogi tego dziwnego, jak widzicie z rysunku, ptaka, mają po dwa palce mięsiste i są szczególnie do szybkiego biegu usposobione. Na nich spoczywa tułów z małemi skrzydełkami, które, jak się dorozumieć już można,

tego ciężkiego ptaka w powietrzu unieść by nie zdołały. I rzeczywiście struś chociaż jest ptakiem, latać nie umie, a nawet nie może i jedynie biegiem, ale biegiem bardzo szybkim przed prześladowcą się ratuje. Z tułowiu wychodzi długa szyja, która jest zakończona niewielką głową.



Struś.

Nogi są pokryte tak jak u naszych kur kościanemi łuskami, a są bardzo tęgie i sprężyste.

Właśnie ciało strusie, czyli tułów, jest pokryte piórkami miękkiemi barwy szarej i tylko skrzydła i ogon są opatrzone w wielkie, puszyste pióra śnieżnej białości niekiedy o czarnych końcach. Te to właśnie pióra są ozdobą tego ptaka, a nietylko ptaka, lecz także i człowieka, który na strusie poluje, ogołaca ich z tych pięknych piór i zdobi niemi kobiece stroiki i kapelusze. Lecz tylko też tułów jest tak pięknie przystrojony, szyja bowiem jest brzydka, a nawet obrzydliwa. Skóra na niej chropawa, brodawek wiele, a rzadka szczeć przecież nie doda piękności tej brzydocie. Tak też i ta głowa mała nosi uczciwą łysinę i li gdzie niegdzie po kilka grubych włosków. Dziób wreszcie podobny jest do dzióba gęsiego.

Struś nie jest to ptak drapieżny, lecz żywi się jedynie roślinami, t. j. trawą, zbożem i owocami. Żołądek jego trawi ogromnie wiele, a trawi tak dobrze, że używamy nawet przysłowia: „Ma strusi żołądek" o człowieku, który rozmaite potrawy i to w wielkiej ilości w sobie pomieścić jest w stanie. Przysłowie to znajdzie też i usprawiedliwienie, jeżli zważymy, że struś, aby przetrzeć strawę w żołądku nawet kamyki i kawałki ołowiu lub żelaza bez szkody połyka. A o trawieniu tego żołądka możemy dopiero otrzymać należyte wyobrażenie, jeżli przeczytamy, co pewien Niemiec pisze o strusiu, którego w głównem mieście Prus t. j. w Berlinie w królewskim ogrodzie chowano. Otóż gość jeden, który ten ogród zwiedzał, opuścił przypadkowo nową srebrną monetę pięciogroszową. Struś dostał na nią apetyt i wkrótce monetę podjął z ziemi i połknął. Pieniądz ten jednak stał się przyczyną jego śmierci. U monety bowiem zwłaszcza nowej są krawędzie dość ostre i te też poraniły gardło łakomemu strusiowi. Ptaszysko zesmutniało, opuściło głowę i zginęło. Szkoda jednak było tak pięknego ptaka zakopać lub wyrzucić, postanowiono przeto go wypchać. Rozcięto go więc, a w brzuchu znaleziono krągły kawałek srebra, ale tak starty, że nie było można poznać wybicia na nim. Była to właśnie ta przed kilkunastu godzinami jeszcze nowa moneta.

Dla pięknych piór, które struś w skrzydłach i ogonie posiada, urządzają mieszkańce tameczni polowania na strusie.

Odbywa się zaś takie polowanie bez psów i bez strzelb, lecz w sposób zupełnie od zwykłego polowania odmienny. Myśliwi bowiem dosiadają szybkich i zręcznych koni, a za broń na strusie używają długich sznurów, do których są uwiązane kule ołowiane albo kamienne. Gdy zoczą stado strusi, pędzą za niem i rzucają na ofiarę wybraną owe sznury, które się natychmiast w około szyi lub nóg okręcają. Lekkie uderzenie laską drewnianą po głowie złowionego ptaka wystarcza by go ubić. Wtedy zdejmują skórę ze strusia a mięso zostawiają na pustyni, ponieważ im jako potrawa nie smakuje. Pióra zaś stanowią dla nich zarobek. Również i jaja strusie są przydatne, które stosunkowo do tak wielkiego ptaka dochodzą wielkości głowy dwuletniego dziecka. Z jaj tych przyrządzają smaczne potrawy, a i skorup nie odrzucają; skorupy bowiem są bardzo twarde, a trwalsze nawet od naszych talerzy i dają się używać za czarki i miski.

W ostatnich czasach zrobiono spostrzeżenie, że struś łatwo daje się ułaskawić. Możemy się zatem spodziewać, iż z czasem ustaną te dzikie polowania, i że ludzie tameczni urządzą hodowle strusi, zwłaszcza że można ich podskubywać tak, jak u nas gęsi, bez szkody dla zwierzęcia A i jaj będzie można mieć więcej, ile że samica na jajach siedzieć nie potrzebuje, ponieważ skwar słoneczny i piasek wystarcza do tworzenia się młodych w jajach. W przeciwnym razie, tj. gdyby samica siedziała na jajach, nie byłoby bezpiecznie do jej gniazda przystąpić, bo struś ma taką siłę w tych małych skrzydłach, że za jednem uderzeniem kość złamać może.

Kościół na Łysej Górze.

Wieś Zawoda leży sobie około wielkiego lasu nad małą rzeczką, i nie jest wsią lada jaką, bo już z wejrzenia ma wielkie podobieństwo do miasteczka. Domki w niej są schludne, jakby w jakiej kolonii niemieckiej; sady obszerne i pola dobre, kościół okazały, a i szkoła jakby dworek jaki. Gospodarze prawie wszyscy umieją tu czytać i mają wielką cieka-

wość wiedzieć o tem, co się to znajduje i dzieje na szerokim świecie? To też co święto i niedziela po nieszporach, zamiast pójść do karczmy i marnować tam zdrowie i pieniądze, schodzą się do owej szkoły i słuchają rozmaitych opowiadań, albo sami czytają z szkolnej biblioteczki książki i wychodzące gazety. Takiemi schadzkami zajmuje się najwięcej stary Marcin Pieńkosz, żołnierz z 1831 roku.

Był ci on nie w jednym kącie naszej ziemi polskiej, toć też wiele rzeczy wie na pamięć, gdy przyjdzie o czem opowiedzieć. A płynie mu to tak gładko i potoczyście, jak każdemu chudzinie pacierz, który powtarza prawie od kolebki.

Jednej niedzieli przyniósł do szkoły Walek Koćma malowany obrazek i pokazał go Marcinowi.

Marcin wziął go do ręki, popatrzył i przeczytał podpis:

Kościół świętego krzyża na Łysej Górze.

— Czy też to przypadkiem nie na tej górze — pytał Walek — gdzie to czarownice wyprawiają tańce?

— Na tej właśnie, na tej, mój kochany! – odrzekł Marcin.

— A czy też to prawda, mój Marcinie — wtrącił Paweł Dudek — że czarownice istnieją na świecie i że ich dawnemi czasy tak wiele było między ludźmi?

Na to powiedział Marcin:

— O tem bają sobie nierozsądni ludzie, którzy nie mają nauki i nie wierzą temu, czego ich naucza kościół. Czarownic nie ma na świecie, a przecież i dzisiaj jeszcze wierzą niektórzy, że one czarują mleko, trawy i zioła, a to są grzeszne baśnie. I mówią sobie, że czarownice doją krowy i zanoszą mleko sąsiadom. To taka prawda, jak i to, że czarownica wbija kołek w chlewie i cebrami doi z niego mleko..

— No, ale dawniej były czarownice — zawołał ktoś ze słuchaczów.

— Moi kochani! — rzekł Marcin — dawniej inne były czasy; oświaty nie było takiej, jak dzisiaj, toć też ludzie mieli więcej skłonności do zabobonów i tysiącznych tajemnic, bo nie umiejąc sobie wytłómaczyć tego i owego, przypisywali zaraz każde zjawisko, każdą sprawę czartom lub czarownicom. I łatwym sposobem niejednego człowieka utrzymywali za czarnoksiężnika

lub czarownika i tysiące wymyślali sobie czarów i zabobonów, których dzisiaj, dzięki naukom i oświacie, coraz mniej jest między ludźmi. Rzecz ta tak się ma. Niegdyś pierwsi Słowianie, nie wiedzieli nic o Bogu, nie znali oświaty, a przecież chcieli komuś cześć oddawać, składać ofiary, to też powymyślali sobie różnych bożków i do nich się modlili. Lubili słońce i księżyc, bo one udzielają nam światła, bez którego nie miłe byłoby życie nasze. Jak inne starożytne narody, tak i przodkowie nasi, pogańscy wówczas Słowianie, uważali góry za szczególne miejsca, z których bóstwa najmilej przyjmowały cześć od ludzi. Dla tego stawiali na górach ołtarze i świątynie dla bożków, spełniali w tychże krwawe ofiary i palili ognie. Czcząc słońce i księżyc, uważali, że góry są najwspanialszem mieszkaniem bogów, bo najpierwej rumienią się od promieni wschodzącego słońca i najdłużej odbijają miłe jego światło przy zachodzie. Z tego też powodu nazywali Słowianie góry takie świetlnemi, jasnemi, albo łysemi. Mieli oni bóstwo wojownicze zwane Światowid, czyli słońce. To bóstwo czcili na górach w miesiącu Czerwcu ogniami czyli tak zwanemi sobótkami. Później zamieniły się one na zebrania w czasie Zielonych Świątek. Były to głośne zabawy przy ogniu, pełne rozpusty a nawet i zbrodni. Zniesiono je, jak piszą w książkach około 1468 roku, chociaż zwyczaj palenia ogni czyli sobótek dochował się do naszych czasów.

Pomiędzy tak zwanemi łysemi górami, których jest dosyć w polskiej krainie, Łysiec czyli Łysia Góra, także Świętokrzyzką zwana, leżąca w ziemi radomskiej, w powiecie opoczyńskim, najpierwsze trzyma miejsce. Jeszcze za pogańskich czasów stała na niej świątynia trzech bałwanów, a była ona najsłynniejszę u pogańskich Słowian. Co roku pierwszego maja schodzili się do niej ludzie na modły i składanie ofiar. Był to podobny zwyczaj jak i w Niemczech, gdzie dnia tego na łysych górach wyprawiano czarodziejskie uczty i zabawy, jak to u nas bywało za pogańskich czasów na uczczenie rozpoczynającej się wiosny.

Łysa Góra była więc świętem miejscem dla praojców naszych Słowian. Świątynia na niej była poświęcona Po-

świstowi, bożkowi wiatrów, Ładzie, bogini piękności, i Łagodzie, bogini ciszy i powietrza przyjemnego. Tutaj chowano popioły umarłych, bo w nie bardzo dawnych czasach znachodzono tutaj popielnice czyli urny.

— A jak to chowano owe popioły? — zapytał Walek Koćma.

— Oto widzicie — prawił Marcin — robiono stosy z drzewa, na nie kładziono ciała nieboszczyków i stosy te podpalano. Myśli sobie niejeden, a jakże wtedy mogli zebrać popioły z zwłok spalonych? Do tego używano takiego sposobu. Robiono płachty z kamienia zwanego asbestem, który na włókna dzielić się daje, temi płachtami obwijano ciała, i chociaż ogień spalił ciało, przecież płachty wcale nie uszkodził. Z niej zbierano popioły i składano w urny, a te chowano w ziemi lub świątyni.

Na Łysej górze odbywali Słowianie swoje wiece, to jest radne schadzki czyli sejmy. Lud jednak zapomniał później o tem wszystkiem i wierzył tylko, że na tej górze gromadzą się z całej Polski czarownice i widma, i tutaj urządzają sobie czarodziejskie biesiady, na których bywało tak zwane Bobo, bożyszcze w postaci capa lub kota czarnego, i cała czereda biesów. Piszą uczeni, że lud może dla tego tak twierdzi, bo na tej niedostępnej górze, otoczonej niegdyś kilkumilową puszczą, najdłużej ukrywało się bałwochwalstwo ze swoimi kapłanami i ucztami.

Dziwne to rzeczy bajano o tych czarownicach. Miały one używać trupich kości, trumien, popiołów, fartuchów po figurach zabobonnie rozwieszanych, mózgów kocich, futer z czarnych kotów, postronków i tym podobnych wymysłów. Ale najciekawszą była wyprawa na Łysią Górę. Miało się to dziać każdego czwartku po nowiu księżyca, a szczególnie w wigiliją św. Jana. Wtedy siadały baby na kozły, ożogi, miotły albo na niecki lub łopaty i nasmarowawszy się tłustością przed chrztem uduszonych dzieci — puszczały się w powietrzną drogę i w mgnieniu oka stawały na miejscu.

— Ależ wy żartujecie, kochany Marcinie! — przerwał Paweł Dudek.

— Widzisz — odparł Marcin — ty mając lepsze pojęcie, sam to uważasz za żarty, a dawniejsi ludzie utrzymywali to za prawdę. Mówili sami, że prawdziwej czarownicy poznać nie można, ale wierzyli, iż gdy zrobią jakieś tam dziwaczne praktyki, obaczą w kościele na jutrzni czarownice, które się im inaczej przedstawią niż zwyczajnym ludziom. Będą przewrotnie siedziały, na głowach będą miały garnki, maselniczki, rynki, konewki i kotły zamiast zwykłego ubrania głowy. Za lada błachą skargą, już czarownicę uznawano za winną i musiała srogie przechodzić katusze. Pławiono ją w stawie, a potem torturami dręczono o przyznanie się do winy. Był to obłęd rozumu; jednakże nie było u nas okrucieństw tak wielkich, jak w innych krajach. Tam mordowano naraz po kilkadziesiąt mniemanych czarownic, bo lada mały pozór wystarczał do tego.

— A kiedy też powstał kościół katolicki na Łysej Górze? — zapytał Sobek Starchoń.

— Słyszeliście już zapewnie — mówił Marcin — że Mieczysław I. zaprowadził chrześcijaństwo w Polsce, a rozkrzewił je dzielny monarcha Bolesław Chrobry. On to miał wznieść na Łysej Górze kościół, jeden z najsławniejszych w Polsce, przy którym osadził Benedyktynów z Włoch sprowadzonych. Wielki to był król ten Bolesław Chrobry. Słynie z bitew, ale i z gorliwości pod względem wiary. Łamiącym posty, kazał wyrywać zęby; przestępnikom niedzieli odcinać głowy. Były to trochę za surowe środki, ale wtenczas tak pojmowano rzeczy. Bolesław zakładał szkoły, stawiał klasztory i kościoły, bo w nich tylko podczas srogich wojen przechowywała się oświata. A Benedyktyni słynęli z nauki, to też opatrzył ich klasztor na Łysej Górze bardzo bogatem opactwem. Bogactwa były tam wielkie, dlatego też ściągały licznych najezdników, którzy klasztór do szczętu niszczyli. (D. n.)

Dodatek polityczny.

Francya. Powiedzieliśmy już w przeszłym numerze, że powiódł Dąbrowski wojska paryskie do bratobójczej walki.

Pierwszym jego krokom towarzyszyło szczęście, gdyż zdołał wojska rządowe aż z dwu miejsc wyprzeć. Krew polała się strumieniami, krew bratnia, a zwycięztwa niesprawiedliwej strony zdają się być jedynie tem większą karą boską. Rząd bowiem francuzki, który przecież wyszedł z woli wszystkich obywateli, a zatem jest sprawiedliwy, nie mógł patrzeć obojętnie na zwycięstwa tych, którzy wszczynają nieporządki, by je dla siebie wyzyskać. Był zatem zmuszony jąć się ostrych środków, jął się broni i wystąpił przeciw Paryżowi. Walka przeto nie ustała, bój krwawy trwa dalej, sprawiedliwy Pan na niebie, żąda od ludzi, by swe winy krwią zmyli. Dlategoteż ustąpiło szczęście z wojsk paryskich; zwycięstwa znikły, a na ich miejsce przyszło zwątpienie i rozpacz. Powiadam rozpacz, gdyż wśród pękania bomb i jęków umierających panuje straszny głód, który znowu powstał w nieszczęśliwym Paryżu. Położenie tego miasta wcale więc zazdrości wzbudzić nie może, ojciec, syn, brat idą na wały by strzelać na braci i od nich otrzymać rany albo też i śmierć. A cóż mam mówić o żonach i dzieciach, o siostrach i matkach? Pozostają w ciągłym niepokoju o życie swoich, a przytem głód niedostatek, trapi ich wnętrzności. Te bomby, te granaty, te kule, które padają z bratniej ręki na wspaniały niegdyś Paryż, zdają się być owym deszczem ognistym, jaki zesłał Bóg na grzeszną Sodomę. Dwukrotnie wytrzymać musi to ogromne miasto wszelkie okropności wojny, już po raz drugi w krótkiem przeciągu czasu padają kule na dachy Paryża, obecnie tem boleśniejsze, ile że brat zabija brata, a syn na ojca godzi. Tymczasem rząd gromadzi coraz liczniejsze wojska, zbiera ludzi, karabiny i działa, by uniemożliwić walkę dłuższą. I zdaje się, że uda mu się stłumić te krwawe rozruchy, jakkolwiek jeszcze wiele krwi bratniej popłynie i chociaż niejeden wspaniały budynek, który podziwiali cudzoziemcy, runie w gruzy. I cóż na to powiadają Prusaki? Otóż miło im jest patrzeć na te krwawe zatargi między braćmi, miło im patrzeć na rany i śmierć Francuzów, miło im widzieć, jak synowie jednej ziemi szarpią wnętrzności swojego kraju, który ich wyżywił. I z tej też przyczyny nie czynią żadnych przeszkód w rozlewie krwi, pozwalają rządowi Francyi ściągać

liczne wojska i z drugiej strony pozwalają Paryżowi rabować srebro i złoto z domów spokojnych obywateli, którzy się z buntem nie chcą pogodzić, aby z tego krwawego kruszcu bić pieniądze. Patrzą na to straszne widowisko i cieszą się, gdyż Francja się osłabia, nie będzie mogła dotrzymywać terminów zapłacenia kosztów wojennych, a Prusaki będą mieli znowu sposobność do rozbojów i rabunków, do których się przyzwyczaili.

Austrya. Niemcy powitali ministra Grocholskiego jedni z niedowierzaniem, drudzy z ufnością. Podczas ostatniej wojny bowiem podzielili się Niemcy austryaccy na dwie części, jedna uwielbia Prusaków, druga pozostała wierną Austryi i Najjaśniejszemu Panu. Tamci to Niemcy, którym się tak bardzo niemieckie zwycięstwa podobały, a którzy zapomnieli, jak ich biły Prusaki w r. 1866, szydzą z pana Grocholskiego i uderzają na ministerstwo, że pośredniczyło w mianowaniu tegoż ministrem. Lecz nie mamy się czego na nich oglądać; są to zdrajcy, którzyby chcieli zaprzedać Austryą Prusakowi i którzyby chcieli panować nad innymi narodami, jak to dawniej bywało. Inaczej myślą wierni naszemu monarsze Niemcy i witają ministra Grocholskiego z ufnością, gdyż życzą sobie, by i inne narody w Rządzie uczęstniczyły. Zdaje się, że za sprawą p. Grocholskiego stało się że ministeryum przedłożyło radzie państwa wniosek, by oddano sejmom krajowym większe wpływy na sprawy kraju i ustanawianie praw, które się kraju tyczą. Można sobie wyobrazić, że to jest rzeczą niemałą gdyż Sejm przecież będzie lepiej wiedział, czego nam potrzeba, niż Rada państwa we Wiedniu, która jest z rozmaitych ludzi złożona, a mianowicie ma swem łonie także nieprzyjaźnych nam Niemców. Dlategoteż, jeźli się to stało za sprawą naszego ministra Grocholskiego, możemy go powitać z zaufaniem i życzyć mu do rozpoczętego dzieła: „Szczęść Boże!“

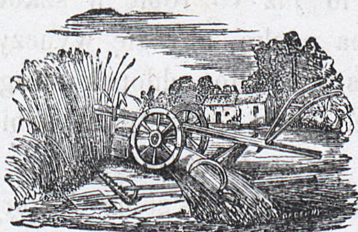
† W Wiedniu umarł tymi dniami główny naczelnik marynarki tj. okrętów Austryi, admirał Tegethoff. Jest to ten sam, który w r. 1866 pobił Włochów w bitwie morskiej.

Redaktor odpowiedzialny Kazimierz Okaz. — Wydawca Stanisław Justian.
Z drukarni E. Winiarza we Lwowie.

Tom III. 1. Maja 1871. Nr. 13.

Rok dwunasty.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Estkowski Ewaryst.

syn włościanina i dobry nauczyciel polski.

W tej części kraju naszego, co to ją zabrał niesprawiedliwie Prusak, i tam dokucza katolikom Polakom, jest wieś Drązgów, w której siedział sobie ubogi rolnik Jan Estkowski, i miał żonę Katarzynę. Oboje byli pracowici nad miarę, bo mieli kilkoro dzieci i te trzeba było wyżywić, okryć i jakoś na ludzi dobrych wyprowadzić. A była w tej wsi szkoła przy kościele i nauczyciel pilny a dobry człowiek, ale trochę ostry dla dzieci. Do tej szkoły chodziły dzieci ubogiego Jana, ale między temi odznaczał się jego chłopak Ewaryst taką ochotą do nauki, że za krótki czas umiał czytać bez myłki, pisać i rachować. Ojciec ubogi nie rad posyłał chłopaka do szkoły, bo mu był i w domu do roboty i pomocy potrzebny, ale nauczyciel powtarzał mu zawsze taką radę dobrą:

„Chcecie mieć mądre i dobre dzieci,
A z nich pociechę na stare lata —
To niech im w domu wasz przykład świeci,
Z kościoła i szkoły niech mają oświatę!"

Stary ojciec Jan brał sobie te słowa na rozum do głowy, rozmyślał znowu sam tak, że nie ma majątku dla syna, to mu

nauka przyda się na co, i da przytułek między ludźmi na świecie, a więc niewzbraniał synowi chodzić do szkoły. Po trzech latach nauki nie było już co robić w szkole, a więc dał go ojciec do stolarza na naukę, aby się wyuczył rzemiosła i miał kiedyś utrzymanie swoje. Otóż chłopak strugał i składał stoły, stołki, szafy, a wieczorami odczytywał sobie historje z Biblii św. i zapamiętywał sobie, co czytał.

Najbardziej zaś upodobał sobie historyę o Józefie egipskim, jak to on był od rodzonych braci sprzedany, w obce kraje zaprowadzony, tam dostał się na służbę aż do dworu króla, potem był długo w więzieniu niesprawiedliwie trzymany, a w końcu za pomocą Boską i przez swój rozum dobry wyszedł prawie na króla i rządził bardzo dobrze. Nad tą historją tak sobie przemyśliwał: „To jednemu i drugiemu pomagał Bóg zawsze i wszędzie na dobre, a czemużby mię miał opuścić?“ A gdy majster, u którego był, sam nie wiele rozumiał się na stolarce a dotego był niedobrym człowiekiem, otóż chłopak Ewaryst uciekł od niego.

Co tu było teraz robić? Do ojca niebyło poco wracać, do rzemiosła nie miał ochoty, w szkole nie był jeszcze na tyle uczony, aby pójść do jakiego urzędu, albo na profesora, a lata mu już także dochodziły. Dumał, przemyśliwał nad sobą, aż w końcu powiada sobie tak: „Robota każda jest dobra i potrzebna, ale wyuczyć się samemu i potem pomódz do nauki drugiemu, to znaczy u Boga najwięcej; bo dobra nauka stoi nad majątki i nad złoto i niedorówna jej żadna ręczna robota, a tysiące głupich nie zrobią tyle dobrego, co mądra głowa jednego, i nie ostoi się piekielna moc na świecie bo ją zawsze nauka dobra zgniecie.“

Powrócił więc jeszcze raz na nowo do szkoły, ale do szkoły w wielkiem mieście Poznaniu, aby się naprawdę zabrać do nauki i wyuczyć się tak, jak się patrzy. Uczył się pilnie, czego za młodu nie słyszał, ani widział, brał sobie dobrze wszystko do głowy i rozbierał i rozważał.

Wyuczył się z biedą i trudem na profesora i dostał miejsce we wsi Wojciechowie, gdzie była porządna szkoła i jakie 100 dzieci do nauki. Zapamiętał on dobrze, jak go uczono we

wsi, gdzie się urodził i chował, jak go tam bito i jak to powiadają: „smażono i pieczono w smole a niewolno było mówić, co się działo w szkole“; jak on tam 3 lat przesiedział na ławie szkolnej i nic więcej się nie nauczył, jeno czytania, kiepskiego pisania i trochę poznawania liczb i rachowania. Na takie przypomnienie ogarnął go żal wielki, a sumienie jego wołało na niego: „Tyś sam z rodu chłopskiego, pamiętaj jak ci było za młodu, nie trap dzieci tak, jak ciebie trapili, ucz dzieci lepiej, jak ciebie uczyli, nie karaj dzieci głodem i chłodem, bo one są niewinne i głupiutkie, ale bądź dla nich ojcem i matką w szkole, zrób ze szkoły dla nich zabawkę przyjemną!“ Odtąd postanowił sobie uczyć dzieci po swojemu, jak mu sumienie dyktowało. Wszystkie też dzieci przepadały za nim, wolały w szkole siedzieć cały dzień, niż w domu godzinę, uczyły się bez książki i z książki bardzo prędko czytać, uczyły się odrazu na tablicy pisać, potem sobie coś dobrego i pięknego zaspiewały, drzewka sadziły i szczepiły, kwiaty różne znały i t. d. uczyły się tego, czego w żadnej szkole nie uczyli. A to wszystko robił rozum i ochota ich profesora. Dobrze to powiadają ludzie: „Jaki gazda taki dom i stodoła, jaki profesor, taka nauka i szkoła!“

Ten Estkowski profesor, choć z ubogiego rodu, a doprowadził własną pracą do tego, że potrafił daleko lepiej uczyć dzieci, niż wszyscy uczyli, że jego szkoła była najlepszą. A że na wszystko złe jest kara, a zaś za wszystko dobre jest zapłata, otóż i Estkowski profesor za swoje dobre nauczanie poszedł ze wsi do miasta na profesora, gdzie miał większą płacę i lepsze obejście. Pamiętał też teraz, i na biednego ojca i dopomagał mu nie w jednej rzeczy.

Cały dzień uczył dzieci miejskie, a wieczorami znowu czytał sobie przeróżne książki o szkołach, jakto w innych krajach uczą i jakto tam prawie każdy zna się na książkach. A gdy już wiedział sam dużo dobrego o szkołach, zaczął układać mądre elementarze polskie dla szkół polskich dzieci. Co mu z pensyi rocznej zostało, to niemarnował, ale składał i potrafił sobie za kilka lat złożyć dosyć grosza. Mając pieniędzy trochę, pomyślał sobie: „Inni tracą grosz na głupstwa światowe, z któ-

rych nikomu nic dobrego nie przyjdzie, ja tak niezrobię, ale pójdę jeszcze do lepszych szkół do miasta polskiego Wrocławia które jest w Szląsku za Krakowem i tam przebieduję bodaj 2 lata i wyuczę się na profesora do szkół wyższych po wielkich miastach." Dobra myśl prowadzi na dobre, a zła prowadzi na złe, za dobrą myślą idź człowiecze bo to tak, jak natchnienie z nieba, a za złą myślą nie idź nigdy, bo to wiedzie do zguby! Otóż Estkowski poszedł za dobrą myślą, zabrał co miał, pożegnał swoich szkolarzy z płaczem i stanął na naukę w mieście Wrocławiu. Z początku miał pieniądze złożone, to było z czego żyć, ale brakło na drugi rok pieniędzy, żył więc czystą wodą i suchym chlebem, zbiedniał z głodu i nauki, ale dokonał swego, przetrzymał biedę i skończył szkoły wyższe, co to zowią ludzie filozofiją, a to znaczy, że w takich szkołach uczą się rozmyślać nad wszystkiemi rzeczami na świecie Bożym. Miał on wtedy 28 lat, był chłopem pod wąsem, a przecie niewstydził się uczyć i uczyć, bo wiedział, że dobra nauka wiedzie do szczęścia i zbawienia. Taki, co ukończy szkoły, znajdzie gdziebądź miejsca, bo go ludzie potrzebują. Otóż Estkowski znalazł zaraz miejsce dla siebie. Mógł on pójść w inne kraje, ale pomyślał sobie: „Nie dobrze to jest szukać gniazda cudzego, kiedy Bóg dał podostatkiem swego" i został znowu profesorem powtórny raz w Poznaniu, gdzie go ludzie znali dobrze. Mówią ludzie: Bóg sam jeden może wszystko zrobić bez niczyjej pomocy, ale człowiek sam jeden bez pomocy drugich nie potrafi dokonać tego, co zamyślił; dopiero jak się kilku mądrych i dobrych złączy, to zrobią czegoby jeden nigdy nie zrobił. Otóż i Estkowski sam wyuczony porozumiał się z drugimi mądrymi Polakami w Poznaniu i w okolicy, aby pisać książki do nauki dzieci polskich. Ci mądrzy Polacy razem nazwali się „Towarzystwem pedagogicznem polskiem" co znaczy, że oni zrobili bractwo szkolne, które miało układać i za swoje pieniądze drukować książki polskie do nauki i czytania dla Polaków.

Wydawało to bractwo szkolne najprzód takie pismo, jak to są gazety, i to pismo miało nazwę: „Szkoła polska dla dzieci" a w tem piśmie były przeróżne nauki i rady, jak mają

nauczyciele uczyć po szkołach i znowu, jak się mają uczyć w domu każdym dzieci, aby się prędko nauczyły bez łamania głowy i bez długiego ślęczenia nad elementarzami. Jak to każdy zrozumie, to takie pismo, którem kierował sam Estkowski, narobiło dużo dobrego i dziś jeszcze niejeden mógłby się wiele rzeczy z niego dowiedzieć. Ale świat Boży jest strasznie wielki i bardzo wiele cudów Bożych na nim; jest i ludzi bardzo wiele, a co kraj, to inny obyczaj, a znowu co chałupa, to inna nauka. Widzieć i poznać na tym świecie ludzi i rzeczy, to także szkoła i nauka nowa. Bo nie wszędzie są ludzie jednacy, jak i w gromadzie trudno o jednakich. Były i w polskim kraju szkoły dobre ale mogły być w innym kraju jeszcze lepsze.

Otóż ciekawy Estkowski nie dosiedział na miejscu, ale pojechał do kraju francuzkiego do miasta Paryża, aby się tam na własne oczy wszystkiemu przypatrzyć, szkoły tamte obejrzeć, a co dobrego tam widział, aby to samo w polskich szkołach zaprowadzić.

W Paryżu jest tam dużo naszych braci, którzy uciekli od Moskala i Niemca i tam sobie siedzą i zarabiają, a Francuzi ich kochają i ci bracia uciekli, zowią się emigrantami a po naszemu wychodźcami.

Otóż Estkowski poznał się od razu z nimi, a najbardziej przystawał z Adamem Mickiewiczem, który swemi pismami rozgłosił chwałę Polaków po całym świecie i znowu z Gałęzowskim, który w Paryżu był profesorem polskich dzieci. A rozpatrzywszy się dobrze po szkołach francuzkich, wrócił do Krakowa aby u siebie w kraju to zaprowadzić, co gdzieindziej widział dobrego. Zeszedł więc dużo świata ten Estkowski a to wszystko z ciekawości, aby się między rozmaitymi ludźmi jak najwięcej nauczyć a potem to obrócić na chwałę Boga najwyższego, i na dobro ludzi. Z ciągłego gadania w szkole zachorował biedaczek na piersi, a lekarze kazali mu jechać do wody uzdrawiającej. Ale mu to nie wiele pomogło i tak sapał i kaszlał aż umarł roku pańskiego 1856 w sam dzień Matki Boskiej zielnej. Umarł nieboraczek za granicą w Soden, tam gdzie się kąpał i pił wodę uzdrawiającą. Na grobie postawili

mu krzyż z napisem: „Tu spoczywają zwłoki dobrego człowieka.“

A wy, co to czytacie, naśladujcie tego Estkowskiego w nauce, ciekawości i wytrwałości, a zasłużycie sobie między ludźmi na dobre imię i wspomnienie i duszy zbawienie.

Żyjcie z Bogiem. Wasz

Ksiądz Wojciech z Zaleszan.

Jaskółeczka.

Jaskółeczko ukochana,
Przyjaciółko nasza,
Twe przybycie w nasze strony
Wiosnę nam ogłasza.

Znowuś gniazdko ulepiła,
Pod człowieka strzechą;
Tu się dziatek ukochanych,
Doczekasz z pociechą.

My gniazdeczka niepopsujem,
Boć to się nie godzi;
O! ma u nas ten opiekę,
Kto pod dach przychodzi.

Do bociana.

Przybyłeś tu z obcych krajów,
Witaj mi bocianku!
My ci gniazdko zbudowali,
Osiądź tu kochanku!

Przyznaj, czy ci za granicą
Jak my, byli radzi;
Przelecieć się w obce kraje
Wcale nie zawadzi.

Poznać ludzi, poznać serca,
Porównać kraj z krajem;
My podobno ci najmilsi,
Starym obyczajem.

Któż ci koło w górę dźwigał,
Pamiętał o tobie?
O bocianku ukochany!
Siedź tu z nami sobie.

Kraj poczciwy, choć ubogi,
Ludzie jak anieli,
Pewnieście serc takich zacnych
Nigdy nie widzieli.

Ptak rajski.

Opisaliśmy Wam, kochani czytelnicy, w ostatnim numerze, największego ze wszystkich ptaków, strusia. Dziś podajemy opisanie innego także zagranicznego ptaka. Jak struś swoją wielkością się odznacza, tak przeciwnie ptak rajski wcale wielkim nie jest. Gdyby go oskubać z piór, to będzie wielkości naszego drozda, ale że ma długie bardzo pióra, przeto o wiewiększym się wydaje. Pióra te jego są nadzwyczaj długie, miękkie jak jedwab i bardzo piękne, dla tegoż nazwano go ptakiem rajskiem, to jest że niby z raju pochodzi. Barwa tych piór jest przeważnie brunatna, głowa, szyja i łopatki żółte, a czoło i podgarle złocisto-zielone. Ptaki te żyją w części świata zwanej Australją o której niedawno wam pisaliśmy, gdzie się znajduje. Żywią się one pączkami drzew, jagodami a także i za motylami polują bo to dla nich nielada przysmaczki. A jest to może i dobra dla ptaków potrawa, bo motyle w gorących krajach, a szczególnie w Australji są bardzo wielkie. Niektóre są wielkości naszych ptaków, więc też jest się czem i pożywić. Głos ma ptak rajski niekoniecznie przyjemny; nie spiewa on tak ładnie jak nasze ulubione skowronki albo słowiki, ale kracze podobnie krókówi, albo też krzyczy jak szpak. Już to co nasze, to nasze — to choć nie takie cudowne, jak owe zagraniczne stworzenia, ale zawsze i pożyteczniejsze człowiekowi, i milsze dla niego.

Z rajskiego ptaka nie ma innego pożytku, jak tylko z piórek jego. Piór tych ładnych używają do stroju. Bo to ludziom nie dość ustroić się w to, czego nasza rodzinna ziemia

dostarcza, — oni muszą szukać innych kosztownych strojów. Wszak ci mamy u nas ładne i świetne pióra z różnych ptaków; cóż może być piękniejszego nad piórko pawie? Gdy sobie nasz mazur wystroi magierkę albo kapelusz w pawie pióra,



Ptak rajski.

a przebierze się od swięta lub niedzieli, toć jest ci na co popatrzeć! Mina gęsta, oczy mu się uśmechają, aż wesoło a pawie piórko błyszcze i migoce do bożego słonka.

Na co nam cudzoziemskich piórek na co innych zagranicznych wymysłów! A przecie ludziom to nie jasno, i radzi się stroją i na zbytki wydawają. Piór rajskiego ptaka używają kobiety do swych kapeluszów, i drogo je przepłacają. To też

mieszkańcy Australji wyłapują rajskie ptaki, i za dobry pieniądz sprzedają. Strzelać do tych ptaków nie można, boby się zaraz piórka krwią powalały, przeto łapią je na lep, albo też zastawiają sidełka. Często się trafia, że gdy ptak rajski leci a wiatr jest mocny, to mu tak owe długie pióra poplącze i zawikła, że biedna ptaszyna nie może dalej lecieć, i spada na ziemię, gdzie ją ludzie żywcem chwytają. Tak to i u ludzi nie jednemu krasa na złe wychodzi i tylko do zguby przyprowadza.

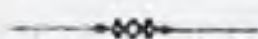
A kiedyśmy się rozgadali, to opowiem Wam jeszcze ciekawsze zdarzenie, którego byłem świadkiem, i gdzie ptak rajski mimowoli do dobrego stał się przyczyną.

Było to w Warszawie. Zaszedłem przypadkiem do pięknego sklepu bo chciałem kupić czarnej kitajki, co mi jej trza było, aby bolące oko przewiązać. Czekam aż mi je podadzą, i patrzę po kupujących ludziach. Był tam jakiś ksiądz, kupował sobie wstążki, do książki od nabożeństwa Była jakaś pani, co targowała kapeluszyk dla swojej córeczki. Córeczka mała naparła się koniecznie kapeluszyka z piórami ptaka rajskiego. Daremne były przedstawienia matki, że kapeluszyk za drogi, że szkoda tylu pieniędzy; dziecko upodobało sobie lśniące piórka, i ani rusz odstąpić. Nareszcie zaczęło płakać. W tem przychodzi okryta łachmanami staruszka mizerna, widocznie bardzo schorowana i osłabiona. Podpierała się laską i przystępuje do stołu kupca, i cichym głosem prosi o wsparcie. Kupiec w złem był usposobieniu, ofuknął się, i ostro zburczał staruszkę. „Wy próżniaki włóczęgi, nie doroboty, nie do czego, tylko ludziom w oczy świecicie, tak burczał zły kupiec. Staruszka zapłakała i chciała wychodzić ze sklepu. W tem dziewczynka ciągnie matkę za suknię, i odzywa się pocichu: „Moja matusiu! ja już nie chcę kapeluszyka tego, ja w starym będę chodziła, niech matusia da pieniądze tej staruszce, ona tak biedna, tak płacze.

Matka popatrzała na swoje dziecię, łzy jej stanęły w oczach nad litością dziecka. Wnet przywołała staruszkę i pytała o jej biedę. Tu się wykazało wszystko. Ksiądz przystąpił bliżej, w patruje się, i poznaje staruszkę. Ona miała syna do niedawna jeszcze, co ją utrzymywał; syn ten umarł, a biedna

staruszka bez nikogo na świecie została. Wysprzedała wszystko, ale tych pieniędzy nie długo starczyło; w końcu zachorowała mocno, przeleżała w szpitalu kilka miesięcy, a wyszedłszy z szpitalu, zmuszoną była żebrać pomocy litościwych ludzi. Wszystko to ksiądz potwierdził. To też zaraz zajęli się wszyscy staruszką. Bogata owa pani dała jej przytułek w swojem własmym domu; ksiądz, i inni przytomni w sklepie a nawet sam kupiec złożyli się na nowe dla niej ubranie.

Tak dopomogło się prawdziwej a niezasłużonej nędzy. Dziewczynka zrzekła się zagranicznego stroju a Bóg jej ten piękny uczynek i dobre jej serce stokrotnie wynagrodzi.



Kościół na Łysej Górze.

(Dokończenie).

— A dla czego klasztór ten nazywa się świętokrzyzkim? — zapytał Paweł Dudek.

Na to rzekł Marcin:

— To tłómaczy pobożna legenda, która jest taka. Na dworze króla Bolesława bawili często rozmaici książęta; jedni żądali od niego pomocy, drudzy chcieli się z nim zaprzyjaźnić, bo był możnym i bitnym. Otóż razu jednego był na dworze jego Emeryk, syn króla węgierskiego. Chodził on na polowania z królem naszym Bolesławem, który był wielce zamiłowanym myśliwym, a lasy około Łysej Góry obfitowały w różne rodzaje zwierząt. Zdarzyło się, że Emeryk będąc na polowaniu z królem Bolesławem,. puścił się raz za jeleniem i zbłąkał się w wielkiej puszczy, oddaliwszy się zanadto od królewskiego orszaku. Chodzi i chodzi dzień cały, ale ani śladu drogi znaleść nie może. Usiadł sobie wreszcie pod cienistem drzewem i począł dumać nad swojem położeniem. Lęk go ogarnął, bo mu groziła śmierć głodowa, albo mogły go pożreć zwierzęta, które bez ustanku odzywały się z kniei. Zwątpił już o swojem wybawieniu i zaczął bardzo rozpaczać. Wtem dolatuje uszu jego, głos przyjemny jakby z nieba.

Wytęża uwagę i słyszy:

— Złóż w klasztorze, który król Bolesław wzniósł na Łysej Górze, co masz najdroższego, a będziesz ocalonym!

Myśli sobie tedy, Emeryk coby miał najdroższego?... W tem przypomina sobie, że ma ułamek z krzyża Chrystusowego oprawny w złoto na piersi zawieszony. Czyni więc ślub, że go ofiaruje klasztorowi, gdy ocalonym zostanie.

Niebo przyjęło widać przyrzeczoną ofiarę, bo Emeryk powstawszy z miejsca, odszukał dobrą drogę i połączył się z orszakiem króla Bolesława.

Przybywszy do klasztoru, złożył w nim na pamiątkę ślubowaną relikwiję i odtąd Łysa Góra otrzymała nazwę: „Góra świętokrzyzka.“

Król Władysław Jagiełło szczególne miał nabożeństwo do tego świętego miejsca i robił do niego piesze pielgrzymki z miasteczka Nowej Słupi, które leży u podnóża Łysej Góry. Za każdym razem, ilekroć szedł na wojnę z Krzyżakami, odprawiał tu nabożeństwo i pokuty publiczne, a pobiwszy nieprzyjaciela, obdarzał klasztór hojnemi dobrodziejstwami. To samo czynili także synowie jego Władysław Warneńczyk i Kazimierz Jagiellończyk.

Za Jagiełły byli opaci klasztoru Polakami, nie jak dawniej Włochami.

Królowie polscy Zygmunt III., Władysław IV. i Jan Kazimierz często zwiedzali klasztór świętokrzyzki, a Zygmunt III. odniosłszy zwycięztwo pod Guzowem, złożył w klasztorze trzy posągi srebrne własnej roboty.

W połowie 15. wieku zgorzał klasztor. Kazimirz Jagiellończyk wzniósł jego mury napowrót, kościół rozszerzył i znowu kościół odznaczał się bogactwem. W końcu 1777 roku zgorzał kościół do szczętu. Staraniem Jana Niegolewskiego, ostatniego opata, wybudowano nową świątynię, ale nie tak okazałą, jaką postawił Bolesław Chrobry. Poświęcił ją 1806 roku ks. Andrzej Gawroński, biskup krakowski.

— A cóż się stało z drzewem świętem? — zapytał Walek Koćma.

— W czasie pożaru — mówił Marcin — ocalono tylko kaplicę z świętem drzewem, które do dziś dnia znajduje się w kościele na Łysej Górze. Nie jest ten kościół już takim bogatym jak dawniej, i nie będzie już nigdy miał takiej zamożności jak za polskich czasów. Bywało w nim i po stu zakonników; później było tylko kilkunastu. Przed kilkoma laty umarł ostatni Benedyktyn i odtąd nie ma tam już takich księży. Są tylko świeccy księża. Nie dawne temu czasy, gdy byłem w tamtej okolicy i zwiedziłem sławne to miejsce. Klasztor stoi na wyniosłej skale. Do około jest las bukowy i jodłowy pozostałość po owej niegdyś ogromnej puszczy świętokrzyzkiej. Widok z tamtąd przecudowny. Widać miasta nawet o 8 mil odległe. Klasztór jest piękny, lecz nie ma w sobie już nic takiego, coby mu dawne przypominało wieki. Mimo to przejmuje człowieka jakiemś uszanowaniem, bo o nim mnóstwo legend opowiadają tamtejsi ludzie. Droga na wierzch góry jest przykrą i uciążliwą. Można na niej widzieć trzy kapliczki i pielgrzyma klęczącego wykutego z kamienia. Pielgrzym ma oczy zwrócone na klasztor a ręce niby do modlitwy złożone, z których lewa w płaszcz owinięta.

I słynie ów klasztór na Łysej Górze do dnia dzisiejszego ułamkiem z świętego krzyża, a góra na takiej osobności ma zwabiać czarownice, które ludzie powinni sobie wybić z głowy bo ich nie było i nie ma w świecie, a mogą sobie tylko opowiadać baśnie, które posłużą chyba tylko do zabicia czasu.

Po tych słowach zaczęli ludzie ciekawie oglądać obrazek przedstawiający kościół św. krzyża na Łysej Górze, i powtarzali sobie ciekawe rzeczy, które im Marcin o nim opowiadał. A jak mnie opowiedziano, tak ja znowu wam opowiadam.

Józef z Bochni.

Zkąd się bierze papier?

Niektórzy z was czytelnicy wiedzą o tem, bo albo czytali w jakiej książce, albo też udało im się widzieć fabrykę papieru. Ale wielu wcale o tem nie wiedzą, z czego i jak ten

papier się robi. Niejeden z was kupi papieru w sklepiku, napisze list, albo do urzędu jakie pisanie wyprawi, zresztą wyczyta w książce co mądrego, co na papierze wydrukowane, ale nie wie zkąd ten papier. Otóż o tem dziś pokrótce pogadamy.

Z dawien dawna, skoro tylko ludzie wymyśleli znaki piśmienne, aby się niemi porozumiewać, poczęli przemyśliwać, na czem by znaki piśmienne, to jest pismo wyrażać mogli. Wszakci można pisać na kamieniu, albo na desce, ale ładna by to była książka, co by cała była na płytach kamiennych spisana; ładnie by nasz „Dzwonek“ wyglądał, gdyby trzeba każdemu z was zamiast arkusza papieru posłać kilka desek zapisanych. Nawet by to niepodobnem było, bo nikt z was niebyłby w stanie zapłacić kosztu tych desek i przesłania ich do was. Otóż poczęli ludzie przemyśliwać, jakby sobie ułatwić tę rzecz. Zaczęli wyprawiać cienko i gładko skóry ze zwierząt różnych, szczególnie z mułów i osłów. Skóra taka wyprawiona i przyrządzona do pisania zowie się pergaminem, jest ona nadzwyczaj trwałą, tak że długie lata przetrwać może i nie zniszczy się wcale. Z tego powodu do dziś jeszcze używają czasem pergaminu, aby spisywać bardzo ważne rzeczy i dokumenta, które mają wieki przetrwać. Ale z powodu, że pergamin drogim jest, zaczęto myśleć nad tańszym papierem. Pierwsi Egipcyanie wynaleźli sposób robienia papieru z roślin, a szczególnie z rośliny, która u nas jest nieznaną a u nich w ich języku papirusem się nazywała. Ztąd też i nazwisko papieru. Roślina ta należy do gatunku trzcin i rośnie tylko w części świata zwanej Afryką, w kraju egipskim, nad brzegami rzeki Nilu.

O kraju egipskim, czyli Egipcie, wiecie z biblii świętej, zresztą popytajcie o to księdza proboszcza, który wam o tem opowie. W tym kraju żyli żydzi w niewoli, zanim ich Mojżesz do ziemi obiecanej wyprowadził. Do tego kraju schroniła się Najświętsza Panna z św. Józefem i dzieciątkiem Jezus, aby ujść prześladowania króla Heroda, jak wam to z Ewanieli i wiadomo. Otóż mieszkańcy tego kraju wynaleźli sposób robienia papieru z rośliny papirus zwanej. Zdejmowali łyko z tej rośliny, rznęli je w długie pasy, zakładali te pasy brzegami

jeden obok drugiego, aż się utworzył wielki i szeroki kawał czyli arkusz. W poprzek tego arkusza kładli w ten sposób na wierzchu drugą warstwę pasów z łyka. Potem kładli to w prasę i przygniatali mocno. Pasy zeschły się, sklejiły z sobą, i w ten sposób powstał trwały i gładki papier do pisania. Taki papier długo był w używaniu, i dopiero w 1000 lat po narodzeniu Chrystusa Pana zaniedbali go ludzie, gdyż poznali tańszy i łatwiejszy sposób wyrabiania papieru.

W części świata zwanej Azyą mieszka bardzo przemyślny naród Chińczyków. Ci Chińczycy wpadli na myśl robić papier z surowej bawełny, z której u nas narozmaitsze materye wyrabiają. Rozczynili oni bawełnę w naczyniach gorącą wodą napełnionych na gęstawy klej, niby na rzadkie ciasto, chwytali ten gęsty płyn bawełniany na druciane formy z tych po przeschnięciu składali go na płaty sukienne, aby wodę wyciągnęły. Złożywszy razem dużo takich płatów w jeden stos, dawali w prasę dla wyciśnięcia reszty wody; dalej wyjmowali arkusze i rozwieszali na słońcu dla ostatecznego wyschnięcia i stwardnienia.

Ten chiński papier dostał się do nas. Lecz że bawełna u nas się nie rodzi, a dostawa jej bardzo była kosztowna więc i papier u nas bardzo był drogi. Ta okoliczność naprowadziła naród Hiszpanów, na myśl, wyrabiania papieru ze szmat bawełnianych ze użytej odzieży. W krótce i tych szmat bawełnianych zabrakło, bo ludzie coraz więcej papieru używali Zaczęto więc w roku 1300 lat po Chrystusie wyrabiać papier z wszelkich innych szmat i gałganów z podartej odzieży, mianowicie szmat lnianych. I po dziś dzień z takich najrozmaitszych szmat które na śmietnik wyrzucamy, wyrabiają papier. Nieuwierzyłby nie jeden człowiek, że te gałgany sukienne i płócienne, które na śmiecie się wyrzuca, służą jeszcze do wyrobu papieru. Po wielkich miastach bardzo biedni ludzie chodzą z koszami od domu do domu, i na śmieciach wyszukują takie szmaty, i do kosza zbierają. W fabryce papieru płacą za 100 funtów takich szmat 3 do 4 złr. Zaraz tam rozkładają te szmaty i rozdzielają na gatunki. Z płóciennych robią piękny papier listowy, z grubszych i podlejszych, papier zwykły,

a z wełnianych bibułę. Także ze słomy, z trzciny, ze szuwarów, robią papier do zawijania towarów.

Szmaty poprzebierane krają w fabryce na drobne kawałki, następnie tłuką w stępie na miazgę. Potem rozgotowują tę miazgę w wielkich kadziach, i zostawiają aż przekiśnie. Dalej czerpią z tych kadzi drucianemi formami, i następnie postępują podobnie jak Chińczycy. W ostatnich czasach wynaleziono do tego odpowiednie maszyny, za pomocą których jeszcze łatwiej i prędzej papier się wyrabia. Skiśniętą miazgę ze szmat leją w szerokie i długie koryta. Miazga płynie zwolna tem korytem, powoli schnie, coraz gęściejszą się staje, twardnieje, a w końcu przemienia się w papier piękny i gładki. Osobna maszyna kraje tę długą wstążkę papieru na arkusze. Aby papier w pisaniu nie zalewał dodają do miazgi trochę kleju, przezco papier staje się twardszym.

W następnych numerach opowiemy wam o wynalazku druku, który wspólnie z wynalezieniem papieru przyczynił się do rozszerzenia książek, a tem samem do rozszerzenia nauk i oświaty.

Rozmaitości.

Złodziej zawstydzony. Robił żyd krawiec na wsi u gospodarza płaszcz, a choć gospodarz kupił i dał tyle sukna, ile się zwykłe na płaszcz daje, żyd powiedział, że kiedy wszystko pokrajał i poszykował, sukna mu brak na pelerynę i jeszcze łokieć czy półtora dokupić trzeba.

Było to w zimie, więc rano dodnia wstał żyd do roboty i gospodarzowi to powiedział.

— A czemuście zaraz wczoraj o tem nie mówili Icku, że z tyle sukna wykrajać nie możecie? Byłbym sobie wziął starego Jośka, który już mi raz płaszcz robił, a też jeno tyle sukna miał, ile wam dałem.

— Ny, albo ja wiedział że go będzie za mało? Ja myślał i chciał wykrajać jak najlepiej, ale musiało się sukno w stępie ściągnąć, bo teraz takie rzadkie sukna robią.

— Ej, boście może kawał zarzucili i leży gdzie w kącie — powiedział gospodarz.

— Co ja miał zarzucić? albo ja to nie wiem co jest? albo ja to pierwszy raz płaszcz robię? — rzekł krawiec.

Gospodarz szukał, żyd się kręcił i szukał, i żeby wszędzie szukać a gospodarza przekonać, począł mu nawet ze swego worka wszystko wykładać. Wtem patrzy gospodarz na

nachylonego żyda, a on tu ów kawał sukna ma ładnie złożony i przyszyty na plecach. Patrzy, a żyd ma kamizelkę na drugą stronę, to jest na wywrót na sobie. Żydzisko w nocy kawał sukna skręcił i przyszył je sobie pod podszewką na plecy u kamizelki. Ale gdy się po ciemku ubierał, oblekł kamizelkę przewrotnie na siebie, i kradzież się odkryła. Naturalnie nie mógł się wyprzeć, choć zganiał na parobków, że mu to na psotę zrobili Że mu gospodarz zdjął pięknie kamizelkę i sukno, a plecy czem innem zagrzał porządnie — no to swoja rzecz.

Kościół podziemny. We włoskiem mieście w Wenecyi, które całe nad wodą jest zbudowane, stoi na wielkim placu św. Marka, przepyszny i ogromny kościół pod wezwaniem tegoż świętego. Otóż pod tym kościołem św. Marka, był kościół podziemny, niby wielka piwnica zbudowany. Nies częściem woda wdarła się do tego kościoła podziemnego, i zalała go zupełnie, tak że przez kilka wieków przystępu tam nie było. Obecnie rząd włoski zajął się restauracyą, i wydał na to 30 tysięcy franków [na nasze pieniądze 15 tysięcy złr.] Znakomici budowniczy wypompowali wodę osuszyli wnętrze kościoła, wytrynkowali i twardym cementem powlekli, aby więcej woda najść nie mogła. Obecnie już każdy może wejść do tego kościoła. Jest on dość obszerny i bardzo ozdobny. Sklepienie jego opiera się na sześćdziesięciu pięknych filarach z greckiego marmuru.

Zdania moralne.

Wszystko, co czynim dla świata, ze światem ginie; wszystko, co czynim dla Boga, jako Bóg wiecznie trwać będzie.

Jak żadne, choćby i najmniejszn ziarneczko, w ziemię rzucone nie ginie, ale obfity plon wyda, tak też żadna i najmniejsza sprawa dobra, to jest dla Boga uczyniona, nie zginie w obliczu Boga.

Złote ziarna.

Największe nie może pomódz gospodarstwo,
Kiedy zły gospodarz złe wiedzie szafarstwo.

Do zbytku w swej chacie nie miejcie ochoty,
Zbytek chacie szkodzi, jak ciału suchoty.

Redaktor odpowiedzialny Kazimierz Okaz. — Wydawca Stanisław Justian.
Z drukarni E. Winiarza we Lwowie.

Tom III. 11. Maja 1871. Nr. 14.

Rok dwunasty.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Co Maciek z Niemcami dokazywał.

(Zabawne opowiadanie.)

Stary Andrzej Słupczak, gospodarz ze wsi Taranki w powiecie bolechowskim miał syna Maćka, walnego chłopaka. Za młodu to było bardzo ciekawe i pojętne dziecko, w szkółce Maciuś najprędzej od innych dzieci czytać się wyuczył a pisał najładniej od wszystkich. A przytem dobry i serdeczny to chłopak. To też, choć nieraz komu figla spłata, bo do tego on majster i zuch jedyny, i ojciec i sąsiedzi ojca kochają Maciusia. Figle jego nigdy nie były na złość a krzywdę czyją wyrachowane, jeno ot tak sobie zabawki, aby siebie i innych rozśmieszyć. Raz posłał go ojciec po sól do karczmy, Maciuś przychodzi, a że to był dzień gorący, to też żydzisko zasnął na dobre nad szynkfasem. Maciuś pocichutku ogląda się naokoło, i myśli jakiegoby tu figla spłatać. Porwał szczotkę, co we wapnie rozrobionem do bielenia leżała, namaczał dobrze we wapnie, i nuż żydowi czarną brodę na dobre bielić począł. Sprawił się cichutko że żyd się ani obudził, wymknął się z karczmy i poleciał zwołać ludzi, krzycząc że wielkie nieszczęście się stało. Lecą ludzie, wpadają do karczmy, żyd się budzi, a ludziska w śmiech. Żyd nie wie co się stało, czy to

z niego czy z czego się tak śmieje cała gromada. Przeciera zaspane oczy, patrzy, i aż zaląkł się, gdy zobaczył swą brodę bialusieńką. W końcu poznał, że to żart, zaklął coś po żydowsku, i sam się śmiać począł razem z innymi. Ojciec zaczął ostro strofować za ten figiel, ale sam żyd prosił za Maćkiem, i mówił:

— Ny, co to szkodzi, to jego taka natura. To moja wina, że ja zaspał przy otwartych drzwiach, ta mnie kto mógł ukraść razem z karczmą, a jabym o tem nie wiedział. A inny chłopiec byłby nabrał z tych jabłek co tu leżą, a to Maciuś ani co ruszył, tylko ot taki figlarz.

Maciuś pocałował ojca w rękę, i na tem się skończyło tą razą.

Takich figli płatał Maciek bez liku, ale nigdy ze szkodą bliźniego. To też ludzie się zawsze uśmiali i lubieli go bardzo. Podrastał Maciek, a że gospodarstwo ojca jego Andrzeja było szczupłem, postanowił przeto ojciec dać chłopca uczyć dalej do miasteczka. Wywiózł Maćka do miasteczka, w którem Maciek przez dwa lata pilnie się uczył. Na trzeci rok dostaje ojciec od Maćka list, ale już nie z miasteczka, tylko ze Lwowa. Zdziwił się nie mało. Czyta, aż oto Maciek przyznaje się w liście, że niechce ojcu dalej wydatków robić, myśli sam się w szkołach utrzymywać. Że mu to w miasteczku było trudnem, przeto poszedł sobie piechotą aż do Lwowa, i tu się dalej uczyć zamyśla. Jak na początek wcale mu się dobrze wiedzie. Dostał aż trzech uczniów młodszych do uczenia, za co 15 zlr. pobiera. Najął sobie tanią stancyjkę razem z innymi studentami, gdzie także za tani grosz ma jakie takie pożywienie.

Uradował się ojciec tym listem niezmiernie. Przeczytał znajomym, a każdy tylko głową kiwa i powiada: Ot chwat z waszego Maciusia, da Bóg to na świecie nie zaginie i ludzie z niego będą. Poszedł do księdza proboszcza po radę, ale ksiądz proboszcz już wiedział o tem, i tylko życzył szczęścia ojcu Przyobiecał ksiądz proboszcz, że jak na przyszły miesiąc będzie we Lwowie, to postara się między znajomymi, o opiekę nad Maciusiem, a oraz pomówi z panami profesorami, aby mu jak najwięcej młodszych uczniów dawali do uczenia.

Jak rzekł, tak zrobił ksiądz proboszcz. Przez kilka lat Maciuś doskonale się uczył we Lwowie, a dzięki dobrym ludziom i rekomendacyi księdza proboszcza nigdy mu nie zbywało na lekcjach. Choć czasem zaznał biedy, czasem niedojadł albo niedospał, zawsze był wesół i dobrej myśli, bo zawsze pocieszało go to, że nikomu nic nie winien, że własną pracą zarabia na grosz, a ten grosz na swoje utrzymanie i nauki obraca.

Co rok na wakacje, to jest w Lipcu i Sierpniu, kiedy szkoły zamknięte, aby studenci wypocząć mogli, i swoich rodziców odwiedzili, nasz Maciuś odwiedza swojego ojca. Ojczysko cieszy się nie mało. Bo nietylko że Maciuś mądrzejszy coraz bardziej, i wyuczony co się zowie, ale zawsze to ten sam poczciwy, niezepsuty, wesoły Maciuś. A dawne figle zawsze go się czepiają. Bywa kiedy przyjedzie do wioski na wakacje, to nie idzie wprost do ojca, tylko do którego z sąsiadów, tu pożycza płótniankę, ubiera się w nią, wkłada na głowę szeroki słomiany kapelusz, i wchodzi do chaty ojca.

— Niech będzie pochwalony!

— Na wieki — odpowiada ojciec i patrzy, kto to taki, a tu Maciuś w śmiech że go ojciec nie poznaje, i nuż staremu ręce i nogi całować pocznie. Stary Andrzej niby się gniewa za taki figiel, ale w piersiach serce mu skacze z radości, raz że syna widzi, to znów że ten choć w mieście uczony, nie pogardza swoimi i kocha ich całą duszą. I tak co roku radość ta trwa przez dwa miesiące, póki znowu do szkoły czas będzie jechać. Maciuś płata figle dziewczętom i parobkom, a starzy aż za boki się trzymają od śmiechu. Nikim nie pogardzi, każdego kocha, kto prawy a poczciwy. Ale niechno kto przykrość sprawi jemu samemu, albo też komu innemu, choćby też najlichszemu człowiekowi, o to może być pewnym, że Maciuś się zemści ale takim figlem, że aż cała wieś się uśmieje.

Już to co najlepszego figla to spłatał Niemcom kolonistom co to się we wsi Zagubie byli osiedlili. Wracał wtenczas Maciuś ze szkoły do ojca na wakacje. Dzień był piękny, Maciuś bardzo wesoły, bo do domu szedł ojca obaczyć po całym roku nauki, to też przyspiewywał sobie i wywijał laską na gościńcu.

Już to był jego zwyczaj piechotą chodzić, chociaż kilkanaście mil było ze Lwowa do Taranki. Czasem na furze gdzie przysiadł, gdy się trafiło, to znów piechotą maszerował. Otóż teraz szedł sobie piechotą. Ani się spostrzegł, że tu wieczór już; słonko zaszło, księżyc wyjrzał i świeci ładnie. Maciuś myśli, że tak po księżycu do domu zajdzie i szedł sobie spokojnie. Wtem chmury zaczęły się gromadzić, niebo się zaciemniło, zagrzmiało, i wnet spory deszcz się puścił. Oj, kiepsko, myśli Maciuś, trzaby gdzie przenocować, i czekać aż deszcz przestanie. Patrzy, a tu karczma porządnie murowana, zagląda przez okno i widzi dużo ludzi przy wieczerzy, a sami Niemcy koloniści. Nie namyśla się długo, otwiera drzwi i wchodzi do świetlicy. Niemczyska spojrzeli po nim, a gdy zobaczyli że to jakiś biedny student z węzełkiem na plecach, zaczęli się śmiać. Gospodarz także Niemiec, wyszedł i powiedział opryskliwie, że miejsca nie ma, bo tu sami swoi tylko przystęp mają, a po nocach nikogo się nie przyjmuje. Tak rzekł gospodarz, i trzasnął drzwiami przed nosem Maciusiowi.

— Oj, licho, pomyślał sobie Maciuś, ale czekajcie szelmy nauczę ja was. Udał że odchodzi już, obszedł karczmę naokoło, i zobaczył za karczmą wielką kałużę, napełnioną błotem. Zaśmiał się jakby sobie jakiego figla rozmyślił, potem przystanął, wyjął z węzełka chustkę, obwiązał sobie nią głowę całą, dalej wyjął okulary które kupił dla księdza proboszcza, założył na nos, i tak zmieniony zaczął pukać drzwi.

Gospodarz otworzył i pyta kto to?

— *Guten Abend!* — rzekł Maciuś po niemiecku, co znaczy „dobry wieczór.“

Niemcy nie poznali na razie że to ten sam, powstali i prosili go do izby, bo myśleli że to także Niemiec i ich wiary człowiek.

Maciuś ukłonił się wszystkim, zaczął szwargotać po niemiecku, jak się w szkołach wyuczył, potem siadł na boku przy osobnym stole.

Ha, myśli sobie, już mię teraz przenocować muszą, ale trzaby i zjeść co, niech mię te szelmy teraz poczęstują jaką strawą. Ale Niemcom to ani w głowie było. Zasiedli nazad,

i jedzą w najlepsze, a o przybyszu całkiem zapomnieli. Maciuś namyślił się chwilę, i wnet po niemiecku zawołał na gospodarza.

Gospodarz przyszedł, ukłonił się i zapytał czego żąda.

— Proszę tylko o zwierciadło, — rzekł Maciuś po niemiecku.

— Natychmiast – odrzekł gospodarz i wnet podał zwierciadło.

Maciuś ustawił sobie zwierciadło na stole, wyjął z węzełka brzytwę, mydło, słowem całą golarkę.

Rozrobił mydło, wyostrzył brzytwę, rozwiązał chustkę, zdjął okulary, a tu go wnet wszyscy poznali, że to ten sam, którego przedtem niechcieli puścić do karczmy. Maciuś udaje że nic nie widzi, spokojnie zaczyna sobie brodę golić.

Niemcy wypatrzyli się; w całej wsi nie było golarza. A tu przybysz doskonale po niemiecku gada, a goli się raźnie i zgrabnie aż miło.

— Możebyście mnie brodę ogolili — odezwał się jeden, a za nim drugi i trzeci.

— Najchętniej — odpowiada Maciuś wszystkich ogolę, ale mi zato zapłacicie wieczerzę.

Niemcy zgodzili się. Jeden po drugim siadał, a Maciuś raźnie machał brzytwą, i wnet kilku Niemców ogolił. Niemcy zadowoleni zaprosili go do swego stołu i raczyli wieczerzą. To ten, to ów piwa mu dolewa, a Maciuś kłapie po niemiecku i bawi ich gawędką wesołą, aż karczma się trzęsie od śmiechu.

— To pan jesteś cyrulik, pyta się jeden z Niemców?

— Nie, ja jestem człowiek co wszystko w świecie umie. Nie myślcie, że ja tylko brody golić potrafię. Ja umiem dużo rzeczy takich, o których wam się nawet nie śniło. Umiem choroby leczyć, duchy pokazywać, skarby zakopane odkrywać, ja jestem filozof. Tak prawił głupim Niemcom Maciuś.

A Niemcy gęby poroztwierali i patrzą na Maciusia. Jeden tylko gospodarz, niby niewierzy, i pyta:

— A czy pan potrafi pokazać ludzi co dawno już wyjechali, i niewiedzieć gdzie się obracają?

— Nic łatwiejszego nad to — odrzekł Maciuś – a kiedyście mnie przyjęli w taką słotę, to jestem gotów za darmo wam co pokazać.

— Prosimy pana bardzo, odrzekli Niemcy, a gospodarz szczególnie zaczął prosić i przepraszać, że go pierwej niechciał przyjąć do karczmy.

— Czekajno, pomyślał sobie Maciuś, już ja ci pokażę aż ci miło będzie.

— Kogożbyście chcieli obaczyć, zapytał dalej?

— Jabym chciał zobaczyć, — odrzekł gospodarz – tylko... żeby się kto nierozgadał przed moją żoną, chciałbym widzieć moją Kaśkę, co mi z huzarem uciekła, i pieniądze zabrała. Co też ta szelma robi, i gdzie ona jest.

— Bardzo dobrze — rzekł Maciuś — zaraz będę czarował. Tu · w tem zwierciadle nietylko pan ale wszyscy przytomni obaczą Kaśkę, panie gospodarzu.

Żona gospodarza posłyszała przez drzwi, i zaczęła zaglądać przez szparę.

Maciuś tymczasem tak prawi:

— Do tych czarów potrzeba mi talerza czystego i trochę wody na nim. Gdy mu talerz podali, Maciuś powiedział, że trzeba, aby na dany znak światło zgasili, aż do tej chwili, kiedy czary będą gotowe.

Stanął Maciuś z gospodarzem przed zwierciadłem, inni Niemcy w około nich poczęli się przypatrywać. Dał Maciuś gospodarzowi do lewej ręki talerz i kazał trzymać. Potem począł szeptać jakieś słowa łacińskie, a wszyscy myśleli że to czary. Nareszcie nakazał tak, że gdy go zacznie pytać o opis Kaśki, aby palec prawej ręki maczał w talerzu, a na sobie opisywał ją i żeby nikt słowa nie przemówił. W końcu kazał zgasić światło, a zapałki mieć w pogotowiu. Gdy światło gasili, Maciuś wydobył kałamarz z atramentem czarnym z węzełka, i zgrabnie wlał na talerz. Nikt tego nie uważa. Pyta się gospodarza:

— A miała Kaśka czoło?

Gospodarz podług nakazu, słowa nie mówi, tylko zamaczanym w talerzu palcem, smaruje po czole.

— A miała Kaśka nos? pyta dalej Maciuś.

Gospodarz znowu milczy, i tylko zasmarowanym palcem nos sobie oczernia atramentem.

— A czy miała policzki?

Gospodarz zasmarował sobie na te słowa obydwa policzki atramentem.

— A czy miała brodę?

Gospodarz smaruje brodę całą, dopiero co ogoloną.

— No, teraz dobrze — rzekł Maciuś, szczęśliwy, że mu się figiel udał. Tylko jedna rzecz jeszcze, jeżeli nie jesteście gospodarzu człowiekiem uczciwego sumienia, to zamiast Kaśki jaką poczwarę ujrzycie. Teraz proszę zapalić światło, a wy gospodarzu patrzcie w zwierciadło.

Zapalili świece, przystępują, patrzą i głośnym śmiechem wybuchają. Zamiast spodziewanej Kaśki widzą w zwierciadle twarz gospodarza, obmazaną najokropniej atramentem. Smieją się wszyscy strasznie; żona gospodarza przybiega i nuż go łajać pocznie:

— A ty nicponiu! toś ty chciał Kaśkę widzieć, a żona własna ci niczem, a dobrze ci tak, jutro cię cała wieś obśmieje.

Gospodarz zły jak djabel, rzuca się na Maciusia, i wykrzykuje po niemiecku:

— A czekaj ptaszku! to ty z porządnych karczmarzów będziesz sobie śmiechy wyprawiał? To ty durzysz ludzi i każesz im się atramentem obsmarowywać na pośmiewisko ludzkie! czekajno, dam ja ci!

Przyskoczył do Maciusia, i byłoby przyszło do bitki, ale Maciuś przygotowany był na to, cofnał się za stół i spokojnie odrzekł:

— Cóż ja wam winien! wszak mówiłem, że tylko dla tego człowieka czary mają znaczenie, kto ma czyste sumienie. Czy ja tam mógł wiedzieć, że wy już żonę macie, a o jakiejś Kaśce się dopytujecie.

Wszyscy zaczęli się na nowo śmiać z gospodarza, a ten zły poszedł do drugiej izby i zatrzasnął drzwi za sobą.

(D. n.)

Papuga.

Z kolei opiszemy wam znowu ptaka zagranicznego, który zarówno jak znany wam już struś i ptak rajski, tylko w ciepłych krajach przemieszkuje. Jak na nagłówku wyczytaliście, chcemy mówić o papudze.

Ma papuga dziób krótki a gruby, wierzchnia część dzióba jest znacznie większą od dolnej, tak że ją całkiem w sobie zakrywa i nadto jeszcze ten dziób z góry nadół jest zakrzywiony, jak to na obrazku widzicie. Głowę ma papuga szeroką i u góry spłaszczoną, a oczka bardzo zmyślne. Nogi u papug są grube, mięsiste i do wspinania się po drzewach bardzo przydatne. Różnej wielkości bywają papugi, niektóre tylko wielkości naszego gołębia, inne znacznie większe, bo prawie krukowi dorównają. Kolor ich piór jest nadzwyczaj rozmaity, a często z najświetniejszych barw złożony: zielone, złocisto-błyszczące, czerwone, czarne, siwe, żółte, białe i Bóg wie jakie tam jeszcze na nich piórka bywają. Bardzo sprytnie a poważnie łazi, i wiesza się papuga po gałęziach drzew, a żywi się ziarnami, owocami i różnemi innemi rzeczami, przyczem często łapy swej jakby człowiek ręki używa. Krzyczy papuga mocno i przeraźliwie, ma atoli wielką łatwość wymawiania ludzkich wyrazów, tak że oswojoną papugę nie trudno to i owo gadać nauczyć, podobnie jak naszego szpaka albo też srokę. Dlatego to mówią o człowieku co plecie nie w pięć ni w dziesięć koszałki opałki, alboteż cudze słowa powtarza, że g a d a j a k p a p u g a.

Papuga łatwo się daje oswoić, i w klatkach, albo też na łańcuszku uwiązana chować. Przywożą nawet papugi do nas, i zamożni ludzie sobie albo dzieciom na rozrywkę papugi chowają. Zabawny to ptak, jak zacznie przedrzeźniać i wymawiać różne słowa, których ją wyuczono. Raz przyszedłem do jednego staruszka księdza, który sobie dla rozrywki papugę trzymał. Przychodzę do pokoju i niezastaję żywej duszy. Wtem za mojemi plecami odzywa się coś i zaczyna wołać: „Dzień dobry!“ Oglądam się zdziwiony, a to papuga siedzi na drążku i wykrzykuje. Uśmiałem się razem ze starowiną księdzem, którego bardzo cieszyło moje zadziwienie. Opowiadał mi, jak mu raz

ta papuga dobrą oddała przysługę. Położył się raz ksiądz wcześnie spać, a służący wyszedł na miasto i zapomniał drzwi



Papuga.

zamknąć. Złodziej wkradł się po cichu do pokoju, i już się dobierał do skrzyni, wtem papuga usłyszała i poczęła krzyczeć. Ksiądz się przebudził, a złodziej uciekł.

Najpiękniejsze i najdroższe papugi miał u nas pan Konstanty Pietruski w Podhorodcach w powiecie skolskim. Pan ten miał u siebie ogromny zbiór bo aż 500 różnych krajowych i zagranicznych żywych zwierząt i ptaków. Miał oswojone niedzwiedzie, węże różne, gołębie, ze 200 ptaków spiewających swojskich i zagranicznych, a przytem bardzo pojętne siwe papugi afrykańskie, mówiące różne słowa, oraz gadających kruków i sojki. Szczególnie miał jednego kruka 24-letniego, który cuda

dokazywał i który dotąd jeszcze na wsi żyje. Ciekawe to stworzenie ten kruk, to też na zakończenie o nim opowiemy. Woła swego pana po imieniu, innym ptakom w klatkach rozkazuje jeść, a sobie kawy dawać, całkiem powtarza, co słyszał, że pan jego mówi. Wszystkich chłopców, którzy mu przez różne lata jeść dawali, zna i woła po imieniu.

A szczególniejszym przypadkiem, bo jużcisz naturalnie jako zwierzę, nie rozumie kruk tego, co gada, ale ponieważ pan Pietruski, gdy się z nim droczył, uczył go wymawiać: o „jaki ty nudziarz!“ więc kruk umie te słowa tak zastósować, że tylko wtenczas, gdy jest zły, wszystkich niemi traktuje. Oprócz tego plecie jeszcze wiele innych rzeczy po polsku i po rusku, przytem kaszle wybornie jak gdyby miał suchoty A gdy gada nadyma się mocno i słowa tak wyraźnie i głośno z siebie wypuszcza, że bardzo daleko go słychać. Tak rzadkiego stworzenia trza było strzedz, aby je kto nie ukradł. Zamknięto więc naszego kruka do wielkiej klatki. Tu biedaczysko począł się strasznie nudzić, i z tych nudów wpadł na myśl robienia sobie różnych rozrywek. Najprzód czepił się indyków wolno chodzących. Brał resztki jedzenia i podawał przez druty klatki indykom, a który się tylko złakomił, ten pewnie kawał dzioba utracił. Na tem się przecież nie skończyło, bo nudy rodzą złe myśli. Raz podczas zawalnej zimy zachciało się krukowi łapać wolno latające sroki. Wtym celu chował najlepsze kawałki mięsa, i podawał je z największą uprzejmością zmarzniętym i zgłodniałym srokom. Był jednak tak grzecznym, że zawsze pierwszy raz dał się pożywić sroce, a dopiero z drugą razą ją chwytał i tak długo przez szczeble klatki trzymał, dopóki ktoś nie przybył i nie odebrał zdobyczy, którą mu zawsze potem żywą na zabawę dawano. Na ostatku tak się był wprawił do tego polowania, że sobie co roku ułowił w zimie tym sposobem 3 do 4 sztuk, a ponieważ przez jedenaście lat to robił, więc do 40 srok na tamten świat wyprawił. Taki to bywa dowcip i przemysł zwierząt.

Zastaw.

Jeszcze go na przednówku nie dojadła bieda,
Lecz siadł Marcin na progu przed chatą i duma
„Chciałby się człek sam napić, poczęstować kuma,
Nie ma za co!... ha! kożuch zastawię u żyda!
Dziś już świętego Wojciecha,
I słonko dobrze grzeje i w polu pociecha!“
Wdział sukman i z kożuchem
Do pachciarza rusza duchem.
„Jankiel, zmiłujcie no się, pożyczcie talara
— Talara — rzecze Jankiel — kożuszyna stara,
Lecz wiem że u was nie zginie,
Więc dam talara Marcinie,
Ino mi z pierwszych snopków nowotnego żyta
Dwa talary oddacie z procentem — i kwita.
Stanęła zgoda, talar u Marcina,
A kożuch został u żyda;
Marcin już myśli sobie jak talara wyda,
A Jankiel tak znów zaczyna,
Wiecie Marcinie, rozłóżmy na raty,
Dla tem łatwiejszej wypłaty,
Oto zaraz talara dajcie na rachunek,
A potem kiedy, niedługo,
Zapłacicie ratę drugą,
I cały sobie z głowy spędzicie frasunek...
Oddał Marcin talara, powraca i duma,
Miałem się i sam napić i zaprosić kuma,
I znowu nie mam za co, a tem większa bieda,
Żem i winien talara i kożuch u żyda!
Oto na równej drodze dałem mu się złupić!
Ale... Jankiel ma rację... lżej będzie wykupić.
O! bodajby mógł każdy tę myśl w siebie wszczepić,
Że lepiej dać się okpić, niż grosz ciężki przepić.

Wołody Skiba.

Rozmaitości.

Niedobre dzieci. Mieszczanin pewien, kuśnierz z profesyi, miał sześcioro dzieci: trzech synów i trzy córki. Pracowity i oszczędny zebrał sobie przy boskiej pomocy ładny mająteczek i ten między dzieci po

śmierci żony rozdzielił, tak że każde dostało grosza sporo. Najstarszy syn kuśnierstwo po ojcu objął i u niego stary mieszkał. Jednakże znać sprzykrzył się ojciec synowi, bo razu jednego tak mu powiedział: Ojcze kochany! toć wiecie, że mi Pan Bóg dał syna i że teraz ciasno tu u mnie będzie, a wam też kolebka ciągleby w uszach dudniła. Więc lepiejby wam było u brata mego Józefa. On dzieci nie ma, a mieszkanie ma obszerne toby wam tam było najwygodniej. „Prawdę mówisz, moje dziecko,“ powiedział stary, wnuka ucałował w kolebce, przeżegnał na błogosławieństwo i wyprowadził się do syna Józefa. Ten był kowalem. Choć było mieszkanie bardzo obszerne i dla starego miejsca dosyć, to i Józef znowu znalazł przyczynę i powiedział do starego tak: Ojcze kochany, ciągle was głowa boli, boście wy tego kucia i hałasu kowalskiego nie zwyczajni. Tu u mnie nie może być inaczej, boć kuźnia jeno przez sień. Najlepiej by wam było u brata mego Michała. On piekarz, to i ciepło u niego zawsze, i hałasu nie ma i wygody więcej dać wam może. „Prawdę mówisz, moje dziecko,“ powiedział stary i do syna piekarza się przeprowadził. Było to tam, yło czas jakiś, ale nie zadługo to i piekarz znalazł dla starego przyczynę i tak mu perswadował: Ojcze kochany, niewiem jakby wam już najlepiej zrobić, ale tu u mnie to nocy spokojnej mieć nie będziecie i nie możecie. Tu u mnie w nocy największa robota, latanie, trzaskanie i hałasy, z rana lud się roi, jak pszczoły, cały dzień jeden wchodzi, drugi wychodzi, że to jakby w gołębniku jakim. A gdzież wy przy takich przeszkodach możecie się wywczasować, jakby wam tego na starość potrzeba! Najlepiejby wam było u mojej siostry Nepomuceny. Stary pomiarkował, sierota, że i tu się już własnemu dziecku sprzykrzył i jakoś mu się przypominać poczynała owa gadka o sikorce, ale sobie pomyślał, że u córki będzie inaczej, boć to kobiety i serce niby mają lepsze i jakoś składniejsze są do pielęgnowania. Wyprowadził się więc do córki Nepomuceny, a była ona za kołodziejem. Byli mu tam radzi, jak wszędzie z początku, szkoda tylko, że nie na długo. Córka bowiem tak do niego po niejakim czasie powiedziała: Ojcze kochany! ja jeszcze kiedy śmierć będę miała ze strachu! U nas na dole warsztat, a mieszkamy u góry, więc wy też na stare lata po wschodach musicie się drapać, a to jnż nie na wasze siły. Nogi wam się trzęsą, a ja drzę cała, ile razy was widzę zchodzącego lub wchodzącego na te przeklęte wschody. Toć wam najlepiej będzie u siostry mojej Barbary. Mieszka ona na wsi, ma izb kilka, ogród przy domu, będziecie się mieli czem rozerwać. Staremu przeszło jak nóż przez serce, ale powiedziawszy po swojemu: „Prawdę mówisz, moje dziecko,“ wyprowadził się do córki Barbary na wieś. Tam mu też było istotnie bardzo dobrze, tylko szkoda że nie na długo. Barbara bowiem, kiedy zima nadeszła, a stary kaszleć począł, z taką się odezwała radą:

Ojcze kochany, wam potrzeba być blisko doktora i apteki. Ciągle kwękacie, a tu na wsi rada trudna i mogłoby, czego Boże broń, siedm razy być nieszczęście, niżby doktór i leki z miasta przyszły. Wy też radzibyście co dzień byli w kościele a gdzież to tu ze wsi o granicę wam podobna. Więc tak sobie myślę, że najlepiej, abyście byli u mojej siostry Łucysi, boć i w mieście i przy samym kościele mieszka. Stary kochał bardzo Łucysię jako najmłodszą, więc mu się nawet i zdawało, że tam będzie najlepiej i że znajdzie u niej mieszkanie wygodne na zawsze. Powiedziawszy swoje: „Prawdę mówisz, moje dziecko,“ przeprowadził się do Łucysi, która była za stolarzem. Kiedy tam już czas niejakiś pobył i tak jakoś coraz bardziej ku kupeczce i kącikowi rzeczy jego posuwano, aż mu i ciasno zdawać się poczęło, powiedział razu jednego synek Łucysi do niego tak: Dziadku! wczoraj mama mówiła do ciotki Nepomuceny, że wam najlepiejby było w takiem mieszkaniu, jakie tatko mój robi, jak oto tam przed domem! i pokazał na stojącą przed domem — trumnę! Tego już staruszek znieść nie mógł, gorzko i gwałtownie sobie zapłakał, aż mu serce pękało z boleści na własne dzieci. Czwartego dnia leżał już w owem najlepszem dla niego pomieszkaniu, które mu zięć stolarz zrobił i dopiero z tego już go nie wypędzano.

Nędza w Paryżu. Jak wielką była nędza w Paryżu podczas oblężenia, możemy sobie wyobrazić z tego co jeden z naszych rodaków tam żyjący wycierpiał. Rodakiem tym jest sławny pisarz polski pan Seweryn Goszczyński, obecnie już człowiek podeszły i chory. Przez cały czas mięsa niejadł, bo go nie mógł dostać, żywił się chlebem samym tylko, lecz i tego w końcu zabrakło. Aby trochę wody sobie ugotować, musiał pod garnuszkiem palić książkami, bo drzewa nie było. Całą biblioteczkę swoją spalił w ten sposób, wreszcie sam biedny starzec opuchł i ciężko zachorował.

Zagadka. Przy jednym stoliku siedziało raz towarzystwo z więcej osób. Był tam 1 dziadek, 2 ojców, 2 matek, 4 dzieci, 3 wnuków, 1 brat, 2 sióstr, 2 synów, 2 córek, 2 żonatych mężczyzn, 2 zamężnych kobiet, 1 teść, 1 świekra i 1 synowa. Nadeszła kobieta z owocami; każda z tych osób wzięła sobie po jednemu jabłku, a gdy przyszło płacić, okazało się, że tylko za siedm jabłek mają zapłacić. Jak że być mogło?

[Rozwiązanie tej zagadki podamy w przyszłym numerze.]

Dobra rada.

Jechała pani w złocistej karecie,
Gdy wtem przechodząc wieśniaczka
Westchnie i rzecze: jej dobrze na świecie,
A ja wzgardzona — biedaczka!

O jakże niesłusznem było jej zdanie,
I w niem: uczucie zazdrości;
Wszak nieraz takie w atłas strojne panie
Los mają godny litości.
Ta co jechała w złotej karecie
Z pysznym zaprzęgiem u przodu,
Smutne i gorzkie łzy leje skrycie,
Choć nigdy nie dozna głodu,
Biedna, jej bardzo nie dobrze na świecie,
Bo to matka nieszczęśliwa,
Która jedyne pogrzebała dziecię —
I dziś łzy gorzkie wylewa.
Więc nie zazdrośćcie dostatków nikomu,
Bo wszędzie tutaj jest bieda:
Tak w cichej chatce jak i w pańskim domu;
I to się zmienić już nie da.
Zupełnie Bożej poddajcie się woli;
Każdy z was wiele Mu winien,
Czyli to w dobrej, czyli też złej doli —
Nie szczędźcie Jemu dziękczynień.

Złote ziarna.

Miło nam zasłużoną odebrać nagrodę,
Miło nam raz straconą odzyskać znów szkodę,
Miło, gdy rój pochlebców słodkie sypie słówka,
Miło nam, gdy w kieszeni brzęcząca gotówka,
Ale stokrotnie milej, kiedy łzę rozpaczy,
Pomoc, przysługa bratnia, w szczęście przeinaczy.
Szczęśliwym jest ten:
Kto w nieszczęściu wytrwać potrafi.

Dodatek polityczny.

Austrya. Ministeryum, które obecnie mamy, dotrzymało jedynie po części tego, co przyrzekło, mimo to, że i pan Grocholski został ministrem. Powiedziało ono bowiem na wstępie,

iż chce pogodzić ludy, które do Austryi należą, a pogodzić w ten sposób, iż da tym ludom to, czego pragną i co im się prawnie należy. Niemcy, którzy w Radzie państwa, w której dają prawa, rej wodzą, narobili hałasu i wrzawy, jak gdyby im kto chciał chleb i życie odbierać. Boć się też przyzwyczaili do panowania, ćwiczyli nasze dzieci w szkołach po niemiecku, uczyli ich nawet „Ojcze nasz“ po niemiecku, szwargotali sobie w urzędach po swojemu i trudnoby im było wypuścić to rządzenie z rąk swoich. Wszak im to już solą w oku było, że u nas teraz w naszym języku w urzędach pisują i dzieci się nasze po polsku uczą. Nuż więc kląć i wyrzekać na ministeryum. A dalibóg, nie było czego tyle harmideru robić! Ministeryum myślało sobie, że da ludom kruszki a ludy będą myśleli że to bochenki chleba. I tak, cóż było łatwiejszego, jak dać nam to, czego się Sejm nasz tylekrotnie domagał, tj. zupełnego samorządu i cesarskiego rządu czyli tam jakiegoś rodzaju Namiestnictwa, któreby było Sejmowi odpowiedzialne? Ale cóż — „trzeba się potargować“ pomyślało sobie to ministeryum i podało wniosek do Rady państwa, aby Rada ta uchwaliła dla naszego królestwa niby to, czego Sejm żądał, ale poobcinało sobie tak nasze żądania, iż wniosek Sejmowy wygląda niby kot z uciętym ogonem i uciętemi uszyma. Rok rocznie zatem musimy nabierać smutnych doświadczeń i zawodów, a nasz kraj ubożeje, chociaż mu dają jakieś tam koleje i banki, na czem żydzi najlepiej wychodzą.

W tych dniach wybrano z Rady państwa posłów do delegacyi, które obradują nad rzeczami, które do całej monarchii należą tj. i do Węgier. Z naszych wybrano: pp. Zyblikiewicza, Czerkawskiego, Wodzickiego, Horodyskiego, Czajkowskiego, Smolkę i Klaczkę.

F r a n c y a. Jakoś już tak na świecie się dzieje, że nieszczęście nie spada na ludzi samo, ale sobie przybiera jeszcze towarzyszy, które także tylko nieszczęściem być mogą. Główniem takiem nieszczęściem, jakie na Francję spadło, był, jak Wam to już tylekrotnie donosiliśmy, najazd Prusaków, które w dzikości ani Moskalowi ani poganinowi tureckiemu nie ustępowały. Złupili też, nagrabili się dowoli i obdarli tę nieszczę-

śliwą krainę i powrócili sobie do domu, aby wypocząć po wojennym trudzie pod niemiecką pierzyną. Francuzom jednak, jak Wam już w ostatnich kilku numerach napisaliśmy, nie wystarczały plagi z ręki Prusaka, nie zadowolnili się oni, że ich cudzoziemiec nabił i bezcześcił, że im odebrał, co ludziom najdroższego, tj. dobrą sławę, i zaczęli bójkę między sobą. O cóż im też chodziło, pytamy, czegoż znów własną ziemię krwią bratnią poją? Odpowiedź na to łatwa, choć bardzo boleśna. Zgromadzenie narodowe i rząd pana Thiersa chce dla siebie władzy, a kilka zawieruszonych ludzi w Paryżu dla siebie. A nikogo nie ma, ktoby mógł ten spór rozstrzedz. Panu Bismarkowi bardzo przyjemnie, że Francuzi sobie włosy obopólnie wydzierają, a tak, jak pan Bismark każe, tańczą inni. Dlatego Francuzi chwycili za karabiny i działa i nuż plwać znich ołowiem na braci. Bóg jednak wszechmocny dopuszcza kary, ale nie chce by człowiek pod tą karą upadał, lecz owszem, aby się poprawił i podniósł. Za Jego też wolą niebawem te domowe zatargi ustaną i Paryż będzie się musiał wreszcie poddać wojskom Zgromadzenia narodowego i rządu, który przecież z woli narodu został ustanowiony. Krwi nasączyło się niemało, lecz jak spodziewać się można, na ziemi, która się tyle krwi napiła, urośnie wolność i miłość do tego pięknego a nieszczęśliwego kraju.

Tymi dniami załatwiono ostacznie sprawę zawarcia pokoju. Oto w mieście leżącem na granicy Francyi i Niemiec t j. w Frankfurcie, zjechał się pan Bismark z panem Favrem, francuzkim ministrem i zgodzili się wreszcie na warunki pokoju, które już dawniej ułożone zostały, a król pruski, czyli teraźniejszy cesarz niemiecki upuścił z tej ogromnej sumy, jaką Francuzi Niemcom zapłacić mieli pięćset milionów franków, tj. dwieście pięćdziesiąt miljonów reńskich według naszej rachuby.

Taką to sumę zapłacono już jako ratę niemieckiemu lichwiarzowi.

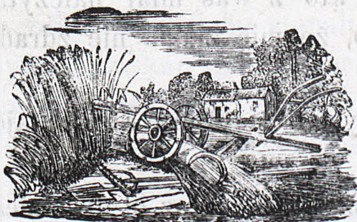
Redaktor odpowiedzialny Kazimierz Okaz. — Wydawca Stanisław Justian.

Z drukarni E. Winiarza we Lwowie.

Tom III. 21. Maja 1871. Nr. 15.

Rok dwunasty.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Co Maciek z Niemcami dokazywał.

(Dokończenie).

Skoro gospodarz odszedł, wnet się wszyscy ze śmiechu opamiętali. Bardzo im to markotno było, że człowiek, którego pierwszy raz w życiu widzą, takie z nich stroi żarty i kpiny. Przystąpili do Maciusia, i nuż mu robić gorżkie wyrzuty, a nawet pogróżki.

Ale Maciuś nie dał się przestraszyć. Popatrzył groźnie po Niemcach, i z całego gardła huknął:

— A cóż to wy sobie myślicie! Zamiast mię przyjąć, wypędzaliście mię z karczmy, zamiast częstować mię, wy się odgrażacie? Czyż nie powiedziałem żem filozof, tak, ja jestem wielki czarownik, jak tylko słowo powiem, a całą waszą karczmę z wami razem djabli porwą i zaniesą do piekła. Strzeżcie się, powiadam wam.

Niemcy przestraszyli się nie na żarty, i poczęli przepraszać Maciusia. Maciuś się udobruchał pozornie, ale wciąż myślał, jakiego im jeszcze figla wyciąć. Udał zupełnie zgodę, a gdy przed nim szklankę z piwem postawili, odezwał się:

— No tak, to ale, to rozumiem. Za grzeczność należy się grzeczność. Otóż wam teraz powiem, po co tu do waszej wsi

przyszedłem. Rzecz to bardzo ważna, a korzyść dla was niemała będzie, byle kto z was miał należytą odwagę. Tylko proszę was o słowo, że mię żaden nie zdradzi, a także proszę o pomoc.

Niemcy ponamyślali się, przyrzekli tajemnicę, a Maciuś tak prawić począł:

— Tu we waszej wsi, zaraz ot dwadzieścia jeden kroków za tyłem tej karczmy jest wielki skarb zakopany...

Niemcy nastawili uszy.

— Ale, — prawił Maciuś — nie tak łatwo dobrać się do tego skarbu. Trza na to pochmurnej nocy jak naprzykład dzisiejsza, a przytem nielada odwagi. Bo tego skarbu nieczysta siła strzeże. Trza całkiem cichutko o samej północy podkraść się, i cichutko kopać, aż się do skrzyni pełnej złota dobierze. Nadewszystko trza się cicho sprawować, bo gdyby tylko zły duch co posłyszał, zaraz robocie całej przeszkodzi, a nawet złego narobić gotów. Dlatego mówię wam, trza uważnie to robić, bo gdyby nawet kot tylko na dachu się odezwał, albo kogut tylko gdzie zapiał, zaraz zły duch co skarbu strzeże, obudzi się i gotów wszystkich żywcem do piekła porwać. Miałem ze sobą towarzysza, ale ten zląkł się w końcu, i nie chciał iść ze mną. Będę musiał szukać innych ludzi.

Na te słowa Niemcy poczęli cicho między sobą się naradzać. Bali się złego ducha, ale żądza złota, przemogła tę obawę. Aż sześciu Niemców podniosło się i rzekło, że bądź co bądź pójdą po skarb.

— Ha, doskonale — odparł Maciuś — chociaż to prawda, że z sześcioma aż dzielić się, to niby trochę za nadto, ale lepiej coś, jak nic. Więc czekajmy do pół nocy, a potem pójdziemy na robotę. Jedno tylko dodam, że gdyby przypadkiem pies, kot, kogut albo inne stworzenie się ozwało, to natychmiast trza się plackiem kłaść na ziemię, i milczkiem na czworakach do karczmy uciekać, bo wtenczas nieporadna to godzina. Gotów zły duch wszystkim sadła zalać za skórę.

Niemcy niedali się przestraszyć. Siedzą, piją piwo, Maciusiowi nalali, i czekają północy...

Wtem bije północ. Maciuś przypomniał zalecone reguły, kazał wszystkim rozebrać się do koszuli, aby im lżej było do roboty, kazał buty zdjąć, aby cicho stąpali, wreszcie rozkazał wziąść łopaty, a światło w karczmie pogasić.

Zrobili Niemcy jak przykazał. Zgasili światło, i suną po ciemku za Maciusiem, który wziął z sobą kota z karczmy, ale tak, że nikt nie widział. Stanęli w tyle karczmy. Maciuś ustawił ich szeregiem, kazał się wziąść za ręce. Sam stanął na lewym rogu, naprzeciw kładki, która przez kałużę za karczmą prowadziła. Wymówił znowu jakieś łacińskie słowa, i kazał powoli iść wszystkim w jednym szeregu. Idą wszyscy — leżą w kałużę, ale wciąż walą naprzód, a Maciuś wlazł na kładkę i tylko kroki rachuje. Rachuje Maciuś: jeden, dwa, trzy itd. aż do dwadzieścia jeden, w tem szepnął wszystkim po cichu, aby stanęli. Niemcy stoją i czekają. Wokoło noc ciemna, że choć oko wykol. Maciuś chwycił silnie kota za ogon, zakręcił, aż kot na głos huknął: miau! miau!

Niemcy struchleli i podług przepisu plackiem padli w kałużę. Jaki taki odrzeka się już skarbu, i przekliną tą kąpiel nocną w śmierdzącej kałuży. Ale co się który podnieść albo ruszyć chce, zaraz Maciuś kota za ogon ciągnie, kot miauczy a Niemcy cicho leżą w ogromnym strachu.

Wreszcie schylił się Maciuś i szepcze: oj, licho z nami czekajmy już tak do rana, nie ruszajmy się, żeby się nam co gorszego nie stało. Niemcy kłapią zębami ze strachu, i leżą w błocie. Tymczasem Maciuś po cichutku wymyka się, siada pod karczmą i śmieje się z durnych Niemców.

Wnet mu inna myśl przyszła do głowy. Wchodzi do środka karczmy, woła gospodarza i pozostałych aby szli w pomoc tamtym. Niechcieli z razu, ale że to już świt niedaleko wnet się opamiętali, wzniecili światło i idą patrzeć za karczmę. Patrzą, aż tu Niemczyska tylko w koszulach leżą w kałuży. Znowu śmiech z początku, ale potem odgróżki i przekleństwa. Porwali się wszyscy na Maciusia, śmiech było patrzeć na tych Niemców w koszulach powalanych całusieńko w błocie; ale dla Maciusia nie było tam wiele żartu. Mimo to nie chciał uciekać. Wyjął z zanadrza paszport i ukazuje przytomnym, jako on jest

tudentem ze Lwowa i wraca do swego domu, a zatem żadnym nie jest włóczęgą, i że nie wolno im jego karać. Niemcy nie wiele patrzyli na paszport, ale gdy Maciuś podniósł swoją sękatą laskę do góry, wnet też dali spokój.

Chciał tedy Maciuś iść już swoją drogą, ale tu mu Niemcy nie dają. Jeden do drugiego szwargocze, że taki trza go przynajmniej odwieść do miasteczka, i przystawić do sądu, aby go tam należycie ukarali. Mówi ten i ów, że szkoda zachodu, że na co się na większy śmiech ludzki wystawiać, ale kilku postawiło na swojem, szczególnie gospodarz. Ten prawi:

— Wszakci i tak jarmark dziś będzie w miasteczku a ja pojechać muszę, więc niech się was ze dwóch przysiędzie na moim wozie, w środek weźmiemy tego panicza, i tak zawieziemy go do sądu.

— Zgoda — odpowiedzieli przytomni. — Rzeczywiście kilku z nich miało interes do miasteczka, to też radzi byli, że się przejadą na wózku gospodarza, a przytem naszego studenta oskarzą i sądowi oddadzą.

Ale najbardziej zadowolonym ze wszystkich był nasz student. Właśnie mu droga dalsza wypadała na miasteczko, bo wioska jego rodzinna tuż przed samem miasteczkiem na jakie ćwierć mili leżała. Uradowało go, że nietylko sobie figlów nabroił ile mu się żywnie podobało, ale nadto nie będzie potrzebował kilka mil piechotą dalej iść, tylko Niemcy go za darmo odwiozą. A co tam w sądzie będzie, pomyślał sobie, to już mniejsza rzecz. Jakoś damy sobie radę.

Niepokazywał tedy nic po sobie, nibyto opierał się z początku, ale potem jakby zmuszony koniecznością, wsiadł na wóz między dwoma Niemcami i pojechał.

Z początku szła droga jako taka. Gospodarz raźno poganiał koniki, a Niemcy wszyscy, bo aż trzech ich się przysiadło, milczeli uparcie. Niechcieli nawet gadać z Maciusiem. Ale to nasz Maciuś nie lada sztuka; jak zaczął mówić, a przygadywać, to i Niemcom języki się rozwiązały. Poczęli wszyscy mówić, i jakoś nie żle im szło w pogadance. Mało co byliby zapomnieli, że oni Maciusia do sądu wiezą, i tam go mają oskarzyć. Ale nasz Maciuś, zuch nad zuchy, ani pomyśli o są-

dzie, i wciąż to poważnie z Niemcami gada, to znów z nich kpinki stroi. Nagadał im o gospodarstwie, o uprawie lnu, aż Niemcy radzi, że takiego uczonego mają między sobą; to wnet znowu poczyna o polowaniu rozpowiadać. Mówi jak to ludzie różnych używają sposobów na zwierzęta, jak się sidła zastawia na ptaki, jak się lisy z jam wykurza, jak można wilków w połapki zwabiać. W końcu pocieszne opowiada historje o różnych polowaniach.

— Ale nikt by nie uwierzył — powiada Maciuś — co to się stało w jednym kraju. Był to dziwny kraj. Jak najstarsi ludzie tam zapamiętali, nikt na żywe oczy niedźwiedzia ani wilka nie widział. Słych tylko chodził o drapieżnych zwierzętach, co po innych krajach ludziom i bydlętom dokuczają. Znali tam ludziska tylko owce, konie, woły, psy i inne domowe zwierzęta. Żyli spokojnie, i ani myśleli o zwierzętach drapieżnych. Wtem jednego dnia przylatuje gajowy z wielkim strachem do wsi, i rozpowiada, że pod miedzą blisko lasu ujrzał straszne zwierzę z długiemi uszami. Wszyscy postraszyli się mocno, bali się aby to zwierze na ich chaty nie napadło. Wysyłają dwóch najodważniejszych młodzieńców, ci idą, oglądają i opowiadają dziwy niesłychane. Mówią że tam pod drzewem spi straszne zwierzę, wprawdzie nie wielkie, ale zawsze nie ma z niem co żartować. Gotowe wszystkich pokąsać. Wnet też mieszkańcy tego kraju uradzili, że trzeba bądź co bądź to zwierzę zabić. Uzbroili się wszyscy, jeden porwał siekierę, drugi młot, trzeci starą strzelbę; czwarty drąga porządnego uchwycił, inny kocinbę, ot co komu pod rękę wpadło. Idą poważnie a powoli i zbliżają się do legowiska tego strasznego zwierzęcia. Zwierzę to nic innego nie było, jeno poczciwy zając, który podjadłszy sobie, zasnął na miedzy pod drzewem. Usłyszawszy kroki przychodniów zając zerwał się i uciekł w las co żywo.

— A cóż to za głupi naród — rzekli Niemcy — co zająca nawet nie zna; aż to byli tchórze!... jakiż to naród, powiedźcie panie studencie?

— Ha! to byli Niemcy, a może i wasi ojcowie... — odrzekł Maciuś!

Niemcom nie w smak ta odpowiedź. Zgrzytnęli zębami ze złości ale milczą.

Popatrzył Maciuś po Niemcach, zobaczył, że tą powiastką jeszcze gorzej ich pogniewał. Myśli sobie: możem też im za grubo nagadał i nawyśmiewał z nich; — choć to w sądzie trudno by mi co zrobili, ale trza zawsze zawczasu pomyśleć o sobie. Myśli tedy i myśli Maciuś, w końcu zaśmiał się na głos. Przypomniał sobie powiastkę, co to ją przed kilku laty w Dzwonku czytał. Postanowił sobie, tak samo zrobić, jak tam było opisane. Sięga tedy do węzełka i wyjmuje flaszeczkę z kroplami od bolu zębów, udaje że krople zażywa. Niemcy popatrzyli i pytają co to takiego.

— Ot nic — rzecze Maciuś — zwyczajnie to lekarstwo.

— A od czego — pytają Niemcy.

— Ot długo by było o tem gadać. Zwyczajnie lekarstwo i kwita. Rzekł i popił znowu z flaszeczki.

— Ależ — rzekli znowu Niemcy ciekawi, od czegoż to lekarstwo?

— No, jeźli już tak chcecie, to wam i powiem, choć dawna to historja:

Przed dziewięciu laty miałem wypadek. Pies wściekły pokąsał mię.

Niemcy rzucili się na siedzeniach ale Maciuś jak by tego nie uważał ciągnął dalej.

— Otóż pies wściekły mię pokąsał, ale dobry lekarz mię wyleczył z ran. Dał mi tylko to lekarstwo, abym co roku o tym czasie, kiedy mię pies pokąsał, zażywał lekarstwa. Powiedział wyraźnie, że gdy w dziewiątym roku po ukąszeniu będę zdrów, to już zupełnie nie mam się czego bać. Dlatego też teraz zażywam to lekarstwo, bo dziś właśnie dziewięć lat temu. Ot śmiejcie się razem ze mną, nic mi już nie będzie.

Niemcy zaczęli się nibyto śmiać, ale nie od serca im szedł śmiech. Co chwila spoglądali na Maciusia, ale ten siedział spokojnie i fajkę palił. Ujechali jeszcze pół mili. Wtem Maciuś rzuca się na siedzeniu, przewraca oczy, i stęka. Niemcy krzyczą na głos: co panu?

Maciuś dobył flaszeczki, popił trochę i znów spokojnie siedzi. Odpowiada Niemcom, że mu się tak trochę niedobrze zrobiło ale już przeszło. Niebardzo się tem Niemcy uspokoili, ale jadą i koniki coraz bardziej napędzają. Maciuś wciąż tylko popija swoje lekarstwo, a czasem stęknie, to znowu zębami zgrzytnie. Niemcom aż strach przechodzi przez skórę, siedzą jak na żarzących węglach. Do tego Maciuś jakby nigdy nic opowiada im o różnych ludziach pokąsanych przez wściekłych psów, o ich napadach, i coraz większego strachu Niemcom napędza. Opowiada, że najgorzej, jak taki człowiek wody się zacznie bać, to już pewny znak wścieklizny.

Jadą, wtem ujrzeli zdaleka miasteczko, duch wstąpił w Niemców. Ujechali kawał drogi i już są przed samem miasteczkiem. Przed miasteczkiem była wiosko rodzinna Maciusia, dalej za nią mała rzeczka i zaraz za rzeczką poczynało się miasteczko. Otóż w skutek deszczu rzeczka wezbrała i wystąpiła trochę, tak że się nielada porobiły kałuże pełne wody i błota. Skoro tylko nad rzekę wjechali, nasz Maciuś począł się strasznie trząść i zgrzytać zębami. Niemcom mało co dusza nie wyskoczy, taki strach mają. Aż tu wjechali w największą kałużę, Maciuś się rzucił na siedzeniu i huknął z całego gardła jak pies: hau! hau!

Na ten krzyk już Niemców niebyło na wozie, zeskoczyli przerażeni i wpadli w uczciwe błoto. Maciuś coraz głośniej ujada, niby pies, a Niemcy przez błoto w nogi. Gonią i uciekają, błoto chlapie i bryzga, a Maciuś wciąż szczeka i ujada. Wreszcie począł się śmiać, zadowolony ze swego figla chwycił lejce od koni i prosto jedzie do miasteczka. Zajechał do pierwszej karczmy, konie powierzył karczmarzowi, a sam napisał kredą na drzwiach karczmy: „Macie nauczkę! pamiętajcie teraz na drugi raz być gościnnymi a biednych podróżnych za drzwi nie wyrzucajcie.“

Napisał to, pokazał karczmarzowi, i nakazał mu, aby gdy Niemcy przyjdą po swoje konie, wprzód im to pismo pokazał, a potem dopiero konie im oddał. Sam zaś poszedł piechotą do swojej wioski rodzinnej, gdzie go ojciec z upragnieniem ocze-

kiwał. Tu rozpowiedział całą historyę swojej podróży, z czego niemało było śmiechu w gromadzie.

Niemcy widzieli, jak Maciuś ich końmi do miasteczka pomyka, widzieli z daleka, że do karczmy zajechał, ale nie mieli odwagi gonić za nim. Dopiero po dobrej godzinie przyszli do karczmy, a tu na swój wstyd wyczytali napis na drzwiach. Spojrzeli po sobie, powstydzili się, ale w końcu przecie rzekli, że się nie gniewają, bo miał słuszność. Jak byli, tak wszyscy sobie przyrzekli, na drugi raz być lepszymi i gościnniejszymi. Rozpytali się o Maciusia, zkąd on i kto, i posłali mu ładny list z przeproszeniem, a oraz że do niego urazy nie mają. Prosili go, aby ich kiedy odwiedził, a oni go pewnie lepiej przyjmą niż ostatnią razą.

Maciuś chodził jeszcze potem do szkół, wreszcie ukończył nauki. Został porządnym co się zowie adwokatem w sąsiedniem miasteczku i starego ojca zabrał do siebie. Żyje on dotąd, sprawy i procesa ludzkie prowadzi sumiennie a uczciwie, to też wszyscy go błogosławią. Właśnie dowcip jego doskonale mu służy do prowadzenia interesów. Wieśniacy go kochają jako swego i z całem zaufaniem jemu swe sprawy powierzają a nie idą do nieuczonych pisarzów, bo wiedzą że Maciuś człowiek uczciwy a przytem uczony. Sprawę poprowadzi w sądzie co się zowie, a nie zdziera za to. Sami Niemcy do nikogo tylko do niego się udają, a on im zawsze stare figle przypomina.

Stach ze Lwowa.

Wełna i bawełna.

— Powiedzcie mi też Wojciechu, wy co tyle mądrych książek czytacie, czemu to teraz sukna takie liche? Ledwo człowiek trochę ponosi, i to od święta, a już ci się zaraz wytrze tu i owdzie, i gdyby się nie uważało, to wnetby można dziurami świecić na łokciach. Tak pytał gospodarz Adam Skowronek swego sąsiada, gdy się rozgadali w Niedzielę po drodze z kościoła.

— Także pytacie — odpowiedział Wojciech Stokłosik — ot ludzie chcą wszystko tanio mieć, to też ci co sukna robią, kręcą jak mogą byle sukno taniej mogli sprzedać.

— Ba dobrze — przerwał mu Adam — cóżby tak znów mogli kręcić, ot sukno z wełny muszą robić, a czy tam wełna taka czy inna zawszeć ona trwała. Ot kapota, co mi po ojcu została, dotąd jeszcze dobra; i ja nosiłem ją długo, i na syna kazałem ją skroić a przerobić, i jeszcze dziur nie ma. Coś tam inna musi być temu przyczyna.

— Ależ nie inna tylko ta, którą powiedziałem, odpowie Wojciech. Przerwaliście mi w mowie, to i nie dokończyłem. Otóż ludzie chcą mieć tanio sukno, a fabrykanci muszą go tanio dostarczyć. A więc robią to sukno rzadszem, dają mniej wełny, a do tego jeszcze mięszają bawełnę. Bawełna jest znacznie tańsza, ale też zato i mniej trwała.



Lama.

— Jakaż bo też różnica między wełną, a bawełną? — zapyta Adam. Wciąż słyszę jak ludzie o tem mówią a właściwie dobrze nie wiem. Możebyście mnie o tem oświecili, jeśli łaska.

— Najchętniej, tylko że trochę musiałbym więcej mówić, a to staremu i trudno w taki upał jak dziś dużo mówić. Ot zajrzę do was wieczorem, gdy pochłodnieje, do waszej chaty,

siądziemy sobie, i wam rozpowiem. A może też wasza i dziatki posłuchają, bo zawsze to ciekawe.

— A kiedy tak, to bardzo was proszę. Dawnoboście u mnie nie byli, mieszkacie aż na końcu wioski, i chyba tylko w Niedzielę ta święto was ujrzeć, bo jużto w karczmie was ani szukać. A ja was chętnie słucham, i rad u siebie widzę. Znajdzie się i kubek piwa, i fajeczkę będzie czem nałożyć, a za to nam opowiecie.

— Bóg wam zapłać. Chętnie wam lubię opowiadać, bo umiecie słuchać uważnie, a kufel piwa staremu nie zaszkodzi. Wódki nie pijam, jak wiecie, ale szklanką dobrego piwa nie wzgardzę w Niedzielę, alboteż i po pracy na posiłek.

— Przyjdźcie tylko niezawodnie, będziemy was oczekiwali.

Rozeszli się gospodarze każdy w swoją stronę. Wieczorem stawił się w słowie Wojciech. Przyszedł, pochwalił pana Boga, i począł gawędzić. Obejrzał koniki, które Adam kupił na ostatnim targu w miasteczku, obejrzał całe obejście, do ogródka zajrzał, cieszyło go że wszędzie porządek i dostatek. Tymczasem żona Adama zastawiła stół przed chatą pod drzewami. Przekryła stół cienkim obrusem, postawiła misę ziemniaków, białego chleba bochen, masła osełkę, sól i spory dzban piwa z sąsiedniego browaru.

Wojciech z Adamem wrócili tymczasem, i zaproszeni przez hożą gosposię, żonę Adama, zasiedli do wieczerzy. Wojciech pięknym naszym polskim zwyczajem przeżegnał siebie i dary boże, poczem wszyscy ochoczo poczęli zajadać. Gdy się posilili, zapalił Wojciech fajeczkę, upił trochę piwa z kubka, który mu Adam podstawił, i począł mówić, a obecni słuchali z uwagą.

— Pytaliście mnie Adamie o różnicę między wełną a bawełną — prawi Wojciech — otóż co wiem, to wam opowiem. Wełna pochodzi z owiec i innych owcom podobnych zwierząt, bawełna zaś z roślin. Jak wszystko co ze zwierząt pochodzi, tak i wełna znacznie jest mocniejszą i trwalszą od rzeczy, które z roślin otrzymujemy. Łatwiej pielęgnować roślinę, niż owcę chodować, którą trza żywić i karmić, przeto droższą jest wełna z zwierząt od bawełny. Naprzód wam pokrótce opowiem

o wełnie samej. Wiecie że z owiec pochodzi. Otóż od bardzo dawnych już czasów wpadli ludzie na myśl aby owce chodować, postrzygać ich włos, i z tego włosu czyli wełny wyrabiać różne przedmioty do odzienia służące. Mało gdzie jaki kąt na ziemi gdzieby ludzie owiec nie chodowali. Wszędzie, w gorących i zimnych krajach są owce, chociaż różne od siebie przezto, że w innych krajach żyją i odmiennem posilają się pożywieniem. Jedne dają mniej, drugie więcej wełny; jednych gruba i ostra, drugich cienka i miękka jak jedwab. Najlepszą wełnę dają owce w kraju zwanym Hiszpanią. Tam owce zupełnie wolno żyją, i same sobie pokarm na górach znajdują, nie potrzebują żadnej owczarni, ani ciepłych stajen na zimę. Owce tamtejsze zowią Merynosami; do nas często bywają sprowadzane na rozpłodek, aby gatunek naszych owiec przez mięszanie z tamtemi poprawić. Ale nie dość tego mięszania różnych gatunków owiec, trza nadto, aby owczarz znał się na stosownej paszy, na chorobach owiec i ich leczeniu, żeby wiedział, kiedy i jak najlepiej postrzygać, bo od tego zależy dobroć i ilość zestrzyżonej wełny. Dobra owca przy należytem obchodzeniu się i dobrej paszy daje siedm do ośmiu funtów wełny, ale kto sobie źle i niedbale postępuje, ten ledwie dwa funty uzyska!

Tu Wojciech poprawił ogień we fajeczce, i dalej prawił:

U nas zazwyczaj w maju owce strzyżą. Owóż należy naprzód owce doskonale w umyślnych sadzawkach albo stawach umyć, potem ususzyć i strzedz. Dalej rozdziela się wełnę na dobrą i na gorszą, a potem pakuje do worów wielkich i posyła przez kupców do fabryk sukna. We fabrykach w jednych wełnę przędzą, w drugich uprzędzoną wełnę na sukno tkają. Przed wszystkiem we fabryce wełnę mydlą i parzą, a to dlatego aby z niej wyprać tłustość naturalną. Gdy już sukno zdejmą z warsztatu, wtedy je oczyszczają ze supłów, jako że bardzo jest kosmate i nierówne, poczem je płuczą i farbują, jeśli tego potrzeba, w końcu postrzygują i prasują aby było gładkiem i ładnie wyglądało. W taki sposób robią piękne i drogie sukna, także pośledniejsze, następnie baje i koce, flanelę, dywany itp. Nasi też ludzie po wsiach umieją tkać na warstatach albo bić

grube sieraki, a to z wełny owiec najpośledniejszych, jako najtańszej.

Lecz i z innych zwierząt owcom podobnych robią różne materye. Różne gatunki kóz, chodowanych w Azyi mają do wełny podobny włos, często nawet daleko miększy i jedwabisty. Z takiej wełny tkają bardzo piękne ale też i drogie wyroby, jak np. szale zwane kaszemirskiemi. W Ameryce są zwierzęta podobne nieco do naszych owiec, zwące się lamy, których włos miękki do wyrobienia różnej przyodziewy służy.

Tu wyciągnął Wojciech książkę z różnymi ciekawymi obrazkami, i pokazał rysunek lamy, podobniusieńki temu, który dla naszych czytelników załączamy. Wszyscy oglądali obrazek, a Wojciech prawił dalej:

— Lama nie ma ani garbu, ani rogów. Główkę ma kształtną i ściągłą, na niej uszy długie i stojące, oczka wesoluchne, szyja długa i wdzięcznie wygięta, a zamiast sierci miękkie, wełniste runo. Wielkością dochodzi lama naszego jelenia. Żyje stadami po górach jako zwierzę domowe, gdyż od dawnych już czasów Amerykanie ją oswoili. Chowają ją Amerykanie troskliwie, bo wielki z niej mają pożytek. Prócz skóry i mięsa, mają z lamy wełnę i doskonałe mleko, a nadto używają jej do noszenia mniejszych ciężarów po górach. Podobnie jak nasze bydło, bywa lama różnej maści, najpospoliciej atoli bywa koloru śniadego. Spokojne to i miłe zwierzę, a nadewszystko nader pożyteczne dla ludzi.

Tak więc przemysł ludzki potrafił z wełny zwierząt użytkować i trwałe robić sukna i materye, tak też potrafił i z włókna roślin korzystać, potrafił wydobyć z lnu płótno, z konopi wysnuć przędziwo, z innych znowu roślin bawełnę.

Tu spoczął na chwilę Wojciech, a później rozprawiał o bawełnie, o czem w następnym numerze opowiemy. (D. n.)

MIŁOŚC SŁONECZNA
(Sielanka Krakowska.)

I.

Wschodzi słonko nad Krakowem,
Przegląda się w Wiśle,
Tobie Zosiu nie jest nowem,
Co czuję i myślę.
Ale ufam w serce twoje,
Chociem nie bogaty..
Tylko matki twej się boję,
Czy przyjmie me swaty?

Wiesz, że nie mam swojej woli,
Kochany mój Stachu!
I mnie dawno główka boli,
Ze smutku i strachu...
Lecz choć serce swej miłości,
Oko łez się tai,
Matuleńka bez litości,
Innego mi rai.

Może darmo siebie straszę,
I ciebie — ma droga!
Jeszcze przyszłe szczęście nasze,
W świętej woli Boga.
Bądźmy dzisiaj na niesporze,
Pomódlmy się szczerze.
Ja przed matką się ukorzę
I czołem uderzę.

II.

Zaszło słonko nad Krakowem,
W Wiśle nie przebłyska,
Nie wymówi serce słowem
Jaki ból go ściska.
Nie czekałaś mnie troszeczka,
Za innegoś poszła;
Oj widać, że mnie dzieweczka
Jeszcze niewyrosła

Nie czekałam, bo musiałam,
Kazała mateńka;
Lecz Bóg świadkiem, jak kochałam
Mojego Stasieńka.
Znać w tem Boska była wola,
Któż się jej sprzeciwi?
Choć nie wspólna nasza dola,
Bóg nas uszczęśliwi.

Jak wierzyłem, tak ci wierzę,
Gołąbeczko biedna!
Bom cię zawsze kochał szczerze,
Tyś mi była jedna!
Znać w tem Boska wola była,
Walczyć nadaremno.
Obyś z drugiem szczęśnie żyła,
Gdy nie mogłaś ze mną!

III.

Świeci słonko nad Krakowem,
Świeci Wisła cała.
A witajcie szczerem słowem,
I Bogu bądź chwała!
Czyście zdrowi, czy weseli,
I jak dziatwa wasza?
Moja Kachna, przy niedzieli,
Wszystkich was zaprasza.

Witajcie nam w naszej chacie
Kochany sąsiedzie!
Dzięki, że nas pamiętacie,
I w szczęściu i w biedzie.
Pojedziemy—lecz postawcie
Koniki przy żłobie,
Chwiłkę z nami tu zabawcie,
I spocznijcie sobie.

Stach zasiadł z mężem Zosi
Do stoła przy dzbanie,
Zosia na prędce przynosi,
Z alkierza śniadanie.
I ci, co się nie pobrali,
Znać przez sąd niebieski,
Przyjaciółmi pozostali,
Do grobowej deski...

Jan Prusinowski.

Rozmaitości.

Rozwiązanie zagadki umieszczonej w Nr. 14. Towarzystwo składało się ze siedmiu osób, mianowicie: z jednego starca i jego żony, tudzież syna ich, z żoną i trzema dziećmi, z których jedno było chłopczykiem, a dwoje dziewczynkami.

Złote ziarna.

Niechaj cudze cierpienie śmiechu nie wywodzi,
Chcesz-li komu dopomódz, niechaj chęć niezwleka;
Wszakże wiesz, że nieszczęście jedną drogą chodzi,
Co jego dziś spotkało, ciebie jutro czeka.

Choćby winę miała, szanuj sługę starą,
Abyś nie miał nowej z podwójną przywarą.

Dodatek polityczny.

Austrya. Z Wiednia gdzie ciągle jeszcze odbywają się posiedzenia Rady państwa nie ma żadnych ważniejszych nowin. Posłowie z Galicyi układają się z ministrami, aby dla kraju uzyskać różne prawa, ale zdaje się, że i tą razą nic z tych wszystkich zachodów nie będzie, i że Niemcy, którzy się nauczyli wszędzie rozkazywać i panować, jeszcze nie tak prędko przystaną na nasze żądania. Teraz podali posłowie niemieccy w Radzie państwa adres do cesarza, w którym piszą, że niezgadzają się z teraźniejszymi ministrami i życzyliby sobie żeby cesarz innych sobie przybrał. Co cesarz nato odpowie, to jeszcze nie wiedzieć.

Francya. Pisaliśmy wam już w ostatnim numerze jakie to nieszczęścia i klęski spadły na biedną Francyę. Najgorsze z tego wszystkiego jest, że między samymi Francuzami niema zgody. Między mieszkańcami miasta Paryża a rządem zgromadzenia narodowego i jego wojskami przyszło do strasznej krwawej walki. Oj straszna to wojna, gdzie ludzie jednej wiary, jednego narodu, jednej mowy i jednakich obyczajów biją się między sobą. Dobrze to ludzie mówią, że niema gorszej nienawiści jak nienawiść między braćmi. Niech Bóg ochroni każde miasto od tego co się teraz dzieje w Paryżu! Wojska francuskiego zgromadzenia narodowego zdobyły najpierw twierdze koło Paryża, które były w ręku zbuntowanych Paryżan — potem armatami zrobili wyłom w murze, który otacza samo miasto Paryż i weszli do środka.

Marszałek Mac-Mahon dowodzący wojskami zgromadzenia narodowego zawezwał po raz ostatni gwardję paryzką by się poddała. Paryżanie niechcieli się poddać, dalej więc wewnątrz miasta prowadziła się straszliwa walka. Na ulicach między kamienicami na kilka piątr wysokiemi kopano głębokie rowy i sypano wały — na wały zataczano armaty, z dachów, z okien i piwnic nawet strzelano do wchodzącego wojska. Paryżanie bronili się; obie strony biły się z wściekłością. Wojska zgromadzenia narodowego musiały każdy dom, każdą ulicę osobno zdobywać. Podczas tych krwawych walk, od ciągłych strzałów

karabinowych i armatnich i od tych nowo wynalezionych bomb zaczęły się palić różne budynki w mieście. Rozumie się, że o gaszeniu nikt nie myślał, to też płomień ogromne poczynił spustoszenia. Pałac w którym dawniej mieszkał cesarz Napoleon III. z rodziną, zwany Tuilerie, zgorzał do szczętu. Gdzie dawniej stały pyszne mury które w każdym wzbudzały podziwienie, dziś leży tylko kupa dymiących się gruzów. Jakie to tam bogactwa i kosztowności, jakie obrazy, drogie materje i złotogłowia poszły z dymem, to już wam niepotrzebuję opisywać, boć każdy wie, że cesarz francuzki nie mieszkał lada jak, ale miał wszystko, czego tylko dusza zapragnie. Kościół św. Magdaleny i ratusz miastowy także spłonął. Także kościół Matki Najświętszej zwany Notre Dame, Luwr gdzie są kosztowne obrazy, i inne budynki rządowe mocno są od pożaru uszkodzone. Wreszcie mnóstwo domów i pałaców należących do hrabiów i książąt fancuzkich spaliło się do szczętu! Cóż to za straszna klęska i któż zdoła obliczyć te straszliwe szkody jakie przyniosła ta straszliwa wojna domowa. Gazety donosiły nawet że pod pałac luksemburski podłożono proch i wysadzono go w powietrze. Bogu dzięki wiadomość ta niepotwierdziła się i tak został uratowany prześliczny obraz Matki Boskiej włoskiego malarza Rafaela Sanzio, do którego ludzie z całego świata schodzili się, aby go podziwiać. W chwili kiedy to piszemy w Paryżu ciągle się jeszcze biją. Strasznie się tam ludzie rozżarli, nawet umarłym niedają spokoju na jednym z największych cmentarzów Paryża także walczą i z po za kamiennych grobowców strzelają jedni do drugich. Powiadają, że w tych walkach padło już samych Paryżan około 6000, a ze 12 tysięcy wzięły wojska zgromadzenia narodowego do niewoli. Smutne to wiadomości, które wam podajemy, smutno to że dzieci jednej ziemi którzy do niedawna bili się z pruskimi lutrami dziś tak między sobą się mordują — oby jak najprędzej Bóg święty zlitował się nad niemi i powrócił ziemi francuzkiej spokój, którego tak potrzebuje.

Redaktor odpowiedzialny Kazimierz Okaz. — Wydawca Stanisław Justian.
Z drukarni E. Winiarz: we Lwowie.

Tom III. 1. Czerwca 1871. Nr. 16.

Rok dwunasty.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

DWAJ BRACIA.

Powieść ludowa.

Szatan w ciemnościach łowi; jestto nocne zwierze,
Chowaj się przed nim w światło, tam cię nie dostrzeże.

Mickiewicz.

W zamożnej wiosce S....., kędy Wisła swą srebrną płynie wstęgą, stała karczma drewniana. Nieopodal gościńca dogodny stręczyła przytułek podróżnym i wabiła wieśniaków spieszących do stolicy lub powracających do swych zagród, choćby na chwilkę, choćby na krótką pogadankę z tym i z owym. Była ona własnością Jana Grzywacza, któremu w dziedzictwie po śp. ojcu Macieju, przed kilkunastu laty przypadła.

Właściciel oberży był jednym z tych poczciwych ludzi, co to nie pozazdroszczą drugiemu mienia, ani też nie pożałują ze swego bliźnim udzielić. Pracowity, obrotny a przytem niezwykle sumienny, rodzica swego naśladując, dorobił się znacznej fortunki, której umiarkowanie używał. Żona Salomea była drugą połową jego serca i myśli. Widocznie Bóg błogosławił małżeństwu dobranemu: pracowita jak i on, zapobiegliwa i sumienna, była przedmiotem jego najczulszej miłości, która z wiekiem wzrastała.

O pierwszem poznaniu się obojga różnie mówiono. Jedni twierdzili, że ojciec Salomei był długi czas w służbie dworskiej na Wołyniu. Jan wyprawiony w drogę, za różnemi interesami, zapuszczał się często w głąb Wołynia i Podola, a zdarzało się, że i ukraińskie przelatywał stepy, i docierał aż do Kijowa, stolicy Ukrainy. Będąc raz na Wołyniu, miał się zapoznać z młodziutką Salusią i zakochać się w niej od razu. Powróciwszy do domu, wyspowiadał się ojcu i matce z uczuć serca swego, i prosił o błogosławieństwo

Inni rozpowiadali, że w Galicyi się ożenił, i wziął w dodatku znaczny majątek za jedynaczką. Ale podobno najprawdziwszą zdaje się być wieść, że zapoznał się z sierotą z pod Skalmierza, której ładne liczko i oczko błękitne zaczarowały młodzieńca a dobre serce dziewczyny do stanowczego powiodło go kroku.

Błogosławieństwo rodzicielskie otrzymał, a z tem splotło się błogosławieństwo Boże w cudny wieniec szczęścia i dobrej doli.

Przedmiotem ich miłości rodzicielskiej byli dwaj synkowie, w których rodzice całą pokładali nadzieję, lubo starszy Tomek nie bardzo wiele dobrego na przyszłość obiecywał. Na pozór mała między braćmi była różnica; jednego wzrostu, twarze okrągłe, pełne i rumiane, oczy błękitne, włosy jasne, czoła wysokie; tylko młodszemu jakaś dziarskość patrzyła z oczu.

Jednak podobieństwo to powierzchowne nie było wcale zapowiedzią podobieństwa wewnętrznego. Już od dzieciństwa sprzeczne objawiali usposobienia. Tomek był prędki, uparty, zdradzał niechęć do życia wiejskiego, lecz był bardzo pojętny, i bystrego umysłu, szybko się też wyuczył czytać i pisać. Franuś był wesoły, swobodny i szczery, otwarty, czasem nawet roztrzepany i figla komuś wypłatał, ale bardzo dobre miał serce. Kochał wiejską zagrodę i chętnie pomagał rodzicom w ich dziennych zatrudnieniach. Nie uczył się wprawdzie tak dobrze jak Tomek, lecz mimo to ojciec bardziej kochał Franusia.

Zdarzało się, że gdy Tomek zasługiwał sobie na karę, ojciec zabierał się do przetrzepania mu skóry, lecz matka któ-

rej był ulubieńcem, wypraszała w takim razie dla niego przebaczenie.

Kiedy Tomek ukończył naukę w miejscowej szkole, ojciec widząc, że w domowem gospodarstwie najmniejszej nie będzie miał z niego pomocy, zawiózł go do sąsiedniego miasteczka i oddał do stolarza w nadziei, że rzemiosło prędzej przypadnie mu do gustu, a w przyszłości przyzwoite zapewni utrzymanie. Franusia pozostawił w domu, widząc z prawdziwą pociechą, jak chętnie dzielił domowe zabiegi, o ile to w jego było siłach.

Było to w pamiętnym roku 1831. Straszna grasowała w kraju cholera, która tysiące zabrała ofiar na tamten świat. Dwaj chłopcy zostali sierotami a matka ich wdową.

Wypadek ten w innem położeniu postawił Tomka jak niemniej bardzo dotkliwie wpłynął na Franusia i matkę jego. Nieszczęsny Franuś opłakiwał wespół z matką zgon ojca i narzekał na śmierć okrótną. Inne uczucia zdradzał Tomek Smutkiem pozornym pokrywał wewnętrzną radość, jaka powstała w sercu niegodziwca po stracie tak drogiej. Teraz bowiem z łatwością mógł porzucić nieznośny warsztat i hybel, do którego ani iskierki nie czuł w sobie powołania.

Nalegał też na matkę, by go od majstra odebrała a oddała w dworską służbę. Matka uległa. Lecz kapryśny Tomek nie mógł i na tem stanowisku długo popasać.

Zasmakował w życiu wolniejszem i próżniaczem, porzucił stolarkę a najął się z początku jako posługacz, potem jako pomocnik do jednej z cukierni miasta Ł... Zręcznością i podchlebstwem zdołał pozyskać przychylność chlebodawcy jako też dla swej kieszeni dość znaczną przysporzyć sumkę. Oporządził się nawet zbytkownie na swój stan, więc stąd wziął sobie powód do mniemania, że jest czemś lepszem od wiejskiej młodzieży, a nawet od własnej matki wieśniaczki.

Otoczony towarzystwem licznej próżniaczej gawiedzi miejskiej, wśród której żył i z nią się przyjaźnił, a którą w każdym hotelu, w każdej traktjerni i cukierni większego miasta Wam się napotkać przydarzy, odwykł zupełnie od tych, których nie

cenił; odwykł od ludu wiejskiego, wstydził się brata i matki, zapomniał o wiosce rodzinnej!

O niewdzięczny! o podły Tomaszu! gdybyś ty wiedział co to znaczy miłość wioski rodzinnej, miłość ojca i matki, braci i sióstr, porzuciłbyś czarny strój, który cię nie robił większym ani lepszym, a przywdziałbyś płótniankę i żyłbyś w gronie rodziny. Gdybyś ty wiedział jakie szczęście daje miłość i przestawanie na tem, co od Boga mamy, znojna praca i kawał razowego chleba byłyby tobie skarbem.

Ale niestety! ten święty ogień miłości nie owiewał serca Tomasza Towarzystwo z którem się wdawał, stłumiło nawet iskierkę tego uczucia szlachetnego w sercu jego, jaką miał dla strzechy rodzinnej, dla gniazda skąd wyleciał. Pogarda zacnem rodzeństwem i pycha zapuściły korzenie i rozwielmożniły się w duszy Tomasza; a pycha to wędka, którą szatan zarzuca w głąb serca swej ofiary; to ciemność, pośród której zwierz nocny zdobycz swą łowi i pod swe panowanie zagarnia.

Posłuchajcież, jakie było dalsze postępywanie Tomka. Jednej niedzieli otrzymał Franuś pozwolenie od matki, i wybrał się do miasta, by Tomka, którego szczerze kochał, odwiedzić. Z jaką to radością zbliżał się do kamienicy, gdzie brat służył; serce mu biło na myśl, że za chwilkę rzuci się w objęcia Tomcia... Lecz jakże bardzo się zawiódł! We drzwiach spotkał się z małym brudnym chłopczyną, który mu odpowiedział, że pan Tomasz Grzywaczewski właśnie do dnia wyjechał, a dopiero późną nocą powróci.

Trzeba wam wiedzieć, że Tomek skoro spostrzegł oknem Franka idącego ulicą, czmychnął czem prędzej za drzwi, a brudasa małego wysłał z oznajmieniem o swej nieobecności.

Zmartwił się Franek, i postanowił iść do swego wózka, aby do domu powrócić. Po drodze wstąpił do kościoła, gdzie właśnie nabożeństwo poranne się rozpoczęło. Uklęknął na boku, uderzył czołem o ziemię i kornie skupił myśli swoje do modlitwy. Wśród nabożeństwa wiedziony mimowolną ciekawością, obejrzał się, lecz jakże wielkie było jego zdziwienie, kiedy spostrzegł brata wyprostowanego i dumnie poglądającego do koła.

Po mszy świętej kiedy ludzie z kościoła wychodzili, zbliżył się nasz Franuś do Tomka, chcąc braterskim uściskiem nagrodzić chwilę smutku. Na widok brata zczerwienił się pan Tomasz po uszy i w tej chwili jakaś tajemna przyszła mu myśl do głowy, bo jak błyskawica skoczył w boczną ulicę i znikł w tłumie przechodzących Nasz wiejski prostaczek stanął jak wryty, oczom swym nie wierzył ani rozumiał zagadkowej tej sceny. Gdy nieco z wrażenia ochłonął, upokorzony czemprędzej powrócił do koni i z miasta wyjechał. Nie śmiał nawet wszystkich szczegułów matce powtarzać, bo nie chciał ranić jej serca.

W parę dni po tem zdarzeniu, Grzywaczowa otrzymała list od pana Tomasza, w którym po grubijańsku upominał się o należny wypłat z części nań przypadającej. Później wyniósł się z miasta i znikł bez śladu. Niektórzy mówili, że widywali go w Warszawie z pańska ubranego, ale były to wieści tylko i nic więcej, jak tysiące podobnych, które żadnej nie mają podstawy. Tak upłynęło lat kilka.

Franuś przemysłem i zapobiegliwością pomnażał majątek uczciwy, wstępując godnie w ślady nieboszczyka ojca. Później sprzedał karczmę z dobrym zyskiem i osiadł na kmiecej roli. Wzorowe prowadził gospodarstwo i miłym dla wszystkich był sąsiadem a matce swej podporą i pociechą w podeszłych jej latach.

By osłodzić starość drogiej mu matki, ożenił się z Zosią, córką zamożnego kmiecia. Szukał on dziewuchy, którąby i starość uszanować umiała i nie lękała się pracy a była przy tem cichą i zgodną. Bóg nagrodził cnoty młodzieńca, bo znalazł, czego szukał. Stara Grzywaczowa kochała Zosię jak najdroższą swą córkę, ależ bo trzeba wam było widzieć do tego uległość i posłuszeństwo synowej dla świekry.

Rodzina ta była szczęśliwą. Bóg dał im dziatki, a gdy te podrosły, babka opowiadała im różne przygody z życia swego jak i z życia ich dziada nieboszczyka.

Starsza dziewczynka Salunia, to była pieszczotka babki; ile razy wróciła ze szkoły, ucałowała jej rękę i naopowiadała się nie mało. Wieczorami czytywała na głos z wypożyczonych

książek z biblioteki szkolnej a wszyscy jej słuchali. Niejedna powieść lub bajka dała powód do wesołych śmiechów i żartów i wabiła sąsiadów na wieczorne zabawy w dom Franka Grzywacza.

Byłoto w jesieni. Sprawy i interesa różne wygnały Franka na kilka dni z domu do Warszawy. W sam dzień kiedy miał już do domu powracać, przechodził ulicą Brzozową, gdy w tem nagle został zatrzymany widokiem licznego tłumu miejskich próżniaków, którzy się ciekawie wpatrywali w sień jednej z kamienic.

— Patrzcie no kumo — zawołała opasła baba do drugiej ciekawie wyglądającej z małego sklepiku — jaki to porządek robi komornik u naszych państwa Grzywaczewskich; widzicie jak kanapka zjeżdża od jaśnie wielmożnych — rzekła z szyderstwem i urągowiskiem, wskazując na stary mebel, który właśnie dwaj pachołki znosili.

— Ach! bodaj ich tam Bóg ciężko skarał za moje dwadzieścia złotych — złorzeczyła druga — i za moje nogi, com sobie nałamała po tych przeklętych schodach, aby moje pieniądze odebrać.

— A cóżto jejmość mówisz — wtrącił chłopak od szewca — alboż to on nie dłużen memu panu majstrowi za buty dwanaście złotych, chociaż z butów od dawna ani śladu. Niech go tam wszyscy . . . . porwią.

— Milcz! niedobry chłopcze! — silnym głosem wykrzyknął mężczyzna, dużego wzrostu, wychudły i w wypłowiałym stroju, którego oko jednak zdradzało zapał młodzieńczy i poczciwość. Milcz! albożto nie dość kary Bożej zawisło nad tym nieszczęśliwym, któremu nietylko że ostatnie sprzęty zabrano za długi ale nadto w nędzy i boleściach przyjdzie mu zakończyć to marne życie! I ty śmiesz przekleństwami obrzucać nędzarza, nad którym raczej litować by się należało!

W tej chwili krzyknął nadjeżdżający woźnica miejski na swoje szkapy i zatrzymał się przed kamienicą. Z drugiego piętra znieśli człowieka, bardziej do trupa niż do żyjącej istoty podobnego, i wsadzili go do dorożki dla niego przeznaczonej. Woźnica zaciął konie i popędził szybko ku szpitalowi

Całej tej scenie przypatrywał się Franek z bijącem sercem i wśród wielkiej niepewności. Imię „Grzywaczewski“ zwróciło jego uwagę i padł na domysł, czy też to nie brat Tomasz, ten człowiek, którego przeklinano, i gdyby to on tylko był — błysło mu w myśli — podźwignę go z nędzy i poniżenia.

Właśnie kiedy znieśli nieszczęsnego mieszkańca na drugim piętrze, by go odstawić do szpitalu, poczciwy kmiotek osłupiał i zadrżał poznawszy z rysów twarzy trupiej brata, tak nędznego. Z boleści i żalu omal na głos nie wykrzyknął: O biedny i nieszczęsny Tomaszu! do czegoż to doprowadziło cię przewrotne serce i pycha twoja! wzgardziłeś płótnianką, z której dumny jest młodszy brat twój Franek, z nią zrzuciłeś i cnoty ojców twoich, wygnałeś miłość rodziny i ojczyzny z serca, a teraz tak haniebnie kończysz, lecz Franek wszystko ci przebaczy i dźwignie cię z nędzy za łaską Boga... tylko... nie umieraj...

Wypadek ten powstrzymał Franusia w Warszawie.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — rzekł kmiotek wchodząc do izby właściciela kamienicy, przed którą wczoraj tyle przykrych a zarazem i bolesnych doznał wrażeń.

— A cóż powiecie człowieku — rzekł gospodarz opryskliwie.

— Chciałbym się od pana dowiedzieć — mówił — cośkolwiek o Tomaszu Grzywaczewskim.

Na to imię rzucił się gniewnie właściciel kamienicy i krótko odparł, że nic o nim nie wie prócz tego, że był łotrem.

Odprawiony z kwitkiem Franuś wstąpił do sklepiku drobiazgów, gdzie od gadatliwej przekupki dowiedział się że Tomasz wieziony do szpitalu, w drodze umarł, i że jego żona przed wierzycielami z miasta się wydaliła.

Wiadomość ta piorunem boleści raziła serce Franka; więc westchnął tylko z głębi piersi do miłosierdzia Sędziego, przed którego trybunałem stanął Tomasz, syn karczmarza.

Na wyrozumienie musimy powiedzieć, że Tomasz Grzywacz gdy się dostał do Warszawy zapoznał się z pewnym człowiekiem piszącym u adwokata. Temu pomagał w przepisywaniu, w czem się do tego stopnia przećwiczył, że został

stale u adwokata do przepisywania zgodzony. Towarzystwo, w którem się teraz znajdował nie było lepsze od poprzedniego. Pieniądze od matki otrzymane posłużyły mu do rozpusty. Liczni przyjaciele, których ciągle gościł, wciągli go do kart a te były jego zgubą. Nadto ożenił się z siostrą swego kolegi, kobietą zalotną i zepsutą Rujnowała go też sprawianiem nieskończonych strojów nie mniej, jak on sam siebie niefortunną grą w karty i ciągłemi balami.

Resztę sami odgadniecie

Zniszczył się zupełnie. W takim stanie rzeczy pozostał mu jedyny przyjaciel — kieliszek! Miejsce u adwokata stracił, gdyż dla różnych hańbiących uczynków został oddalony Musiał żyć z oszustwa pewien czas, do niczego bowiem innego nie był zdolny, a zresztą i uczony w takiem moralnem poniżeniu nie łatwoby znalazł jakiekolwiek zajęcie.

Nakoniec wpadł w chorobę piersiową i w młodym wieku życie zakończył, styrawszy poprzód wszystko, nawet wiarę i to uczucie, jakie prawdziwy Polak żywi dla swej drogiej ojczyzny!

A Franuś . . . Franuś dotąd żyje szanowany od wszystkich i szczęśliwy, bo błogosławiąca ręka umierającej matki przychyliła mu błogosławieństwo Boże, na które Franuś z rodziną, życiem swem cnotliwem sobie zasłużył.

Pisałem w Lutczy w maju 1871.

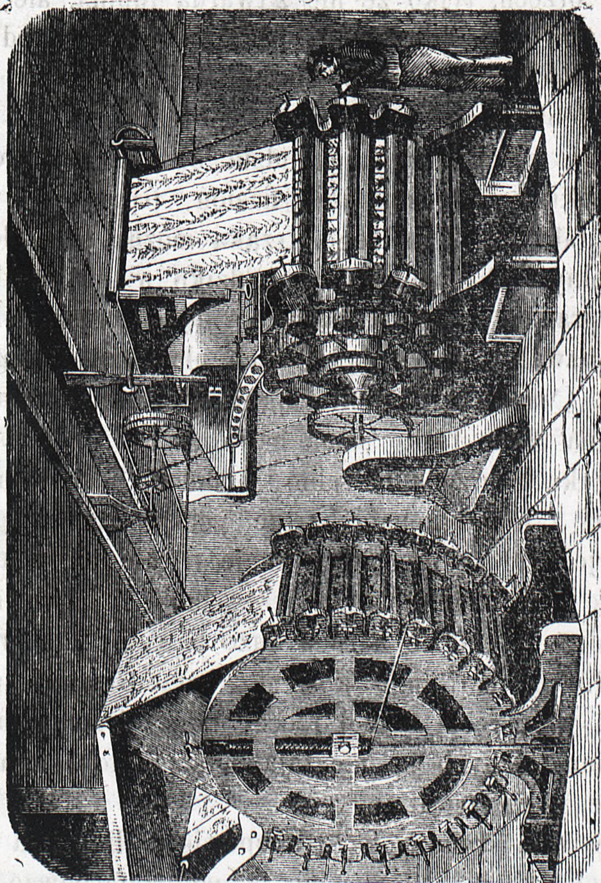
J. P.
nauczyciel szkół ludowych.

Wełna i bawełna.

(Dokończenie).

— Otóż — mówił dalej Wojciech — powiedziałem wam o wełnie, skąd się bierze i jak z niej różne rzeczy ludzie wyrobić umieją Teraz wam powiem o bawełnie która po lnie i wełnie, najpierwsze ma miejsce, jako rzecz do przyodziewu ludzkiego niezbędna. Otrzymujemy bawełnę z pewnej rośliny, która w ciepłych krajach rośnie, podobnie jak u nas len, z któ-

rego włókien nici przędziemy i płótno wyrabiamy. Tylko że len do bawełny nie podobny. Len rośnie nizko, jest mały wątły, a bawełna znacznie wyższa. Bawełna rośnie w krzakach do trzech łokci wysokich, czasem nawet jakby drzewko, tak jest rosła i silna, czasem tylko jako jednoroczna roślina, to



Maszyna do drukowania perkalu.

jest taka, że korzeń jej tylko przez jeden rok łodygę wydaje, poczem cała roślina usycha, i trza ją na nowo zasiewać, ot zwyczajnie zależy to od ziemi, na jakiej ją posadzą, a także od pogody i innych warunków. Gdym był w Krakowie, widziałem w sztucznym ogrodzie, albo jak tam nazywają cieplarni, gdzie różne zagraniczne rośliny w szklannych domkach utrzymują, krzaki bawełny. Były to krzaki dwie do trzech stóp wysokie, łodyga na dole brunatna, wyżej zielona z czarnemi plamkami. Kwiaty na tych krzakach były wielkie i żółte. Gdym

się przypatrywał, nadszedł jakiś poczciwy panisko, i opowiadał mi o tej bawełnie. Widno że to musiał być tamtejszy jakiś ogrodowy pan, bo dużo mi rozpowiadał a dokładnie i dobrze. Uważałem pilnie i niektóre sobie spamiętałem. Otóż, mówił mi, że z tych kwiatów żółtych, gdy okwitną, robi się owoc jakoby duży bardzo orzech, tylko że nie z twardą łupiną, ale z cienką łuską. Gdy ten owoc dojrzeje, to pęka łuska, a w środku znajdują się nasiona owinięte w cieniutkie włókno, czyli bawełnę. Są to całe kłębki białej bawełny, w środku każdego jest nasienie. Podczas zbioru zrywają ludzie codzień rano te owoce, wyjmują kłębki, oczyszczają je z nasion, pakują do worów, i posyłają do fabryk. Z jednego krzaka można mieć do dwóch funtów bawełny. Roślina ta rośnie dziko w Azyi; ale ludzie poczęli ją uprawiać, zaczęli zasiewać nią ogromne pola, które plantacjami bawełny nazywają. Takich plantacyi najwięcej jest w Ameryce. Czasem kilka mil ciągnie się taka plantacja, nic nie ujrzysz na około tylko samą bawełnę.

W fabrykach przędą bawełnę, podobnie jak wełnę i inne rzeczy. Robią z niej barchan, kartun, perkal, muślin i tym podobne materje. Nie są te materje takie trwałe jak wełniane, bo już sama nić bawełniana bardzo jest słabą i łatwo się rwie. Ale z powodu, że ludzie bardzo dużo bawełny uprawiają, że zasiew i zbiór bardzo mało kosztują, przeto bawełna bardzo jest tanią, a więc robią z niej rzeczy tanie, i do sukna, a nawet do płócien lnianych ją mieszają. Dlatego to sukna i płótno mamy tańsze, a nie trwałe.

Jeszcze wam jedno pokażę a opowiem. Bawełna sama ze siebie ma kolor biały. Nie trudno ją całą zafarbować na jakiś inny kolor. Jeśli się nici zafarbuje np. na niebiesko, to i perkal albo inny wyrób będzie cały niebieski. Ale trudniej pomalować kwiatki i inne wzorki na materji. Jak widzicie mój Adamie, wasza żona ma na głowie chustkę perkalową w piękne czerwone kwiatki malowaną. Cała chustka bardzo niedroga, a któryżby malarz zechciał ręką to wszystko pomalować. Wieleby on czasu stracił na to i coby sobie kazał zapłacić. I dopiero jego malowanie na nicby się zdało, bo po pierwszym lepszym deszczu, albo też w praniu całe by malowanie się zmyło. Otóż

wynaleźli ludzie osobne trwałe farby, i sposoby do farbowania Najprzód używano do tego drewnianych klocków, najczęściej z drzewa gruszkowego, na których z jednej strony wzorek był wycięty. Perkal nawinięty na walcu, rozwija się zwolna, i przesuwa przez wielki stół. Klocek zaś macza się we farbie, dalej przykłada na perkal i z góry młotkiem drewnianym lekko uderza Zamiast drewnianych klocków używa się także metalowych, bo ostatnie są znacznie trwalsze. Aby kilka kolorów odbić, trzeba tyle różnych klocków ile kolorów.

Łatwo zrozumiecie, iż taka ręczna robota bardzo tylko zwolna postępuje. Przeto wynaleźli ludzie do tego maszyny. Ot tu w mojej książce, macie rysunek takich maszyn.

Tu pokazał Wojciech rysunek takich maszyn, a my go także naszym czytelnikom podajemy.

— Maszyna taka składa się najprzód z walca żelaznego okrytego grubem suknem, a potem z walców miedzianych na których są wzorki powyżynane. Osobny przyrząd powleka te walce miedziane farbą, ale w ten sposób, że tylko na wzorkach farba zostaje, a walec cały jest czysty. Otóż pomiędzy tymi walcami a walcem żelaznym przesuwa się perkal, a że walce mocno się do siebie naciskują, więc wzorki dokładnie się na perkalu odbijają. Zadrukowany w ten sposób perkal biegnie na inne gorące walce, w skutek czego farba na nim zasecha. Doprowadzono dziś do tego, że teraz już i dwanaście różnych farb odrazu na perkalu odciskać można.

Wynalezienie owej maszyny nadało dopiero wielki pokup kolorowanym wyrobom bawełnianym, gdyż fabrykanci mogli dawać je tanio, pomimo że były z ładnemi wzorkami. Najwięcej fabryk z takiemi maszynami znajduje się w Anglii, a handel tym towarem tak się podniósł, że obecnie w Anglii corocznie około 1500 miljonów łokci różnych perkalów, muślinów itp. kolorują.

Teraz już wiecie, kochany Adamie, skąd się sukno bierze, i jaka to różnica między wełną a bawełną.

— Dziękuję wam Wojciechu — odparł Adam — uważałem sobie wszystko dobrze, i kiedyś przy sposobności znowu innym rozpowiem.

— A więc bywajcie mi zdrowi, miesiączek wyjrzał, i ślicznie świeci, będzie mi widno do domu powracać, bo staremu to i wcześniej trza spać pójść, i wywczasować się na jutrzejszą pracę.

— Pozwólcie że was odprowadzę do domu, a niezapominajcie o nas i znowu kiedy odwiedzcie. Przy was to człowiek wie, że była Niedziela, bo się czegoś nauczył, a nie stracił czasu na próżnem gadaniu.

MAZGAJ.

Jest muzyka, będzie tanek
 Aże dusza rada;
A czemuż ten smutny Janek
 Sam na boku siada?

Przyleciała piękna Kasia,
 Oczkami go łechce,
I po twarzy głaśnie Jasia,
 Czemu tańczyć nie chce?

A Jankowi serce puka,
 Palcami przebiera:
„Oszuka — czy nie oszuka,
 Szczera — czy nie szczera“.

Więc się Kasia boczy trocha,
 Janek jeszcze bada:
„Czy mnie kocha, czy nie kocha,
 Zdrada — czy nie zdrada“.

A tu w koło żwawe pary,
 Tak się wszystko rusza,
Że tam chyba już kto stary,
 Nie skacze mu dusza.

Kasia czeka tanku chciwa,
 Skrzypki rżną siarczyście.
Janek jeszcze kwiat obrywa
 I rachuje liście...

Poszedł Kuba, porwał dziewkę,
 Uwija z nią w tanku;
„Siedźże grzybie, aż cię zdybie
 Baba“ — miły Janku.

Dominik Moniuszko
bardzo zacny pan polski.

Bóg z łaskawości swojej w różnych stronach ukochanej naszej ziemi polskiej dawał i daje zacnych ludzi, którzy wszelkiemi sposobami starają się o dobro polskiego ludu i z całą usilnością pragną jego szczęśliwości.

Do takich wybrańców i szczególnych dobrodziejów ludu należy niezaprzeczenie Dominik Moniuszko, który 1787 roku

urodził się na Litwie. Ukończywszy nauki w szkołach, wstąpił do wojska polskiego i tak się chwacko i gracko popisywał, że został majorem. Ale nie jemu było nosić pałasz, bo Bóg przeznaczył go do czego innego. Dominik Moniuszko bez ustanku myślał nad tem, jakby mógł wykształcić i umoralnić włościan, albowiem posiadał znaczne dobra ziemskie. Poszedł więc za popędem swojego serca i ulubionych swych myśli; wystąpił z wojska i osiadł w swych dobrach w guberni mińskiej. Zaczął od razu wprowadzać w życie to, o czem marzył. Wyfundował zakład dla dziewcząt wiejskich, w którym uczyły się różnych wiadomości, żeby były dobremi gospodyniami, żonami i matkami, żeby sobie umiały uprzyjemniać życie i żyć na pociechę Boga i ludzi.

Dobroczynny pan dziedzic nie trwonił pieniędzy na marne rzeczy, ale łożył je na to, coby mogło rzetelną przynieść korzyść bliźnim. Wiedząc, że tylko za pomocą nauki można lud podnieść z błędu i ciemnoty, rozkrzewić moralność i polepszyć mienie, założył 25. października 1824 roku szkołę parafijalną w Radkowszczyźnie dla chłopców, u których ziarno nauki prędzej się przyjmie, niż u starszych ludzi. Szkółkę podzielił pan dziedzic na dwa oddziały. W pierwszym uczyli się chłopcy początkowych wiadomości, jako to: myślenia, poznawania rzeczy, kształcenia serca i pamięci; w drugim oddziele, który się nazywał wyższym, wykładano naukę religii, czytanie słowiańskie, polskie i rosyjskie; uczono pisania, rachunków, rysunków, ogrodnictwa, rolnictwa, leśnictwa, pszczelnictwa, nauki zdrowia, nauki o chowie i leczeniu bydła, rękodzieł rolniczych i rzemieślniczych i innych nauk. A wszystko to działo się kosztem pana dziedzica, ponieważ włościanie prawie zupełnie nie chcieli się przyczyniać do tej sprawy, i wielu nawet było takich, którzy krzywem patrzyli na to okiem, jakby się gniewali, że ich synowie mogą wyjść na ludzi i mieć znaczenie na szerokim świecie. Tak to czasem nierozum zaślepia ludzi i od najpiękniejszych odwodzi ich czynności. Ale pan dziedzic nie zważał na to wcale, zgromadzał młodzież i najtroskliwszą otaczając ją opieką, umieszczał w zakładzie, kazał uczyć przez zimę — dając przez czas ten każdemu chłopcu bezpłatnie je-

dzenie i mieszkanie w szkole i to, czego potrzebował w ciągu nauki swojej.

Kiedy nadeszło lato, wykonywali i zastósowywali chłopcy to wszystko, czego się przez zimę nauczyli, przy szkółce lub po domach rodzicielskich dla nabrania, jak to mówią, praktyki. Pan dziedzic zaprowadził przy szkole w tym celu ogród owocowy, warzywny i lekarski; urządził aptekę i pracownię do niej potrzebną, a do praktyki rolniczej sprowadzał udoskonalone maszyny, aby oswoić młodzież z postępowem gospodarstwem zagranicznem, by ją pouczyć o wynalazkach i korzyściach, jakie przynosi dobrze prowadzone gospodarstwo rolne. Sam dziedzic był duszą tego zakładu; wszystkiem się zajmował, wszystkiego doglądał, aby dać dobry przykład, jak pracowity gospodarz zachowywać się powinien, a młodzież słuchała go pilnie i uważnie, bo wiedziała o tem dobrze, że kto nie umie słuchać, nie będzie umiał potem rozkazywać. Pan dziedzic dla dobra kmiotków i ich dziatwy poświęcił swoją naukę i wysokie zdolności, ofiarował całe swoje mienie, by jako dobry ojciec cieszyć się ich powodzeniem i moralnością. A kto przybył w tamte strony, nie mógł się dosyć nacieszyć prześlicznym ich widokiem, bo pan dziedzic przy każdej chacie włościańskiej pozakładał ogrody owocowe, a wiedząc, że między starszymi ludźmi są przesądy i zabobony, wytępiał je starannie, by czystą zaprowadzić moralność, albowiem był zdania: „Gdzie nie ma moralności, nie ma szczęśliwości.“

Radawało się serce jego z owoców pracy, jednakże przy końcu żywota swojego przykrego doznał zawodu, ponieważ starsi włościanie odpłacali mu się obojętnością i lekceważeniem. Ale on na to tak mówił:

— Mogę spokojnie umierać, bo choć starszych nie naprawiłem zupełnie, wypiastowałem przecież młode pokolenie, które na świat innem będzie patrzyło okiem.

I nie omylił się czcigodny dziedzic. Młodzi ludzie wielbili go z jego zasług i modlili się za nim do Boga, bo ich na wyższe wyniósł stanowiska, zapewnił im przyszłość przez rozwinięcie ich zdolności i wpojenie tylu pożytecznych i zbawiennych nauk. Żałowali go niezmiernie, gdy na dniu 28. paździer-

nika 1848 roku wśród dotkliwych cierpień wyzionął ducha, i do dziś dnia powtarzają, że w tamtych stronach nie było dotąd lepszego pana od Dominika Moniuszki.

Po śmierci jego upadła szkoła, bo nie mogła już znaleść drugiego takiego kierownika i z takiem poświęceniem się dobrodzieja. Ale do dziś dnia kwitną jeszcze jego zasługi i cnoty; nie zatarły się dzieła, któremi ozdabiał swoje życie. A chociaż nie osiągnął wszystkiego, co osiągnąć pragnął, osiągnął uznanie i zjednał sobie trwalszą zasługę w niebie, której mu niektórzy odmówili tutaj na ziemi.

Pomódlcie się bracia, za jego duszę i proście Boga, żeby było więcej takich ludzi, którzyby z prawdziwem zaparciem siebie samych tak gorąco pracowali dla dobra bliźnich i wiejskiego ludu!

Józef z Bochni.

Prawość św. Jana Kantego.

Do Rzymu Jan Kanty szedł onego czasu
I wreszcie go droga przywiodła do lasu;
Idzie, myśląc sobie o stolicy świętej,
Wtem nagle od zbójców został napadnięty.
— I cóż masz przy sobie? — dziki herszt zawoła
— Mam mało w mej kiesce, bom sługa kościoła;
Weźcie me zasoby! — Wzięła podła tłuszcza
I Jana Kantego z życiem przecie puszcza.
I idzie mąż święty, ale w drodze staje,
Rozmyśla, bo się mu koniecznie wydaje,
Że w swej kieszeni jeszcze coś posiada.
Znajduje, wraca się i zbójcom powiada:
— Weźcie i te grosze, co je mam przy sobie;
By wam ich nie oddać, tego ja nie zrobię,
Bobym został kłamcą, że już więcej nie mam —
A jeszcze złotówkę w dłoni swojej trzymam.
Zdumiał się herszt srogi i prawością tknięty
Na czyn tak szlachetny, otwarty i święty,
Zrosił oczy łzami, do głębi się wzruszył,
A za nim się cały orszak zbójców skruszył,
Upadł do nóg Jana rozbrojony cnotą:
— Przyjm od nas—wołano—wszystko twoje złoto,

I daruj nam winę, żeśmy je zabrali,
Myśmy w tobie panie, świętego poznali!...
— O łaska to Boża! — Jan Kanty się dziwi —
Porzućcie te lasy, będziecie szczęśliwi,
Pracując uczciwie, nie żyjąc z grabieży!
I popłoch się wielki wśród zbrodniarzy szerzy,
Rzucają swe pałki, każdy z lasu rusza,
Bo słowo świętego do głębi ich wzrusza..
I pewnie on duszę niejednego zbawił;
Ukląkł, pomodlił się za cud który sprawił.

Józef z Bochni.

Wystawa rolniczo-przemysłowa.

W Rzeszowie urządza Towarzystwo gospodarczo-rolnicze wystawę rolniczo-przemysłową na przyszły miesiąc. Trwać będzie ta wystawa od dnia 2. do 5. Lipca wieczorem. Obszerniej podamy o tem wiadomość w przyszłym numerze; dziś tylko zawiadamiamy was, że każdy może tam posyłać pocztą albo koleją przedmioty dotyczące gospodarstwa, jakoto: młode konie, bydło rogate rozpłodowe, jałowniki, cielęta, tuczone woły, owce, świnie, drób wszelaki itp. Przedmioty tam wystawione ubiegać się będą o nagrodę. Kto się czem wzorowem poszczyci, ten piękną otrzymać może nagrodę, a do tego sprzedać może po po dobrej cenie. Towarzystwo gospodarcze czyni to dla tego, aby zachęcić do dobrego prowadzenia gospodarstwa rolnego, lasowego, ogrodowego i domowego, oraz pszczelnictwa, jedwabnictwa, górnictwa.

Ktoby chciał co wysłać niech adresuje:

Do Wielmożnego Dr. **Alojzego Rybickiego** w Rzeszowie; najpóźniej do dnia 30. Czerwca.

Złote ziarna.

Nie rób źle światu, nie masz ztąd korzyści,
Albo cię ona zbyt krótko ucieszy;
I twych zamiarów zbyt bujnych nie ziści,
Lub złe nawzajem, ku tobie pospieszy.

Redaktor odpowiedzialny Kazimierz Okaz. — Wydawca Stanisław Justian.
Z drukarni E. Winiarza we Lwowie.

Tom III. 11. Czerwca 1871. Nr. 17.

Rok dwunasty.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

JÓZEF ŁĄCZYŃSKI
wojownik polski.

Polska, ojczyzna nasza, słusznie nazywała się wielką, bo miała mężów tak wielkiego serca, czynów i nieustraszonego ducha, że ich po wszystkie czasy wielkimi nazywać musimy.

Do takich mężów należy i Józef Łączyński, który lubo nie zjednał sobie rozgłośnej sławy, ale wielkiemi odznaczył się dziełami, dla tego słusznie możemy go policzyć do wielkich wojowników polskich. Gdy się wykształcił w naukach, uczuł w młodzieńczym już wieku pociąg do wojennych trudów, i wstąpił do służby wojskowej zagranicznej, a potem służył w regimencie piechoty Władysława IV. króla polskiego, starszego syna Zygmunta III. Zygmunt III. nie chciał się pozbyć tronu szwedzkiego, wplątał przeto Polskę w długie wojny. Po jego śmierci wstąpił na tron [1632 roku] Władysław IV., król waleczny i śmiały, wyćwiczony na wojnach moskiewskich i tureckich. Jemu tedy przypadło zrobić porządek z zuchwałymi najezdzcami. Skropił co się zowie Turków i Moskali i wiele ziem przyłączył do Polski.

Inaczej jednak było z niesnaskami wewnątrz kraju, bo ich nie mógł uspokoić, a nadto otworzyła się trudniejsza sprawa

z Kozakami. Panowie polscy, mieszkający na Ukrainie, nie zważając na przywileje Kozaków, chcieli ich przemienić w chłopów i zmusić do odrabiania pańszczyzny. Stąd powstał bunt między nimi, który trzeba było przytłumić i wysłać wojsko.

Józef Łączyński, który się wiernością i męztwem odznaczał, został wkrótce pułkownikiem. Król Władysław IV. ceniąc jego zdolności wojownicze, posłał go pod zamek Kudakowski, obronną i mocną twierdzę, ażeby go zdobył. Łączyński przyjął to dzieło z ochoczem sercem i w krótkim czasie, z podziwieniem całego wojska a niebezpieczeństwem własnego życia nie tylko że odbił twierdzę, ale nadto załogę w niej zmusił do sromotnej ucieczki. Nie poprzestał jednak na tem dzielny wojownik. Puścił się za nieprzyjacielem w otwarte pola, nachodził go, jak piszą, w niedostępnych nawet okopach, zwyciężał odważnie i mimo spodziewania skłonił do poddaństwa ojczyźnie i wierności królowi polskiemu.

Z tego powodu powstała między Kozakami ogromna nienawiść na Łączyńskiego. Z szczególną uwagą czatowali na sposobność, by go pojmać żywcem. Nieszczęście chciało, że ta straszna chwila nastąpiła. Kozacy obskoczyli Łączyńskiego. On jednak nadludzkiej nabrawszy odwagi, tak się dzielnie bronił, że kilkudziesięciu Kozaków trupem położył i dopiero śmiertelnym ciosem w rękę ugodzony, omdlał i pojmany został.

Tak świetnem zwycięztwem upojeni Kozacy, poczęli skakać z radości i wołać dzikiemi głosy:

— Pruć go na najmniejsze żyłki! — krzyczeli jedni.

— Porąbać na kawałeczki! — wrzeszczeli drudzy w wielkiej zajadłości.

Zaledwie zdołała starszyzna uśmierzyć okrutną wrzawę rozhukanych żołdaków, i wytłómaczyć im, że tak wielkiemu a bezbronnemu wojownikowi nie należy zadawać takiej śmierci, lecz w ścisłej trzymać go niewoli.

I znowu odgłos rozniósł radośne okrzyki.

Łączyńskiemu jakby z ludzkości zaopatrzono srogą ranę, a potem do ciężkiej odesłano go niewoli. Przykro było dzielnemu wojownikowi, że nie mógł dalej uginać kozackich karków przed wojskiem, którego był dowódzcą.

O niewoli Łączyńskiego wnet dowiedział się król Władysław IV. Żal mu się zrobiło odważnego żołnierza, a więc poleca hetmanowi, by w jaki sposób wydobył Łączyńskiego. Obiecują znaczne sumy, chcą w zamian w niewoli polskiej będących Kozaków odstawić za Łączyńskiego, ale nadaremne wszystkie usiłowania, gniewny Kozak nie chce ani słyszeć o tem. Lecz Łączyński, mimo strzeżenia i czujnej straży, umknął z niewoli za wolą Opatrzności i nie wrócił do dóbr swoich, przez nieprzyjaciela do szczętu zniszczonych, lecz do obozu, gdzie go wojsko z najwyższą powitało radością.

I znowu rębał Kozaków, gdy pod dowództwem Bogdana Chmielnickiego, szlachcica polskiego wyznania greckiego, podnieśli bunt przeciw Polsce. A było to z tej przyczyny. Chmielnickiemu porwano żonę i zabito syna. Udawał się ze skargą do sądu, a nie mogąc doznać sprawiedliwości, pobudził Kozaków do nowego powstania, zapewniwszy sobie wprzód pomoc Tatarów.

I w tej ciężkiej potrzebie poświęcał się Łączyński. Wypadło mu uderzać na Tatarów, których tłukł co do nogi; gdzieindziej zaś zabierał im zdobycz i pewną gotował im zgubę na każdem stanowisku. Takiemi czynami przestraszeni Tatarzy, lękali się każdego z nim spotkania, a objaśnieni nadto przez Kozaków, byli tej myśli, że dla Łączyńskiego nie ma śmierci.

Owoż czyhali na sposobność, by Łączyńskiego pochwycić w swoje szpony i wedle pomysłu pogańskiego dzielić się kroplami krwi i kawałkami jego ciała, rozumiejąc, że przez to nabędą większej odwagi i męztwa, a w boju szczęścia i powodzenia.

Do tego atoli nie przyszło, owszem chwała dla narodu polskiego, bo Tatarzy zostali pobici. I zaledwie z nimi był koniec, już z Moskalami i innymi, na zgubę ojczyzny sprzysiężonymi nieprzyjaciełami trzeba było wojować. I teraz Łączyński był postrachem dla nieprzyjaciół, albowiem tłukł ich na każdem miejscu, aż wreszcie w przygodzie jednej, obskoczony ze wszystkich stron mnóstwem nieprzyjacieli dostał się powtórnie do niewoli.

Król Władysław IV. wówczas już nie żył. Panował brat jego Jan Kazimierz. W Polsce smutne były wtedy czasy, bo nieprzyjaciel wiele narobił szkody.

Gdy się król Jan Kazimierz o niewoli Łączyńskiego dowiedział, zasmucił się bardzo wraz z całem wojskiem, które go nadzwyczajnie kochało i poważało. Zwątpiono już o jego powrocie.

Po latach kilku wrócił przecie Łączyński szczęśliwie do ojczystej ziemi i przybył do dóbr swoich Kutkorza, gdzie tak dawno już nie był.

Król Jan Kązimierz, za jego poświęcenie życia i mienia na usługi dla ojczyzny, zrobił go jenerałem majorem piechoty [1665 roku], i nadał mu na to przywilej, w którym wysoko pochwalił jego zasługi i waleczność. W krótkim znowu czasie nadał mu król pewne królewszczyzny, a nawet i dobra do starostwa buskiego należące, z osobnemi przywilejami na wynagrodzenie szkód, jakie mu wrogowie w dobrach jego uczynili. Niebawem zaś nadał mu starostwo buskie, pisząc do niego list własnoręcznie w obozie pod Łęczycą dnia 15. października 1665 roku.

Łączyński był rzeczywiście godnym tych łask królewskich, albowiem zasłaniał ojczyznę nie tylko piersiami przed najazdem wrogów, ale służył jej także radą. Bywał bowiem nieraz posłem na sejmach, na które wysyłało go całe wojsko i województwa ruskie.

Po złożeniu korony przez Króla Jana Kazimierza obrano królem polskim Michała Korybuta Wiśniowieckiego, syna księcia Wiśniowieckiego, potomka Korybuta, pierwszego brata króla Jagiełły. I za jego czasów wsławił się Łączyński w wojnie z Turkami, którzy zabrali Ukrainę, Podole z miastem Kamieńcem i aż pod Lwów się posuwali. Podole długi czas zostawało w ich rękach.

Po krótkiem, bo tylko czteroletniem panowaniu Michała Korybuta, oddano koronę Janowi III. Sobieskiemu Łączyński wraz z województwem ruskiem podpisał jego wybór, a kiedy król ten z Turkami na nowo rozpoczął wojnę, Łączyński znowu poszedł

do obozu i ucierał się z nieprzyjacielem. W bitwie pod Chocimem odznaczył się zaszczytnie.

Nasze wojska często się zmieniały, by uderzać na obóz turecki. Kiedy raz przyszło nacierać na wroga Łączyńskiemu, tak szczęśliwą zrobił zasadzkę, że Turcy uciekli z wałów. Gromił ich tedy potężnie, lecz gdy przemocy tureckiej wytrzymać nie mógł, posłał natychmiast do króla i hetmana, by mu co prędzej na ratunek spieszyli.

Właśnie wtenczas słuchał król mszy świętej pod namiotem, gdy mu dano znać o przybyciu posłów.

— Miłościwy królu i panie! — mówiono — spiesz na ratunek, bo jenerał Łączyński w strasznym zostaje ogniu!

Król jednak, ufając jego męztwu i waleczności, tak odpowiedział:

— Mam nadzieję w Bogu, że mu się nic nie stanie!

I nie posłał mu pierwej posiłków, aż wysłuchał mszy św., bo był bardzo gorliwym katolikiem. Po wysłuchaniu mszy świętej posyła mu dopiero posiłki i sam rusza za niemi w pomoc. Uderzyli z całą siłą na Turków i tak ich zbili, że tylko niewielka garstka z pod Chocima uciekła. Łączyński niezrównaną swą dzielnością przyczynił się do tak świetnego zwycięztwa króla Jana III., za co tak był cenionym od niego, że gdy w dziedzicznych dobrach swoich Kutkorzu osiadł, wielki monarcha, oswobodziciel chrześcijaństwa, często go zaszczycał swoją bytnością i największych pochwał nie szczędził. Łączyński atoli nie był z tego dumnym lub zarozumiałym, nigdy się nie wynosił; zachowywał powagę ze skromnością, uległość z poczciwością.

Chciał mu król Jan III w dowód czci i uznania ofiarować kasztelaniję lwowską, potem kasztelaniję województwa bełzkiego, ale Łączyński podziękował za te godności i zaszczyty, mówiąc:

— W wojsku mógłem najlepiej służyć mojej ojczyźnie, zostanę w niem do mojej śmierci, bo mi z tem najlepiej. Wolę resztki sił starganych nieść jeszcze na usługi drogiej ojczyźnie, niż w wygodach dla mnie zbytecznych wyczekiwać śmierci!

Otóż to był wojownik, którego wielkim nazywać można bez obawy. Za tyle zasług nie pragnął zaszczytów bo dobro ojczyzny przenosił nad najpiękniejsze dla siebie widoki. W późnym wieku zakończył chwalebny żywot w Bieńkowej Wiszni, wsi w dziedzicznych dobrach swoich, a ciało jego spoczywa w Rudkach. Pozostawił po sobie tylko jednego syna Andrzeja, także znakomitego wojownika, wielkiego mowcę, senatora, o którym powiedział jeden uczony polski, że najpierwsze krzesła w senacie o niego ubiegać by się powinny.

Takich mężów miała dawna Polska!

Józef z Bochni.

Jak Kuba wyszedł na lenistwie?

Co się stało z jednym chłopkiem,
Posłuchajcie, moi mili!
W pewnym dworze był parobkiem,
Lecz nieszczęsnej jednej chwili
Coś do głowy mu strzeliło,
By się we świat puścić marnie,
Bo tak w uszach mu dzwoniło:
— Na co w służbie mieć męczarnie,
Znosić trudy, niewygody?
Żyj na lekkim lepiej chlebie;
Wszakżeś jeszcze zdrów i młody,
To nie możesz być w potrzebie...
Jesteś sobie zuchowaty —
Toż dla dziewcząt stąd ponęta,
Bądź gdzie przyjmą cię do chaty
I okują jakby w pęta...
Głupi Kuba w to uwierzył,
Że żyć będzie już bez troski,
Toż i zrobił, jak zamierzył,
Poszedł we świat z owej wioski —
I leniuchów obyczajem
Gdzieś tam w mieście posługiwał,
Niby chodził gdzieś na najem,
Ale wszystko tylko zbywał,
A do szczęścia miał nadzieję,
Co je zdobyć miał w przyszłości.

Lecz do złego czart się śmieje,
To też biada, gdzie zagości.
Kuby stał się przyjacielem
I od pracy go odwodził:
Niby czoło mu pogodził,
Bo gdy Kuba grosz zgromadził,
Czart mu szeptał: Miły synku!
Idź na wódkę! — I prowadził
Niebacznego wnet do szynku,
Gd ie gdy wódki sporo zażył,
To w swobodzie się rozpływał
I o lepszych czasach marzył,
Świetnej doli się spodziewał.
Aż raz Kubę okradziono —
W takim razie co tu robić?
Trza do wioski wracać pono,
Gwałtem szczęścia trza się dobić.
Niechaj miasto porwie licho!
Jak tu wracać bez niczego?
Coś do ucha szepta cicho:
Trzeba tego i owego
Teraz tobie, mój kochany,
Byś wyglądał jakoś ładnie!
Trza i butów i sukmany;
Nie zaszkodzi, gdy kto kradnie...
Stłumił Kuba głos niebiański
I pomyślał o kradzieży;
Są koniki w stajni pańskiej —
Można zrobić, jak należy.
I wnet jakoś noc zapada,
Koło dworu wszędzie cicho;
Kuba zręcznie się zakrada,
Już pod stajnię gna go licho.
Patrzy — okno otworzone,
Nigdzie ani pies nie szczeka
— Bogu dzięki nieskończone,
Dobra pora dla człowieka!
Będą buty i sukmana,
Człek na nowo się odrodzi —
Wiosna kończy się kochana,
Lato miło już nadchodzi —
Będzie człowiek uważany
Czy to w karczmie, czy w kościele,

I od dziewcząt prędzej znany;
Przyjemności będzie wiele...
Wtem błysnęły Kubie oczy;
Za szarpnięciem jednem ręki —
Kuba okno wnet przeskoczy.
Lecz wnet straszne słychać jęki.
Biegnie nocna straż i sługi,
Patrzą — co się w stajni stało?
A tu Kuba tak jak długi,
Wzdłuż wyciągnął swoje ciało.
Nogę strasznie miał złamaną;
Powiązano go w powrozy —
Do szpitalu dano z raną,
Potem dostał się do kozy.
I przesiedział czas nie mały;
Dziś kaleka jest przykładem,
Że lenistwem doszedł chwały —
Bo jest dzisiaj nędznym dziadem.
I narzeka, bracia mili,
Że za marnym szedł zarobkiem,
I żałuje owej chwili,
Gdy szczęśliwym był parobkiem.

Oj nie marzcie w błędnych szałach
O kwiecistej jakiejś doli,
O niebieskich tam migdałach,
Lecz pracujcie z Bożej woli,
Skrzętnie, pilnie i uczciwie,
Bo to praca — szczęścia ścieszka,
A będziecie żyć szczęśliwie,
Bo gdzie ona, sam Bóg mieszka.
Z pracy pewna jest nagroda,
Ona darzy ludzi chlebem,
A z lenistwa pewna szkoda,
Ono szczęścia jest pogrzebem!

Józef z Bochni.

Tuja, albo Tojad mordownik.

Tuja, także napastnicą zwana, jestto roślina rosnąca dziko w górach karpackich, także też po ogrodach dla ozdoby chowana, i jako taka dostatecznie znana. Dla tych którzy by jej

nie znali podajemy rysunek. Wyrasta tuja łodygami prosto do góry z korzenia podobnego do rzodkwi. Liście tej rośliny są ząbczaste i głęboko wcięte, koloru ciemno-zielonego i są na zewnątrz odgięte Korona zaś nosi bukiety kwiateczków koloru zwykle granatowego (ciemno-niebieskiego), które tem bardziej są rzęsiste, im lepszą jest ziemia. W górach gdzie tuja dziko rośnie, kwiatki jej są nikłe i blado niebieskie, albo też różowe, a zawierają w sobie słodycz miodową, którą dzieci rade wysysają. Należy dzieci przestrzegać przed tem, albowiem sok ten słodki jako też i cała roślina posiada własności szkodliwe dla zdrowia ludzkiego.



Tuja.

Bydłu także szkodzi tuja, zawiera bowiem w sobie materję, która w większej ilości spożyta, działa otruwająco. Najniebezpieczniejszym jest korzeń; używają go leśnicy do trucia wilków a to w ten sposób: wysuszony korzeń tuji trą na proszek i posypują nim ścierwo padłego zwierzęcia jakiego, potem wywożą tę padlinę zatrutą w głąb lasu dla tracenia szkodników wilków.

ŻYCIE ŚWIĘTEJ MONIKI.

Kochane córki, mateczki i żony, posłuchajcie: opowiem wam o życiu świętej Moniki, która wam będzie najpiękniejszym przykładem w życiu!

Już będzie wnet 1570 lat temu, gdy Monika żyła w Afryce tej części ziemi, gdzie ogromne panują gorąca. Miała ona ro-

dziców dobrze się mających, i nadzwyczajnie dobrem była obdarzona sercem. Małą będąc dziewczynką, chodziła często po wino do piwnicy, bo ją rodzice posyłali. Uległa jednak pokusie i za każdym razem napijała się wina. Obaczyła to służąca, która z nią chodziła do piwnicy i powiedziała:

— Panienka jest pijaczką!

Te słowa tak przejęły młodocianą dziewczynkę, że pełna wstydu zaprzestała picia wina, jakby przeczuwając, że złe mogłoby się w większych rozwinąć rozmiarach. Daj Boże, żeby każdy człowiek usłuchał tak dobrego napomnienia i wystrzegał się swoich błędów.

Święta Monika miała rodziców w pogańskiej wierze zostających, sama zaś najmilej przebywała między wyznawcami zasad Jezusa Chrystusa i przyszło do tego, że została chrześcijanką. Nie pogardzała jednak rodzicami swemi, nie wytykała im błędów, ale bolała bardzo, że nie chcą uznać światła i nauki Boskiej. Była dla nich ugrzecznioną i posłuszną, jak każdemu dobremu przysłuża dziecku, a nawet, gdy nakazali, poszła za mąż za Patrycyjusza, poganina i niedowiarka, a nadto bardzo gniewliwego i gwałtownego człowieka. Cieszyła się w duszy, że go będzie mogła poskromić swojem postępowaniem i pozyskać jedną duszę więcej dla króla nieba i ziemi. Największe wybuchy jego gniewu znosiła z niezwykłą cierpliwością, i tak umiała się obchodzić, iż nigdy nie przyszło do sprzeczek i nienawiści między nimi. Żyła w nadziei, że nadejdzie chwila szczęśliwa i mąż jej innego nabierze przekonania. Gdy się złościł i w niesfornej popędliwości swojej krzyczał w domu, Monika nic mu na to nie odpowiadała, jeno zbywała milczeniem i uległością. A gdy się uspokoił, przekonywała go, że nie miał powodu do gniewu.

— Moja Moniko! mówiły do niej nie raz znajome kobiety - my już z mężami swojemi wytrzymać nie możemy. Już za nadto tych prześladowań; patrz, ile mamy znaków, któremi obrazili nasze ciało!

— Moje kochane! — odpowie Monika — na cóż macie się im stawiać i złością skłaniać ich do innego obchodzenia się z wami? Lepiej poskramiać ich łagodnością swoją, bo i dzi-

kiego zwierza i jadowitego węża można ułagodzić — a czyżby człowieka dobrem postępowaniem nie było można podbić i zniewolić ku sobie? Opanuje was chęć kłótni, zaniechajcie jej, a milczeniem cudów dokażecie!

I przekonały się o tem te kobiety, które usłuchały szczerych rad św. Moniki.

Patrycyjusz miał przy sobie matkę. Monika tak umiała sobie podbić jej serce sprawami swemi, że nikt nie śmiał na nią ani jednej zrobić plotki. Sługi siliły się na to, by Monikę oczernić w jej oczach i znienawidzić ku sobie, ale tego dokazać nie mogły w żaden sposób. Matka gniewała się z tego powodu i mówiła do syna:

— Ukarz złe służebnice, które się targną na dobrą sławę twojej żony. Jest ona aniołem cierpliwości, zgody i miłości.

I stało się podług jej życzenia, a w domu ich panował pokój święty, zgoda i swoboda, bo złe języki ponosiły zasłużoną karę.

Jakże to inaczej bywa w domach naszych! Synowe kłócą się z matkami mężów, którym nie ustępują także w niczem, ale krzykiem i hałasem, przekleństwem i złośliwością zaprowadzają w domu prawdziwe piekło. A jakżeż znowu często świekry plotkami i podejrzliwością rozdwajają synowe z ich mężami i zamiast odpierać plotki, chętnie je wysłuchują i przez to niweczą miłość w rodzinie, w której raj panować powinien.

Monika była uległą żoną i synową, to też nie dziw, że Patrycyjusz, poganin, dał się jej potem powodować i został wzorowym chrześcijaninem. Każda żona może poskromić swego męża dobrocią serca i łagodnością, ale nie kłótnią i dokuczaniem.

Monika jak była przykładem zgody dla sąsiadów, tak znowu dla bogaczów była przykładem szczodrobliwości. Wspierała ubogich, utwierdzała ich w wierze i na prostą sprowadzała drogę. Codziennie chodziła na mszę świętą, a potem zajmowała się troskliwie domem, żeby wszystko w największym było porządku i regularności. Obdarzył ją Bóg dwoma synami i córką. Wiedząc, iż po obowiązkach żony i gospodyni najważniejszem zajęciem matki jest dobre wychowanie dzieci, zajmowała się ich kształceniem i starała się nadzwyczajnie, by

w nich utrwalać cnoty i zachęcała je do dobrego i pobożnego życia. Wtem umiera jej mąż, a ona zostaje wdową. Oddaje się tedy z całem poświęceniem matki wychowaniu swych dzieci lecz rani się jej serce, bo syn jej Augustyn puszcza się na złą drogę i odstępuje od nauki Jezusa Chrystusa.

Ależ posłuchajcie, miłe matki, jak sobie Monika postępowała z zabłąkanym synem! Błagała ona Boga we dnie i w nocy, by odmienił umysł Augustyna i odmienił jego nieprzykładne życie. Syn brnął dalej w występkach i przewrotności, nareszcie chcąc się wyćwiczyć w fałszywych naukach, jakie rozsiewali źli ludzie, pojechał do Rzymu, bo tam wówczas wielu było nauczycieli, którzy odwodzili ludzi od prawdziwego kościoła Bożego. Wiadomość taka zakrwawiła boleścią serce Moniki, lecz wytrwała w miłości macierzyńskiej, udaje się za synem do Rzymu i nie zraża się ani żeglugą morską, ani niebezpieczeństwami w drodze po ziemi. W myśli jej tylko zbawienie duszy swego kochanego syna. Pyta się wszędzie o niego, lecz nigdzie dowiedzieć się nie może. Utula się wreszcie w swym żalu i ufa niebu, że syn jej nie zginie. Bóg pokrzepia snem pobożną i wzorową matkę. Miała wtenczas widzenie. Zdało się jej, że stoi na prostej drodze przejęta smutkiem. Przychodzi do niej jaśniejący młodzian i pyta:

— Dlaczego się tak smucisz, dobra niewiasto?

— Martwię się o syna mojego — odpowiada Monika — bo zeszedł z prawej drogi, a udał się na drogę błędu i zepsucia.

— Nie troszcz się, poczciwa matko! — mówi młodzian — twój syn stać będzie na tej drodze, na której ty stoisz, bo twój piękny przykład, twoje łzy i modlitwy nie pozwolą mu być dłużej na innej drodze.

Ogląda się Monika i spostrzega syna swojego na tej samej drodze, na której stała sama. Modli się tedy wzruszona do Boga i dziękuje mu pokornie za jego łaskę.

Widzenie to sprawdziło się rzeczywiście. Dowiedziawszy się, że syn jej bawi w Medyjolanie, mieście we Włoszech, jedzie za nim i przekonywuje się z największą pociechą serca, iż syn jej na prawej postępuje drodze. Był tam wówczas święty Ambroży, arcybiskup, i pobożny kapłan Symplicyjan. Ci pou

czali ludzi o prawdach wiary Chrystusowej, a zbijali błędy i fałsze innych nauk. Augustyn tak się przejął ich zasadami, że się kazał ochrzcić i został potem najżarliwszym obrońcą nauk kościoła prawdziwego, najgorliwszym pogromcą odszczepieństwa.

Wstąpił do klasztoru, a gdy wracał do ojczyzny swojej Afryki, jechała z nim matka, lecz w drodze zakończyła doczesne życie, mając lat 56.

Syn jej modlitwą, staraniem i przykładem nawrócony odprawił nad jej grobem mszę świętą, prosząc Boga o przyjęcie matki do chwały wiekuistej.

Uznano ją potem za świętą, a syn jej także świętym zostawszy, był najprzykładniejszym kapłanem i biskupem, chlubą kościoła naszego.

Uroczystość św. Moniki obchodzi kościół 4. maja.

Józef z Bochni.

Wystawa rolniczo-przemysłowa w Rzeszowie.

Wiadomo wam zapewne, że w kraju naszym istnieją dwa towarzystwa rolnicze jedno we Lwowie a drugie w Krakowie. Oba te towarzystwa do których każdy co się interesuje gospodarstwem może należyć, starają żeby i u nas jak n. p w Niemczech i we Francyi ludzie coraz lepiej uprawiali rolę, lepsze trzymali bydło, a tem samem i większe jak dotąd mieli dochody. Ludzi co raz to więcej mnoży się na ziemi — to też i koło roli coraz lepsze trzeba mieć staranie, aby wszystkich mogła wyżywić i odziać.

Aby zachęcić do lepszej pilności w uprawianiu pola i do staranniejszego chodowania bydła urządzają oba nasze towarzystwa lwowskie i krakowskie od czasu do czasu wystawy, na które każdy wysłać może czy to zboże, czy bydło czy też narzędzia gospodarcze. Rozumie się, że nikt nie wyszle na taką wystawę lada co n. p. pszenicę zrośniętą, albo jakiego konia ślepego i kulawego, bo by go wszyscy wyśmiali; przeciwnie każdy posyła co ma najlepszego, aby się przed drugiemi popisać. Między temi wszystkiemi wystawionemi rzeczami nazna-

czała dopiero komisja co najlepsze i dawała za to nagrody. Niejeden widząc jak jego sąsiad dostał kilkadziesiąt złr. w nagrodę za wychowanie ładnej krówki albo za dorodną pszenicę pomyślał sobie: „Będę i ja lepiej chodził koło gospodarstwa to może na drugiej wystawie także dostanę nagrodę.“

Widzicie więc jak to wystawy także zachęcają ludzi do pracowitości i pilności. W roku zeszłym była wystawa taka w Przemyślu, przed dwoma laty w Horodence na Podolu, na obu tych wystawach było także wiele bydła i zboża włościańskiego a niektórzy włościanie otrzymali nawet nagrody za wystawionę przedmioty. Obecna wystawa w Rzeszowie która się rozpocznie 2. lipca a skończy 5. będzie wystawą targową, tj. przedmioty przysłane na wystawę, powinny być przeznaczone na sprzedaż. Gdyby jednak kto nie życzył sobie sprzedać nadesłany na wystawę przedmiot powinien to donieść do komisji wystawowej.

Na wystawę przyjmowane będą: 1) konie, 2) bydło rogate, 3) Jałowniki i cielęta, 4) woły tuczne, 5) owce, 6) świnie, 7) drób wszelki, 8) maszyny, narzędzia i sprzęty dla gospodarstwa rolnego, lasowego, ogrodowego i domowego przydatne, tudzież potrzeby i przyrządy myśliwstwa, 9) płody rolnictwa i rolniczego przemysłu, 10) zbiory naukowe i pojedyncze okazy przedmiotów z gospodarstwem wiejskim mające styczność, 11) modele, wzory i dzieła gospodarskie.

Wszystkie przedmioty które mają być przesłane, należy najpierw zapowiedzieć listownie u pana **Alojzego Rybickiego** w Rzeszowie.

Dnia 30. czerwca muszą już wszystkie przedmioty na wystawę przeznaczone być na miejscu w Rzeszowie.

Za stanowisko dla zwierząt, maszyn i narzędzi pobieraną będzie za cały czas wystawy następująca opłata:

Od konia, buhaja i wołu . . .	2 zł.	— ct.
„ krowy i jałówki	— „	50 „
„ cielęcia	— „	25 „
„ barana	— „	50 „
„ owcy	— „	25 „
„ świni	1 „	— „

Od każdej sztuki drobiu . . . — zł. 10 ct.
„ maszyn i narzędzi pod dachem . 2 „ — „ } za sążeń
„ „ „ „ gołem niebem . — „ 50 „ } □

Opłaty te dlatego są naznaczone, aby pokryć koszta jakie stąd wynikną, że cały plac przeznaczony na wystawę musi być oparkaniony i że dla niektórych delikatniejszych przedmiotów trzeba stawiać budy i namioty, aby się nie uszkodziły przez deszcz lub zbyteczny upał.

Z wystawą połączone będzie losowanie różnych przedmiotów gospodarskich np. zwierząt, maszyn i pomniejszych sprzętów które towarzystwo rolnicze na ten cel zakupiło, przedmioty te wystawione będą w osobnym budynku na widok publiczny.

Kiedy już wszystkie na wystawę przeznaczone przedmioty ustawione zostaną na placu wystawy, wyznaczać będzie komisja przez dwa dni, [31. Czerwca i 1. Lipca] nagrody dla odznaczających się wystawców. Dnia 2. Lipca otwartą zostanie wystawa dla zwiedzających i trwać będzie do 5. W tym dniu przed południem odbędzie się losowanie. Wystawcy będą mieli wolny wstęp na plac wystawy. Wreszcie przyrzeka komisya która się zajmuje urządzeniem wystawy, że się postara, by kolej żelazna zniżyła cenę jazdy, dla tych którzy jadą na wystawę.

Mamy nadzieję, że ci włościanie którzy mieszkają blisko Rzeszowa także swe zboże i swe bydełko wyszlą na wystawę, dla tego tak szeroko rozpisaliśmy się o tem.

Daj Boże żeby się wystawa jak najlepiej udała i żeby włościanie jak najwięcej nagród zabrali. Tego sobie serdecznie życzymy!

Rozmaitości.

Lekarstwo na kolkę u konia. Zdarzyło się raz iż koń zapadł mi mocno na kolkę; ponieważ nie było weterynarza pod ręką, musiałem sam radzić i przyszła mi myśl szczęśliwa, ażeby chorego konia zlać dobrze wodą, a następnie aż do sucha wycierać słomianemi wiechciami. Kazałem więc natychmiast wodą prosto ze studni zlewać mocno brzuch ko-

niowi pod włos, a zatem ku przodowi od tyłu. Po użyciu dwóch albo trzech wiader, zimno ogarnęło konia, który skutkiem tegoż począł drzeć na całem ciele. W ówczas kazałem dwom parobkom wziąść wiechcie z twardej słomy żytnej i wycierać przednie nogi, boki i brzuch zmoczony; po dziesięciu minutach tarcia skóra poczęła się mocno kurzyć a koń wyzdrowiał zupełnie; następnie poleciłem, aby go okryto derkami i pozostawiono w spokojności w stajni. Później trafiało się nieraz, mianowicie w przejażdżkach, że mi konie zapadały na kolkę, środek powyżej opisany zawsze je uzdrawiał, najpóźniej po kwadransie zlewania i tarcia; raz tylko z powodu że koniowi za mało wody wylano na brzuch, kolka nie ustała od razu i koń po wytarciu zaczął znowu głowę zwracać na bok, ale powtórzenie operacji zupełnie go uzdrowiło.

Środek ten ma zaletę, że nie kosztuje nic prawie, że skraca trwanie choroby i oszczędza konia; dlatego też polecam go wszystkim właścicielom koni, nie lubiącym znęcać się nad zwierzętami.

Złote ziarna.

Cokolwiek czynisz obmyśl dobrze wprzódy,
A potem działaj śmiało i roztropnie;
Abyś wśród działań niedoświadczył nudy,
Bo kto źle zaczął, ten zły koniec dopnie.
Nic nie pomoże twój potem obrońca,
Gdy zły początek, tem gorzej u końca;
I trudna sprawa dzisiaj jest ze światem,
Żyjmy poczciwie! a ja kończę na tem.

Życie gdy krótkie, trzebać dobrze użyć,
Bo przejdzie prędko tak jak każda chwilka;
A złego przykład, ten może posłużyć:
„Nosił wilk owce? ponieśli i wilka!“

Dla tego żyją drudzy, kto dla drugich żyje
Bo jak mówi przysłowie: ręka rękę myje.

Nie małość wzniesiona jest wielkością, ale sposób jej wyniesienia.

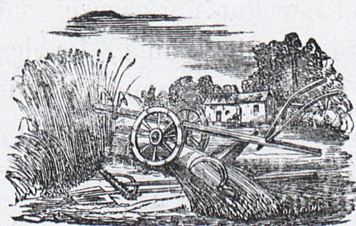
Redaktor odpowiedzialny Kazimierz Okaz. — Wydawca Stanisław Justian.
Z drukarni E. Winiarza we Lwowie.

Tom III. 21. Czerwca 1871. Nr. 18.

Rok dwunasty.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Mądry Icek a mądrzejszy Tomek.

Za Rzeszowem ku Wiśle ciągnie się długie pasmo lasów. Lasy te na kilka mil szerokie a kilkanaście długie, ledwie tu i owdzie przerywa jakaś wioska, leśniczówka lub karczemka.

Ziemia wcale nie szczególna, bo po największej części prawie szczery piasek — a przecież lud w tych stronach ma się nie źle. Wieśniacy mają po kilkanaście morgów ziemi, porządne chałupy, głównie zaś silne i wytrwałe konie. Niemi to najmują się na furmankę i na kilkanaście a nawet kilkadziesiąt mil do koła wożą sól, zboże i co się nadarzy i dobre zarabiają pieniądze.

W tej to okolicy kilka mil za Rzeszowem w ciemnym lesie sosnowym stała przy drodze karczemka.

Icek Weinreb arendarz karczmy na ustroniu wielką był osobą w całej okolicy. Choć karczemka niepokaźna i od najbliższej wsi Zawady przeszło ćwierć mili drogi, u Icka czy Niedziela, czy święto, czy targ czy dzień powszedni zawsze pełno w karczemce. Jedni mówią: u Icka najlepsza kminkówka, drudzy znowu: Icek dobry człowiek choć żyd, trzeba mu dać zarobić, jeszcze inni ciągną do niego bo tam najłatwiej spotkać się z kumami i sąsiadami. Dość że na ustroniu zawsze pełno

że trudno się w izbie szynkowej pomieścić. Icek już taki uradowany biega z kąta w kąt i głaszcze rudą brodę i skubie długie pejsy, a każdemu się kłania, każdego parobczaka nazywa gospodarzem i zachęca do napitku i przechwala swoje wódki. Ludzie się cieszą i bawią, a każden powtarzą wracając do domu: „nie ma to jak nasz Icek“. Przecież jednak nie wszyscy tak bardzo przepadają za Ickiem. Wójt z Zawady i kilku starszych poważnych gospodarzy, nie lubią zaglądać na ustronie do karczemki, a młody gospodarz Tomek Buła to już jakby wyraźnie miał złość na rudego Icka, niewiedzieć czy i dwa razy na rok zaszedł do karczemki w lesie. Mocno to gniewało Icka, bo Tomek to kmieć całą gębą, można by na nim nie jednngo papierka zarobić; pola ma ze 20 morgów, bydełko ładne, a z furmanki także piękny grosik w skrzyni. Różnych używał sposobów, aby Tomka zwabić do siebie ale nic nie pomogło, Tomek niedał się jak to mówią uwodzić.

— Chwalcie wy sobie, chwalcie waszego Icka — mówił do sąsiadów — a ja wam mówię, że kiedyś jeszcze brzydkie rzeczy pokażą się na tego żyda. Mnie się zdaje, że on ma jakieś konszachty z wsiowemi złodziejami; wszystko co we wsi skradną, niosą do karczmy na ustroni i...

— Ot bajcie, bajcie, a może złość z was mówi, gdzieby Icek wdawał się w takie rzeczy. Jużto, że ostatniemi czasy w Zawadzie kradzieże mocno się zagnieździły, świętą mówił prawdę. Wójtowej ukradziono niedawno z komody dziesięć sznurków korali grubych jak groch, co może ze sto reńskich były warte. Co się kobiecina napłakała, nachodziła i naszukała nic nie pomogło, znikły jak kamień w wodzie. Była i w Rzeszowie w urzędzie powiatowym, chodzili i żandarmi po wsiach i szukali, niema i niema — przepadły bez śladu. Niedługo potem we dworze poginęły pani różne kosztowne rzeczy, coś kilka pierścionków i jakaś szpinka złota z drogiemi kamieniami i znowu niewiedzieć gdzie to wszystko poznikało. Ekonomowi ukradziono trzy łyżek srebrnych, a kaczki i gęsi ginęły z pastwiska, że trudno się było ostrzedz, wszyscy narzekali, ale nikt nie mógł się domyśleć ktoby to był taki sprytny zło-

dziej. Tomek nic już nie mówił, tylko żonie nakazywał aby chałupy pilnowała.

Przyszła i na niego kolej, kiedy raz wyjechał ze zbożem do Rzeszowa, a żona wyszła do sąsiady, dobrali się złodzieje do komory i wynieśli ze skrzyni dziesięć srebrnych talarów błyszczących jak szkło. Kiedy wrócił do domu zastał żonę strasznie zasmuconą i zapłakaną i dowiedział się o swem nieszczęściu Markotno się zrobiło naszemu Tomkowi, boć to 10 talarów na drodze nie znajdzie; ale nie płakał i nie narzekał, babska to rzecz lamenta zawodzić, siadł w kącie i zadumał się, jakby tu złodzieja odszukać i talary odebrać.

— Nie frasuj się Marynko — mówił do żony — już ja to jakoś dojdę tego mądrego złodzieja, tylko nikomu nic nie mów o naszym trafunku, niech nikt nie wie co nas spotkało. Złodzieje będą myśleć, żeśmy jeszcze nie zaglądali do skrzyni, mniej będą ostrożni, może się któren prędzej wygada albo zechce gdzie mieniać talary na papierki.

Umiała Maryśka dotrzymać tajemnicy; kilka dni już minęło, a nikt we wsi niewiedział jeszcze o tem, że Tomkowi ukradziono talary.

Nadeszła wreszcie święta niedziela. Z rana poszli Tomkowie do kościoła, zaś popołudniu po nieszporach ubrał Tomek nową świtę i wyruszył do karczemki na ustroniu. Jak zawsze cała karczma była pełna, Icek biegał od jednego do drugiego a każdemu miał coś do powiedzenia.

Kiedy wreszcie drzwi się otworzyły i Tomek wszedł do szynkowni, to już nasz sprytny arendarz tak się ucieszył jakby go na cztery konie wysadził. Tomek siadł za stołem kazał sobie dać półkwaterek wódki, powitał się z sąsiadami przypił do jednego do drugiego i zaczął się rozglądać po izbie. Nadbiegł też i Icek i dalejże rozmawiać i wypytywać się, ot zwyczajnie jak żyd. Rozprawiał z nim trochę nasz Tomek posiedział z jakie pół godziny i odszedł do domu. Na drugi i trzeci dzień znów był po pół godziny w karczemce na ustroniu, ludzie we wsi zaczęli już sobie opowiadać, że Tomek napija się, ale on nic sobie nie robił z tego gadania, tylko codzień zaglądał do arendarza. Icek nieposiadał się z radości podsuwał

mu zawsze najlepsze wódki słodkie, rozolisy i araki, ale Tomek nie pił więcej jak jeden półkwatérek.

Razu jednego kiedy Tomek znowu był w karczemce, skarzył mu się Icek, że chciałby jechać na szabas do Rzeszowa a fury znaleść nie może.

— Mam jechać do Rzeszowa po jakieś nasienie dla dworu to jak chcecie to mogę was zawieść. We czwartek wieczór wyjedziemy to na piątek rano będziecie w Rzeszowie

— Aj waj, wy dobry człowiek Tomek — dziękował żyd — i aż się oblizywał że daremnie pojedzie.

We czwartek wieczorem kiedy się już całkiem zciemniło zajechała fura Tomka przed karczmę. Żyd siadł i postawił koło siebie jakąś skrzynkę drewnianą obwiązaną sznurami, mówił że w tej skrzynce są książki żydowskie, ale skrzynka była bardzo ciężka a Tomkowi zdawało się że w niej coś brzęczy. Droga prowadziła ciągle przez las, noc była ciemna że oko wykol, żyd siedział na skrzynce i widać bał się czegoś, bo pod nosem mruczał jakieś żydowskie pacierze. Ujechali dobry kawał, kiedy Tomek nagle zatrzymał konie i zawołał:

— Mój mocny Boże zginęliśmy! zginęli!

— Aj waj! — wrzasnął Icek — co się stało i złapał się za pejsy.

— Jakto? nie słyszycie coś goni za nami jakby na koniach, to pewnie rozbójnicy. Mówili mi żandarmi że teraz po lasach się kręcą. Otóż to nieszczęście człowiek marnie zginie a ma żonę i dzieci, bodajbym był nigdy nie wyjeżdżał z Zawady biednaż moja głowa, biedna — lamentował Tomek.

A żyd z wielkiego strachu nic nie mówił tylko zębami kłapał i za pejsy się targał.

— Jak zobaczą, że żyda wiozę, to już pewnie mnie zabiją, bo oni na żydów najgorzej zażarci — płakał Tomek.

— Aj waj mirgeszaj! ratujcie Tomek! ja wam dam wielkie pieniądze tylko mnie ratujcie — jęczał po cichu Icek.

— Trzeba żebyście się schowali, to może się uratujemy. Wleźcie Icku do tego worka, jak rozbójnicy będą się pytać co ja wiezę, to powiem że w worku jest szkło potłuczone które wiezę do huty do przetopienia. Jakby który rozbójnik trącił

worek, to pamiętaj odezwać się jakby szkło zbrzęczało „dzeń dzeń“.

— Dobrze, dobrze — mruczał żyd — i łazł czem prędzej do worka.

Tomek zawiązał worek, położył żyda na wóz, a potem wziął się do skrzynki. Poczekaj żydzie zobaczę ja czy tu książki żydowskie czy też może moje talary. Po cichu tak że żyd w worku nie słyszał zdjął skrzynkę odwiązał sznury, a kiedy otworzył wieko, zobaczył zamiast książek żydowskich same kosztowności, korale, złote i srebrne sprzęty, a na wierzchu swoje własne talary. Były tam i korale ukradzione wójtowej i pierścionki należące do pani we dworze i łyżki ekonoma. Wszystko to widać żyd złodziej albo sam pokradł, albo pokupował za wódkę od innych złodzieji. Cichutko postawił skrzynkę znowu na swoje miejsce obok worka w którym leżał żyd, siadł na wóz i pojechał. Czekaj panie Icku, myślał poganiając koniki, nauczę ja cię, popamiętasz całe życie, to rozbójników się boisz choć ich tu niema, może na sto mil, a sam kradniesz, zrobię ja ci figla! i uśmiechnął się pod wąsem nasz Tomek.

Tomek jechał czas jakiś, naraz wstrzymał gwałtownie konie i głosem zmienionym zawołał.

— Stój bo zginiesz!

Żyd w worku myślał że rozbójnicy i trząsł się jak w zimnicy.

— Mów co wieziesz! wołał dalej Tomek udając rozbójnika.

— Wiozę potłuczone szkło w tym worku do huty a w tej skrzyni są książki — mówił już naturalnym głosem niby odpowiadając na zapytanie rozbójnika.

— No zobaczymy! wołał naśladując rozbójnika pamiętaj jak skłamiesz to ci taką sprawię łaźnię że całe życie popamiętasz! Potem wziął w rękę gruby kij i mówił dalej, zaraz zobaczę czy w tym worku szkło, i wyrżnął kilka razy z całej siły w worek w którym leżał żyd.

Ickowi aż świeczki w oczach stanęły, ale bał się krzyczeć, więc z wora odezwało się tylko „dzeń dzeń“! jakby dźwięk szkła potłuczonego.

Ale rozbójnik jakoś niechciał uwierzyć, znowu więc uderzył kijem kilka razy w worek, a żyd znów „dzeń dzeń“ zadźwięczał.

Teraz wołał mniemany rozbójnik: Zobaczę co jest w tej skrzyni.

Żyd w worku mało nie umarł ze strachu kiedy to usłyszał.

Tomek udając rozbójnika zabrał się do otwierania skrzyni.

— A ty bezczelny kłamco to takie ty wieziesz książki — zawołał po chwili — i kijem z całej siły zaczął bić w drogę. Odgłos tego bicia rozchodził się po całym lesie, a Tomek jęczał i lamentował.

— Oj, oj, oj! nie bijcie tak, nie bijcie, miejcie litość nademną ja niewiedział co wiezę.

Żyd w worku był pewny że to rozbójnik tak Tomka okłada kijem trząsł się ze strachu, że aż worek chodził. Przestał wreszcie Tomek bić kijem drogę i zawołał niby to rozbójnik.

— Bądź kontent, żem cię nie zabił, pamiętaj żebyś na drugi raz nie kłamał. Za karę zostawisz tu to szkło co wieziesz, a mnie i ten kufer z koralami, pierścionkami i talarami powieziesz stąd pół mili.

Żyd wszystko to słyszał i kłapał zębami ze złości i strachu, ale nic mu nie pomogło.

Tomek zrzucił jak to mu udany rozbójnik nakazał żyda z workiem do rowu, siadł na wóz i z skrzynką czwałem odjechał.

Nad ranem stanął w Rzeszowie. Skrzynkę z kosztownościami zaraz odniósł do urzędu i opowiedział gdzie się znajduje Icek.

Urzędnik wysłał zaraz żandarmów, którzy Icka wyciągnęli z worka i odstawili do więzienia. Tu się dopiero dowiedział mądry arendarz jak z niego zakpił nasz Tomek.

Panowie urzędnicy wzięli dopiero żyda w obroty i pokazało się, że wszystkie te rzeczy co były w skrzyni albo sam nakradł albo poskupywał od okolicznych złodzieji. Skazano go na dwa lat więzienia, a naśmiano się do woli.

Dziś jeszcze choć to już kilka lat temu jak odsiedział swą karę, nikt go nie nazywa inaczej, jak Icek szklanny albo Icek „dzeń dzeń“.

SIEJBA I ŻNIWO.

Na niwce, złote chwiało się zboże,
Chłopiec i dziewczę żęli je społem,
Aż przyszedł starzec „i Szczęść wam Boże“
Rzekł — smutnie wstrząsając czołem,
Stary wasz ojciec, przeszłej jesieni,
Przy mnie tę niwkę, raźnie zasiewał,
Zbierać ją z wami gdy się zapleni,
Może się jeszcze spodziewał.
I nie doczekał — bo nim wiosenka
Stopiła śniegi słońca promykiem,
Skrzepło mu serce i siewcza ręka,
Pod czarnym zaległ krzyżykiem...
Ale szczęśliwy — bo i po zgonie,
Duch jego w waszem sercu się świeci,
I sam on myśląc o przyszłym plonie,
Was pewnie miał w swej pamięci!
Bo ta myśl troskę każdą opłaca,
I trudy życia mile odwdzięcza,
Że nasza siejba, że nasza praca,
Duch nasz z przyszłością zaręcza.
Na prośby Ojca pomni, w tej chwili,
Ślub uroczysty złóżcie przed Bogiem,
Byście tej niwki nie zostawili
Dla dziatwy waszej — odłogiem!
Chłopiec i dziewczę uklękli społem,
Ślubując żywot pracy w pokorze...
Wzruszony starzec, z promiennem czołem,
Wyrzekł raz jeszcze: Szczęść Boże!

Jan Prusinowski.

Storczyk.

Storczyk jest to roślina o kilku gatunkach, której kształt przedstawiony jest na obrazku. Rośnie storczyk dziko po łąkach i wzgórzach lesistych. Pręt ma zwykle bez liści. Wy-

strzela niekiedy na łokieć wysokości, i ma na wierzchu jakoby kłos kwiateczków koloru białego albo czerwonego. Kwiatuszki te zawierają w sobie płyn miodowy, który pszczoły bardzo rade zbierają. Korzeń ma storczyk trwały, to jest taki, który przez kilka lat wciąż na nowo łodygę ze siebie puszcza. Składa się ten korzeń z dwóch główek podłużnych albo krągławych i obfituje w części krochmalne. Zapach ma niemiły, trącący kozłem. Korzeń storczyka spotrzebowują apteki do sporządzania leków wzmacniających. Szczególnie ma być pomocnym smażony w cukrze i dawany ludziom słabym na piersi.



Storczyk.

Storczyk pielęgnowany w ogrodzie, bawi oko rozmaitością swego kwiecia, które przyjemny zapach wydaje, szczególniej w porze wieczornej albo też deszczowej.

Miód nanoszony przez pszczoły z tego kwiecia, dla szczególnego zapachu i smaku bywa od znawców wyżej ceniony, jak każdy inny, przeto choćby tylko dla tej własności należy tę roślinę pomiędzy innemi kwiatami w ogrodach pielęgnować.

W chwili największej trwogi pomoc Boska najbliższa.

Dla uwydatnienia Boskiej opieki nad ludźmi, którzy go kochają, opowiem wam dziś zdarzenie, o jakiem wyczytałem w kronice jednej wioski w Szwajcaryi. Kronika jest to spis ważniejszych zdarzeń jakiej wsi, miasta lub okolicy, a Szwajcarja jest krajem górzystym, położonym w Europie od nas w stronie południowo-zachodniej.

Mieszkańcy tego kraju, Szwajcarzy, trudnią się po większej części pasterstwem, bo rolnictwo i rzemiosło nie dają wszystkim dostatecznego wyżywienia. Pasterze w górach swobodne prowadzą życie, potrzeby ich są nie wielkie, a ich pola, błonia i trzody dostarczają im wszystkiego. Szwajcar kocha swoją ojczyznę nad życie. Najmilsze mu są jego rodzinne góry, pastwiska i chaty, w których ojcowie jego spokojne i pracowite prowadzili życie. Świeże w górach powietrze i pogodne nad niemi niebo, sprawują że Szwajcar zawsze zdrów, wesół i szczęśliwy.

Zdarzenie jakie chciałem opisać, odnosi się do pewnej biednej familii, która mieszkała w ubogiej chacie, pod górą położonej. Jednego roku spadł w Szwajcaryi taki śnieg, jakiego najstarsi ludzie nie pamiętali. Samotna chata stała pod górą; wkrótce ogromne zaspy śniegu wzniosły się na około, a z góry waliły się straszliwe bryły śniegu, które lawinami zowią i w mgnieniu oka zawaliły drzwi i okna, a na koniec i całą chatę. Cała rodzina, składająca się z ojca, matki i trojga dziatek, została w ciemnej pogrążona nocy i w okropnym stanie. W izbie małe tylko były zapasy żywności, a do sklepu wykutego w skale opodal domu, nie można było się dostać Strwożone dzieci zaczęły płakać, a rodzice przelęknieni tak okropnym wypadkiem nie wiedzieli co począć. Na próżno ojciec silił się otworzyć drzwi lub okna, próbował kominem wydostać się na wierzch chaty, ale i ten był śniegiem zawalony. Położenie ich było okropne, a tem okropniejsze, że przy braku żywności, już i lampa im dogorywała. Zapalili więc łuczywo, ale że dym nie miał kędy odchodzić, więc ledwie się nie podusili. Trwoga z każdą chwilą wzrastała. Dzieci zgłodniałe, od zimna i wilgoci znędzniałe, tuliły się do rodziców, którzy ich ani ogrzać nie mogli, ani nakarmić nie mieli czem. Widok biednych dzieci i tak okropne położenie żywcem byc pochowanemi i rodziców przygnębił. Jedyna ich otucha była modlitwa i pobożne pieśni, a uczucie pobożności rosło u nich w miarę przekonania o bliskiej śmierci, na którą się przygotowywali.

W tak okropnem położeniu zostawali przez sześć dni. W ostatnich trzech dniach woda ze śniegu jedynym ich była

posiłkiem. Szóstego dnia, kiedy żadnej już nie mieli nadziei ocalenia, i siły wszystkich opuszczać zaczęły, kupiąc się jedno do drugiego, zaczęli się ściskać za szyję i w przeświadczeniu bliskiej śmierci, rzewnie płakać. Dzieci z omdlenia pozasypiały nakoniec, a ojciec jeszcze raz spróbował, czy mu się nie uda przez komin drągiem w śniegu zrobić otworu, ale omdlały na siłach nie zdołał tego dokazać. Wrócił więc smutny i upadł na kolana przy spiących dziatkach i modlącej się żonie. W tem nagły usłyszeli huk i szelest w kuchni, jak gdyby się komin zapadł.

Na ten odgłos wszyscy skupili się jeszcze bardziej do siebie, pewnej oczekując śmierci, bo myśleli, że się pod ciężarem śniegu dom na nich zawali. Ale że izba została nie naruszona, więc ojciec zapalił łuczywo i wyszedł do kuchni. Matka, której błysnął promyk nadziei, wzięła zbudzone dzieci za ręce i wyszła za ojcem. Jakaż radość ogarnęła wszystkich! Oto dzika koza, chodząc po śniegu za żywnością, natrafiła na komin i wpadła przezeń do kuchni. Ojciec pochwycił zaraz tak niespodzianą zdobycz, dzieci skakały z radości, a matka nie mogąc przemówić słowa z podziwienia, podniosła ręce ku niebu, dziękując Bogu za tak widoczny dowód jego łaski i wybawienia. W krótce zabito kozę i posilono się jej mięsem, ojciec wydobył się kominem na wierzch chaty, pobiegł do bliskiej wioski — prosił o pomoc sąsiadów, którzy chętnie pospieszyli z żywnością i z pomocą. Z wielką trudnością odrzucono śnieg od chaty i wybawiono z niej tak okropnie uwięzionych mieszkańców.

Skarby dla rolnictwa.

W każdem gospodarstwie, czy to w domu lub na dworze, w kuchniach, spiżarniach, składach i w ogrodach, nagromadza się z rozmaitych przedmiotów mnóstwo takich resztek, które na pozór jako do niczego nieprzydatne, po większej części nikną bez żadnej korzyści, gdy tymczasem resztki te zbierane, a następnie użyte do uprawy roli, stać się mogą wielce przydatne do zwiększenia urodzajności ziemi, a skutkiem tego przynosić w gospodarstwie znakomity dochód.

Popiół drzewny, jak wiadomo, powstaje przy paleniu się drzewa, czyli raczej jest pozostałą częścią drzewną niestrawioną przez ogień, gdy wszystkie inne części drzewa, ulotniły się w paleniu. Popiół drzewny, z powodu swego składu chemicznego, jako zawierający w sobie znaczną ilość solnych części jest doskonałym nawozem, zwłaszcza też skoro jest użyty pod uprawę roślin pastewnych, różnych gatunków koniczyny, jakoż na wzrost i bujność których nader silnie i pomyślnie działa.

Popiół z drzew liściastych, jako środek nawozu, jest lepszy od pochodzącego z drzew iglastych; popiół zaś z brzeziny najbardziej sprzyja żyzności ziemi.

Gruz pochodzący z murów i budowli. Kawałki i obłamki gliny ze starych pieców i murów, mianowicie zaś z tych, jakie poprzednio stanowiły ściany stajen i obór, są bardzo dobrym nawozem, który będąc użytym w dostatecznej ilości do uprawy roli, na przeciąg lat kilku może znacznie polepszyć żyzność gleby.

Błoto uliczne i pył drożny. Gdyby któren z gospodarzy zechciał ciągle utrzymywać w porządku i czystości swoje podwórza, ulice i przechodzące przez jego majątek drogi [1], zamiatając i zbierając z takowych pył, błoto i wszelkiego rodzaju nieczystości, to nie wielkie z tego powodu na tak prostą czynność poniesione wydatki, mogłyby mu się powrócić ze znacznym zyskiem. Błoto i pył drożny, składając się wyłącznie z części wapiennych i piasku, i będąc w znacznej ilości zmięszane z proszkowanym pognojem przejeżdżających tamtędy koni i przechodzącego różnego rodzaju bydła, nie tylko więc z powodu tych części składowych nawozu bydlęcego, ale już samo przez się skutecznie użyte być może do uprawy.

Śmiecie wszelkiego rodzaju. Smiecie zmiatywane z pokojów, kuchen, spiżarni składów itp., składają się jak wiadomo nietylko z samych cząstek ziemnych nanoszonych ze dworu obuwiem, lecz także i z rozmaitych innych cząstek roślinnych i

[1]) Mówi się tu o drogach bitych, zwirowych czyli gościńcach.

bydlęcych, oraz z cząstek popiołu pochodzącego z kominów i pieców. Wszelkie śmiecie powinny być troskliwie zbierane, albowiem w połączeniu z różnemi innemi substancjami, tworzą wyborny nawóz szczególniej przydatny pod kartofle.

Szlam, ił, muł z sadzawek, rowów, kanałów i t. p. Woda deszczowa, która zbiera się w sadzawkach, rowach i innych dołach, zawiera w sobie bardzo wiele cząstek nawozowych, które to cząstki zwykle zatrzymują się w mule i szlamie w podobnych miejscowościach utworzonym. Te ostatnie zaś zmięszane z piaskiem, służyć mogą za doskonały nawóz, zwłaszcza dla łąk bądź naturalnych, bądź sztucznych, zasianych koniczyną.

Konopne lub lniane paździerze. Ponieważ części składowe tych resztek są też same co i słomy, przeto i działanie ich pod względem nawozu jest takie same jak słomy. Ta tylko zachodzi różnica pomiędzy słomą a paździerzami, iż te ostatnie rozkładają się trudniej i powolniej niż słoma, a z tego powodu jako środek nawozowy, należy one używać w połączeniu z innemi substancjami szybko rozkładającemi się n. p. z bydlęcemi odchodami i t. p. przezco rozkład ich znacznie ułatwionym zostaje.

Również bardzo dobrze jest dawać paździerze na podściółkę pod bydło, a mianowicie pod krowy i świnie, albowiem będąc częstokroć skrapiane byłęcym moczem, stają się takowym przesiąknięte i tym sposobem przez czas długi zachowują w sobie odpowiedni stopień ciepła.

Rogi, kopyta, włosy, sierć itp. odpadki zwierzęce. Rozkład wszystkich powyższych przedmiotów w ogóle jest nader trudny, a zatem przed użyciem ich jako nawóz, winny być przedewszystkiem sproszkowane, o ile to się da wykonać, ale nadto zmięszane z popiołem drzewnym. Takiejże samej własności są wszelkie gałgany wełniane, szczecina, pióra a nawet stare zużyte już wyroby skórzane.

Pomyje mydlane i kuchenne, jakie zwykle bez żadnego użytku wylewane bywają na podwórza, przeciwnie będąc wylewane w doły lub na kupy nagromadzonego gnoju bydlęcego,

mogą się stać nader korzystnym środkiem pomocniczym nawozowym.

Najprzydatniejsze zaś do uprawy roli, są pomyje pochodzące z fabryk sukiennych, gdzie jak wiadomo do przepłukiwania sierci, używany jest powszechnie mocz bydlęcy. Jeszcze pożyteczniejszy wpływ na urodzajność roli wywiera płyn, jaki się otrzymuje w fabrykach krochmalu, który to płyn jako nawóz użyty bez żadnych innych połączeń, już sam przez się stanowi najwyborniejszą mierzwę.

Z tego pobieżnego zarysu przekonać się możemy, jak rozliczne są środki użyźniania ziemi, które odpowiednio i umiejętnie spożytkowane, przynosićby mogły znakomite korzyści; gdy tymczasem, skutkiem obojętności na własne dobro lub niedbalstwa, zwykle są marnowane, a szkoda zaprawdę marnować to, co nietylko polepszyć kulturę ziemi, tej głównej karmicielki naszej, ale i materjalny pożytek przynieść by nam mogło. *P.*

Rozmaitości.

Z życia ptaszego. Gazety węgierskie opisują następujący wypadek: Do przedpokoju pana Jana Vasvary, dyrektora dóbr orkenijskich, przylatywała często jaskólka, która, gdy widziała, że nie dzieje jej się nic złego, przyprowadziła ze sobą swą towarzyszkę. Jaskółki siadły na gzymsie i zaczęły świergotać na cześć mieszkańców domu. To powtarzało się przez kilka dni, aż wreszcie samiec wzleciał na szafkę z książkami gdzie sobie dalej wesoło świergotał. Następnego dnia samica już do niego przyleciała, i teraz razem oboje świegotały. Trzeciego dnia para jaskólcza wzięła się do budowani gniazdka w rogu pokoju blizko powały. Tego jednakowoż nie chciano im dozwolić; pan domu przymocował sznureczkiem do gwoździa w powałę wbitego deszczułkę czworograniastą, a to tak, że deszczułeczka na pół stopy pod powałą w powietrzu wisiała. Potem wziął ostrożnie pierwiastki budowanego gniazda z miejsca i położył je na deskę. Jaskółki przyglądały się z okna tej robocie, a gdy skończył i odszedł, jaskółki zaraz poleciały na deskę i długo między sobą coś świegotały. Nareszcie samiec poleciał oknem i wnet wrócił z kawałkiem błota. To samo po nim uczyniła samiczka, słowem zajęły się ptaszęta odbudowaniem gniazdka, skoro zaś ich praca cokolwiek dalej

postąpiła, opuściły deskę, usiadły na oknie, i zdawały się tam czekać, co teraz dalej się stanie. Pan domu obejrzał teraz w przytomności jaskółek rozpoczęte dzieło, i nie dotknął się go. Wtedy jaskółki z zupełną śmiałością wzięły się do ukończenia dzieła. Teraz tam wisi już puchem dobrze wysłane gniazdo, z którego już cztery pisklęta wytykają żółte dzióbki. Ojciec i matka siedzą nad gniazdem, i spokojnie przyglądają się wszystkiemu, co się w około nich dzieje Domownicy wchodzą i wychodzą, rozmawiają głośno, hałasują, a rodzina jaskólcza nie widzi w tem żadnej przeszkody. W oknie zostawiono im otwór, przez który ptaszęta wlatują i wylatują.

Dodatek polityczny.

Austrya. W wiedeńskiej Radzie Państwa posłowie niemieccy bardzo niezadowoleni z tych ministrów, którzy teraz urzędują. Przed tygodniem napisali adres do cesarza z prośbą, aby ministrów oddalił; ale nie stało się tak, jak sobie życzyli. Cesarz odpowiedział im że bardzo zadowolony ze swych ministrów i że nie chce innych. Na to Niemcy znowu coś innego wymyśleli. Naradzili się między sobą żeby ministrom niepozwolić pobierać podatki i tym sposobem zmusić ich do ustąpienia ze swych urzędów. Wiadomo wam bowiem zapewne, że każdego roku Rada państwa oznacza jakie mają być robione wydatki na wojsko, na urzędników i na szkoły i na pokrycie tych wydatków naznacza rok rocznie podatki. Ministerstwo więc, które by nie dostało pozwolenia na wybieranie podatków nie miało by czem płacić wojska, urzędników i profesorów, jednem słowem nie mogło by rządzić i musiałoby ustąpić. Bardzo to dowcipnie wymyśleli Niemcy, ale przecie im się nie udało. Kiedy bowiem przed kilku dniami, ministerstwo zażądało pozwolenia na pobieranie podatków i robienie różnych potrzebnych wydatków pokazało się że zatem aby tego pozwolenia niedać, było tylko sześćdziesiąt kilka posłów niemieckich przeciwnie, za ministerstwem oświadczyło się przeszło siedemdziesiąt posłów. Tak więc Niemcy choć wiele krzyczeli niczego nie mogli dokazać. Teraz kiedy ministerstwo dostało pozwolenie na ściąganie podatków zapewne niezadługo Rada Państwa zostanie odroczoną, natomiast zwolane zostaną sejmy krajowe.

Francya. Pisaliśmy wam jaka to straszna toczyła się walka w murach Paryża i jak tam popalono i poniszczono śliczne pałace i ogromne bogactwa. Wojska sejmu francuskiego, który obraduje w Wersalu, zajęły dziś już cały Paryż pobiły i rozbroiły wszystkich, którzy im się opierali i dziś już w tem ogromnem a nieszczęśliwem mieście panuje zupełny spokój.

Chwile jednak samej walki w mieście i kilka dni po tej walce były straszliwe. Wojsko rozżarte oporem, jaki znajdywało zdobywając barykady i domy w których zamknęła się paryzka gwardja, niedawało pardonu, mordowano kogo natrafiono, nawet zdarzało się, że zabijano kobiety i dzieci W pierwszych chwilach żołnierze wersalscy na rozkaz swych oficerów i jenerałów rozstrzelali około 4.000 gwardzistów paryzkich, a może jakich sześćdziesiąt tysięcy wzięto do niewoli i porozsyłano po różnych miastach francuzkich Tam będą ich sądziły sądy wojenne. Mniej winnych wyszlą do Ameryki na wygnanie bardziej zaś winnych będą rozstrzeliwali. Biedny to i nieszczęśliwy kraj gdzie do tego doszło, że brat morduje brata, gdzie jednej wiary, jednej mowy ludzie niszczą się jak dzikie zwierzęta.

W mieście Wersalu niedaleko Paryża obraduje jak już mówiliśmy sejm francuzki i tam nienajlepiej się dzieje. Jedni chcą zaprowadzić znowu królestwo jak było dawniej przed stu laty Inni przeciwnie nie chcą żadnego króla, chcą żeby naród sam się rządził, sam sobie nadawał prawa i co dwa lub trzy lata wybierał innego naczelnika (prezydenta) któryby porządek utrzymywał w kraju. Mądrze chcą oni, bo gdyby nawet trafił się zły prezydent, niesprawiedliwy albo bardzo srogi, to za dwa, trzy lat można go oddalić, innego wybrać, a król jak raz już jest, to nie tak łatwo się go pozbyć. Tych jednak, którzy chcą króla jest w sejmie daleko więcej — zdaje się więc, że we Francyi znowu powstanie królestwo. Pozwolili oni już tym książętom którzy się starają o koronę przyjechać do Francyi. A jest ich dość tych książąt, bo korona to rzecz łakoma — trzech z rodziny Orleanów, a jeden z rodziny Burbonów.

Rząd francuzki zaciąga teraz pożyczkę 3 miliardy franków to jest półtora miliarda złr. aby zapłacić Prusakom za wojnę.

Aby takie ogromne pieniądze zebrać musiałby np. u nas w Galicyi każdy człowiek od najbogatszego począwszy a skończywszy na najbiedniejszym żebraku co chodzi po odpustach zapłacić po 300 złr. Wystawcie więc sobie co to za nienasycony za chciwy naród ci Niemcy.



OD REDAKCYI.

Z tym numerem kończy się półrocze obecne, a zarazem tom 23. „Dzwonka“. Wybaczcie nam kochani czytelnicy, opóźnienia niektórych numerów; powstały one nie z winy Redakcji, powstały z przyczyny, o którą się wszystkie wydawnictwa dla Ludu rozbijają, to jest ze zbyt małego poparcia przez prenumeratę. Myśmy nie szczędzili trudu, staraliśmy się podawać Wam rzeczy ciekawe a pouczające; nadewszystko chcieliśmy rozbudzać w całym ludzie naszym zamiłowanie pracy, zamiłowanie cnót domowych i ojczystych, chcieliśmy by miłość prawdy i oświaty w coraz szerszych krzewiła się kołach. Mimo strat i nadal „Dzwonka“ wydawać będziemy. Do was tylko, kochani Czytelnicy z jedną odzywamy się prośbą: Niech każdy z Was, kto pisemko nasze umiłował, tak jak my Was umiłowali, postara się uzyskać dla nas nowego prenumeratora. Ktoby tego uczynić nie mógł, niech przynajmniej własnego swego „Dzwonka“ rozpożycza i do czytania daje swoim sąsiadom. O wczesne nadesłanie prenumeraty, lub też zawiadomienie nas o chęci dalszego prenumerowania upraszamy.

Spis rzeczy, tytuł i okładkę rozeszlemy wszystkim z numerem pierwszym drugiego półrocza.

Tych szanownych prenumeratorów, którym chętnie na pieniądze poczekaliśmy, upraszamy o nadesłanie należytości za pierwsze półrocze.

Pozdrawiamy Was serdecznie.

Redakcya.

Redaktor odpowiedzialny Kazimierz Okaz. — Wydawca Stanisław Justian.
Z drukarni E. Winiarza we Lwowie.